

FREDERICK FORSYTH

# SŁOWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA

*The Biafra Story*

Przełożył  
Paweł Korombel



## Spis treści

Spis treści .....	2
Słowo wstępne .....	3
Przedmowa.....	5
Część pierwsza Droga ku podziałowi .....	6
1. Tło .....	8
2. Nieudany zamach stanu .....	27
3. Człowiek zwany Ironside.....	33
4. Drugi nieudany zamach stanu .....	41
5. Dwaj pułkownicy .....	50
6. Jesienne bestialstwa .....	56
7. Aburi - ostatnia szansa Nigerii.....	65
Część druga Walka o przetrwanie.....	84
8. Charakter Biafry.....	86
9. Trzydzieści miesięcy walk.....	92
10. Rola rządu Wilsona.....	125
11. Uchodźcy, głód i pomoc .....	156
12. Konferencje pokojowe .....	193
13. Problem ludobójstwa .....	205
14. Rola prasy .....	216
15. Wnioski .....	222
Posłowie.....	226

## Słowo wstępne

(napisane w czerwcu 1983 r. w Londynie)

Poproszono mnie o współpracę przy powtórnym wydaniu tego dziełka napisanego w Biafrze w 1969 r., a ponieważ pewne wyjaśnienia mogą pomóc czytelnikowi, z wielką ochotą spełniam tę prośbę.

W ciągu czternastu lat niektórzy czytelnicy przeszli od dzieciństwa do dojrzałości i będą mogli zapoznać się z tą relacją po raz pierwszy, dla innych słowo „Biafra” jest tylko częścią okrytej kurzem historii.

Niemniej jednak wojna nigeryjsko-biafrańska była znaczącym wydarzeniem, którego echa nie ucichły całkowicie ani w Afryce, ani poza nią. Nawet dziś być może warto uświadomić sobie, że wydarzenia w Biafrze, które pociągnęły za sobą 1,5 miliona ofiar śmiertelnych, głównie dzieci, a przede wszystkim cywilów, na swój sposób dorównują potwornościom największych ludobójstw naszej ery - Indonezji, Bangladeszowi, Wietnamowi, Kambodży i Afganistanowi. Brytyjski czytelnik dostrzeże tu również inny, bardziej godny zapamiętania element - w inne potworności nasz rząd nie był bynajmniej zamieszany; w sprawę Biafry rząd Wilsona zaangażował się głęboko, skrycie i - moim zdaniem - haniebnie.

Przeważająca część rękopisu została spisana i ukończona wiosną 1969 r. w Biafrze. Zanim to nastąpiło, spędziłem tam dwa długie okresy jako korespondent wojenny - od 10 lipca do 10 września 1967 r., pracując dla BBC, i od 18 lutego 1968 r. do 1 lutego 1969 r. jako wolny strzelec. Podczas tych pobytów byłem przeważnie bezpośrednim świadkiem tego, z czego zdałem relację w drugiej części książki.

W lutym 1969 r. wróciłem do Londynu, uzupełniłem badania źródłowe i samą relację, co było niewykonalne w Biafrze. Cienka książeczka w broszurowej oprawie, wydana w czerwcu 1969 r., rozeszła się natychmiast i do zakończenia wojny ani razu jej nie wznowiono. Niemniej jednak w nadziei, że kiedyś to nastąpi, wróciłem do tej sprawy w październiku 1969 r. Doprowadziłem opowieść do końca wojny, opatrując każdy rozdział aneksem, i przeprowadziłem relację od 1 lutego 1969 r. do upadku Biafry w pierwszych dniach 1970 r. Pełna opowieść ukazała się wreszcie na półkach księgarń w 1976 r., kolejny raz została rozkupiona na pniu i nie była wznowiona.

Gdy Severn House zaproponował mi opublikowanie niniejszej pozycji, przeczytałem ją powtórnie. Kusiło mnie, by zrewidować poglądy, poprawić i uwspółcześnić tekst, złagodzić

argumenty, przygasić żarliwość opinii.

Nie wprowadziłem ani jednej poprawki. Jedyne gwoli wyjaśnienia dodałem słowo wstępne i posłowie. W chwili publikacji książka była kontrowersyjna - problem Biafry budził emocje i szerokie zainteresowanie. Co do opisanych faktów sprawa ma się następująco: chociaż eksperci od Afryki Zachodniej przeanalizowali pierwsze wydanie na polecenie tych, którzy nie zgadzali się z zawartością książki i pragnęli ją zniszczyć, nigdy nie podniesiono żadnych poważnych zarzutów merytorycznych. Znalaziono dwa błędy rzeczowe; jeden dotyczył daty, która została przesunięta o dwadzieścia cztery godziny, drugi - ataku na wieś Abagana, gdzie błąd maszynowy powiększył o rząd wielkości ofiary po stronie nigeryjskiej.

Jeśli chodzi o opinie, to po zastanowieniu trwam przy nich. Czas może złagodzić poglądy, względy praktyczne mogą je zmienić. Ale nic nie zmniejszy - nie może zmniejszyć - niesprawiedliwości i okrucieństw, które dotknęły lud Biafry, ani nie zminimalizuje hańby ciążyącej na rządzie brytyjskim za jego gorączkowy, chociaż pośredni udział.

A więc - na dobre czy złe - opowieść jest taka, jaka została przeze mnie wcześniej spisana. Nie mówi wszystkiego, bo nie można się dowiedzieć wszystkiego. Od 1970 r. powstały inne książki na ten temat. Zawierają więcej danych, które zostały lepiej uporządkowane. Są też pełne wspomnień uczestników wydarzeń. Jednak te wspominki opisują wypadki różniące się od tych, które zdarzyły się naprawdę, a sami wspominający co innego mówili lub myśleli w swoim czasie. Historię piszą zwycięzcy, a Biafrańczycy przegrali. Wygoda każe zmieniać opinie, a pamięć Biafry i tego, co zostało tam uczynione, pozostaje dla wielu niewygodna. Stąd też poniższa książka zasługuje przynajmniej na następującą rekomendację: to jedyna współczesna relacja spisana od początku do końca wewnątrz enklawy Biafra na gorąco przez bezpośredniego świadka, Europejczyka.

Gdy byłem raczkującym reporterem w prowincjonalnej angielskiej gazecie, trafiłem pod skrzydła wspaniałego nauczyciela, szefa działu reportażu. Wbił mi do głowy dwie maksymy: „Poznaj fakty” i „Opowiedz tak, jak było”. Na następnych stronach usiłuję opowiedzieć, jak było.

Frederick Forsyth

## Przedmowa

(napisana w styczniu 1969 r. w Umuahia, Biafra)

Ta książka nie jest bezstronną relacją; usiłuje wyjaśnić, czym jest Biafra, dlaczego jej naród zdecydował oddzielić się od Nigerii, jak zareagował na to, co mu narzucono. Mogę być oskarżony o sprzyjanie Biafrańczykom. Ten zarzut jest nie pozbawiony podstaw. To opowieść o Biafrze i zrelacjonowano ją z biafrańskiego punktu widzenia. Jednak gdy tylko to było możliwe, starałem się znaleźć potwierdzenie innych źródeł, głównie obcokrajowców (przeważnie Brytyjczyków) przebywających w Biafrze na początku wojny i podczas konfliktu - jak godna najwyższego podziwu grupa duchownych irlandzkich z zakonu Ducha Świętego - oraz tych, którzy zjawili się później: dziennikarzy, ochotników i pracowników organizacji humanitarnych.

Gdy padają opinie, to albo wymieniam ich autora, albo są moje własne i nie staram się ukryć ich subiektywności. Moim zdaniem rozkład Federacji Nigerii nie jest przypadkiem, ale nieuniknioną konsekwencją historyczną. Wojna, która rzuciła 14 milionów Biafrańczyków przeciwko 34 milionom Nigeryjczyków, nie jest godna miana walki - to przejaw daremności, a polityka brytyjskiego rządu Partii Pracy, wspierającego klikę wojskową w Lagos, nie jest wyrazem tych wszystkich wartości, o których zachowanie Wielka Brytania winna zabiegać, ale ich odrzuceniem.

*Biafra* nie jest drobiazgową relacją historyczną; nadal pozostaje zbyt wiele niejasności, zbyt wielu rzeczy nie można wyjawic i każdy wysiłek zmierzający do opisanie tej wojny rysuje obraz pełen białych plam.

Założenie, że Biafra powstała z niczego 30 maja 1967 r., byłoby nierealistyczne. Zaczynam więc od krótkiego przypomnienia historii Nigerii przed rozpadem. Trzeba zrozumieć, jak Nigeria została uformowana przez Brytyjczyków z narodów odrzucających ideę życia pod wspólnym dachem, jak te narody przekonały się, że trzymając się brytyjskiego prawa wcale nie zmniejszą dzielących je różnic, ale doprowadzą do ich uwydatnienia, i jak w końcu struktura pozostawiona przez Brytyjczyków okazała się niezdolna do opanowania sił odśrodkowych drzemiących w jej łonie.

Frederick Forsyth

**Część pierwsza**  
**Droga ku podziałowi**



## ***1. Tło***

Jeden z głównych zarzutów przeciwko polityce Biafrańczyków i zarazem argument za wojenną polityką Nigerii, zmierzającą do zgniecenia secesjonistów, głosił, że wystąpienie Biafry z Federacji zniszczyło jedność szczęśliwego i zgodnego kraju, którą przywódca Nigerii, generał Gowon, usiłuje obecnie przywrócić. Prawdę mówiąc, przez cały okres poprzedzający kolonizację Nigeria nigdy nie była zjednoczona, a podczas sześćdziesięciu lat kolonializmu i sześćdziesięciu trzech miesięcy pierwszej republiki jedynie cienka warstewka osłaniała głęboki rozłam.

Do 30 maja 1967 r., gdy Biafra dokonała secesji, Nigeria nie tylko nie była szczęśliwa ani zgodna, ale w ciągu pięciu poprzednich lat potykała się o kolejne kryzysy i trzy razy znalazła się o krok od rozłamu. Chociaż za każdym razem iskra bezpośrednio grożąca wybuchem miała charakter polityczny, przyczyną fundamentalną była wrogość plemienna, wrodzona temu przeogromnemu, sztucznie stworzonemu narodowi. Nigeria bowiem nigdy nie była niczym innym, jak amalgamatem ludów stopionym w interesie i ku pożytkowi potężnej Europy.

Pierwszymi Europejczykami, którzy zjawili się w dzisiejszej Nigerii, byli podróżnicy i odkrywcy. Ich opowieści ściągnęły następnie handlarzy niewolników. Od około 1450 r. najpierw grupa Portugalczyków, a następnie cała pstra zbieranina korsarzy kupowała od tubylczych królów wybrzeża zdrowych młodych niewolników i sprzedawała ich dalej. Początkowo ten żywy towar był wymieniany na złoto na Złotym Wybrzeżu [Ghana]<sup>\*</sup>, później z obfitym zyskiem trafiał do Nowego Świata. Po Portugalczykach przyszli Francuzi, Holendrzy, Duńczycy, Szwedzi, Niemcy, Hiszpanie i Brytyjczycy.

Gdy europejscy handlarze niewolników zbijali fortuny, na wybrzeżu Afryki powstało i rozkwitło kilka dynastii czerpiących dochody z pośrednictwa - zwłaszcza na wyspach Lagos i Bonny. Królowie z wybrzeża zniechęcili Europejczyków do penetracji interioru. Stopniowo oprócz niewolników pojawiały się inne artykuły handlowe - głównie olej palmowy, drewno i kość słoniowa. W 1807 r. Brytyjczycy zakazali niewolnictwa i do połowy wieku kapitanowie brytyjskiej floty nadzorowali handel przybrzeżny, pilnując skuteczności zakazu.

Skazani na inne towary, handlarze niewolników nie widzieli sensu w przepłacaniu tubylczych potentatów i domagali się zezwolenia na eksploatację głębi kraju i nawiązanie

---

<sup>\*</sup> Uwagi w nawiasach kwadratowych pochodzą od tłumacza.



bezpośrednich kontaktów z producentami. Spowodowało to ogromne spory z królami wybrzeża. Przed 1850 r., kiedy to kolejni konsulowie brytyjscy sprawowali urząd na wybrzeżu, rozpoczęła się penetracja na północ od Lagos, na tereny dzisiejszej Nigerii Zachodniej.

Najwybitniejszym z tych handlarzy był sir George Goldie. Do 1879 r. tej barwnej postaci udało się stworzyć jednolity front brytyjskich kupców - nie przeciw Afrykańczykom, ale przeciw Francuzom, którzy byli ich bardziej naturalnymi rywalami.

On i lokalny konsul, Hewett, chcieli doprowadzić do tego, aby rząd brytyjski wkroczył w sprawę i ogłosił obszar Rzek Olejowych i Dolnego Nigru kolonią brytyjską. Jednakże rząd liberałów sprzeciwił się temu, uważając, że utrzymywanie kolonii w takich miejscach jest kosztowną stratą czasu, i chociaż odrzucił rekomendację Królewskiej Komisji do Spraw Afryki Zachodniej z 1875 r. wzywającą do wycofania się z istniejących kolonii, nie palił się do zakładania następnych. I tak przez pięć lat Goldie prowadził wojnę na dwa fronty - z jednej strony przeciwko francuskim handlarzom, którzy wreszcie w 1884 r. ustąpili pod naciskiem, a z drugiej przeciwko apatii Whitehall [siedzibie rządu JKM].

Ale ten nastrój w Europie uległ zmianie w 1884 r. Kanclerz Niemiec, Bismarck, dotychczas traktujący pomysł ustanowienia kolonii w Afryce Zachodniej równie ozięble jak Gladstone, zwołał konferencję berlińską. Tego samego roku Niemcy zaanektowały Kamerun, leżący na wschód od dzisiejszej Biafry. Bismarck oficjalnie zorganizował konferencję dla poparcia Francuzów i Belgów. Domagali się zaprzestania brytyjskich działań w basenie Konga, prowadzonych przez misjonarzy baptystów oraz kupców z Manchesteru i Liverpoolu. W tym względzie Żelazny Kanclerz dopiął swego; na konferencji przyjęto, że belgijskie Wolne Państwo Kongo jest władne administrować Kongiem. Uczestnicy spotkania, obawiając się zbyt daleko idącej współpracy francusko-niemieckiej, nie wzdragali się przed udzieleniem Brytyjczykom zgody na zarząd rzeką Niger. Goldie brał udział w konferencji na prawach obserwatora.

Wynik tych wszystkich ustaleń zyskał nazwę Aktu Berlińskiego. Stanowił on, że każde państwo europejskie, które zdoła dowieść, iż jest w najwyższym stopniu zainteresowane danym regionem Afryki, zostanie uznane za jego administratora. Pod jednym warunkiem. Udowodni, iż faktycznie może nim administrować.

Ale Wielka Brytania nadal nie miała ochoty brać sobie na głowę jeszcze jednej kolonii. W związku z tym kompanii Goldiego udzielono w 1886 r. „patentu administratora”. Przez następną dekadę Goldie parł na północ, ustanawiając wszędzie monopol handlowy. Po prawej stronie ograniczali go Niemcy w Kamerunie; Francuzi w Dahomeju po lewej. Goldie

bardziej obawiał się Francuzów dowodzonych przez energicznego Faidherbe'a, którego podejrzewał o chęć przebicia się z Dahomeju do jeziora Czad i połączenia z pobratymcami rozszerzającymi swoje strefy wpływów na północ od Gabonu. W 1893 r. Goldie głównie siłą własnej perswazji zdołał przekonać Niemców w Kamerunie, aby sięgnęli na północ po jezioro Czad, likwidując francuski korytarz i stwarzając bufor na jego wschodniej flance. Tymczasem Francuzi pod wodzą Faidherbe'a podbili cały Dahomej i posuwali się na wschód w kierunku dzisiejszej Nigerii.

Goldie nie dysponował ani ludźmi, ani środkami, dzięki którym mógłby powstrzymać agresora, i słał gorące apele do Londynu. W 1897 r. rząd brytyjski skierował mu na pomoc sir Fredericka Lugarda, żołnierza i administratora, który służył już w Ugandzie i Niasie. W ciągu roku Lugard wypchnął Francuzów z Nigerii. Zamajaczyło widmo wojny z Francją. Kryzys nigeryjski zażegnało porozumienie angielsko-francuskie z czerwca 1898 r. Stworzyło też podstawę do ustalenia nowych granic kraju.

Wielka Brytania zyskała kolonię. Nie została ona zdobyta, nie została naprawdę spenetrowana. Nie miała nazwy, więc później lady Lugard ochrzciła ją - Nigerią.

Był to obszar o wielkiej różnorodności klimatycznej, terytorialnej i etnicznej. Od wybrzeża długości 400 mil, owładniętego plataniną bagien i namorzynów, ciągnie się szeroki miejscami na 100-150 mil pas gęstych lasów tropikalnych. Obszar, który później zyskał nazwę Nigerii Południowej, rozdziela na część wschodnią i zachodnią rzeka Niger, płynąca na południe i łącząca się z rzeką Benue w Lokoja. W zachodniej części Południa przeważali Joruba, lud mający za sobą długą historię wysoce rozwiniętych królestw. Ponieważ brytyjska penetracja odbywała się poprzez Lagos, europejska cywilizacja najpierw dosięgła Joruba i innych plemion Zachodu.

We wschodniej części Południa żyło wiele ludów. Przeważali mieszkający po obu stronach Nigru, ale głównie po wschodniej, Ibo. Jak na ironię, biorąc pod uwagę późniejszy szybki rozwój i mierzony kategoriami europejskimi postęp, który umożliwił Ibo i innym plemionom Wschodu wyprzedzenie reszty grup etnicznych Nigerii, w 1900 r. byli uważani za bardziej zacofanych.

Na północ od linii lasów tropikalnych ciągnęły się zwykle lasy przechodzące w sawannę i prerię, a wreszcie w półpustynię i zarośla. Po południowej stronie tego ogromnego obszaru znajduje się Pas Środkowy, zamieszkały przez wielorakie plemiona nie należące do ludów Hausa, wyznające głównie religie niechrześcijańskie i animizm, niemniej jednak będące wasalami cesarstwa Hausa-Fulani. Sama Północ była domeną Hausa, Kanuri i Fulani. Ci ostatni przybyli na Południe z Sahary, zawojowali swoje dzisiejsze ziemie wprowadzając

na nie religię muzułmańską.

Lugard poświęcił trzy lata na uzależnienie Północy, podbijając szczupłymi siłami jeden emirat po drugim. Najsilniejszy opór stawił sułtanat Sokoto. Mimo przewagi liczebnej armii Fulani Lugard mógł polegać na większej sile ognia, co Belloc wyraził kupлетem: „Niech się dzieje, co chce / My mamy Maximy, oni nie”. Maszynowe karabiny Lugarda posiekały kawalerię sułtana na kawałki i ostatni bastion cesarstwa Fulani na ziemi Hausa padł.

Lugard sprzągnął niestały łańcuszek kupców, misjonarzy i *bona fide* imperialistów. Niemniej jednak jego imperium nie było pierwsze w Nigerii Północnej. W latach 1804-1810 Usman Dan Fodio, muzułmański uczonec i reformator, poprowadził *dżihad* przeciw królestwom Hausa i podporządkował je władzy swoich współziomków, Fulani. To, co na początku było krucjatą przeciwko bezbożnym islamskim praktykom, przepoczwarzyło się w głód ziemi i władzy. Cesarstwo Fulani rozlało się na południe, na tereny Joruba. *Dżihad* zastopowali w latach 1837-1840 Brytyjczycy, posuwający się na północ od Lagos. Święta wojna zgasła na Ilorin i linii Kabba. Wszystko na północ od niej stało się Nigerią Północną, zajmującą trzy piąte terenów całej Nigerii i ponad 50% populacji. Ogromna przewaga Północy to jeden z czynników, który później udaremnił przetrwanie naprawdę zrównoważonej Federacji.

Podczas wojen Lugarda emirowie na ogół nie byli popierani przez swoich poddanych Hausa, którzy stanowili i nadal stanowią ogromną większość ludności Północy. Lecz po zwycięstwie Lugard nie usunął emirów i nie przejął bezpośrednio władzy - zostawił ich u steru i rządził za ich pośrednictwem.

Niewykluczone, że nie miał wyboru; jego siły były skromne, postawa Londynu obojętna, obszar do rządzenia rozległy i wymagający setek administratorów. Emirowie zaś mieli już gotową, obejmującą całe państwo strukturę administracyjną, sędowniczą i fiskalną. Lugard zgodził się na ich dalsze rządy (po pewnych reformach) i sprawował tylko odległy nadzór.

Władza pośrednia ma swoje korzyści. Była tania, gdy w grę wchodziły brytyjskie kadry i inwestycje; zapewniała pokój. Ale również utrzymała strukturę feudalną, stanowiła wyraz zgody na represyjne rządy emirów i mianowanych przez nich urzędników, opóźniła przejście Nigerii do nowoczesności i udaremniła przyszłe wysiłki wprowadzenia demokracji parlamentarnej.

Lugard w zamyśle pragnął, aby lokalna władza zaczynała się od rady wioski, szła przez radę plemienia do rady regionu, a jej ukoronowanie stanowił reprezentatywny rząd. Ta zgrabna teoria nie sprawdziła się w praktyce.

Najbliższe sercom emirów i ich dworom - jak i większości feudalnych potentatów - było utrzymanie władzy w możliwie niezmiennych formach. A największymi wrogami konserwatyzmu są zmiana i postęp. Oczywistym zaczynem tych dwóch elementów jest powszechne wykształcenie. Nie przypadkiem w roku niepodległości, 1960, Północ dysponująca połową 50-milionowej populacji miała 41 szkół ponadpodstawowych, a Południe - 842; pierwszy absolwent uniwersytetu na Północy otrzymał tytuł magistra zaledwie dziewięć lat przed uzyskaniem przez kraj niepodległości. Emirowie obawiali się zachodnioeuropejskiej edukacji i robili wszystko, by ograniczyć ją do własnego potomstwa i dzieci arystokracji.

Na Południu było przeciwnie. Nawiedzali je misjonarze, prekursorzy powszechnego nauczania, i wkrótce dał tam znać o sobie głód edukacji we wszystkich postaciach. W 1967 r., kiedy to Region Wschodni wystąpił z Nigerii, miał on więcej lekarzy, prawników i inżynierów niż jakiegokolwiek inne państwo czarnej Afryki. Na Północy działalność misjonarzy, która mogła przeprowadzić ten obszar w wiek XX, została na życzenie emirów skutecznie powstrzymana przez Lugarda, gdy obiecał zahamować chrześcijańską pracę misyjną na północ od linii Kabba.

W ciągu sześćdziesięciu lat, od czasów Lugarda do niepodległości, różnice w postawach i wartościach religijnych, socjalnych, historycznych i moralnych pomiędzy Północą i Południem oraz przepaść edukacyjna i technologiczna nie tylko nie uległy zmniejszeniu, ale poszerzyły się do takiego stopnia, że możliwość przetrwania zjednoczonego kraju, zdominowanego przez którykolwiek obszar, stała się w praktyce niemożliwa.

W 1914 r. lord Lugard połączył dla administracyjnej wygody Północ i Południe - przynajmniej na papierze. By „zminimalizować administracyjne zamieszanie” (jego własne słowa), zachował nietkniętą ogromną Północ i dwie oddzielne administracje. Ale system rządów pośrednich, który jego zdaniem tak dobrze się sprawdził na Północy, narzucił również Południu, gdzie z kolei zawiódł, szczególnie we wschodniej części, w Ibolandzie.

Brytyjczycy byli tak przywiązani do idei wodzów regionalnych, że tam, gdzie nie funkcjonowała, usiłowali ją narzucić. Zamieszki w Aba w 1929 r. (Aba to ojcowizna Ibo) zostały częściowo spowodowane przez niechęć wobec „gwarantowanych wodzów”, ludzi narzuconych przez Brytyjczyków, ale nie akceptowanych przez naród. Nietrudno było narzucić ograniczenia przywykłym do posłuszeństwa ludom Północy, ale nie dało się tego przeprowadzić na Wschodzie. Cała tradycyjna struktura Wschodu jest odporna na dyktatorskie zapędy. To jedna z przyczyn obecnej wojny. Ludy ze Wschodu domagają się konsultacji we wszystkich żywotnych sprawach. Ta pewność siebie nie mogła przapaść do

smaku kolonialnym administratorom i między innymi dlatego o ludziach ze Wschodu mówi się, że „zadzierają nosa”. Z drugiej strony Anglicy uwielbiali Północ; klimat jest tam gorący i suchy, w przeciwieństwie do wilgotnego i malarycznego Południa; jeśli jesteś Anglikiem lub emirem, możesz wieść tam życie powolne i łagodne; pejzaże są osobliwe i malownicze, ludzie prości i nie wymagający. Nie mogąc obsłużyć krajowcami nowo wzniesionych biur i fabryk, ludzie z Północy zadowolili się sprowadzeniem licznych brytyjskich urzędników i techników - oto między innymi skąd się wzięto dzisiaj w Londynie żarliwe i krzykliwe pronigeryjskie lobby ekskolonialnych pracowników służby cywilnej, żołnierzy i pracowników administracji, dla których Nigeria jest uwielbianym Regionem Północnym.

Ale luk społecznych spowodowanych apatią mieszkańców Północy wobec modernizacji nie mogli wypełnić sami Brytyjczycy. Były stanowiska dla woźnych, niższych pracowników administracji, księgowych, telefonistek, inżynierów, maszynistów kolejowych, inspektorów wodociągów, kasjerów bankowych, personelu sklepowego i fabrycznego. Mieszkańcy Północy nie mogli ich zająć. Niewielu, bardzo niewielu Joruba z zachodniej części Południa udało się na Północ, aby podjąć nową pracę. Większość stanowisk objęli bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy Wschodu. Do 1966 r. w Regionie Północnym było około 1,3 miliona ludzi ze Wschodu, przeważnie Ibo. Około 500 tysięcy podjęło pracę i zamieszkało na stałe na Zachodzie. Różnice w asymilacji każdej grupy były ogromne i badając je można ocenić „jedność” Nigerii osłoniętą welonem *public relations*.

Na Zachodzie asymilacja imigrantów ze Wschodu była totalna; żyli na tych samych ulicach co Joruba, uczestniczyli we wszelkich wydarzeniach towarzyskich, ich dzieci chodziły do tych samych szkół. Na Północy, pod naciskiem lokalnych władców, którym Brytyjczycy ustępowali bez szemrania, wszyscy Południowcy, czy to ze Wschodu, czy z Zachodu, zostali spędzeni do *sabon gari*, dzielnic dla obcokrajowców, rodzaju gett poza murami miast. Wewnątrz *sabon gari* życie toczyło się wartko i radośnie, ale kontakt ze współobywatelami Hausa był na życzenie tych ostatnich ograniczony do minimum. W szkołach obowiązywała segregacja i dwie radykalnie odmienne społeczności żyły obok siebie, nie zachęcane bynajmniej przez Brytyjczyków do stopniowej integracji.

Lata 1914-1944 można przejść pobieżnie, gdyż wówczas Brytyjczycy bardzo mało interesowali się Nigerią. Najpierw była I wojna światowa, potem dziesięć lat odbudowy Wielkiej Brytanii, potem wielki kryzys. Nigeria miała z tego krótki okres prosperity, gdy jej surowce dobrze się sprzedawały podczas wyścigu zbrojeń przed II wojną światową. Brytyjska polityka kolonialna była tradycyjna i ortodoksyjna: utrzymywać prawo i porządek, stymulować produkcję surowców, tworzyć popyt na brytyjski eksport i podnosić podatki na

utrzymanie rządów kolonialnych. Dopiero w piętnastolecie 1945-1960, a szczególnie w ramach ostatniego dziesięciolecia, podjęto poważną próbę znalezienia formuły na lata niepodległości. Ta próba miała katastrofalny start, który nigdy nie doczekał się autentycznej poprawki. Ów fatalny start nosi nazwę „konstytucji Richardsa”.

W latach 1944-1945 gubernator sir Arthur Richards, obecnie lord Milverton, człowiek, któremu (zgodnie ze współczesnymi opisami) mimo głębokiego uwielbienia Nigerii Północnej udało się zyskać tam powszechną niechęć, dokonał objazdu kraju, sondując opinię w sprawie reformy konstytucyjnej. Północ jasno dała do zrozumienia, że nie chce połączenia z Południem, i od tamtej pory trwała przy tym stanowisku. Wyraziła zgodę na wspólną przyszłość z resztą kraju tylko pod takimi warunkami: 1) zasada oddzielnego regionalnego rozwoju będzie zapisana wielkimi literami w nowej konstytucji, 2) Północ otrzyma około 50% foteli w legislaturze (Północ 9, Zachód 6, Wschód 5).

Od tamtej pory sprzeciw Północy wobec połączenia z Południem wyrażał się w wielu wystąpieniach jej przywódców. Zabrział także w 1947 r. (roku inauguracji konstytucji Richardsa) w słowach jednego z jej przedstawicieli, Mallama Abubakara Tafawy Balewy, który później został premierem Nigerii. Powiedział: „Nie chcemy, sir, by sąsiedzi z Południa wtrącali się w nasz rozwój... Pragnę jasno panu oświadczyć, że gdyby Brytyjczycy opuścili Nigerię taką, jaka jest ona teraz, lud z Północy kontynuowałby nieprzerwany podbój do morza”.

Ze zjednoczonego państwa rządzonego przez centralną władzę legislacyjną Nigeria stała się w 1947 r. federacją trzech regionów. Od początku wojny między Nigerią i Biafrą lord Milverton był w Izbie Lordów poplecznikiem jedności Nigerii, zachowując wyraźną obojętność na fakt, że to właśnie jego konstytucja użyźniła glebę pod ziarna regionalizmu, choroby, która zabiła Nigerię. Trójregionalny kraj był rozwiązaniem najgorszym z możliwych; był próbą mariażu krańcowo zwaśnionych stron.

Północ poniekąd była najbardziej realistyczna. Jej przywódcy nie taili swoich separatystycznych pragnień. Po Richardsie przyszedł sir John Macpherson, który wprowadził nową, całkowicie jednoczącą państwo konstytucję. Ale szkoda została uczyniona. Północ przekonała się, że grożąc wystąpieniem z Nigerii (co budziło paniczny lęk Brytyjczyków) dopnie swego. W 1954 r. konstytucja Macphersona ustąpiła nowej ustawie zasadniczej.

Podczas różnych konferencji regionalnych, zwoływanych przez Macphersona w 1949 r., delegaci Północy domagali się, aby rząd centralny był w 50% obsadzony przez reprezentację Północy. Na głównej konferencji w Ibadanie, w styczniu 1950 r., emirowie Zarii i Katsiny oświadczyli, że „jeśli Region Północny nie dostanie 50% miejsc w legislaturze

centralnej, będzie się domagał podziału Nigerii na warunkach sprzed 1914 r.” Ich życzeniom stało się zadość i dominacja Północy w centrum władzy stała się nieodłączną zasadą polityki Nigerii.

Północ zażądała również najluźniejszej z możliwych form federacji, a kiedy ją otrzymała, głosiła wszem i wobec, że połączenie Północy i Południa w 1914 r. było błędem. To przeświadczenie przebija w nigeryjskiej myśli politycznej od zakończenia II wojny światowej do uzyskania niepodległości. W marcu 1953 r. polityczny przywódca Północy, sir Ahmadu Bello, powiedział w parlamencie w Lagos: „Błąd 1914 r. stał się widoczny i nie chcę, by się pogłębiał”.

W autobiografii *My Life* Bello wspomina silną agitację Północy za secesją i dodaje, że „wyglądała bardzo kusząco”. Przyznaje, że sprzeciwił się jej z dwóch powodów - żaden z nich nie miał najmniejszego związku z ideą zjednoczonej Nigerii, która opętała Brytyjczyków. Po pierwsze, chodziło o kłopot ze zbieraniem opłat celnych wzdłuż długiej granicy lądowej; po drugie, musiano by się pogodzić z brakiem dostępu do morza, spowodowanym obecnością na południu niezależnego państwa.

Do konferencji w 1953 r., której owocem była czwarta konstytucja, Północ zmodyfikowała swoje separatystyczne zapędy, domagając się „struktury, która stworzy regionom możliwie największą swobodę ruchu i działań; struktury, która zredukuje władzę centrum do absolutnego minimum”.

Londyński „Times” z 6 sierpnia 1953 r. tak komentował te poglądy: „Mieszkańcy Północy zadeklarowali, że chcą centrum w postaci zwyczajnej agencji, i zapewne wyobrażają sobie coś na kształt Wysokiej Komisji [przedstawicielstwa jednego kraju brytyjskiej Wspólnoty Narodów w innym jej kraju] Afryki Wschodniej. Ale nawet Wysoka Komisja jest połączona z centralnym parlamentem, podczas gdy Nigeryjczycy z Północy oświadczyli, że nie powinno być ciała o takich uprawnieniach”.

Przywódcy Północy, wspierani - jak się wydaje - przeważającą częścią opinii publicznej swojego regionu, żądali konfederacji państw Nigerii. O to prosił w Aburi, Ghana, 4 stycznia 1967 r. pułkownik Ojukwu, gubernator wojskowy Regionu Wschodniego, po tym, jak 30 tysięcy ludzi ze Wschodu zabito, a 800 tysięcy wypędzono z powrotem na Wschód. Nawet wtedy prosił tylko, aby potraktowano to jako rozwiązanie tymczasowe, do chwili opadnięcia emocji. Gdyby pragnienia mieszkańców Północy z 1953 r. albo mieszkańców Południa z 1967 r. spełniły się, prawdopodobnie trzy regiony żyłyby dzisiaj w pokoju.

Kolejny raz Brytyjczycy ustąpili wobec izolacjonistycznych żądań mieszkańców Północy, ale nie dostrzegli niebezpieczeństwa kryjącego się za własną inercją. Tak więc

zwyciężył brytyjski kompromis. To Południowcy chcieli kraju podzielonego na więcej regionów, co zapewniłoby przyszłej federacji polityczną równowagę. Rząd brytyjski optował za trzema regionami - Północnym, Zachodnim i Wschodnim. Była to opcja najbardziej chwiejna z wysuwanych, ale zgodna z pragnieniami Północy. Warto przyjrzeć się dwóm innym fenomenom występującym podczas ostatniej dekady przed uzyskaniem niepodległości. Dowodzą one głuchoty Brytyjczyków na sygnały zagrożeń dla stabilności przyszłej Nigerii, chociaż wysyłali je pracownicy brytyjskiej służby cywilnej. W ciągu tej dekady przemówienia i artykuły na Północy ujawniały rosnącą niechęć dla osiedlonych tam ludzi ze Wschodu. Raz za razem mówcy w parlamencie Północy wyrażali głębokie przekonanie, że „Północ jest dla mieszkańców Północy” i że Południowcy powinni wracać do domu (większość tych Południowców była ze Wschodu). W przeszłości zdarzały się sporadyczne akty przemocy przeciwko Południowcom, zwłaszcza podczas krwawych rozruchów w Jos w 1945 r.

W maju 1953 r. delegacja Action Group [Grupa Działania], wiodącej partii politycznej Joruba, miała złożyć wizytę w Kano, największym mieście Północy. Mallam Inua Wada, sekretarz oddziałowy Northern People's Congress [Kongres Ludu Północy] w Kano, obudził głęboki sprzeciw opinii publicznej wobec tej wizyty. Na dwa dni przed zapowiedzianym przyjazdem delegacji Wada powiedział na mityngu szefów sekcji tubylczej administracji: „Wykorzystawszy nas na Południu, ci sami Południowcy zdecydowali się przyjechać na Północ i dalej nas wykorzystywać... Dlatego zorganizowaliśmy w mieście tysiąc ludzi, żeby odpowiedzieć siłą na siłę...” Wizytę Action Group odwołano, ale 16 maja zaczęła się seria masakr. Hausa, nie mogąc znaleźć Joruba, zaatakowali przybyszów ze Wschodu, okazując „zupełnie nieoczekiwane natężenie przemocy”, jak określił to w oficjalnym raporcie brytyjski pracownik służby cywilnej.

W swojej autobiografii sir Ahmadu wspomina „Tu, w Kano, tak się ułożyło, że wywiązały się walki między Hausa i... Ibo; co najdziwniejsze, Joruba nie zostali w nie zamieszani”.

Oficjalny raport sporządzono pieczołowicie. Jego autor potępił przemówienie Wady, nazwał je „bardzo nierozważnym i prowokacyjnym”. Skomentował ostrożne oceny, mówiące o 52 zabitych i 245 rannych: „W obliczu sprzecznych oświadczeń kierowców karetok pogotowia i ciężarówek (którzy zwozili żywych i umarłych) nadal jest możliwe, że zabitych było więcej, niż zarejestrowano”. Ogólnie stwierdził, że „żaden zakres prowokacji krótko- czy długofalowej nie usprawiedliwia ich (Hausa) zachowania”. Ale najbardziej ważne spostrzeżenie padło w konkluzji: „Zarzewie kłopotów, które objawiło się w Kano 16 maja



1953 r., nadal nie wygasło. Może pojawić się znowu i tylko uświadomienie sobie i przyjęcie do wiadomości ukrytych powodów może zapobiec niebezpieczeństwu powtórnego ich wystąpienia”. Nic sobie nie uświadomiono, nie podrapano się nawet w głowę.

W 1958 r. Brytyjczycy, analizując problem plemion mniejszościowych - to jest ludów nie będących członkami „wielkiej trójki”, Hausa, Ibo i Joruba - poprosili sir Henry’ego Willincka o zapoznanie się z sytuacją w terenie i przedłożenie swoich zaleceń. Sir Henry stwierdził, że w Regionie Wschodnim, obecnie podzielonym na trzy stany jednostronną decyzją Lagos z 1967 r., różnice między Ibo i nie należącymi do Ibo mniejszościami są dosyć niewielkie i niebawem zostaną wymazane przez rosnący nacjonalizm. Co dziwne, zostały one wymazane, ale nie przez rosnący nacjonalizm nigeryjski, lecz z powodu nacjonalizmu biafrańskiego, wyzwolonego powszechnymi cierpieniami doznanymi z rąk Nigeryjczyków.

Sir Henry Willinck zauważył również, że w Port Harcourt, największym mieście Regionu Wschodniego, przeważają Ibo. W okresie przedkolonialnym była to miejscina zamieszkała przez ludy nadrzeczne, ale rozrosła się w kwitnące miasto i port, czerpiące energię głównie z przedsiębiorczości i inicjatywy Ibo. Ibo i nie-Ibo żyli tam w pokoju obok siebie. W maju 1967 r., gdy rząd generała Gowona zdecydował jednostronnie o podziale Nigerii na dwanaście nowych stanów, trzy z nich wykrojono ze Wschodu i Port Harcourt mianowano stolicą Stanu Nadrzecznego, co wzbudziło wielkie oburzenie na wschód od rzeki Niger.

Po konstytucji 1954 r. nastąpiło pięć lat negocjacji w sprawie przyszłego kształtu Nigerii i opracowano piątą konstytucję. 1 października 1960 r. Nigeria, kulejąc, przekroczyła próg niepodległości, okrzyknięta modelowym państwem Afryki. Niestety, za całą tą fałszywą pozłotką była równie stabilna jak domek z kart. Nie usunięto żadnych różnic między Północą i Południem, nie złagodzone żadnych wątpliwości ani lęków, nie zahamowano sił odśrodkowych. Nadzieje, aspiracje i ambicje trzech regionów nadal były wielce rozbieżne, a struktura ustanowiona dla wspomnienia zbyt późno zrodzonego poczucia jedności nie mogła znieść napięć, które później jej dotknęły.

Walter Schwarz w swojej książce *Nigeria* komentuje: „Produkt wyłoniony po dekadzie negocjacji między rządem i rządzonymi był wielce niezadowolający. Nigeria weszła w niepodległość zachowując feudalną strukturę, którą w ciągu dwóch lat wstrząsnęły nagłe wypadki. Przez następne pięć lat ta budowla rozpadła się i wreszcie została odrzucona po dwóch wojskowych zamachach stanu i wojnie domowej” (Walter Schwarz, *Nigeria*, London 1968, str. 86).

W nowej konstytucji wielce zagmatwane zasady podziału i wzajemnej kontroli władz

mieszały się z prawami i gwarancjami. Powstały gąszcz artykułów był tworem zbyt utopijnym, aby wytrzymać bezlitosną walkę o władzę, która po uzyskaniu niepodległości niebawem zawrzała w Nigerii.

W Afryce, jak wszędzie indziej, władza polityczna niesie sukces i dobrobyt nie tylko człowiekowi, który ją sprawuje, ale również jego rodzinie, miejscowości, z której pochodzi, a nawet całemu regionowi. W rezultacie jest wielu, którzy nie zawahają się przed niczym, aby ją zdobyć, a zdobywszy - przejść samych siebie, by ją utrzymać. Wybory w 1959 r., przed uzyskaniem niepodległości, były namiastką przyszłości. Podczas kampanii na Północy kandydatom Południa rzucono kłody pod nogi. W tych wyborach po raz ostatni brytyjscy pracownicy służby cywilnej przygotowywali i obliczali wyniki. Dokładali wszelkich starań, aby jak najlepiej wywiązać się ze swoich obowiązków. W następnych wyborach fałszowanie wyników i zastraszanie wyborców stało się rzeczą zwyczajną.

Niemniej jednak wybory 1959 r. dały Nigerii rząd. Formuła przyszłych walk o władzę ustaliła się już i przebiegała bardzo blisko granic regionalnych, ustalonych przez nieszczęsną konstytucję Richardsa dwanaście lat wcześniej. Wschód zdominowało National Council of Nigerian Citizens [Zgromadzenie Narodowe Obywateli Nigeryjskich], partia kierowana przez doktora Nnamdi Azikiwe, pioniera nacjonalizmu Afryki Zachodniej i wieloletniego bojownika (z tym że pokojowego) o niepodległość Nigerii. Początkowo NCNC miało cechy prawdziwie narodowej partii, ale powstanie innych organizacji politycznych odwołujących się wyłącznie do sentymentów regionalnych w duchu konstytucji Richardsa sprawiło, że stawało się coraz bardziej wyrazicielem interesów Wschodu. Niemniej jednak sam Azikiwe nadal wolał bardziej pannigeryjską atmosferę Lagos, chociaż do czasów niepodległości był już pięć lat premierem Wschodu.

Zachód zdominowała Action Group wodza Awolowo, który wyraźnie reprezentował prawie wyłącznie interesy Joruba. Był przez pięć lat premierem Zachodu.

Północ stała się folwarkiem Northern People's Congress (NPC), której przywódcą był sardauna Sokoto [dawnego sułtanatu pn.-zach. Nigerii], sir Ahmadu Bello. Ta trójstronna równowaga władzy funkcjonowała już przez pięć lat od czasów wyborów w 1954 r., w których NPC w koalicji z NCNC objął 140 ze 184 foteli w parlamencie i zepchnął Action Group Awolowo do opozycji.

Wybory w 1959 r. powtórzyły cały proces; w powiększonym parlamencie NPC rządził Północą mając 148 miejsc, NCNC Wschodem i kawałkiem Zachodu (głównie terenami nazywanymi Środkowym Zachodem, których nie zamieszkiwali Joruba) zdobywając 89 miejsc, a Action Group przejęła większość jorubajęzycznego Zachodu, ale zdobyła tylko 75

miejsce. Choć żadna z partii nie miała bezwzględnej większości, każda dwupartyjna koalicja mogła zepchnąć trzecią organizację do opozycji. Po pewnych zakulisowych manewrach NPC zawarł porozumienie z NCNC. Utrzymał się dawny stan rzeczy. Awolowo został skazany na kolejne pięć lat bezsilnej opozycyjności.

W 1957 r. po ostatniej konferencji na temat konstytucji wybrano federalnego premiera. Został nim alhaji sir Abubakar Tafawa Balewa, Hausa, zastępca przywódcy NPC i dotychczasowy minister transportu. Nie wzbudziło zdziwienia, że sir Ahmadu, przywódca większości NPC, który mógł zatrzymać urząd dla siebie, odmówił przybycia na Wschód i sterowania krajem. Jak sam się wyraził, zadowolił się posłaniem swojego „zastępcy” do wykonania tej roboty. Ta frazeologia wskazuje na przyszłe relacje między federalnym premierem i premierem Północy oraz miejsce, w którym usadowił się prawdziwy ośrodek władzy.

W tej postaci Nigeria osiągnęła chwiejną niepodległość. Niebawem doktora Azikiwe mianowano gubernatorem generalnym Nigerii i premierostwo Wschodu przeszło w ręce jego zastępcy, doktora Michaela Okpary. Na Zachodzie wódz Akintola przejął wcześniej funkcję premiera od Awolowo. Ten ostatni był przywódcą opozycji w parlamencie federalnym. Sardauna pozostał władcą Północy.

Krótką historią Nigerii pod rządami parlamentarnymi jest już dobrze udokumentowana. Z tych wszystkich zapisów wyłania się następująca, chociaż rzadko bez osłonek stawiana diagnoza: tradycyjna forma demokracji parlamentarnej wypracowana w Whitehall okazała się nieprzydatna dla struktury grup etnicznych, niezrozumiała nawet dla lokalnych użytkowników, nieodpowiednia dla cywilizacji afrykańskiej i niepraktyczna dla sztucznie stworzonego narodu. Natomiast kolonialne mocarstwo bynajmniej nie zlikwidowało rywalizacji między grupami. Wzmocniły się one przy tej sposobności, służąc za narzędzie rządów pośrednich.

W roku niepodległości w Action Group powstał rozłam. Można się było tego spodziewać po partii będącej już w opozycji przez sześć lat i skazanej na następne cztery. Część Action Group popierała Awolowo, pozostali Akintolę. W lutym 1962 r. zjazd partii udzielił poparcia Awolowo. Klub poselski uznał Akintolę za winnego złego zarządzania i zażądał pozbawienia go fotela premiera.

W odpowiedzi na to żądanie gubernator Zachodu zdymisjonował Akintolę i wyznaczył zwolennika Awolowo, o nazwisku Adegbenro, do sformowania nowego rządu Regionu Zachodniego. Akintola zareagował używając nieco okrzężnej drogi - odwołał się do premiera federalnego. W parlamencie Zachodu wszczął wraz ze swoimi zwolennikami burdę, którą

musiała w końcu opanować policja, używając gazu łzawiącego. Premier Italewa, dysponując większością w Lagos, zdołał uchwalić stan wyjątkowy na Zachodzie. Na nic zdały się protesty Awolowo. Następnie Balewa wyznaczył zarządcę Zachodu, władnego dokonywać tymczasowych aresztowań i zawiesić gubernatora. Tak się przypadkiem złożyło, że zarządcą był przyjaciel Balewy. Awolowo. Adegbenro i Akintola zostali poddani nadzorowi policyjnemu. Ostatni z nich niezwłocznie założył nową partię, United People's Party [Zjednoczona Partia Ludowa].

Następnie oponenci Awolowo doprowadzili do wszczęcia śledztwa w sprawie o korupcję na Zachodzie. Była to skuteczna broń, gdyż korupcję udowodnić nietrudno, czy to w Nigerii Zachodniej, czy gdziekolwiek indziej.

Korupcja w życiu publicznym nie była niczym nowym; pojawiła się pod panowaniem Brytyjczyków i rozkwitła niebotycznie po uzyskaniu niepodległości. „10%” żądane zwyczajowo przez ministrów od zagranicznych firm za zapewnienie lukratywnych kontraktów, nabywanie akcji firm, którym następnie gwarantowano preferencyjne stawki fiskalne, wreszcie jawne przekupstwo policjantów i urzędników Sądu dla Krajowców - wszystko to było na porządku dziennym. Większość ministrów tak organizowała swoje urzędy, aby przynosiły im korzyści. To postępowanie było po części spowodowane niewątpliwie zwyczajną chęcią zysku, a po części tym, że od każdego przedstawiciela władzy oczekiwano utrzymywania okazałej świty, opłacenia reelekcji i deszczu dobrodziejstw dla rodzinnego miasta. Razem z tą zwyczajną korupcją finansową szedł nepotyzm, zastraszanie wyborców i fałszowanie wyników elekcji.

Komisja Cokera bez trudu udowodniła skierowanie poważnych funduszy państwowych najpierw do kas partyjnych, a potem do prywatnego użytku. Głównie odbywało się to za pośrednictwem rządowego Urzędu Kontroli Handlu i Przedsiębiorstwa Inwestycji Narodowych i Nieruchomości. Wódz Awolowo i jeden z jego zastępców, Anthony Enahoro, zdobyli podczas śledztwa rozgłos świadczący o ich poczuciu odpowiedzialności wobec obywateli, które nakłada służba państwowa. Teraz obaj politycy kolejny raz zajmują wysokie stanowiska w rządzie nigeryjskim.

Komisja Cokera ujawniła, że od utworzenia regionalnego samorządu w 1956 r. do 1962 r. 10 milionów funtów wylądowało w skarbcach Action Group. Suma ta jest równa 30% dochodu narodowego w tym okresie. Zadziwiające, ale okazało się, że wódz Akintola, premier od 1959 r., kiedy to Awolowo zasiadł w parlamencie federalnym w Lagos, nie uczestniczył w tych defraudacjach.

To, czy w następstwie odkryć komisji miało miejsce jakieś postępowanie sądowe

wobec frakcji Awolowo, pozostaje sprawą dyskusyjną. W każdym razie bieg wydarzeń wyparł tę aferę. Pod koniec 1962 r. Awolowo i Enahoro wraz z innymi zostali oskarżeni o zdradę.

Proces ślimaczył się osiem miesięcy. Oskarżenie utrzymywało, że Awolowo i Enahoro sprowadzili broń i wyćwiczonych ochotników do przeprowadzenia zamachu stanu 23 września 1962 r. Gubernator generalny, premier i inni przywódcy mieli być aresztowani, władzę przejąłby Awolowo i ogłosiłby się premierem Nigerii. Według obrony atmosfera przemocy i strachu, panująca na Zachodzie od uzyskania niepodległości, sprawiała, że takie posunięcia były godne polecenia. Awolowo został skazany na dziesięć lat więzienia, po odwołaniu obniżone do siedmiu. Enahoro po ekstradycji z Wielkiej Brytanii i osobnym procesie został skazany na piętnaście lat, po odwołaniu obniżone do dziesięciu. Sędzią Sądu Apelacyjnego, który obniżył karę Enahoro, był sir Louis Mbanefo, późniejszy prezes Sądu Najwyższego Biafry. Sędzia i skazany spotkali się po raz wtóry w maju 1968 r. podczas rozmów pokojowych w Kampali; każdy z nich przewodniczył delegacji swojego kraju.

Tu sprawa umożliwiła Akintoli wzmocnienie wpływów na Zachodzie mimo orzeczenia Królewskiej Rady Przybocznej w Londynie, która w maju 1963 r. uznała, że pozbawienie go premierostwa było legalne. Protektor Akintoli, premier federalny Balewa, określił ustalenie Komitetu Sędziowskiego Rady Przybocznej jako „błędne i wysrane z palca”. Tegoż roku apelacje do Królewskiej Rady Przybocznej zostały zniesione i kolejne zabezpieczenie stało się historycznym wspomnieniem.

W późniejszych stadiach proces Awolowo musiał współzawodniczyć o tytuł superskandalu z oszustwem, które popełniono przeprowadzając spis powszechny. Na poprzednim spisie z lat 1953-1954 częściowo zaciążyła pogłoska, że był przeprowadzany dla celów fiskalnych, i stąd wielu ludziom zależało na wymiganiu się od rachuby, szczególnie na Wschodzie, tak że i ogólna liczba ludności Federacji w tym czasie - 30,4 miliona została prawdopodobnie zaniżona o jakieś 10%. W 1962 r. uznano powszechnie, że spis ma jakiś związek z wystawianiem reprezentacji politycznej, i w związku z tym zawyżono dane we wszystkich regionach, zwłaszcza na Wschodzie. Kosztował 1,5 miliona funtów, a dane nigdy nie zostały opublikowane. Według nich ludność Północy rzekomo zwiększyła się o 33% w ciągu ośmiu lat - do 22,5 miliona - podczas gdy zaludnienie Południa wzrosło o ponad 70% - do 23 milionów. W sumie świadczyło to, że liczba ludności Nigerii wynosi 45,5 miliona. J.J. Warren, brytyjski naczelny komisarz spisowy, kierujący 45 tysiącami ankieterów, odrzucił dane z Południa jako „falszywe i przesadzone”. Ta decyzja nie zmartwiła sardauny Sokoto, który bez specjalnej przyjemności dowiedział się, że ludność Południa ponoć przewyższa o

0,5 miliona liczbę mieszkańców Północy. Jak niesie wieść, podarł podsunęte dane i kazał Balewie jeszcze raz wziąć się do pracy. Kolejny spis przeprowadzono w 1963 r., tym razem bez pomocy sceptycznego pana Warrena.

Może i dobrze się złożyło, bo niewykluczone, że wpadłby w szal widząc przygotowywanie następnego zestawu danych pod osobistym nadzorem Balewy. Pewnego lutowego poranka 1964 r. Nigeryjczycy dowiedzieli się, że jest ich teraz 55,5 miliona, z czego w Regionie Zachodnim równo 30 milionów.

Warren odmówił akceptacji danych z Południa z kilku powodów. Między innymi dlatego, że wynikało z nich, jakoby dorosłych mężczyzn było trzy-cztery razy więcej, niż to wykazywała lista podatników, a dzieci poniżej lat pięciu było więcej, niż wszystkie kobiety w wieku rozrodczym mogły wydać na świat, nieprzerwanie przez pięć lat zachodząc w ciążę. Zaakceptował dane z Północy, ponieważ robiły wrażenie rozsądnych, wskazywały 2-procentowy przyrost populacji w skali roku w porównaniu z poprzednim spisem.

Jeśli Północ przysnęła w 1962 r., to w roku następnym wykazała się wielką czujnością. Powiększając populację z 22,5 miliona do niecałych 30 milionów w ciągu dwunastu miesięcy, udało się jej osiągnąć wskaźnik urodzeń 24% rocznie. Południe, którego dane z 1962 r. wydały się Warrenowi niewiarygodne, znowu skoczyło w górę, z 23 na 25,8 miliona. Żartownisie wśród emigracji zapytywali, czy te dane dotyczą również owiec i kóz, politycy nigeryjscy obwiniali się nawzajem, a każda strona odmawiała przyjęcia do wiadomości danych drugiej połowy kraju. Ludność doszła do wniosku, że cała sprawa to kolejny bigos, i prawdopodobnie miała rację. Trzeźwiejsze i bardziej realistyczne oceny wyznaczały ogólną liczbę ludności Nigerii pod koniec maja 1967 r. na około 47 milionów. Biafra, ogłaszając niezależność, oderwała z tego około 13,5 miliona (wliczając ogromną falę uchodźców).

Skandal związany ze spisem stopniowo ustąpił pola strajkowi powszechnemu 1964 r. Przez cały ten czas, aż do pierwszego puczu wojskowego w styczniu 1966 r., wybuchały rozruchy Tiv na obszarze Pasa Środkowego będącego odwieczną ojczyzną szczepu. Ten twardy, niezależny, ale na ogół prymitywny lud od dawna domagał się utworzenia stanu Pas Środkowy i był reprezentowany przez United Middle Belt Congress [Zjednoczony Kongres Pasa Środkowego]. Lecz gdy w 1963 r. przywódcy NPC wyrażali niewielkie obiekcje względem wydzielenia z Zachodu Regionu Środkowo-Zachodniego dla mniejszości nie należących do Joruba, sprzeciwiali się temu samemu ustępstwu względem Tiv, uważając, że w sferze politycznej ci ostatni mogą zostać uznani za członków Północy. W konsekwencji doprowadziło to do wysłania wojska, które miało zmiążyć rewoltę. Nastąpiło to zaraz po uzyskaniu niepodległości i armia pozostała na terenach objętych rebelią aż do przewrotu

wojskowego w 1966 r. Większość tych oddziałów wchodziła w skład I Brygady, do której rekrutowano mieszkańców Północy. Niektórzy oficerowie sprzeciwiali się używaniu wojska do tłumienia cywilnych rozruchów, ale inni, chcąc się przypodobać politykom Północy, okazywali zawziętość większą niż sam papież przy gromieniu dysydentów. Jednakże im bardziej zwalczano Tiv, tym zacieklejszy stawiali opór. Niezależni obserwatorzy ocenili, że do 1966 r. zginęło w tych ukrytych przed światem rozruchach blisko 3 tysiące ludzi.

Wkrótce po strajku powszechnym przyszły powszechne wybory. Dziesięcioletni sojusz między NPC i NCNC złamał sir Ahmadu Bello, który oświadczył bez ogródek, że „Ibo nigdy nie byli prawdziwymi przyjaciółmi Północy i nigdy nimi nie będą”. Równocześnie ogłosił sojusz z Akintolą, wówczas pewnie trzymającym się w siodle na Zachodzie. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że Bello, chcąc utrzymać przy władzy swojego zastępcę w Lagos, był świadom konieczności następnego aliansu z jedną z południowych partii i uznał, że mocno zadłużony Akintola będzie bardziej ustępliwym sojusznikiem niż Okpara. I tak Akintola połączył swoją partię z NPC sardauny i stworzył Nigerian National Alliance [Nigeryjskie Stronnictwo Narodowe] - NNA. W tej sytuacji NCNC nie miało wyboru i mogło tylko zbudować wspólny front z tą okrojoną częścią Action Group, która pozostała lojalna wobec więzionego Awolowo. Tak powstało United Progressive Grand Alliance [Zjednoczone Stronnictwo Postępowe] - UPGA.

Kampania była tak brudna, jak to tylko możliwe (wedle ówczesnych standardów, dopóki Akintola nie przeszedł samego siebie w roku następnym podczas wyborów w Regionie Zachodnim). Na Zachodzie program wyborczy NNA był silnie rasistowski, ostro potępiał domniemaną „dominację Ibo”, a część pamfletów przypominała antysemickie hasła w przedwojennych Niemczech. Doktor Azikiwe, pierwszy republikański prezydent Federacji (od 1963 r.), na próżno nawoływał do uczciwych wyborów i ostrzegał przed niebezpieczeństwem szczepowej dyskryminacji. Gdy kandydaci UPGA na Północy usiłowali przeprowadzić kampanię, byli napastowani i bici przez partyjnych zbirów NPC. Zarówno na Północy, jak i na Zachodzie kandydaci UPGA skarżyli się, że udaremnia się im rejestrację, a jeśli nawet się zarejestrują, ich przeciwnicy z NNA okazują się „jedynymi kandydatami”. Aż do ostatniej chwili było wątpliwe, czy wybory w ogóle się odbędą. W końcu przeprowadzono je, ale przy bojkocie UPGA. Jest rzeczą jak najbardziej naturalną, że w rezultacie zwycięstwo odniosło NNA.

Prezydent Azikiwe nie był szczęśliwy, że konstytucja narzuca mu takie właśnie obowiązki, niemniej jednak poprosił Balewę o sformowanie opartego na szerokiej bazie rządu narodowego. Kryzys, który mógł doprowadzić w 1964 r. do rozłamu Federacji, zażegnano.

Następnie w lutym 1965 r. przeprowadzono opóźnione wybory federalne na Wschodzie i Środkowym Zachodzie. Tam przyniatające zwycięstwo odniosło UPGA. Ostatecznie NNA otrzymało 197 miejsc, a UPGA 108.

Ledwo ucichł ten skandal, kiedy zaczęły się przygotowania do listopadowych wyborów 1965 r. w Regionie Zachodnim. Tutaj Akintola bronił swojego premierostwa i koszmarnych wyników pracy rządu. Nie ma zbyt wielu wątpliwości, że w przypadku uczciwych wyborów powszechna niepopularność Akintoli z łatwością doprowadziłaby do zwycięstwa opozycyjnego UPGA. To dałoby tej partii kontrolę nad Wschodem, Środkowym Zachodem (gdzie już ją miała), Zachodem i Lagos. Tak wspinałyby wyczyn zapewniłby UPGA większość w senacie, chociaż sojusz Północ-Zachód zachowałby kontrolę nad izbą niższą.

Akintola był z pewnością świadomy tego wszystkiego, jak i niezachwianego poparcia potężnego, bezwzględnego Ahmadu Bello na Północy oraz Balewy trzymającego w garści premiera federalnego. Pewien bezkarności, wykazał podczas tych wyborów najdalej idącą pomysłowość w użyciu wszelkich najhulaniejszych chwytów.

UPGA, ostrzeżone wyborami federalnymi, z dużym wyprzedzeniem wystawiło pełny skład kandydatów, dołączając zaprzysiężone oświadczenia, że wszyscy dziewięćdziesięciu czterech zamierzają wziąć udział w wyborach. Niemniej jednak szesnastu ludzi Akintoli, w tym samego premiera, ogłoszono jedynymi kandydatami. Przewodniczący komisji wyborczych znikali, kandydatów zatrzymywano, członków komisji wyborczych mordowano, w ostatniej chwili wprowadzano nowe zasady, znane tylko kandydatom Akintoli. Mężów zaufania UPGA i kandydatów różnymi sposobami nie dopuszczano do lokali wyborczych podczas liczenia głosów. Najłagodniejszą formą opresji była godzina policyjna, stosowana selektywnie przez władze. Niemal cudem tym członkom komisji wyborczych, którzy zostali na swoich stanowiskach, udało się ogłosić, że wybrano kilku kandydatów UPGA. Wydano instrukcje, w myśl których wszystkie wyniki musiały przejść przez biuro Akintoli, i oszołomieni słuchacze Radia Zachód rządzonego przez Akintolę usłyszeli jeden zestaw wyników, podczas gdy rozgłośnia Regionu Wschodniego podała inne wyniki, przekazane przez biura UPGA, a otrzymane od przewodniczących komisji wyborczych.

Według rządu Zachodu rezultatem było 71 miejsc dla Akintoli i 17 dla UPGA. Akintolę poproszono o sformowanie rządu. UPGA twierdziło, że naprawdę uzyskało 68 miejsc, a wybory były sfalszowane. Obserwatorzy uznali te twierdzenia za prawdziwe. Adegbenro, przywódca UPGA na Zachodzie, oświadczył, że będzie działał na własną rękę i sformuje swój rząd. Aresztowano go wraz z jego zwolennikami.

Był to sygnał do kompletnego załamania się prawa i porządku, chociaż trudno rzec, by



poprzednio praworządność triumfowała. Zamieszki wybuchły wzdłuż i wszerz Regionu Zachodniego. Morderstwa, grabieże, podpalenia, rzezie były na porządku dziennym. Na drogach grasowały gangi rywalizujących ze sobą bandziorów, którzy ścinali drzewa i zatrzymywali podróżnych, pytając o przynależność polityczną. „Zła” odpowiedź pociągała za sobą rabunek lub śmierć. Według pobieżnych ocen w ciągu kilku tygodni popełniono od tysiąca do 2 tysięcy zabójstw.

W obliczu tych wydarzeń Balewa, tak skory do ogłoszenia stanu wyjątkowego w 1962 r. z powodu harmideru w parlamencie Zachodu, nie przedsięwziął żadnej akcji. Mimo powtarzanych apeli o ogłoszenie stanu wyjątkowego, rozwiązanie rządu Akintoli i zarządzenie nowych wyborów oświadczył, że „nie ma takiej władzy”.

Potężna Federacja Nigerii rozpadała się w ruinę na oczach zagranicznych obserwatorów, którzy zaledwie kilka lat wcześniej ogłosili ją wielką nadzieją Afryki. Ale świat dowiedział się o tym niewiele. Dbając o utrzymanie pozorów, rząd Balewy w pierwszym tygodniu stycznia zaprosił premierów brytyjskiej Wspólnoty Narodów na konferencję do Lagos, by omówić problem przywrócenia prawa i porządku w zrewoltowanej Rodezji. Harold Wilson łaskawie zaszczycił konferencję swoją obecnością. Podczas gdy premierzy Wspólnoty wymieniali na płycie lotniska Ikeja uściski dłoni i uśmiechy od ucha do ucha, kilka mil dalej Nigeryjczycy ginęli dziesiątkami, kiedy wojsko uderzyło na zwolenników UPGA.

Armia też nie potrafiła zaprowadzić porządku i na nalegania głównego dowódcy, generała majora Johnsona Ironsiego, żołnierzy wycofano. Większość prostych szeregowców służących w armii federalnej była z zaciągu w Pasie Środkowym i pochodziła z mniejszościowych szczepów Północy. Te oddziały, szczególnie zaś najliczniej reprezentowani w armii Tiv, nie mogły być użyte przeciw nadal trwającym rozruchom wśród Tiv, gdyż prawdopodobnie nie użyliby broni przeciwko rodakom. Stąd też oddziały stacjonujące poza ojczyzną Tiv były pełne Tiv.

Z tych samych powodów, dla których nie mogli być wykorzystani na swoich terenach, Tiv nie byli zbyt użyteczni na Zachodzie. Nie żywili sympatii dla reżimu Akintoli, bo czyż Akintola nie był sprzymierzeńcem i wasalem sardauny Sokoto, gnębiela ich ojczyzny? Sympatyzowali raczej z uczestnikami rozruchów, dzieląc ich uczucia względem rządzącej grupy sardana-Akintola.

Z początkiem drugiego tygodnia stycznia stało się jasne, że należy coś przedsięwziąć. Obecny reżim wojskowy w Nigerii obarcza odpowiedzialnością za następne wydarzenia wyłącznie Ibo, nie biorąc pod uwagę, że jedyny wybór, jaki wtedy pozostawał, to akcja ze

strony wojska lub kompletna anarchia.

Nocą 14 stycznia grupa młodych oficerów przeprowadziła uderzenie na Północy, Zachodzie i w stolicy Federacji, Lagos. Nie minęło kilka godzin, a sardauna, Akintola oraz Balewa nie żyli, a wraz z nimi zginęła pierwsza republika.

W okresie niepodległości Nigerii Wielka Brytania z zadowoleniem przypisywała sobie zasługę za szybkie, wydawałoby się, powodzenie nigeryjskiego eksperymentu; nie mogła uniknąć odpowiedzialności za klęskę, gdyż Nigeria była głównie brytyjskim, nie zaś nigeryjskim eksperymentem. Whitehall przez lata zdecydowanie unikał spojrzenia w twarz rzeczywistości. Trwał w uporczywym przekonaniu, że wystarczy naciągnąć fakty, a dopasują się do teorii, i z zapałem godnym lepszej sprawy tuszował to wszystko, co nie zgadzało się z jego wyśnioną wizją. Taka postawa utrzymuje się do dziś.

## ***2. Nieudany zamach stanu***

W pierwszych dwóch tygodniach 1966 r. prawdopodobnie szykowały się dwa zamachy stanu. Wskazują na to poszlaki; ale przesłanki, z których wynika, że zamach z 15 stycznia udaremnił inny, planowany na 17, są bardzo mocne.

Ten drugi zamach zacząłby się od krótkich rządów terroru w delcie Nigru Regionu Wschodniego, sprawowanych przez studenta Uniwersytetu Nsukka, Issaca Boro, który otrzymał w tym celu odpowiednie fundusze. To dałoby premierowi Balewie szansę na ogłoszenie stanu wyjątkowego. Równocześnie, jak wynika z oskarżeń opublikowanych później na Zachodzie, oddziały dowodzone przez oficerów z Północy przeprowadziłyby „bezlitosny błyskawiczny atak” na opozycyjne (tj. reprezentujące UPGA) elementy w tym regionie. Ta dwukierunkowa akcja złamałaby opozycyjną partię UPGA, wzmocniła premiera Akintolę w regionie, który już zdążył go znienawidzić, i dałaby NNA, partii sardauny Sokoto, absolutną władzę w Nigerii.

Nastąpiło wiele posunięć, które zdają się to potwierdzać. 13 stycznia sir Ahmadu Bello, który wcześniej był z pielgrzymką w Mekce, wrócił do swojej stolicy na Północy, Kaduny. Nazajutrz odbył tajne spotkanie z Akintolą, który na ten dzień przyleciał na Północ, i z głównodowodzącym I Brygady, oficerem z Zachodu sprzyjającym Akintoli, brygadierem Ademolegunem. Poprzednio federalny minister obrony, członek NPC i mieszkaniec Północy rozkazał głównodowodzącemu armią, generałowi majorowi Ironsiemu, wziąć zaległy urlop; generalny inspektor policji, Louis Edet, inny mieszkaniec Wschodu, również dostał rozkaz udania się na urlop; zastępca inspektora generalnego, M. Roberts, urodzony na Zachodzie, został wysłany na wczesną emeryturę i zastąpiony przez Alhaji Kama Salema, Hausa, który objąłby kontrolę nad policją 17 stycznia. Prezydent, doktor Azikiwe, był w Anglii na kuracji. Jeśli faktycznie szykowano spisek, nie udał się, bo poprzedził go inny zamach stanu, przygotowany również w tajemnicy przez małą grupę młodszych oficerów, dowodzoną głównie, chociaż nie wyłącznie, przez ludzi pochodzących ze Wschodu.

W Kadunie przywódcą grupy był lewicujący idealista, major Chukwuma Nzeogwu, Ibo z Regionu Środkowo-Zachodniego, który przeniósł całe życie na Północy i mówił narzeczem hausa lepiej niż narzeczem ibo. Wieczorem 14 stycznia ten błyskotliwy, ale narwany główny instruktor nigeryjskiej Akademii Wojskowej w Kadunie pod przykrywką rutynowych ćwiczeń wyprowadził z miasta oddziałek żołnierzy, głównie Hausa. Gdy dotarli do wspaniałej rezydencji sir Ahmadu, Nzeogwu powiedział żołnierzom, że przybyli zabić

sardaunę. Nie wahali się. „Mieli pełne magazynki... W razie gdyby nie odpowiadały im moje plany, mogli mnie zabić” - powiedział później („West Africa”, 29 stycznia 1966 r.). Zaatakowali bramę, zabijając trzech wartowników i tracąc przy tym jednego żołnierza. Za murami posesji ostrzelali pałac z moździerzy; następnie Nzeogwu cisnął granat ręczny w główne drzwi. Podszedł przy tym zbyt blisko celu i zranił się w rękę. Po wdarciu się do środka zastrzelili sardaunę i kilkoro służby. Inna grupa wkroczyła do domu brygadiera Ademoleguna w Kadunie i zastrzeliła go w łóżku razem z żoną. Trzecia grupa zabiła pułkownika Shodeinde ze szczepu Joruba, zastępcę komendanta Akademii Wojskowej. Na tym zakończył się przelew krwi na Północy.

Po południu 15 stycznia Nzeogwu przemówił przed mikrofonami Radia Kaduna: „Naszymi przeciwnikami są polityczni spekulanci, oszuści, ludzie okupujący wysokie i niskie stołki, szukający łapówek i żądający 10%, ci, którzy starają się utrzymać stały podział kraju. To ministrowie i dyrektorzy departamentów marnotrawstwa, szczepowi szowiniści, nepoci, ci, którzy sprawiają, że nasz kraj jest jednym wielkim zerem w oczach całego świata”. Później prywatnie powiedział: „Naszym celem było zmienić kraj, abyśmy z dumą mogli nazwać go naszym domem, nie chodziło o rozpętanie wojny... Na tamtym etapie problemy przynależności szczepowej w ogóle nie zaprzętały nam głowy”.

W Lagos zamachem kierował major Emmanuel Ifeajuana, młody Ibo, który wcześniej zasmakował sławy jako sportowiec. Parę godzin po zmierzchu udał się do Lagos z kilkoma ciężarówkami żołnierzy z koszar Abeokuta. Małe oddziały rozjechały się po całym Lagos szukając celów. Trzej wyżsi oficerowie pochodzący z Północy - brygadier Maimalari dowodzący II Brygadą, podpułkownik Pam, generalny kwatermistrz, i podpułkownik Largema, dowódca IV Batalionu - zostali zabici, pierwsi dwaj w domach, a trzeci w hotelu Ikoyi, gdzie mieszkał. Sam major Ifeajuana zajął się politykami. Premier Balewa został aresztowany w domu i ciśnięty na tył Mercedesa, gdzie kazano mu się położyć na podłodze. Minister finansów, wódz Festus Okolie-Lboh ze Środkowego Zachodu, którego nazwisko stało się synonimem korupcji i podłości nawet w nigeryjskiej polityce, został zastrzelony w domu. Trupa wrzucono do bagażnika Mercedesa. Żołnierze poszukiwali również doktora Kingleya Mbadiwe, Ibo, ministra handlu, który uciekł przez otwarte ogrody i skrył się w pustym parlamencie stanowym, siedzibie nieobecnego prezydenta Azikiwe. To było jedyne miejsce, którego przeszukanie zupełnie nie wpadło żołnierzom do głowy.

Ostatnią ofiarą w Lagos tej nocy był Ibo, major Arthur Unegbu, magazynier składu amunicji w koszarach Ikeja. Zastrzelono go na miejscu za odmowę wydania buntownikom kluczy.

W Ibadanie, stolicy Zachodu, oczywistym celem był znieawidzony Akintola. Żołnierzy okrążających jego dom przywitała kanonada pocisków z broni maszynowej. Premier miał prywatny arsenał. Po wdarciu się do domu, za cenę życia trzech żołnierzy, ciężko rannego Akintolę wywleczono na dwór i zabito. Zastępcę premiera, wodza Fani Kayode, aresztowano w innym miejscu w Ibadanie. Kiedy żołnierze wlekli go ze sobą, krzychał: „Wiedziałem, że wojsko dorwie się do władzy, ale nie wiedziałem, że to będzie tak wyglądać!”

Do tej pory zamach przebiegał zgodnie z planem. Gdyby oficerowie dowodzący powstaniem skonsolidowali nad ranem siły, mogliby się pokusić o kontrolę nad stolicami Północy, Zachodu i nad Lagos, stolicą Federacji. Benin City, stolicy małego Regionu Środkowo-Zachodniego, nie objęto planem. Zrobiono to świadomie, gdyż ten obszar mógł być opanowany później.

Dokładne wersje, tłumaczące, co właściwie potoczyło się niewłaściwym torem, chociaż przytaczane przez naocznych świadków i uczestników, różnią się znacznie; pozostaje tylko skłębć w miarę spójną relację metodą dopasowywania sprzecznych opowieści. Wygląda na to, że major Ifeajuana i inni spiskowcy z Lagos wrócili do Abeokuta Mercedesem, porzucając po drodze trupy Balewy i Okotie-Eboha. Przeważa nadal zdanie, że Balewa został zastrzelony, chociaż pewien naoczny świadek przysięga, że premier zmarł na atak serca. Ciało znaleziono przy drodze do Abeokuta tydzień później.

Wygląda na to, że Ifeajuana i jego współpracownik w Lagos, major David Okafor, dowódca gwardii federalnej, popełnili rażący błąd, nie zostawiając po wyjeździe w stolicy Federacji żadnej wysokiej rangą osoby. Głównie dlatego i w wyniku szybkiej akcji głównodowodzącego, generała majora Ironsi, spisek się nie udał.

W rezultacie, gdy grupa z Ibadanu wpała nad ranem do Lagos, wioząc w bagażniku auta trupa Akintoli i skrepowanego, ale wciąż żywego Fani Kayode, miasto przeszło w inne ręce. Przyjezdnych aresztowali żołnierze lojalni wobec Ironsi, a Fani Kayode uwolniono.

Tymczasem Ifeajuana i Okafor zdali sobie sprawę, że nie wyznaczyli oficerów do przejścia władzy nad Enugu, stolicą Wschodu, ostatnim z czterech miast, które mieli w planie opanować. Wybrali się na przełaj w 400-milową podróż do Enugu Mercedesem, za którym podążył Volkswagen z paru żołnierzami.

Jednym z żelaznych argumentów za ideą, że zamach stanu z 15 stycznia to wyłączna sprawa Ibo zmierzających do dominacji w Nigerii, był fakt, że w Enugu nic się nie wydarzyło. Dowody nie potwierdzają tej teorii. O drugiej po południu oddziały I Batalionu stacjonujące w Enugu wyruszyły na siedzibę premiera; otoczyły ją, ale czekały na rozkaz

ataku. Dowódca, podpułkownik Adekunle Fajuyi, Joruba, wyjechał na szkolenie, drugi w hierarchii, major David Ejoor ze Środkowego Zachodu, był w Lagos. Żołnierze - wcale nie głównie Ibo, jak to sugerowano, ale pochodzący przeważnie z Pasa Środkowego, z Regionu Północnego - warowali wokół domu, czekając rozkazów. Zapadał zmierzch. Tymczasem Ifeajuana i Okafor gnali bezdrożami, by te rozkazy wydać.

Nikt bardziej nie przyczynił się do pokrzyżowania planów zamachowców niż głównodowodzący armii, generał Ironsi. Sam będąc Ibo z Umuahia, dostał się do szeregów jako ordynans i przeszedł całą drabinę władzy. Był potężnym mężczyzną, zawodowym żołnierzem znającym swoje obowiązki, człowiekiem zdrowego rozsądku.

Wygląda na to, że jemu też była sądzona śmierć tamtej nocy. Wcześniej udał się na przyjęcie wydawane przez brygadiera Maimalari, skąd pospieszył na inne przyjęcie, wydawane na statku pocztowym „Aureol” cumującym przy kei w Lagos. Po północy wrócił do domu i zastał dzwoniący telefon. To pułkownik Pam informował, że coś się święci. W chwilę potem Pam nie żył. Ironsi odkładał słuchawkę, gdy jego kierowca, młody żołnierz z plemienia Hausa, przyszedł z wiadomością, że wojsko jest na ulicach. Ironsi działał szybko.

Wskoczył do samochodu i kazał zawieźć się prosto do koszar Ikeja, największych w tym okręgu i pełniących rolę kwatery głównej. Po drodze trafił na blokadę drogową urządzoną przez żołnierzy Ifeajuany. Wzięli go na muszki karabinów. Ironsi wysiadł, wyprostował się i ryknął: „Zjeżdżać mi z drogi!!!” Usunęli się.

W Ikeja poszedł do kwatery starszego sierżanta regimentu i postawił garnizon na nogi. Przez cały ranek wysyłał z Ikeja rozkaz za rozkazem. Oddziały wierne głównodowodzącemu i rządowi przejęły władzę. Major Ejoor, który zgłosił się tuż przed świtem, dostał rozkaz powrotu do Enugu i jak najszybszego objęcia dowodzenia. Ejoor pojechał na pobliskie lotnisko, wsiadł do lekkiego samolotu i poleciał do Enugu. po drodze prześcignął Mercedesa Ifeajuany.

Ejoor pierwszy zjawił się w Enugu, objął komendę garnizonu i wycofał oddziały otaczające dom doktora Okpary. O dziesiątej rano te same oddziały utworzyły gwardię honorową, kiedy struchlały premier zegnał się na lotnisku z prezydentem Cypru, Makariosem, który kończył właśnie wizytę w Nigerii. Później doktor Okpara dostał pozwolenie na urlop w ojcystym mieście Umuahia.

Na Środkowym Zachodzie rebelianckie oddziały pojawiły się w siedzibie premiera o dziesiątej rano, ale na rozkaz generała Ironsiego wycofały się o drugiej po południu. Zamach stanu nie udał się. Kiedy Ifeajuana i Okafor zjawili się w Enugu, zastali Ejoora pewnie sprawującego władzę. Ukryli się w domu aptekarza. Okafor został tam aresztowany; Ifeajuana

ucieł do Ghany, później wrócił i został osadzony w więzieniu z pozostałymi spiskowcami.

Nie był to bezkrwawy zamach stanu, ale trudno byłoby go nazwać rzezią. Premierzy Północy, Zachodu, Wschodu i Federacji nie żyli, podobnie jak jeden minister rządu federalnego. Spośród wyższych funkcjonariuszy armii zabito trzech z Północy, dwóch z Zachodu i tyluż ze Wschodu. (Zginął jeszcze jeden major Ibo, zastrzelony przez żołnierzy własnego oddziału, którzy mylnie uznali go za spiskowca.) Poza tym straciła życie garstka cywilów, w tym żona jednego z oficerów i kilku służących z domu sir Ahmadu Bello. Zginął też niecały tuzin żołnierzy. Nzeogwu utrzymywał później, że wcale nie powinno być ofiar, ale niektórych jego kolegów poniósł zapał.

W Lagos generał Ironsi objął dowództwo armii i przywrócił porządek, ale nie to zapewniło mu późniejszą władzę. To przede wszystkim reakcja ludności jasno uświadomiła wszystkim, że nastąpił kres rządów polityków. Reakcja ogółu, często dziś zapomniana, najdobitniej zaprzecza tezie, jakoby styczniowy zamach stanu był sprawą części społeczeństwa.

W Kadunie tłum wiwatujących Hausa splądrował pałac nieżyjącego autokraty. Uśmiechnięty major Hassan Usman Katsina, syn Fulaniego, emira Katsiny, siedział obok Nzeogwu podczas konferencji prasowej, po czym ten ostatni wyznaczył go wojskowym gubernatorem Północy. Alhaji Ali Akilu, szef służby cywilnej Północy, zaoferował Nzeogwu wsparcie, ale gwiazda majora Ibo gasła.

W Lagos i reszcie Południa trzymał cugle Ironsi i nie zamierzał oddawać ich spiskowcom. Ale mimo że ich postępowanie było sprzeczne z drogimi mu zasadami, miał dość zdrowego rozsądku, aby zdawać sobie sprawę, że jednak zareagowali na pewne społeczne zapotrzebowanie i mają bardzo szerokie oparcie. W sobotę 15 stycznia po południu zwrócił się z prośbą do wiceprezydenta o wyznaczenie zastępcy premiera, od którego zgodnie z konstytucją mógłby przyjmować rozkazy. Ale politycy zwłóczyli aż do niedzieli i gdy w południe rząd wreszcie się zebrał, Ironsi musiał mu oświadczyć, że nie ręczy za lojalność swoich oficerów i możliwość zapobieżenia wojnie domowej, jeśli sam nie przejmie władzy. Niewątpliwie miał wiele racji, co tymczasem potwierdziły reakcje licznych oficerów. Nawet ci, którzy nie uczestniczyli w zamachu, nie zaakceptowaliby rządów zdyskredytowanych już do reszty polityków.

Poza tym sytuacja stała się chwiejna. Nzeogwu, uświadomiwszy sobie, że jego koledzy na Południu spartaczyli robotę, przygotował kolumnę wojska, udał się na Południe i dotarł do Jebba na rzece Niger. Gdyby garnizony na Południu przystąpiły do różnych frakcji opowiadających się za lub przeciw Nzeogwu, jedynym rezultatem byłaby wojna domowa.

Piętnaście minut przed północą Ironsi wystąpił przed mikrofonami Radia Lagos, informując, że ponieważ rząd przestał funkcjonować, poproszono siły zbrojne o stworzenie przejściowego rządu wojskowych, i że on, generał Ironsi, został obdarzony władzą szefa federalnego rządu wojskowego.

Kryzys potoczył się korzystnie dla niego. Wojsko podporządkowało się rozkazom Ironsiego. Nzeogwu wycofał się do koszar Kaduna. Opuścił je później, odprowadzany do aresztu.

Możliwe, że rząd Nigerii (spotykając się pod przewodnictwem Alhaji Dipcharimy, Hausa, ministra transportu i najwyższego ministra w NPC po Balewie) nie miał wyboru, ale musiał się zgodzić na żądanie Ironsiego i oddać mu władzę. Ale jest równie prawdziwe, że to Ironsi nie miał wyboru i musiał przedłożyć to żądanie, jeśli chciał zapobiec wojnie domowej między rywalizującymi oddziałami armii.

Jest to ważne z trzech powodów: wyjaśnia, dlaczego oskarżenie Ibo o wyłączną odpowiedzialność za spisek mający na celu odsunięcie władzy konstytucyjnej i doprowadzenie do dominacji własnego szczepu jest wymysłem odbiegającym od prawdy i wykoncypowanym długo po zamachu stanu; zaprzecza dalszej sugestii, że późniejsze masakry Południowców mieszkających na Północy są wybacalne lub w każdym razie wytłumaczalne na tej podstawie, że „sami to wszystko zaczęli”; wreszcie tłumaczy, dlaczego do dziś podpułkownik Ojukwu jest przekonany, że dojście do władzy Ironsiego było zgodne zarówno z konstytucją, jak i aktami niższego rzędu, podczas gdy objęcie rządów przez podpułkownika Gowona pół roku później, po zamordowaniu Ironsiego, było bezprawne i stąd też nielegalne.



### ***3. Człowiek zwany Ironside***

Johnson Thomas Umunakwe Aguiyi-Ironsi urodził się w marcu 1924 r. w pobliżu Umuahia, ślicznego górskiego miasteczka w centrum dzisiejszego Regionu Wschodniego. Uczył się częściowo w Umuahia, częściowo w Kano na Północy. Mając osiemnaście lat zaciągnął się do armii, w której karierę rozpoczął od stopnia szeregowego. Resztę II wojny światowej spędził na wybrzeżu Afryki Zachodniej, skąd powrócił w 1946 r. jako 22-letni starszy sierżant pułku. Dwa lata później poszedł do College'u Sztabowego w Camberley na przeszkolenie oficerskie i w 1949 r. przeszedł jako podporucznik do Kwatery Głównej Afryki Zachodniej w Akrze, a stamtąd do arsenału w Lagos. Następnie przeniesiono go do oddziału żandarmerii. Jako porucznik był adiutantem gubernatora, sir Johna Macphersona, a jako świeżo upieczony kapitan uczestniczył w uroczystościach koronacyjnych w Londynie w czerwcu 1953 r. Po awansie na majora w 1955 r. mianowano go koniuszym podczas wizyty królowej w Nigerii rok później. We wrześniu 1960 r., awansowany do stopnia podpułkownika, dostał swoje pierwsze dowództwo - V Batalionu w Kano. Tego samego roku dowodził kontyngentem nigeryjskim sił ONZ w Kongo, walczących przeciwko Katangijczykom, i udowodnił, że jest nie tylko oficerem sztabowym. Gdy austriacki oddział medyczny i zaangażowani w pomoc humanitarną żołnierze nigeryjscy zostali uwięzieni przez rebeliantów, sam przyleciał do nich lekkim samolotem i osobiście wynegocjował ich zwolnienie. Za to rząd Austrii nadał mu Krzyż Rycerski Pierwszej Klasy.

W latach 1961-1962 r. był doradcą wojskowym Nigeryjskiej Wysokiej Komisji w Londynie i wówczas awansowano go do stopnia brygadiera. Następnie przeszedł kurs w Imperialnej Akademii Wojskowej. W 1964 r. powrócił do Kongo w randze generała majora jako dowódca całego kontyngentu sił pokojowych ONZ, pierwszy afrykański oficer sprawujący taką funkcję. Podczas wykonywania obowiązków samotnie stawiał czoło rozjuszonemu tłumowi w Leopoldville i nakłonił go do rozejścia się. Ten i podobne wyczyny zjednały mu czułe przydomki „Johnny Ironside” [Żelazny Johnny].

Po przybyciu do Nigerii powrócił do stopnia brygadiera i przejął I Brygadę, ale wkrótce zastąpił generała majora Welby'ego-Everarda, ostatniego brytyjskiego głównodowodzącego nigeryjskiej armii, i znowu stał się generałem majorem. Jak określił to pewien Brytyjczyk, pracownik służby cywilnej starannie ważący słowa: „Był bardzo prawym człowiekiem”.

Nowy reżim miał dobry początek. Otrzymał niezwykle masowe poparcie. W całej

Nigerii, w tym na Północy, ludzie entuzjastycznie przyjęli koniec rządów skorumpowanych polityków i z nadzieją witali jutrzeńkę przyszłości. Ostatni spiskowcy zostali pokojowymi metodami wyprowadzeni z kryjówek i osadzeni w różnych regionach, stosownie do miejsca pochodzenia. Lojalność nowemu reżimowi zaprzysiął NPC z Północy, Action Group z Zachodu i NCNC ze Wschodu i Południowego Zachodu, mimo że politycy z tych partii zostali pozbawieni władzy, a niektórzy znaleźli się w areszcie. Poparcia udzieliły również związki zawodowe, organizacje studenckie i emirowie Północy. Zagraniczni korespondenci odnotowali tę popularność. Dziennikarz prowadzący stałą rubrykę w „African World” zauważył w marcu: „Przychylność konstytucyjnym zmianom wyrażona przez różne odłamy społeczeństwa Nigerii jasno wskazuje, że posunięcie wojska było w istocie rewolucją mas” (*Nigeryjska rewolucja*, „African World”, marzec 1966 r.) Miesiąc później nigeryjski korespondent londyńskiego „Economist” odwiedził Sokoto, miasto, od którego sir Ahmadu Bello wziął swój tytuł, i donosił: „Sokoto było zepsutym pieśczochem reżimu sardauny, ale nawet tu jego odejście przyjęto spokojnie. Jeśli to, co się wydarzyło, obudziło jakieś sprzeciwy, po śmierci sardauny nikt nie miał ochoty ich wyrazić” (12 lutego 1966 r.). Później miało się okazać, że był to nader optymistyczny pogląd.

Generał Ironsi był uczciwym człowiekiem i usiłował uczciwie rządzić. Chociaż sam był Ibo, czynił wszystko, by nie faworyzować współplemieńców ani rodzimego regionu, a czasem posuwał się tak daleko, że budził krytykę pobratymców ze Wschodu. Jednym z jego pierwszych kroków było nominowanie wojskowych gubernatorów wszystkich czterech regionów; na Północy podpułkownika (eks-majora) Hassana Katsiny, który faktycznie został nominowany na to stanowisko przez obecnie uwięzionego Nzeogwu; na Zachodzie podpułkownika Fajuyiego z garnizonu Enugu, na Środkowym Zachodzie podpułkownika (eks-majora) Ejoora, również z garnizonu Enugu i na Wschodzie podpułkownika Chukwumeka Odumegwu Ojukwu, byłego dowódcę V Batalionu w Kano, zagorzałego federalistę, którego udział w styczniowym zamachu stanu ograniczył się do współpracy z lokalnymi władzami Hausa w Kano przy utrzymywaniu spokoju i zapewnieniu lojalności wobec władzy konstytucyjnej.

Objęcie rządów przez Ironsiego położyło kres wojnie w Regionie Zachodnim, gwałtom w krainie Tiv i powstaniu Issaca Boro w delcie Nigru. Ten ostatni został osadzony w więzieniu. Wszystkie strony zdawały się na tyle ufać Ironsiemu, że skłaniały się dać reżimowi generała szansę.

Generał Ironsi był człowiekiem uczciwym, ale nie był politykiem; całkowicie brakowało mu przebiegłości i okazywał niewielkie zrozumienie dyplomatycznych zawiłości

niezbędnych w wysoce złożonej społeczności. Zdarzało mu się również otrzymywać złe rady, co często przytrafia się żołnierzom sprawującym rządy. Niemniej jednak niczym nie zasłużył sobie na swój los.

Na Południu nakazał zatrzymanie polityków, którzy mogliby wywołać niepokoje i kłopoty. Ale politykom z Północy zostawiono wolną rękę, i niebawem z tego skorzystali. Ironsi stworzył Najwyższy Sąd Wojskowy i Federalną Radę Wykonawczą, by pomagały mu w rządzeniu. Biorąc pod uwagę późniejsze sugestie, że jego reżim był propołudniowy, interesujący jest skład tych organów. Poza samym Ironsim w dziewięcioosobowym Sądzie Wojskowym był tylko jeszcze jeden Ibo, pułkownik Ojukwu, który zasiadał tam z urzędu jako jeden z czterech regionalnych gubernatorów wojskowych, i jeden Południowiec nie-Ibo, podpułkownik Kurubo, szef lotnictwa pochodzący z ludów nadrzecznych. W skład Rady Wykonawczej wchodził członek Rady Wojskowej i sześciu innych, z których tylko dwaj byli ze Wschodu - prokurator generalny Onyiuke, Ibo, i inspektor generalny policji Edet, Efik. Obaj zajmowali swoje stanowiska przed styczniowym zamachem stanu. Mianując stałych sekretarzy w Federalnej Służbie Publicznej (stali sekretarze mieli potężne wpływy), Ironsi rozdzielił dwadzieścia trzy stanowiska następująco: osiem dla Północy, siedem dla Środkowego Zachodu, pięć dla Zachodu, trzy dla Południa.

Nominacje polityczne w przedsiębiorstwach państwowych zostały zlikwidowane i ustanowiono trybunały dochodzeniowe do zbadania działalności zwolnionych urzędników. Pierwsze trzy - badające Koleje Nigeryjskie, Nigeryjskie Przedsiębiorstwo Energetyczne i radę miejską Lagos - były kierowane przez mieszkańca Zachodu, Północy i Anglika. Później dwadzieścia pięć stanowisk dyrektorów generalnych, przewodniczących rad nadzorczych i sekretarzy przedsiębiorstw federalnych podzielono w sposób następujący: dwanaście dla Zachodu, sześć dla Północy, trzy dla Wschodu, jedno dla Środkowego Zachodu, trzy dla obcokrajowców.

Generał Ironsi podpisał kilka innych nominacji, które wskazują, jak pojmował ideę jednej Nigerii. Mianował podpułkownika Yakubu Gowona, Sho Sho z Północy, szefem sztabu i swoją prawą ręką; Mallama Hamsada Amadu, młodego krewnego sardauny Sokoto, swoim osobistym sekretarzem; jego prywatna eskorta składała się głównie z żołnierzy Hausa, dowodzonych przez członka tego plemienia, młodego porucznika W.G. Walbe. Niewykluczone, że ten fakt przesądził później o życiu generała.

Jego surowa postawa wobec korupcji na wysokich stanowiskach państwowych odniosła skutek i niebawem Nigeria odzyskała zaufanie społeczności międzynarodowej. Kontynuowano sześcioletni plan rozwoju.

Ale nadal nie rozwiązano głównego problemu. Chodziło o przyszłą konstytucję Nigerii, a mówiąc wprost - o jednolitość Nigerii. Kolejny raz objawiła się wrodzona niejednorodność państwa. Mimo że na Południu i w armii popierano ze wszystkich sił obalenie regionalizmu i stworzenie jednolitego państwa, ludzie z Północy, słysząc tylko, że Południe miałyby dysponować równymi prawami, od razu byli gotowi wykopać topór wojenny. Co też nastąpiło.

Zaraz po objęciu władzy generał Ironsi obiecał, że po przeanalizowaniu największych problemów, wybraniu zgromadzenia konstytucyjnego i referendum nad nową konstytucją nastąpi powrót do rządów cywilnych. Wódz Rotimi Williams i przyszły prokurator generalny, doktor T.O. Elias, obaj z Zachodu, zostali poproszeni o stworzenie zarysu ustawy zasadniczej. Inna komisja, pod przewodnictwem Francisa Nwokedi, Ibo, miała się zająć ujednoczeniem służby publicznej. Podniosły się protesty przeciwko oddaniu tak poważnej kwestii w ręce jednego człowieka, i to jeszcze Ibo - głośne zwłaszcza na Północy, gdzie pieczołowicie przestrzegano regionalizacji służb publicznych, traktując ją jako główne zabezpieczenie przed dominacją Południa - dodano więc do komisji Nwokedi mieszkańca Środkowego Zachodu. Inna komisja miała się zająć zbadaniem sposobu ujednoczenia sądownictwa. Jeszcze inna - planowaniem gospodarki. Powierzono ją wodzowi Simeonowi Adebo, Joruba, i doktorowi Piusowi Okigbo, Ibo. Komisje złożyły sprawozdania, wszystkie wskazujące jeden kierunek - unifikację.

Unifikacja była dyskutowana od najwcześniejszych dni reżimu Ironsiego. Pod koniec stycznia pułkownik Ejoor ze Środkowego Zachodu optował za „jednolitą formą rządów”. Na konferencji prasowej w lutym generał Ironsi powiedział: „Wszystkim Nigeryjczykom stało się wiadome, że sztywne trzymanie się «regionalizmu» było zmorą poprzedniego reżimu i jedną z głównych przyczyn jego upadku. Kraj niewątpliwie z radością przywita zdecydowane zerwanie z ujemnymi cechami tego systemu”.

Generał żywił nadmierny optymizm. Południe niewątpliwie z radością przyjęłoby takie zerwanie. Tak się zresztą stało. Ale Północ była zupełnie innym organizmem. To właśnie jego reprezentanci, parlament Północy i emirowie, uznali w konstytucji Richardsa regionalizm - wraz z letargiem i inercją, które za sobą pociągał - za wieczyste zabezpieczenie swojej społeczności przed bardziej energicznymi i wykształconymi Południowcami.

Unifikacja cieszyła się szczególną popularnością wśród Ibo na Wschodzie. Byli najbardziej mobilną i wykwalifikowaną grupą etniczną, głęboko przekonaną, że może współzawodniczyć z każdym jak równy z równym. Dla niej regionalizm oznaczał zawsze traktowanie Południowców jako obywateli drugiej klasy na Północy i podwójny system

funkcji publicznych poza Regionem Wschodnim.

W ten oto sposób to, co było cudowną szansą dla Południa, stwarzało niemal śmiertelne zagrożenie dla Północy. Prawie dwa lata później w Enugu amerykański konsul, James Barnard, celnie podsumował konflikt nieustannie ciążyący Nigerii: „Nie ma co kryć głowy w piasek ani uciekać przed jedyną stałą cechą życia politycznego tego kraju; w każdym wyścigu o korzyści materialne, zaczynającym się od równego startu i opartym na zasadzie równych możliwości, Południowcy wygrywają o milę. To jest nie do przyjęcia dla Północy. Zapobiec takiemu wynikowi może jedynie sztuczne nałożenie kajdan postępowi Południa. To jest nie do przyjęcia dla Południa” (rozmowa z autorem w Enugu, styczeń 1967 r.).

Niezadowolenie na Północy zaczęło się objawiać wkrótce po rozpoczęciu prac komisji badającej różne aspekty unifikacji. To niezadowolenie opisywano później jako całkowicie spontaniczne, połączone z rzekomo powszechnym żalem po śmierci ukochanego sardauny Sokoto z rąk Ibo. Ten opis jest z gruntu błędny.

Po pierwsze, sądząc z natychmiastowych reakcji poddanych sardauny po jego śmierci, był on uważany nie za łaskawego ojca, ale pozbawionego skrupułów starego despotę. Zresztą odpowiadało to prawdzie. Po drugie, gwałty, jakie rozprzestrzeniły się na Północy w maju 1966 r., nie były spontaniczne. Wywołanie ich wymagało wiele ciężkiej pracy.

Gdy upadają politycy, nie jest to tylko zmierzch garstki ludzi. Tysiące innych traci łatwy chleb, kiedy ich protektorzy zostają odcięci od dostępu do publicznych funduszy. Szeroko rozgałęzione rodziny stwierdzają, że są pozbawione oparcia, i widzą przed sobą ponurą konieczność podjęcia pracy; pieczeniarze, partyjni najmici, agenci, działacze, przedsiębiorcy budowlani osiągający tłuste profity dzięki znajomościom z ludźmi na wysokich stołkach, administratorzy, którzy nie otrzymaliby posad bez protekcji - wszyscy oni stają oko w oko z widmem nędzy i głodu. Gdy kilka duszyczek zaczęło agitować przeciwko reżimowi Ironsiego, łatwo znalazło środki; armia chętnych do szerzenia plotek, rozpalania namiętności i wzburzania serc odmalowywała obraz szarogęszących się Ibo oraz bezpodstawnie wieściła pozbawienie Północy tradycyjnego ochronnego izolacjonizmu. Na końcu odwołano się do zawsze wygodnego motywu rewanżu. I tak nieżyjącego sardaunę przerobiono na świętego, a uwięzionym oficerom stojącym na czele zamachu stanu przydano diabelskich cech.

Pułkownik Fajuyi na Zachodzie, człowiek zdolny i energiczny, rygorystycznie czyścił życie publiczne z pasożytów. Zwolnił wszystkich lokalnych urzędników nominowanych przez zniechęcony reżim Akintoli i jedenastu ministrów jego partii. Na Środkowym Zachodzie i Wschodzie zastosowano podobne Środki. Jednakże były one mniej drakońskie,

bo NCNC (później pod banderą UPGA), które kontrolowało obydwie regiony do stycznia 1966 r., doszło do władzy bez żadnych matactw dzięki wielkiej przewadze zdobytych głosów.

Na Północy było inaczej. Tu od niepamiętnych czasów siła polityczna i arystokracja emirów stanowiły niemal synonimy. Pułkownik Hassan, gubernator wojskowy, był synem emira Katsiny. Po prostu trudno było wybrać kompetentnych ludzi do zarządzania administracją krajową, a ci, którzy zajmowali stanowiska, i tak już zostali wysunięci przez emirów. W ten sposób arystokracja i grupa urzędnicza utrzymały się przy władzy. Zawodowi politycy, chociaż odsunięci od wpływów, też nie wylądowali w aresztach; trudno nawet powiedzieć, by przez długi czas pozostali na uboczu. W takiej sytuacji rozsiała się szeptana agitacja i wkrótce, trafiwszy na żyzny grunt, dała bujny plon.

Wyjątek - co należy od razu podkreślić - stanowił tu Nwokedi, który badając możliwość ujednoczenia służby cywilnej zawadził podczas podróży po kraju o Północ. Chociaż wysłuchał głosów mieszkańców, to końcowe sprawozdanie dla generała Ironsiego zawierało konkluzje nie pokrywające się z poglądami odpytywanych.

W Lagos generałem Ironsim targały sprzeczne uczucia. Znał niechęć Północy do idei unifikacji, ale w jego najbliższym otoczeniu byli jej potężni zwolennicy. 24 maja odsłonił karty. W przemówieniu radiowym ogłosił Dekret Konstytucyjny (tzw. Dekret Zawieszający i Modyfikujący). Chodziło o zniesienie regionów i przeistoczenie ich w grupy województw, chociaż zachowano granice administracyjne i gubernatorów. Po prostu Nigeria z Federacji stała się Republiką Nigerii. Służba cywilna poszczególnych regionów miała być zjednoczona i kierowana przez jedną Komisję Służby Państwowej, ale regionalne (lub już wojewódzkie) komisje nadal mianowałyby większość personelu oprócz najwyższych stanowisk. Następnie dodał, że są to kroki wyłącznie przejściowe i tak należy je traktować, i czynione są „bez uprzedzeń” w stosunku do wyników badań komisji Rotimi Williamsa. Na nieszczęście ta komisja porównywała właśnie plusy systemów federalnego i zunifikowanego.

Niewykluczone, że generał Ironsi usiłował ostudzić gorące głowy na Południu domagające się szybkiej reformy, równocześnie nie prowokując Północy zbyt daleko idącymi zmianami. Analiza Dekretu Unifikacyjnego (jak przyjęło się go nazywać) ukazuje, że generał poza nazewnictwem nie zmienił dosłownie niczego. Można by jedynie orzec, że urzędowo potwierdził formę sprawowania władzy, jaka ustaliła się od czasu przejścia rządów przez wojsko, gdyż Najwyższa Rada Wojskowa była ciałem bardzo jednolitym.

Dekret Unifikacyjny został następnie wykorzystany jako pretekst do serii wyjątkowo gwałtownych masakr Południowców w Regionie Północnym. Rozpoczęły się od demonstracji studenckich w Kano. Nie minęło kilka godzin, a nastąpił przelew krwi. I znów, chociaż

Joruba w Regionie Zachodnim, w równej mierze jak Ibo na Wschodzie, popierali unifikację, to wyłącznie Ibo i ich współziomków ze Wschodu napastowała tłuszcza mieszkańców Północy. Niebawem po rozpoczęciu demonstracji w Kano setki uzbrojonych zbirów przewaliły się przez obszar między murami miasta i *sabon garis*, w których mieszkali Południowcy, wdarły się do getta i zaczęły palić, gwałcić, rabować i zabijać wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci z Południa, jacy tylko wpadli im w ręce.

Rozprzestrzenianie się rozruchów zaprzecza jakiegokolwiek tezie o ich spontaniczności. Korzystając z ciężarówek i autobusów podstawionych przewidująco przez bezimiennych ofiarodawców, fale byłych zbirów partyjnych rozlewały się po Północy - do Zarii, Kaduny i innych miejscowości. Zanim się to wszystko skończyło, Nigeria znowu była o krok od dezintegracji. Chociaż ani federalny, ani północny rząd nie podał nigdy żadnych danych. Południowcy obliczyli później, że stracili w tych masakrach 3 tysiące ludzi.

Zapewne niektórzy z biorących udział w wystąpieniach uważali, iż demonstrują jedynie swoje uczucia - do czego byli jak najbardziej uprawnieni. Ale towarzysząca temu wszystkiemu rzeź, stopień jej organizacji i łatwość, z jaką została wywołana, powinny ostrzec przed głębokim niebezpieczeństwem, będącym mroczną zapowiedzią przyszłości. Kolejny raz zlekceważono ostrzeżenie.

Prawdopodobnie po kilku miesiącach cichej indoktrynacji wielu mieszkańców Północy było w pełni przekonanych, że Ibo naprawdę usiłują przejąć Nigerię, skolonizować zapóźnioną Północ, wykorzystać swoje niewątpliwe talenty do rządzenia całym krajem. Znow secesjonistyczne żądania Północy stały się sprawą otwartą. Demonstrujący pracownicy służby cywilnej w Kadunie nieśli transparent: „Żądamy secesji”. W tym samym mieście pułkownik Hassan zwołał spotkanie wszystkich emirów Północy. Wielu z nich rodacy wyposażyli w jednoznaczne upoważnienie do głosowania za secesją. W Zarii tłumy oblegały emira błagając o secesję.

Po spotkaniu emirowie posłali Ironsiemu tajne memorandum domagające się w istocie zniesienie Dekretu Unifikacyjnego. W innym wypadku dokonają secesji. Generał Ironsi w odpowiedzi cierpliwie wyjaśnił, iż dekret nie stanowi o żadnych zmianach granic i prawdę mówiąc, prawie zupełnie nie zmienia *status quo*. To środek tymczasowy, mający umożliwić rządzenie armii przyzwyyczajonej do ujednoczonego dowództwa. Bez obiecanego referendum nie nastąpią żadne nieodwołalne zmiany. Emirowie oświadczyli, że są tym usatysfakcjonowani.

W czerwcu pułkownik Ojukwu, witając emira Kano, nowego rektora Uniwersytetu Nsukka, swojego rówieśnika i przyjaciela, który pomógł zapobiec rozlewowi krwi w styczniu

w Kano, wygłosił publiczne przemówienie. Wezwał zbiegów z Południa szukających po majowej masakrze bezpieczeństwa na Wschodzie, by wrócili do swoich domów i zajęć. Prosił ich, by uwierzyli, że tamte zabójstwa były „częścią ceny, jaką musimy zapłacić” za ideał jednej Nigerii.

Przez cały czerwiec rząd Ironsiego rozpaczliwie szukał możliwości złagodzenia rosnących napięć. Nie znalazł żadnych rozwiązań, a pułkownikowi Ojukwu przyszło jedynie do głowy, że być może należy pozwolić mieszkańcom Północy na spełnienie ich stuletniego pragnienia założenia własnego państwa. Wreszcie generał Ironsi udał się na objazd kraju, aby możliwie najgłębiej wysondować opinię co do przyszłej formy państwowości Nigerii. Nigdy więcej nie ujrzał Lagos.



#### ***4. Drugi nieudany zamach stanu***

Niektórzy z próbujących wytłumaczyć zamach stanu przeprowadzony 29 lipca 1966 r. przez niższych oficerów pochodzących z Północy sugerowali, że był on motywowany chęcią słusznej zemsty za śmierć trzech wysokich oficerów Północy w styczniu. Naturalnie, zanim nastąpił ten drugi zamach stanu, na Północy narastały głosy domagające się egzekucji styczniowych buntowników. Miała to być zemsta nie za śmierć polityków, których zgony, ogólnie biorąc, przeszły bez wrażenia, ale za zastrzelenie brygadiera Maimalariego i pułkowników Pama oraz Largemy.

Ten argument nie jest przekonujący. Poza owymi trzema oficerami zabito wtedy również dwóch pułkowników Joruba i dwóch majorów Ibo. Znacznie bardziej prawdopodobne, że motyw popychający w lipcu oficerów do buntu wyraża hasło, które zapoczątkowało całą operację - ARABA. To słowo w narzeczu hausa znaczy „secesja”. Chociaż niewątpliwie w tym ruchu i dalszym postępowaniu jego uczestników silnie się zaznaczał element rewanzu, cel polityczny pokrywał się z długotrwałym pragnieniem mas Północy - opuścić Nigerię raz na zawsze.

Ten i dwa inne elementy stanowią o kompletnej odmienności obu puczów. Uczestnikami pierwszego zamachu stanu kierował ognisty zapal oczyszczenia Nigerii z wielu niewątpliwych bolączek; byli zorientowani reformatorsko; nastąpił minimalny przelew krwi - zginęło czterech polityków i sześciu oficerów. Był z natury ekstrawertyczny i nastawiony nieregionalnie.

Zamach lipcowy był z ducha regionalny, introwertyczny, rewanzystowski i separatystyczny. Towarzyszył mu zbędny przelew krwi.

Kilka lat wcześniej zauważono, że chociaż ogromna większość szeregowców pochodzi z Północy, a około 80% tej masy wojska stanowią Tiv, prawie 60% szarzy pochodzi ze Wschodu. To nie przypadek; ale wbrew rozpowszechnianym twierdzeniom nie było to też celowe działanie mieszkańców Wschodu. Od początku istnienia armii nigeryjskiej promocje oficerskie zależały od wykształcenia. Już sama gęstość rozmieszczenia szkół podstawowych w poszczególnych regionach (wspominałem o tym wcześniej) świadczy o tym, że Północy chronicznie brakowało wykształconego personelu.

W 1960, roku uzyskania niepodległości, tylko sześciu żołnierzy z Północy miało patenty oficerskie. Nowy minister obrony, Alhaji Ribadu, Hausa, zadekretował, że wśród oficerów powinno być 50% żołnierzy z Północy. Nie dało się tego osiągnąć z dnia na dzień.

Jednakże w 1966 r. było już o wiele więcej niższych oficerów z Północy i chociaż planowanie lipcowego zamachu stanu niewątpliwie należy przypisać małej grupie wysokich rangą oficerów, to wykonanie przypadło niższym stopniem.

Udział oficerów z różnych regionów w poszczególnych formacjach broni odzwierciedlał charakter regionów, co znowu nie było spowodowane celowo, ale wynikało z wykształcenia i zamiłowań. Ogromna większość oficerów z Północy służyła w piechocie, podczas gdy służby techniczne - składy, radio, inżynieria, konserwacja, wojska pancerne, transport, opieka medyczna, wywiad, szkolenie i artyleria - były domeną mieszkańców Wschodu. Gdy nastąpił lipcowy zamach stanu, buntownicy musieli tylko przejąć arsenały garnizonowe, uzbroić ludzi - i mieli resztę armii, a więc również kraj, na swojej łasce. To w istocie zrobili.

Wieczorem 28 lipca generał Ironsi gościł na kolacji w ibadańskiej rezydencji podpułkownika Fajuyi, gubernatora wojskowego Zachodu. Ironsi właśnie zakończył objazd kraju. Był z nimi pułkownik Hilary Njoku, Ibo, dowódca II Batalionu stacjonującego w Ikeja poza Lagos.

Pucz rozpoczął się od buntu w koszarach Abeokuta w Regionie Zachodnim. Kapitan, Hausa, wprowadził grupę żołnierzy do kantyny oficerskiej i zastrzelił trzech oficerów ze Wschodu - podpułkownika, majora i porucznika. Następnie opanowano koszary, rozbrojono wartowników - Południowców, otworzono zbrojownię i wydano broń mieszkańcom Północy. Ogłoszono alarm, zrywając ze snu cały garnizon. Na placu apelowym wyselekcjonowano Południowców i zamknięto ich w wartowni, podczas gdy żołnierze z Północy przetrząsali koszary szukając nieobecnych. Nad ranem zgromadzono większość oficerów i podoficerów z Południa. O świcie wyprowadzono ich z wartowni i zastrzelono.

Tymczasem buntownicy zapewne zadzwonili do adiutantów (obydwu z Północy) II Batalionu w Ikeja i IV Batalionu w Ibadanie, podając wiadomości. Ale o wpół do czwartej w nocy uciekł pewien kapitan, Ibo, więziony w Abeokuta. On również zatelefonował, ale do kwatery głównej w Lagos. Zgłosił, jak to uznał, zwyczajny bunt. W KG zarządzającym pod nieobecność Ironsiego był szef sztabu, podpułkownik Gowon.

On teraz przejął dowództwo. Czy uczynił to w interesie zamachowców i jest odpowiedzialny za masakry, czy usiłował im przeciwdziałać - pozostaje nadal kwestią gorących sporów. Sam twierdzi, że nie ma nic wspólnego z zamachem, ale jego dalsze zachowanie budzi w tej mierze pewne wątpliwości i mógł być nie tak bardzo niechętnym współnikiem podczas zamachu i potem.

Więści dotarły również do generała Ironsiego. Trzej oficerowie tuż po północy odbyli

krótką naradę i ustalili, że Njoku powinien wrócić do Lagos cywilnym pojazdem i w cywilu, aby przejąć kontrolę i przeciwdziałać „buntowi”. Pospieszył do swojej kwatery przebrać się. Na dworze zauważył żołnierzy wysiadających z dwóch džipów. Oddali w jego kierunku serię ze Stenów. Uciekł ranny w udo. Opatrzony później w szpitalu w Ibadanie wrócił w przebraniu księdza okrężną drogą na Wschód, podczas gdy patrole przeczesywały za nim Zachód, a żołnierze trzymający blokady drogowe mieli rozkaz strzelać do niego bez ostrzeżenia. Właśnie zajadłość i długotrwałość pościgu za oficerami ze Wschodu świadczą o politycznym aspekcie zamachu stanu i rzucają cień na generała Gowona, który przejął najwyższe dowództwo w imieniu buntowników.

Nim minęła dwunasta w nocy, Południowców z ochrony Ironsiego rozbroili ich koledzy z Północy, wzmocnieni dwoma tuzinami żołnierzy przysłanymi z KG IV Batalionu w Ibadanie. Ta formacja po śmierci pułkownika Largemy w styczniu przeszła pod dowództwo pułkownika J. Akahana, Tiv z Północy. Świeżo przybyłym oddziałkiem dowodził major Theophilus Danjuma, Hausa, obecnie zastępca dowódcy I Dywizji armii nigeryjskiej i dowódca garnizonu Enugu.

Gdy Ironsi i Fajuyi usłyszeli strzały, posłali na dół adiutanta Ironsiego do spraw lotnictwa, porucznika Nwankwo, aby dowiedział się, co się dzieje. (Adiutant do spraw piechoty, porucznik Bello, Hausa, ulotnił się po cichu, niemniej jednak nic nie wskazuje na to, że był powiązany z zamachowcami.) Na dole Nwankwo aresztowano i związano mu ręce. Oczekawszy prawie do świtu pułkownik Fajuyi zszedł na dół dowiedzieć się, co się stało z Nwankwo. On również został aresztowany. Wreszcie o dziewiątej rano zjawił się major Danjuma, aby odszukać i aresztować generała Ironsiego. Jego również sprowadzono na dół.

Spośród tych, którzy wiedzą, co się wydarzyło tego dnia, tylko porucznik Nwankwo złożył zeznanie. Rząd federalny opuścił na wszystko dyskretną zasłonę milczenia. Tak więc następny ustęp oparty jest na zeznaniach Nwankwo.

Wszystkich trzech mężczyzn rozebrano i wybatożono. Następnie wsadzono ich do różnych mikrobusów i konwój ruszył. Major Danjuma prowadził. Na skrzyżowaniu w Mokola, skąd jedno odgałęzienie odchodzi do miasta Oyo, a drugie do koszar Letmauk, garnizonu IV Batalionu, konwój się rozdzielił. Danjuma wrócił do Letmauk, wydawszy najpierw szeptem rozkazy porucznikowi Walbe, dowódcy eskorty generała Ironsiego. Reszta konwoju podążyła dalej. Po 10 milach trzem zatrzymanym kazano wysiąść i iść wąską ścieżką w buszu. Zatrzymano ich, znowu bito i torturowano tak ciężko, że ledwo mogli się ruszać. Zmuszano ich do dalszego marszu, który trwał aż do strumienia. Zupełnie wyczerpani, nie potrafili go przeskoczyć. Zawleczono ich na drugi brzeg, kilka jardów dalej rzucono

twarzą na ziemię i znowu zbito. W tym momencie Nwankwo udało się rozwiązać drut krępujący przeguby i podjąć skuteczną próbę ucieczki. Dwóch pozostałych mężczyzn, półżywych po przebytych cierpieniach, wykończono seriami z karabinków maszynowych. Później policja znalazła ciała i pochowała je na cmentarzu w Ibadanie. Po pół roku ekshumowano je i złożono w miastach ojczystych.

Rankiem 29 lipca w całej Nigerii rozpoczęła się masakra oficerów i szeregowych pochodzących ze Wschodu. Przeprowadzano ją tak szybko, dokładnie i jednolicie, że żadna wymówka powołująca się na spontaniczność akcji nie ma racji bytu. Dowódca koszar Letmauk, pułkownik Akahan, twierdził o wschodzie słońca, że nie wiedział nic o nocnych manewrach przeciwko generałowi Ironsiemu. Ale jest nieprawdopodobieństwem, by oddziały, środki transportu, broń i amunicja użyte do opanowania domu rządowego zostały wykorzystane bez wiedzy dowódcy. O dziesiątej pułkownik Akahan zwołał naradę oficerów, na której sam się nie stawił. Gdy oficerowie się zebrali, Południowców wyprowadzono do wartowni, potem do warsztatów krawieckich. Tej samej nocy o dwunastej wrzucono tam przez okna trzydzieści sześć granatów ręcznych. Oficerów, którzy przeżyli, dobito z broni palnej. Żołnierzom Południowcom kazano zmyć krew, potem zabrano ich i zastrzelono. Wykończono również Południowców eskortujących Ironsiego. Po południu 30 lipca pułkownik Akahan zwołał żołnierzy z Północy i pogratulował im, mówiąc jednocześnie, że na tym koniec zabijania, „bo od tej pory rachunki są wyrównane”.

Zachęceni tym oświadczeniem żołnierze ze Wschodu wyszli z kryjówek, ale tej nocy dopadnięto ich i zabito. Zabijanie ciągnęło się przez kilka dni. Towarzyszyło mu gwałcenie żon żołnierzy ze Wschodu. Terror rozszerzył się na miasto Ibadan. Później pułkownik Akahan został szefem sztabu armii Gowona.

W Ikeja sprawy potoczyły się bardzo podobnym trybem. Mniej więcej w porze śniadania 29 lipca przybył z odległego o 15 mil Lagos pułkownik Gowon. Od piątej rano oddziały z Północy spędzały w jedno miejsce ludzi z Południa, w tym cywilów, policjantów i urzędników celnych pracujących na pobliskim lotnisku. Do południa w wartowni zgromadzono dwustu ludzi. Tego wieczoru pojawił się porucznik Walbe. Zgłosił pojmanie i śmierć generała Ironsiego. Następnego dnia cywilów zwolniono z wartowni, żołnierzy spisano. Z tej listy pluton egzekucyjny wywoływał oficerów i niższych stopniem wedle starszeństwa. Ośmiu oficerów od majora do podporucznika i pięćdziesięciu dwóch niższych stopniem, do sierżanta włącznie - zabito. Zabijaniu towarzyszyło jak zwykle bicie, ale po tym, jak jeden z maltretowanych, kapral z plemienia Ibo, uciekł (przeżył i opowiedział, co się działo), reszcie zakuto ręce i wyprowadzono na plac straceń za wartownią. Kiedy żołnierze z

Północy się znudzili, dla odmiany brali noże i podcinali gardła. Przed śmiercią wielu więźniów batożono, kazano im kłaść się w kałużach uryny i ekskrementów, jeść odchody. Kapitan P.C. Okoye był w drodze na szkolenie w USA, gdy pochwyciono go na lotnisku Ikeja i sprowadzono do koszar. Przywiązanego do żelaznego krzyża wysmagano batem niemal na śmierć, ciśnięto do celi na krzyżu i zostawiono na skonanie (dowody wypadków w koszarach w Ibadanie i Ikeja są w Archiwach Wojskowych KG Armii, Umuahia, Biafra).

Wszystko to wydarzyło się niecałe 200 jardów od biura, w którym pułkownik Gowon ustanowił swoją kwaterę główną i ogłosił się głównym dowódcą sił zbrojnych. Właśnie z tego biura oświadczył na cały świat, że usiłuje zachować jedność kraju w czasie kryzysu.

Mimo późniejszych zapewnień, że była to szybka i krótkotrwała akcja, zeznania naocznego świadka dowodzą, że trwała z przerwami cztery tygodnie. 22 sierpnia młody oficer z Północy sprowadził z więzienia w Beninie zamieszanych w spisek styczniowy (ten spisek rzekomo był powodem zamachu lipcowego). Pięciu z nich zabito. Tego samego dnia rozeszły się wieści, że na Wschodzie pułkownik Ojukwu prosi o repatriację wszystkich oficerów i szeregowych ze Wschodu. Wtedy porucznik Nuhu wydał rozkaz egzekucji pozostałych dwudziestu dwóch więźniów ze Wschodu. Polecenie wykonano.

Na długo przed tą datą pułkownik Gowon powiedział światu, że zabijanie się skończyło i „sytuacja powróciła do normy”.

Pułkownik Akahan i major Danjuma nie jedyni awansowali po czynach, za które zwykle grozi stryczek. W Makurdi, sercu ziem Tiv, oddział z IV Batalionu w Ibadanie zjawił się między 11 i 14 sierpnia. Zatrzymano i aresztowano piętnastu żołnierzy pochodzących ze Wschodu. 16 sierpnia dowódca oddziału, major Daramola, oświadczył im, że zostaną przewiezieni do Kaduny, a potem odesłani z powrotem na Wschód drogą powietrzną. Kiedy konwój wyruszył, major Daramola podążył z tyłu autem osobowym. Po 15 milach konwój skręcił w busz, gdzie czekał pluton egzekucyjny. Jednego po drugim wzywano szeregowców na egzekucję. Trzech uciekło, zeskakując z ciężarówki i kryjąc się w wysokiej trawie, później dostało się do domów i zdało relację. Dzisiaj podpułkownik Daramola dowodzi VIII Brygadą II Dywizji, której garnizony sięgają od Enugu do drogi do Onitsha, od wsi Abagana do Udi.

Tyle o lipcowych masakrach. Zostały odpowiednio dokładnie opisane gdzie indziej. Wystarczy powiedzieć, że we wszystkich koszarach i garnizonach - w Lagos oraz całym Zachodnim i Północnym Regionie - wydarzenia miały ten sam przebieg. Żołnierze z Północy przejmowali arsenały, zbroili się, aresztowali i zamykali pod kluczem kolegów pochodzących ze Wschodu, a następnie wielu z nich prowadzili na egzekucje. Niektórzy ze skazanych na śmierć uciekali i okrężnymi drogami wracali na Wschód, tworząc jądro armii Biafry

powstałej rok później. Większość wyższych oficerów piechoty zabito; większość tych, którzy przeżyli, należała do kadry technicznej, dlatego w obecnej armii biafrańskiej dowódcy, którzy mieli szlify majora lub wyższe w starej armii Nigerii, przeważnie służą w oddziałach technicznych, a nie bojowych. Zanim się to wszystko skończyło, prawie trzystu oficerów zabito albo uznano za zaginionych. Armia - spójny organizm, prawdziwie nigeryjska instytucja, w której ludzie wszystkich plemion i narodów, kultur i wyznań mogli żyć ramię w ramię i nazywać się towarzyszami broni - została zniszczona w stopniu uniemożliwiającym odbudowę. I armia była ostatnią taką instytucją. Wszystko to, co wydarzyło się przedtem i potem, wszystkie mające szanse powodzenia wysiłki zmierzające do utrzymania niepodzielnej Nigerii w takiej czy innej postaci nie miały już znaczenia. Jeśli jakiś moment znaczy śmierć jedności Nigerii, nastąpił on wtedy, gdy na obrzeżach Ibadanu runął twarzą w kurz generał zwany Żelaznym Johnnym.

Celem puczu była częściowo zemsta za jednoplemienny zamach styczniowy, a częściowo secesja Północy. Gdy tylko podpułkownik Gowon ustanowił bazę w koszarach Ikeja, dziwna flaga pojawiła się nad głównymi wrotami. Pozostała tam zatknięta przez osiemnaście dni. Miała biegnące z góry na dół pasy: czerwony, żółty, czarny, zielony i khaki. Była to flaga Republiki Nigerii Północnej. Przez trzy dni zarekwirowane w Lagos i Regionie Zachodnim autobusy, ciężarówki, samochody, pociągi i samoloty masowo transportowały do domu rodziny urodzone na Północy.

Garnizony w Lagos, na Zachodzie i Północy kontrolowali oficerowie i podoficerowie z Północy. Podczas gdy trwało zabijanie żołnierzy ze Wschodu, podpułkownik Hassan Katsina, gubernator wojskowy Północy, wezwał do wsparcia rebelii. Nasuwa się podejrzenie, że jeśli nie był jednym ze sprawców, to przynajmniej z grubsza wiedział, co się święci. Zachód nie miał nikogo, kto mógłby przemówić w jego imieniu, pułkownik Fajuyi nie żył. Nie było też nikogo, kto mógłby przemówić w imieniu Lagos.

Jednakże na Środkowym Zachodzie zamach nie nastąpił, ale też nie stacjonowały tam żadne oddziały. Jak zwykle uznano ten obszar za zbyt niepozorny, by się nim przejmować. Na Wschodzie był silny gubernator, lojalny garnizon i nie podjęto próby zamachu. W związku z tym utrzymał się tam stary reżim.

Gdy stało się jasne, że oficerowie z Północy zmierzają do secesji, powiało chłodem w niektórych siedzibach, a wcale nie najslabiej w brytyjskiej Wysokiej Komisji. Na Wschodzie pułkownik Ojukwu dostrzegł zapowiedź katastrofy i telefonicznie naciskał brygadiera Ogundipe, Joruba, najstarszego rangą oficera w armii i następcę generała Ironsiego, by przejął władzę i ogłosił się naczelnym dowódcą. Ojukwu obiecał, że gdy to nastąpi, podporządkuje

się jego rozkazom. Brygadier nie ocenił zbyt wysoko swoich szans i po beznadziejnie głupim trzypięciominutowym przemówieniu radiowym, w którym prosił wszystkich o zachowanie spokoju, znikł w Dahomeju. Objawił się w Londynie, gdzie po kilku miesiącach zgodził się objąć funkcję wysokiego komisarza Nigerii. Tymczasem pracownicy brytyjskiej Wysokiej Komisji i inni gorączkowo usiłowali nakłonić Północ do porzucenia myśli o secesji. Ale oficerowie na Północy nie byli osamotnieni w swoich żądaniach. Oddzielna niepodległość - hasło widoczne na transparentach uczestników rozruchów w zeszłym roku w maju i temat czerwcowego memorandum emirów - nadal była pragnieniem ogromnej większości Północy. Był tylko jeden sposób na utrzymanie jej wewnątrz Nigerii: wprowadzenie w życie starej alternatywy „rządzimy albo występujemy”. Według późniejszych relacji starszych rangą pracowników służby cywilnej w Lagos brytyjski wysoki komisarz, sir Francis Cumming-Bruce, odbył sześciogodzinną prywatną naradę z Gowonem przed południem 1 sierpnia. Następnie Gowon poinformował o wszystkim swoich rodaków z Północy. Po południu pułkownik Ojukwu zatelefonował z Enugu pytając Gowona, jak zamierza postąpić. Usłyszał, że jego grupa planuje zostać w Lagos i przejąć rządy nad krajem. Na protesty Ojukwu Gowon oświadczył: „No, moje chłopaki tego chcą i będą to miały”. A że chciały zostać i rządzić, zostały i rządzą. Pierwsze już przygotowane i nagrane przemówienie Gowona do narodu musiało zostać pospiesznie, ale niezbyt zręcznie przerobione. Oto, co powiedział:

Przechodzę teraz do najtrudniejszego, ale i najważniejszego fragmentu tego oświadczenia. Jestem świadom wielkiego zawodu i żalu, jaki wzbudzi on w tych wszystkich, którzy prawdziwie i szczerze kochają Nigerię i jej jedność, zwłaszcza w naszych braciach z brytyjskiej Wspólnoty Narodów. W wyniku ostatnich i podobnych wcześniejszych zdarzeń doszedłem do zdecydowanego wniosku, że nie możemy uczciwie i szczerze kontynuować tego, co jest, gdyż zaufanie i wiara w jednolity system rządzenia nie wytrzymały próby czasu. Wypowiedziałem się już na ten temat. Teraz wystarczy nadmienić, że po zbadaniu całej problematyki: politycznej, ekonomicznej i socjalnej, okazało się, że brak tam podstaw dla jedności lub też okazała się ona mocno zachwiana, nie raz, ale wielokrotnie. Stąd też uważam, że powinniśmy zrewidować problem utrzymania jedności narodu i sprawdzić, czy nie uda się nam powstrzymać kraju przed kompletnym zniszczeniem (Schwarz, op. cit. str. 211).

O ostatnim zdaniu można powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest ono zakończeniem. Po frazie „okazała się mocno zachwiana, nie raz, ale wielokrotnie” należałoby się spodziewać oświadczenia o konsekwencjach zachwiania. Co więcej, nonsensem jest sugerowanie, że

powstrzymanie kraju od kompletnego zniszczenia spowoduje zawód i żal wszystkich tych, którzy szczerze kochają Nigerię. Prawdę mówiąc, przemówienie przed przeróbką ogłaszało secesję Północy.

Gdyby nastąpiła, to chyba nie ulega zbyt wątpliwościom, że Zachód, Środkowy Zachód i Wschód niebawem osiągnęłyby należyty *modus vivendi* i wkrótce Północ i Południe stworzyłyby konfederację autonomicznych stanów albo przynajmniej wspólnotę służb państwowych, co pozwoliłoby skorzystać każdej zainteresowanej stronie ze wszystkich plusów gospodarczych takiego związku, likwidując beczkę prochu, rasową niespójność Północy i Południa.

Tymczasem Gowon mianował się lub został mianowany naczelnym dowódcą sił zbrojnych i przewodniczącym narodowego wojskowego rządu Nigerii. Na Wschodzie pułkownik Ojukwu bez wahania odmówił Gowonowi prawa do obu tytułów. By zrozumieć, czemu Biafra dziś istnieje, należy przede wszystkim zdać sobie sprawę, że w Nigerii po 1 sierpnia 1966 r. nie było jednego prawowitego rządu ani jednego reżimu rebelianckiego, ale dwa oddzielne rządy sprawujące władzę nad różnymi częściami kraju.

Do 1 sierpnia stało się jasne, że lipcowy zamach stanu różni się radykalnie od styczniowego jeszcze pod jednym względem. Po pierwszym zamachu buntownicy nie zdobyli władzy, wylądowali w więzieniu. Liderzy drugiego puczu przejęli kontrolę nad rządem federalnym i dwoma regionami. Trzeci region uznał nowy reżim później, czwarty nigdy tego nie zrobił i nie był do tego prawnie zobowiązany.

Dlatego zamach stanu się nie powiódł. Chodziło w nim o dokonanie zemsty (co się udało), a potem secesję (co się nie udało). Optując za zmianą drugiego celu i przejęciem całej władzy, liderzy zamachu musieli zakładać uległość dwóch spokojnych regionów. Gdy większy z nich stanął okoniem, Nigeria w rzeczywistości podzieliła się na dwie części.

Ale Ministerstwo Brytyjskiej Wspólnoty Narodów dopięło swego i nowa władza Nigerii została uznana. W październiku Gowon, apelując do mieszkańców Północy o zaprzestanie mordowania żyjących tam ludzi ze Wschodu, mógł użyć jako argumentu twierdzenia: „Wszyscy wiecie, że w lipcu Bóg w Swojej potędze złożył odpowiedzialność za ten nasz wielki kraj, Nigerię, w ręce kolejnego mieszkańca Północy...”

#### PROBLEM LEGALNOŚCI

Zarzuty rządów brytyjskiego i nigeryjskiego wobec Biafry opierają się przede wszystkim na założeniu, że jej rząd sprawuje władzę nielegalnie, natomiast rząd Gowona to jedyne legalne centrum władzy w kraju. Ale nie brakuje ekspertów prawnych, i to wcale nie wśród Biafrańczyków, którzy utrzymują, że oba reżimy są legalne.



Obecny nigeryjski rząd wojskowy opiera władzę na skutecznej kontroli nad stolicą i trzema byłymi regionami, rządząc 70% ludności. Świat dyplomatyczny ma obsesję na punkcie stolic i kontrola nad stolicą bardzo się liczy. Gdyby Lagos było w Regionie Wschodnim i Gowon przejął trzy dalej położone regiony, podczas gdy pułkownik Ojukwu zatrzymałby Region Wschodni i stolicę, możliwe, że dyplomaci byłiby przychylni komu innemu.

Twierdzenie pułkownika Ojukwu, że właśnie rząd Gowona podniósł bunt i stąd działa bezprawnie, opiera się na ciągłości legalnych rządów w Regionie Wschodnim po lipcu 1966 r. Wcześniej generała Ironsiego wyniesiono na stanowisko naczelnego dowódcy i przewodniczącego Najwyższej Rady Wojskowej głosami niemal całej rady ministrów. Gdyby rządowi obradującemu po śmierci premiera Balewy (w tym czasie sądzono, że został porwany) przewodniczył minister z plemienia Ibo, można by później twierdzić, że ta nominacja została „ustawiona”. Ale obradom przewodniczył Alhaji Dipcharima, Hausa i najstarszy rangą minister w Northern People’s Congress.

Generał Ironsi nie wywierał też bezprawnego nacisku na polityków. Powiedział im, jak się okazało w zgodzie z faktami, że jeśli armia nie przejmie władzy, nie ręczy za to, iż wojskowi lojalnie zastosują się do zasad rządów prawa. Nie było wiele przesady w tym twierdzeniu. Nzeogwu właśnie maszerował na południe i wiele garnizonów wrzało. Stąd też nominacja generała Ironsiego była legalna. To on w zgodzie z prawem wyznaczył pułkownika Ojukwu do rządzenia Regionem Wschodnim.

Dla Ojukwu jedynym człowiekiem mającym prawo do przejęcia sukcesji po generale Ironsim był następny stopniem oficer, brygadier Ogundipe. Gdyby Ogundipe nie został wyznaczony na urząd, Najwyższa Rada Wojskowa w pełnym składzie musiałaby wyznaczyć następcę. Tak się nie stało. Pułkownik Gowon wyznaczył sam siebie na to stanowisko albo został na nie wyznaczony przez buntowników trzy dni po 29 lipca. Wśród tych, którzy ewentualnie to zrobili, był tylko jeden członek rady, pułkownik Hassan Usman Katsina, gubernator Północy. Nawet następne zebranie rady, zatwierdzające wybór Gowona, nie odbyło się w pełnym składzie, gdyż towarzyszyły mu takie okoliczności, że pułkownik Ojukwu miałby niewielką szansę wyjść żywy z sali obrad.

Jedynie na Wschodzie rządy trwały bez przerw i niepokoju wywołanych wydarzeniami lipca 1966 r. Legalna władza funkcjonowała nieprzerwanie. Zdaniem Biafrańczyków, jeśli wziąć pod uwagę swobody zagwarantowane temu regionowi i jego obywatelom, ich zerwanie z Nigerią w maju 1967 r. było zgodne z prawem międzynarodowym. Tę ocenę podziela część opinii światowej.

## ***5. Dwaj pułkownicy***

Dwaj ludzie sprawujący władzę w dwóch jak do tej pory nie pogodzonych częściach Nigerii różnią się kompletnie. Podpułkownik Yakubu Gowon, lat trzydzieści dwa, jest synem pastora metodystów, kaznodziei kształconego w szkole misyjnej, z jednego z najmniejszych szczepów Północy, Sho Sho. Pochodzi z okolic miasta Bauchi. W dzieciństwie uczęszczał również do szkoły misyjnej, a później do szkoły podstawowej. W wieku osiemnastu lat poszedł do wojska i miał niebawem szczęście zostać wysłany na kurs oficerski do Eaton Hall, a potem do Sandhurst [brytyjskiej akademii wojskowej]. Wrócił do Nigerii podjął karierę oficera piechoty, później uczestniczył w następnych szkoleniach w Anglii, między innymi w Hythe i Warminster. Po kolejnym powrocie został pierwszym nigeryjskim adiutantem królowej, a później, jak generał Ironsi, służył w kontyngencie nigeryjskim w Kongo. Podczas styczniowego zamachu stanu był na kolejnym szkoleniu w Anglii, tym razem w Joint Service Staff College.

Wyglądem także różnił się od swojego odpowiednika po drugiej stronie Nigru. Drobny, elegancki, przystojny, zawsze znakomicie ubrany, prezentował olśniewający chłopcę uśmiech. Ale prawdopodobnie nic tak nie dzieli tych dwóch przywódców, jak cechy charakteru. Ci, którzy dobrze znali Gowona i razem z nim służyli, opisują go jako łagodnego, uległego człowieka, który muchy by nie skrzywdził - osobiście. Ale opisują również wyraźną próżność i złośliwość, skrywaną za chętnie okazywanym czarem, którym po dojściu do władzy podbił serca tak wielu obserwatorów zagranicznych. Największym zarzutem, jaki w dziedzinie polityki stawiają mu Biafrańczycy o umiarkowanych poglądach, jest słabość i niezdecydowanie w obliczu konieczności podjęcia radykalnych decyzji, łatwe uleganie ludziom o silniejszych i bardziej dominujących charakterach, ustępliwość i brak odwagi cywilnej. Z pewnością nie był równym przeciwnikiem dla wielu oficerów, którzy dokonali lipcowego zamachu stanu, ani dla przebiegłych pracowników służby cywilnej traktujących jego reżim jako środek do uzyskania władzy na krajem.

Dla Biafrańczyków Gowon nigdy nie był prawdziwym władcą Nigerii - jedynie akceptowanym przez międzynarodową społeczność figurantem, miłym dla przyjezdnych korespondentów i dziennikarzy. Umiał oczarować dyplomatów i dobrze sprzedawał się w telewizji.

Słabości jego charakteru szybko się ujawniły po przejściu władzy. Zaraz na początku wydał zakaz mordowania oficerów i żołnierzy pochodzących ze Wschodu. Jak się jednakże

okazało, prawie zupełnie nie kontrolowane rzezie trwały do końca sierpnia. Wygląda na to, że w dwa lata później jego zwierzchnictwo nad armią było niewiele pewniejsze. Raz po raz przysięgał wobec korespondentów i dyplomatów, że rozkazał lotnictwu zaprzestać bombardowań ośrodków cywilnych w Biafrze, ale rakiety, bomby i pociski artyleryjskie nadal spadały na targi, kościoły i szpitale.

35-letni podpułkownik Chukwuemeka Odumegwu Ojukwu jest zupełnie odmienną postacią. Urodził się w Zungeru, małej miejscinie w Regionie Północnym, w której jego ojciec zatrzymał się na krótki pobyt. Zmarły we wrześniu 1966 r. sir Louis Odumegwu osiągnął tytuł szlachecki i zgromadził dobre kilka milionów funtów w banku. Zaczął jako drobny biznesmen w Nnewi w Regionie Wschodnim. Zbudował ogólnokrajowe przedsiębiorstwo transportowe i był na tyle przewidujący, że sprzedał je za duże pieniądze, gdy kolej wyszła z powijaków. Aktywa włożył w nieruchomości i operacje finansowe na wielką skalę. Wszystko, czego się dotknął, obracało się w złoto.

Zainwestował w ziemię pod zabudowę mieszkalną w Lagos, kiedy ceny były niskie; nim zmarł, bagienne obszary na Victoria Island rozchwytywano za niebotyczne sumy, gdyż wyspę przeznaczono na eleganckie przedmieście rozrastającej się stolicy, zabudowane willami dyplomatów i rezydencjami.

Historię życia jego drugiego, ale ukochanego syna trudno nazwać opowieścią o nędzarzu, który stał się bogaczem. Rodzinny dom, w którym młody Emeka Ojukwu zbijał bąki przed pójściem do szkoły, był luksusową rezydencją. Jak większość bogatych biznesmenów sir Louis prowadził dom otwarty, służący za miejsce spotkań całej elity pieniądza prosperującej kolonii. W 1940 r. młody Ojukwu wstąpił do szkoły misji katolickiej, ale wkrótce przeniósł się do King's College, eleganckiego prywatnego ośrodka nauczania wzorowanego ściśle na jednej z brytyjskich szkół prywatnych. Pozostał tam do trzynastego roku życia. Wtedy ojciec posłał go do Epsom College, rozsiadłego na zielonych falujących wzgórzach Surrey. Wspominał później, że jego pierwszym wrażeniem w Wielkiej Brytanii było poczucie kompletnego zagubienia „wśród tego morza białych twarzy”. Izolacja małego Afrykańczyka w zupełnie obcym środowisku była po części kuźnią charakteru. Zostawiony samemu sobie zbudował filozofię absolutnego polegania na własnych siłach, nieustępliwej wewnętrznej samowystarczalności, która obywa się bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz. Mimo częstych starć z wychowawcą, uosabiającym dlań władzę, radził sobie całkiem nieźle, dobrze grał w rugby i ustanowił rekord w rzucie dyskiem w kategorii juniorów, który nadal nie został pobity.

Opuścił Epsom mając lat osiemnaście i przeszedł do Lincoln College w Oksfordzie.

Wtedy nastąpiło pierwsze, zwycięskie dla chłopca, starcie charakterów z ojcem. Sir Louis był typowym wiktoriańskim patriarchą o silnej woli, głową rodziny. Myśl o jakimkolwiek sprzeciwie ze strony potomstwa była dlań nieznośna. Widział w drugim synu odbicie samego siebie i zapewne miał rację. Chciał, by jego syn studiował prawo, ale po obowiązkowym pierwszym roku Emeka Ojukwu poszedł na historię współczesną, która interesowała go dużo bardziej. Nadal grał w rugby, był o krok od wejścia do reprezentacji uniwersytetu i skończył studia bez specjalnego wysiłku. Te trzy lata w Oksfordzie stały się najszcześniejsze w jego życiu; dochodził dwudziestego pierwszego roku życia, był silny, przystojny, bogaty i bez troski.

Gdy wrócił do Nigerii, wyróżniał się w Lagos tylko, jak teraz wspomina, „nienagannym krojem angielskich garniturów”. Nastąpiło drugie starcie z ojcem. Oczywiście kolejną rzeczą Ojukwu czekało rozpoczęcie pracy w jednym z prosperujących koncernów finansowych ojca lub u któregoś z jego przyjaciół, gdzie awans byłby automatyczny, a wysiłek minimalny. Poszukiwanie zajęcia, które mógłby wykonywać sam, bez osłony nazbyt wpływowego ojca, bardzo dobrze świadczy o jego poczuciu niezależności. Zdecydował się na służbę cywilną i poprosił o wysłanie do Regionu Północnego, licząc, że w ten sposób ucieknie przed ojcowskimi wpływami i łatwizną zapewnioną nazwiskiem „Ojukwu”.

Ale zapobiegł temu ustanowiony w służbie cywilnej regionalizm. Północ była dla ludzi z Północy i młodego Ojukwu wysłano na Wschód. Praca syna w służbie cywilnej na skromnym stanowisku stała się ciosem dla sir Louisa, ale pogodził się z faktami. Wyjazd na Wschód stał się ciosem dla Ojukwu. Miał nadzieję, że ucieknie przed nazwiskiem, wpływem i prestiżem ojca. Nic z tego. To, czego chciał uniknąć, szło za nim wszędzie. Sir Louis był „swoim facetem”, który dochrapał się majątku, jego nazwisko otwierało wszystkie drzwi i nowy zastępca kierownika wydziału wkrótce zdał sobie sprawę, że bez względu na wyniki oceny roczne na pewno będą entuzjastyczne. Żaden zwierzchnik nie ośmielił się źle ocenić syna sir Louisa. Była to ostatnia rzecz, na której młodzieńcowi zależało.

Żeby się sprawdzić, z furią rzucił się do pracy, wyrywał się z miasta, jak mógł najczęściej, pomagał na wsiach w budowie dróg, rowów, przepustów wodnych. Jak na ironię, to terminowanie miało podstawowe znaczenie dla jego obecnej pozycji i nadal jest źródłem, z którego stale czerpie. W ciągu tych dwóch lat faworyzowany młodzieniec z Lagos poznał swój lud, Ibo, nauczył się rozumieć problemy prostego człowieka, jego nadzieje i lęki. Co najważniejsze, Ojukwu jest tolerancyjny dla słabości ludu i wyrozumiały dla jego uczuć, co często przekracza możliwości wychowanych w Europie kolegów i towarzyszy broni. Właśnie ta więź z prostymi ludźmi, głębokie, obustronne porozumienie jest dzisiaj podstawą, na której

Ojukwu opiera swoje przywództwo nad Biafrańczykami. Nadal zdumiewa to głęboko jego zagranicznych przeciwników, od dawna życzących mu, aby stał się ofiarą zamachu stanu. Lud wiedząc, że Ojukwu rozumie go i jego zwyczaje, odpłaca mu się głęboką lojalnością.

Ale po dwóch latach pracy wśród Ibo i innych szczepów Wschodu zdecydował się opuścić służbę cywilną i zaciągnąć do armii. Jak na ironię, przyczyna tego kroku zupełnie nie pasuje do dzisiejszych oskarżeń, jakoby był człowiekiem, który „rozbił Federację”. Był takim zdecydowanym federalistą, że wąskie ramy regionalizmu krępującego służbę cywilną działały mu na nerwy. W wojsku dostrzegał instytucję, w której przynależność plemienna, rasowa i klasowa nie ma żadnego znaczenia. Było to również środowisko, w którym nie działał prestiż nieodłącznie związany z nazwiskiem ojca i syn sam mógł zasłużyć na awans.

Natychmiast został wysłany na szkolenie oficerskie do Eaton Hall, Chester, i wyszedł stamtąd jako podporucznik. (Czasem mylnie podaje się, że był w Sandhurst.) Po dalszych szkoleniach w Hythe i Warminster powrócił w rodzinne strony i otrzymał pierwszą placówkę - V Batalion w Kano, Nigeria Północna. Dwa lata później został awansowany na kapitana i posłany do KG armii w koszarach Ikeja, Lagos. Był to rok 1960, czas uzyskania niepodległości.

Życie bogatego kawalera, oficera ukochanej nigeryjskiej armii, było bardzo przyjemne. W 1961 r. został posłany do szkoły Oddziałów Granicznych Afryki Zachodniej w Teshie w pobliskiej Ghanie. Wykładał tam taktykę i prawo wojenne. Najlepszym uczniem z taktyki był porucznik Murtela Mohammed.

Następnie kapitan Ojukwu powrócił do V Batalionu w Kano, ale wkrótce awansował na majora i został wysłany do KG 1 Brygady w Kadunie. Tego samego roku służył podczas secesji Katangi w Luluabourg, prowincja Kasai, Kongo, razem z III Brygadą sił pokojowych ONZ. Tam wyselekcjonowano go do dalszego szkolenia i w 1962 r. uczęszczał na zajęcia Joint Service Staff College w Anglii. W styczniu 1963 r. otrzymał szlify podpułkownika i w tym stopniu został pierwszym rodzimym kwatermistrzem generalnym armii nigeryjskiej.

Właśnie dzięki temu stanowisku nabył doświadczenia, które później pozwoliło mu zarzucić kłam twierdzeniom rządu brytyjskiego, jakoby dostawy broni z Londynu do Lagos były tylko częścią „tradycyjnych dostaw”. Podczas sprawowania obowiązków kierował się dewizą: „Kupuj to, co najlepsze, za najniższą cenę, bez względu na osobę dostawcy”. W związku z tym większość starych kontraktów z brytyjskimi firmami anulowano i podpisano nowe, z wytwórcami z Holandii, Belgii, Włoch, Niemiec Zachodnich i Izraela, proponującymi bardziej konkurencyjne ceny. Do wybuchu obecnej wojny armia nigeryjska była zależna od dostaw brytyjskich tylko w zakresie mundurów paradywnych i pojazdów

opancerzonych.

Rok później wrócił do V Batalionu, tym razem jako dowódca. Podczas gdy przebywał w Kano w 1965 r., młody major Nzeogwu w Kadunie ukartował zamach stanu, który wybuchł w styczniu 1966 r. Nikomu nigdy nie wpadło do głowy zasugerować, że pułkownik Ojukwu maczał w tym palce albo uczestniczył w samych przewrocie. Spiskowcy pominęli go kompletnie. Po pierwsze, był uważany za osobę nadmiernie związaną z istniejącym układem władzy; co ważniejsze jednak, wiadomo było, że z obrzydzeniem odrzuci pomysł rebelii przeciw legalnie wybranej władzy, gdyż tak nakazywały mu jego legalistyczne poglądy.

Gdy zamach stanu nastąpił, Ojukwu był jednym z niewielu, którzy nie stracili głowy. Zwołał zarządzającego województwem oraz emira Kano na naradę i nalegał, aby pomogli mu zapobiec zamieszkom i rozlewowi krwi w mieście i całym województwie. Odnieśli sukces; w Kano obyło się bez zamieszek. Nie minęło kilka godzin, a telefonował do generała Ironsiego przysięgając, że wraz z V Batalionem zawsze będzie popierał legalną władzę.

Kilka dni później, gdy Ironsi potrzebował oficera z Regionu Wschodniego na stanowisko gubernatora wojskowego Wschodu, wezwał pułkownika Ojukwu.

Mając trzydzieści trzy lata pułkownik Ojukwu został wyznaczony do rządzenia własnym narodem, Ibo, i dalszymi 5 milionami ludzi w Regionie Wschodnim. Dni beztroski się skończyły. Ci, którzy znali go z dawnych lat, powiadają, że zmienił się znacznie. Obowiązki, jakie narzuciło mu rządy, a potem przewodzenie całemu narodowi, spowodowały, że wesoły młody oficer ustąpił miejsca bardziej surowej postaci. I unikając podkreślania ważności swojej osoby, nadal traktuje zajmowane stanowisko niezwykle serio. Czekają go, chociaż nie miał wtedy o tym pojęcia, masakry jego rodaków w maju 1966 r., kolejny zamach stanu, następne rasowe mordy, nienawiść, nieufność, złamane obietnice, decyzja pójścia za wolą ludu i wystąpienie z Nigerii, wojna, głód, obelgi połowy świata i może śmierć.

Ale po zmianie władzy w styczniu 1966 r. wcale się na to nie zanosilo. Jak pułkownicy Fajuyi i Ejoor, pułkownik Ojukwu nie tracił czasu i rozpoczął walkę z korupcją i sprzedajnością, które dostrzegł w życiu publicznym na Wschodzie. Wszędzie na Południu - przeciwnie niż na Północy - niektórzy najwyżsi politycy starego reżimu zostali zatrzymani, podczas gdy trwały generalne porządki.

Nawet majowe masakry w Nigerii Północnej w niewielkim stopniu zmniejszyły jego nadzieje na jedną Nigerię. Po tym, jak generał Ironsi uzyskał zapewnienie sardauny Sokoto, że nie będzie więcej zabijania, wykorzystał odwiedziny w Nsukka przyjaciela, emira Kano, i poprosił swoich ziomków, którzy zbiegli z Północy, by wrócili do dawnych zajęć. Później

żałował tego stanowiska i poczucie winy za śmierć wielu spośród tych, którzy posłuchali jego rady i zginęli w masakrach, nadal go prześladuje.

Dwie rzeczy sprawiają, że w obecnej sytuacji pułkownik Ojukwu jest niemal zupełnym wyjątkiem. Po pierwsze, nie kompromituje go udział w skorumpowanych rządach polityków; obecni władcy Lagos to przeważnie ci sami, którzy zarządzali politycznym cyrkiem w czasach, gdy nabijanie kabzy kosztem funduszy publicznych było na porządku dziennym. A poza tym nie był zamieszany w żaden z puczów; większość obecnych wojskowych dzierzymordów, stojących za politykierami w Nigerii, należy do tej samej grupy, która przeprowadziła krwawy zamach stanu w lipcu 1966 r.

Po drugie, sam był majątny. Po śmierci ojca, która nastąpiła w 1966 r., odziedziczył duże posiadłości w Lagos i gdzie indziej. Ale spadek to nie tylko nieruchomości. Stary finansista zdeponował pokaźne sumy w bankach szwajcarskich i zanim umarł, podał synowi szczegóły i sposoby podjęcia pieniędzy. Gdyby pułkownik Ojukwu po lipcowym zamachu zachował się tak, jak tego chciała klika w Lagos, mógłby zachować majątek i utrzymać stanowisko. Postępując, jak postąpił, stracił wszystko w Lagos i całą fortunę w Nigerii. Jeśli chodzi o pieniądze za granicą, to uparł się wydać swój ostatni grosz, zanim ruszy zagraniczne fundusze byłego Regionu Wschodniego. Cała jego fortuna była oceniana na 8 milionów funtów.

## ***6. Jesienne bestialstwa***

Sytuacja wynikła po lipcowym zamachu stanu była skomplikowana i tragiczna. Gdy wieści o zabijaniu żołnierzy z Regionu Wschodniego we wszystkich koszarach Północy i Zachodu przysły na Wschód - zawrzało. Bez broni, przebrani w cywilne łachy, maszerując nocami i ukrywając się za dnia, pierwsze grupy oficerów i szeregowych, które uszły śmierci, zaczęły przekraczać Niger i zdawać relacje.

Dla pułkownika Gowona ten tydzień miał decydujące znaczenie. Podałem już kilka przyczyn, które zdecydowały o tym, że spiskowcy wybrali go na przywódcę. To, że był następnym rangą oficerem po Ironsim, jest oczywistą nieprawdą. Jego wyjaśnienie podane przez radio 1 sierpnia, że został wyznaczony przez większość Najwyższej Rady Wojskowej, szybko obalono na Wschodzie. Po pierwsze, rada nie podejmowała decyzji na zasadzie większości głosów, po drugie, nie zebrała się. Trzecia przyczyna, która zadecydowała o jego wyborze, szczególnie podkreślana przez osoby będące wówczas za granicą, brzmiała, że „był jedynym człowiekiem, który potrafił zapanować nad rebeliantami”.

Nowy reżim stanął przed trzema palącymi problemami: należało ukrócić morderstwa w wojsku, znaleźć najwyższego dowódcę, którego wszyscy by zaakceptowali, i określić przysłą podstawę do powiązania czterech regionów.

Chociaż pułkownik Ojukwu nie był gotowy uznać wyższości pułkownika Gowona, niemniej jednak zdał sobie sprawę, że jeśli cokolwiek można uratować z powstałego rozgardiaszu, by zachować jedność Nigerii, to musi spróbować współpracy z nowym reżimem. W tym celu zatelefonował z Enugu i zaproponował spotkanie przedstawicieli gubernatorów wojskowych. Spróbowaliby nawiązać chociaż tymczasowe porozumienie między regionalnymi blokami wojskowymi, powstałymi w wyniku zamachu.

Siłą panująca na Północy, Zachodzie i w Lagos była teraz armia Północy. Południowców w „armii państwowej” (tj. federalnej) zabito lub przegnano. Większość mieszkańców Środkowego Zachodu (a nie było ich zbyt wielu) pochodziła ze środkowozachodniej grupy Ibo, w związku z czym uznano ją za reprezentującą Wschód i cierpiała ten sam los, a mieszkańców Zachodu była w armii zaledwie garstka. Joruba tradycyjnie rzadko zgłaszali się do wojska.

Spotkanie przedstawicieli odbyło się zgodnie z harmonogramem 9 sierpnia i osiągnięto na nim porozumienie w najważniejszej sprawie - wszyscy żołnierze winni powrócić do regionów, z których pochodzą. Przedstawiciele Północy wyrazili na to zgodę. Chociaż



późniejsi analitycy często pomijają owo porozumienie, to wprowadzenie go w życie mogłoby uratować Nigerię. Na Zachodzie zamach uzyskał poparcie jedynie eks-polityków z czasów Akintoli. Ci ludzie wciąż byli szczerze nie cierpieni przez większość mieszkańców. Powrót żołnierzy z Północy do siebie pozwoliłby mieszkańcom Zachodu na swobodne głoszenie opinii, co było absolutnie niemożliwe, dopóki tamci okupowali wszystkie koszary i trzymali posterunki na drogach.

Uwolniony z więzienia wódz Awolowo nadal był wystarczająco popularny, by reprezentować Zachód. Ale nowy reżim nigdy nie dopełnił obietnicy. Wy tłumaczono, że liczba żołnierzy z plemienia Joruba jest niewystarczająca, by mogli zastąpić oddziały z Północy. Prawdę mówiąc, bezpieczeństwo mogłaby zapewnić policja, gdyż mieszkańcy Zachodu nie mieli powodu, aby wpadać w amok. Okazało się, że żołnierze z Północy nie ruszyli się z miejsca; dla mieszkańców zarówno Zachodu, jak i Wschodu byli armią okupacyjną i często tak się zachowywali.

Na Wschodzie pułkownik Ojukwu trzymał się litery porozumienia. Urodzeni na Północy żołnierze, stanowiący część garnizonu w Enugu, zostali repatriowani na Północ koleją, pozwolono im zabrać ze sobą broń i amunicję, aby mogli się obronić w razie napaści po drodze. Broń mieli odesłać po przybyciu do domu. Ale gdy eszelony dotarły do Kaduny, żołnierze nawet nie myśleli o tym, aby zwrócić broń.

Gdzie indziej ogłoszono, że żołnierze pochodzący ze Wschodu powrócą do domu. Poza tymi uciekinierami, którzy zbiegli 29 lipca i w następnych dniach, były inne grupy, których dotąd nie spotkało nic złego. Niektóre z nich odesłano z Północy do domu, ale bez broni i eskorty, narażone na ciągle molestowanie ze strony nagle wrogiej ludności. Napięcie rosło.

Pod koniec miesiąca stało się jasne, że nadal brakuje setek ludzi. Wtedy właśnie pułkownik Ojukwu poprosił o pozwolenie na powrót oddziałów przebywających poza ojczyzną. W następstwie tej prośby dwudziestu dwóch żołnierzy w Ikeja poszło pod mur.

Te wydarzenia nie pozostały bez wpływu na to, co działo się na Wschodzie. Po majowych masakrach na Północy generał Ironsi powołał komisję śledczą pod przewodnictwem brytyjskiego sędziego sądu pierwszej instancji. W ten sposób poszedł w ślady Brytyjczyków, którzy ustanowili taką praktykę po zamieszkach w Jos w 1945 r. i morderstwach w Kano w 1953 r. Ale zanim komisja się zebrała, zażądał od swojego szefa sztabu wstępnego śledztwa. Pułkownik Gowon, naciskany kilka razy przed Najwyższą Radą Wojskową, by przedstawił wyniki, zwlekał, utrzymując, że raport nie jest jeszcze gotowy. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie był gotowy i pułkownik Gowon po dojściu do władzy

rozwiązał komisję, która nawet nie miała okazji się zebrać. W rezultacie nikogo nie obarczono odpowiedzialnością za majowe zabójstwa, winni nie zostali postawieni przed sądem, a ofiary nigdy nie otrzymały zadośćuczynienia.

Stąd na Wschodzie zrodziło się głębokie podejrzenie wobec pułkownika Gowona; wyglądało na to, że nie zamierzał ujawnić tła morderstw majowych. To wrażenie umocniło się, gdy doprowadził do wydania dokumentu, z którego wynikało, jakoby zamieszki spowodowało wyłącznie opublikowanie Dekretu Unifikacyjnego z 24 maja. Prawdę powiedziawszy, Dekret był jednogłośną decyzją Najwyższej Rady Wojskowej, w której szeregach zasiadało dwóch oficerów z Północy, pułkownik Hassan Katsina i Alhaji Kam Selem.

Ważniejszą i często pomijaną sprawą jest kompletna wolta poglądów Wschodu co do przyszłego kształtu Nigerii. Poprzednio Wschód był najgorętszym orędownikiem jednej Nigerii, włożył więcej wysiłku w realizację tej idei niż jakakolwiek inna grupa etniczna i wspierał ją stale na płaszczyźnie politycznej. Ale między 29 lipca i 12 września Wschód zmienił zdanie o 180 stopni. Nie było to dla niego radosne doświadczenie, ale został do tego zmuszony ostatnimi wydarzeniami. Żałosny akapit jednej z jesiennych publikacji rządu Regionu Wschodniego tłumaczy konkluzję, do której doszli mieszkańcy Wschodu:

Ostatnie wydarzenia udowodniły dobitnie, że wiara mieszkańców Wschodu, jakoby tylko centralna władza mogła utrzymać razem naród całego kraju, była wyzbyta podstaw i być może stanowiła nadmierne uproszczenie sytuacji. Obecnie wygląda na to, że podstawa, na której Wschód opierał swoją wiarę w jeden naród, jedno wspólne obywatelstwo i jedno przeznaczenie, nigdy nie istniała, (*The Problem of Nigerian Unity; The Case of Eastern Nigeria* [*Problem jedności Nigerii; przypadek Nigerii Wschodniej*], str. 28).

Dojście do takiej konkluzji nie było zbyt przyjemne i pozostawiło głębokie rozczarowanie, stanowiło niemal wstrząs. Nawet dzisiaj przebija to w tonie wypowiedzi tych Biafrańczyków, którzy wówczas znaleźli się w centrum wydarzeń.

Tymczasem w każdym regionie toczyła się dyskusja na temat postawy, jaką dana część kraju przyjmie na zwołanej na 12 września w Lagos Specjalnej Konferencji poświęconej rewizji konstytucji. Na tym spotkaniu Wschód zaproponował luźne połączenie stanów dysponujących szerokim zakresem wewnętrznej autonomii, nie dlatego, że takie było jego marzenie, ale ponieważ trudno było sobie wyobrazić sobie coś innego, biorąc pod uwagę stan faktyczny. Trzy miesiące później pułkownik Ojukwu ujął to w dwóch zdaniach: „Lepiej,

żebyśmy odsunęli się trochę od siebie i przeżyli. Dużo gorsze jest, żebyśmy zbliżyli się do siebie i ulegli zniszczeniu podczas kolizji” (ustny raport z obrad Najwyższej Rady Wojskowej, Aburi, Ghana, 4-5 stycznia 1967 r., str. 45).

Północ również optowała za luźną federacją, nawet jeszcze luźniejszą, niż było to określone w propozycji Wschodu. Wersja Północy była tak luźna, że sugerowany twór dałoby się określić jako konfederację stanów. Aby nie było żadnych wątpliwości co do jej poglądów, delegacja Północy dołączyła szczegółowe memorandum o Organizacji Wspólnych Służb Państwowych Afryki Wschodniej, proponując ją jako rozwiązanie modelowe. W swojej propozycji delegacja Północy miała tyle do powiedzenia na temat jedności Nigerii:

Ostatnie zdarzenia pokazują, że budowanie przyszłości kraju na sztywnej politycznej ideologii byłoby nierealistyczne i katastrofalne dla jej przywódców. Zbyt długo udawaliśmy, że nic nie dzieli ludzi tego kraju. Jesteśmy różnymi narodami, zbliżonymi w wyniku ostatnich przypadków historycznych - tak wygląda bolesny, niezwykle ważny fakt w nigeryjskim eksperymencie, fakt, który musimy uczciwie przyjąć do wiadomości, zwłaszcza jeśli chcemy myśleć o przyszłości. (Oryginalne memorandum przedłożone przez delegację Północy na Nigeryjskiej Specjalnej Konferencji Konstytucyjnej rozpoczętej w Lagos 12 września 1966 r. podane w całości w *The North and Constitutional Development in Nigeria [Północ i przemiany konstytucyjne w Nigerii]*, str. 23).

Podobieństwo konkluzji w tym ustępie i wcześniej cytowanym jest jednoznaczne. Chyba po raz pierwszy w historii Wschód i Północ zgodnie uznały za oczywiste, iż razem żyć niepodobna.

Północ poszła nawet dalej, prosząc o zamieszczenie w konstytucji Nigerii zapisu o możliwości secesji. „Każde państwo unii zastrzega sobie prawo całkowitego i natychmiastowego wystąpienia i poczynienia takich ustaleń względem współpracy z innymi członkami unii, jakie będą odpowiadać woli pojedynczego członka czy też kilku” (ibid., str. 25).

Przeciwnie niż na Wschodzie, poglądy Północy zgadzały się całkowicie z jej tradycją. Wtedy nastąpiła druga wolta. Wygląda na to, że po kilku dniach w Lagos w łonie delegacji Północy nastąpił kryzys. Pułkownik Katsina przybył z Kaduny; delegaci w pośpiechu wyjechali na Północ; konferencję odroczone. Kiedy wrócili po konsultacjach, przedstawili zupełnie inny zestaw propozycji. Tym razem domagali się silnego i efektywnego rządu centralnego, pomniejszając w ten sposób autonomię regionów; zgodzili się na stworzenie

większej liczby stanów w Nigerii (poprzednio zawsze odwracali się ze wstrętem od takiego pomysłu); ustalili, że należy usunąć jakiegokolwiek wzmianki o secesji.

Przedstawiano kilka różnych wyjaśnień tego niesłychanego zerwania z całą tradycją poglądów Północy. Jedno z nich opiera się na założeniu, że osobistości z Pasa Środkowego, którego mieszkańcy stanowili przygniatającą część armii, wyraźnie sprzeciwiły się powrotowi do autonomii regionalnej, gdyż to narzuciłoby im po raz wtóry dokuczliwą hegemonię emirów. Wykorzystując przewagę liczebną swoich rodaków w wojsku, naciskały na dwa ośrodki władzy - Północ i rząd centralny - forsując korzystne dla siebie rozwiązanie. Jeśli to prawda, oznaczałoby wprowadzenie do nigeryjskiej polityki nowej siły - plemion mniejszościowych - i spowodowałaby, używając określenia Waltera Schwarza, „trzeci zamach stanu”.

Kolejne wyjaśnienie głosi, że emirowie uznali - lub wytłumaczono im - iż zupełnie autonomiczne regiony będą musiały polegać głównie na własnych dochodach i że wtedy Północ sama będzie musiała spłacić ogromne długi ciążące na niej z tytułu budowy tamy w Kainji i przedłużenia linii kolejowej do Bornu, podczas gdy Wschód zgarnie większość dochodów z wydobycia ropy naftowej.

Możliwe jest trzecie wyjaśnienie: brytyjscy dyplomaci wzięli się do roboty i wykorzystali swoje niewątpliwe wpływy na Północy, dając do zrozumienia, że Whitehall bynajmniej nie życzy sobie powstania w Nigerii konfederacji.

Po czwarte, możliwe, że władcy Północy zdali sobie sprawę; iż mogą pozwolić na to, by osobistości z plemion mniejszościowych stały się pierwszoplanowymi postaciami w zjednoczonej Nigerii, a nawet stać ich na utworzenie nowych stanów, pod warunkiem że oni sami pozostaną ukrytym jądrem władzy. Warunkiem takiego układu byłaby zależność nowego rządu centralnego od wojska, które z kolei byłoby posłusznym narzędziem Północy. Pewne dowody potwierdzające to wyjaśnienie wyszły na jaw później, gdy Północ ostentacyjnie została podzielona na sześć stanów i korespondent BBC zapytał pułkownika Katsinę, czy ta zmianą w jakikolwiek sposób wpłynęła na tradycyjny układ władzy w Nigerii. Odpowiedź brzmiała: „Bynajmniej”. Gdy w połowie obecnej wojny wyglądało na to, że Gowon może umocnić się przy władzy, Katsina przesunął brygadę składającą się z Hausa na północne obrzeża Lagos i spokojnie wyznaczył siebie następnym szefem sztabu po kolejnym mieszkańcu Północy, pułkowniku Bisalli.

Jakikolwiek byłby powód tej zmiany, była ona tak nagła i tak nietypowa, że wskazywała na zakulisową „umowę”, a satysfakcja Whitehall tak wyraźnie objawiła się w Lagos, że nie ma mowy o neutralności brytyjskiej Wysokiej Komisji.

Jak się okazało, Konferencja Konstytucyjna nie przyniosła żadnych owoców; została przerwana i udaremniona przez kolejne morderstwa na obywatelach Wschodu, którzy imigrowali na Północ. Te gwałty były najgorsze z dotychczasowych i przybrały tak intensywną postać, że zniszczyły wszelkie iluzje, iż nienawiść Północy względem Wschodu można uznać za minioną fazę w kształtowaniu się nowego narodu; utwierdziły w mieszkańcach Wschodu przekonanie, że ich jedyna nadzieja na przetrwanie leży w wystąpieniu z Nigerii.

W późniejszych publikacjach nigeryjskiego rządu wojskowego (nic dziwnego, że publikacje federalne są zdecydowanie za Północą) podano kilka przyczyn tłumaczących te masakry, a ich charakter i rozmiar mocno zbagatelizowano. Po analizie owych wyjaśnień okazuje się, że podrzucono je lub wymyślono po masakrach, a porównanie odpowiednich dat i zbadanie materiałów dowodowych dostarczonych przez europejskich naocznych świadków obnaża nieprawdziwość oficjalnych wypowiedzi. Głównie tłumaczono się tym, że wcześniej mordowano imigrantów z Północy, którzy przenieśli się na Wschód, i to spowodowało masakry mieszkańców Wschodu na Północy. W istocie, ludzie z Północy przebywający na Wschodzie doświadczyli gwałtów, ale nastąpiły one dopiero po siedmiu dniach zabójstw imigrantów ze Wschodu na Północ.

Podobnie jak w maju, masakry zostały przygotowane i zorganizowane przez bardzo podobne elementy, które zdyskredytowały się w styczniu: eks-polityków, pracowników służby cywilnej, lokalnych urzędników rządowych oraz partyjnych najemników i zbirów. Znowu widziano ich jeżdżących od miasta do miasta wynajętymi autobusami. Zachęcali i wiedli ludność do ataków na *sabon garis*, zamieszkane przez ludzi ze Wschodu. Była jedna istotna różnica; pod koniec lata policja i wojsko nie tylko uczestniczyły w masakrach, ale w wielu przypadkach stały na czele mordujących gangów, inicjowały rabowanie posiadłości ofiar i gwałcenie kobiet.

Te wybuchy nienawiści nastąpiły między 18 i 24 września, tj. kilka dni po rozpoczęciu Konferencji Konstytucyjnej w Lagos, w północnych miastach Makurdi, Minna, Gboko, Gombe, Jos, Sokoto i Kaduna. IV Batalion w Kadunie opuścił koszary i wziął się do rabowania cywilów. Pułkownik Katsina ostrzegł żołnierzy, by przestali, ale bez najmniejszego efektu.

29 września pułkownik Gowon wygłosił przemówienie radiowe, które jakoby miało położyć kres przemocy. Powiedział w nim: „Jest ona sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem i przekracza granice lekkomyślności i nieodpowiedzialności”. Mogło to stworzyć u słuchaczy wrażenie, że mordowanie ludzi ze Wschodu jest do pewnego etapu całkiem rozsądną

praktyką.

W każdym razie jego interwencja była bezowocna. Tego dnia pogromy, zamiast ustać, przeszły w holocaust.

Żeby opisy tego, co się wydarzyło, nie zostały uznane przez czytelnika za płód wyobraźni, jak to często sugerowano w pewnych brytyjskich i nigeryjskich kręgach rządowych, niech lepiej trzej europejscy naoczni świadkowie opowiedzą, co widzieli.

Korespondent czasopisma „Time”, 7 października:

Masakry rozpoczęły się na lotnisku w pobliżu miasta Kano, siedziby V Batalionu. Lecący do Lagos samolot z Londynu właśnie wylądował i pasażerów do Kano prowadzono do szopy, w której robiono odprawę celną, gdy wpadł uzbrojony w karabin żołnierz i z szaleństwem w oczach wrzasnął: *Ina Nyamiri!*, co w hausa znaczy: „Gdzie są ci przekleci Ibo?” Wśród celników byli Ibo; cisnęli swoje tabliczki i uciekli, ale co z tego. Zostali zastrzeleni w hali głównej przez innych żołnierzy. Żądni krwi żołnierze Hausa wykrzykiwali hasła islamskiej świętej wojny. Obrócili lotnisko w perzynę, zakłuli bagnietami pracowników Ibo w barze, strzelali do nich w korytarzach, wyciągnęli pasażerów Ibo z samolotu, ustawili na lotnisku i zastrzelili.

Z lotniska żołnierze rozbiegli się po śródmieściu Kano, ścigając Ibo w barach, hotelach i na ulicach. Jedna grupa pojechała dżipami na stację kolejową, gdzie ponad stu Ibo czekało na pociąg. Padli pod ogniem automatów.

Żołnierze nie musieli sami się zajmować zabijaniem Ibo. Wkrótce dołączyły do nich tysiące cywilów Hausa, które z furją przeczesywały ulicę za ulicą. Napastnicy byli uzbrojeni w kamienie, kordelasy, maczety i domowego wyrobu maczugi zakończone metalem i szkłem. Wyjął: „Niewierni!” i „Allah!”, tłuszcza i żołnierze napadali na *sabon garis* (dzielnice obcych), łupiąc, rabując, paląc domy i sklepy Ibo oraz mordując ich właścicieli.

Przez całą noc i przedpołudnie trwały masakry. Potem utrudzeni, ale usatysfakcjonowani Hausa powlekli się do domów i koszar, aby zjeść śniadanie i przespać się. Wysłano ciężarówki zakładu oczyszczania miasta. Zbierano trupy i składano w zbiorowych mogiłach poza miastem. Nigdy się nie dowiemy, jaka była liczba ofiar, ale wynosiła przynajmniej tysiąc.

Kilka tysięcy Ibo przeżyło tę masakrę i wszyscy mieli tylko jedną myśl: wynieść się z Nigerii.

Walter Partington z „Daily Express”, Londyn, 6 października:

Sądząc z tego, czego nasłuchałem się podczas lotów do miast, z którymi cywilne lotnictwo nigeryjskie utrzymuje łączność rejsową, i podróży autostopem po tej opuszczonej krainie, groza tych masakr czasami dorównywała wydarzeniom w Kongo. Nie wiem, czy zostali jacyś Ibo w Regionie Północnym... gdyż jeśli nie są martwi, to muszą się ukrywać w buszu, w tym kraju, który wielkością dorównuje Wielkiej Brytanii i Francji.

Widziałem sępy i psy szarpiące trupy Ibo, kobiety i dzieci dzierzące maczety, pałki i broń palną.

W Kadunie rozmawiałem z pilotem stałej linii lotniczej, który w zeszłym tygodniu przewiózł setki Ibo w bezpieczne miejsce. „Liczba ofiar musi przekraczać 3 tysiące...” - powiedział. Pewna młoda Angielka powiedziała: „Hausa zwozili rannych Ibo do szpitali i tam ich zabijali”.

Rozmawiałem z trzema rodzinami, które uciekły z miasteczka Nguru w buszu, 176 mil na północ stąd (tzn. od Lagos - przypis F.F.). Uciekli trzema dżipami z miasteczka, w którym około 50 Ibo zabiła tłuszcza pijana piwem ze sklepów Europejczyków. Pewien Anglik, który umknął z miasta, opowiadał mi o dwóch katolickich księżach uciekających przed tłumem. „Nie wiem, czy udało się im zbiec, nie czekałem, żeby się o tym przekonać...” Wielu Ibo, którzy zginęli w masakrach, pochowano w zbiorowych mogiłach poza murami muzułmanów.

W Jos pilot, który przewoził Ibo na Wschód, mówił o przynajmniej 800 zabitych.

W Zaria, 45 mil od Kaduny, rozmawiałem z Hausa w szafranowej szacie, który powiedział mi: „Zabiliśmy tu z 250. Może Allah tak chciał”.

Pewien Europejczyk był zmuszony wydać jakąś kobietę i jej córkę. Zaszlachtowano je na jego oczach w przydomowym ogródku.

Colin Legum z „Observera”, Londyn, 16 października:

Podczas gdy Hausa w każdym miasteczku i wsi na Północy wiedzieli o tym, co się wydarzyło w ich okolicy, tylko Ibo znają całą straszliwą opowieść od jakichś 600 tysięcy uchodźców, którzy szukali bezpieczeństwa we Wschodnim Regionie - okulawieni, cięci maczetami, bici, odarci do naga i pozbawieni wszelkiej własności; sieroty, wdowy, pogrążone w głębokim szoku. Pewna kobieta, niema i oszołomiona, zjawiła się z powrotem w swojej wiosce po pięciu dniach wędrowania z pustą miseczką. Trzymała głowę swojego dziecka odciętą na jej oczach.

Wszyscy zjawiali się z połamanymi kończynami, oderżniętymi dłońmi, rozciętymi ustami. Rozpłatywano brzuchy ciężarnych i zabijano nie narodzone dzieci. Pełna liczba ofiar

jest nieznana. Rannych przybyłych na Wschód liczy się w tysiące. Po dwóch tygodniach pewne miejsca w Regionie Wschodnim przypominają skupiska uciekinierów w Izraelu pod koniec ostatniej wojny. To porównanie nie jest wymysłem.

Okropności trwające podczas ostatnich tygodni lata 1966 r. były tego rodzaju i na taką skalę, że dalszy ich opis grozi krytyką, iż autor rozkoszuje się bestialstwem owych wydarzeń. Opisy zestawione później z relacji ofiar sięgają kilku tysięcy stron, a natura tych okropności umyka ludzkiemu zrozumieniu. To samo stosuje się do opisów przedłożonych przez europejskich lekarzy, którzy razem z innymi opiekowali się rannymi na lotnisku i stacji kolejowej Enugu, gdy uchodźcy przybywali na Wschód.

Ale nie mniej zdumiewające były późniejsze działania rządów Nigerii i Wielkiej Brytanii, zamierzających ukryć to wszystko, jakby przemilczenie mogło ułatwić zapomnienie. Dla rządu Nigerii to temat tabu; w kręgach Whitehall nic tak świetnie nie mrozi konwersacji od czasów Burgessa i Macleana [wysokich pracowników brytyjskiego MSZ i wywiadu skaptowanych przez Sowietów].

Wydaje się, że w związku z oderwaniem się Nigerii Wschodniej od Federacji i obecną wojną wielu wyrafinowanych korespondentów prasowych milcząco uznało, że nie należy wspominać o zabójstwach z 1966 r. To nierealistyczna postawa. Nie można wyjaśnić postawy Biafrańczyków względem Nigeryjczyków bez odwołania się do tych wydarzeń, tak jak nie da się wytłumaczyć postawy Żydów wobec Niemców, nie odwołując się do tego, czego Żydzi doznali z rąk hitlerowców w latach 1933-1945.



## 7. Aburi - ostatnia szansa Nigerii

Nie ulega wątpliwości, że celem pogromów 1966 r. było wypędzenie imigrantów wschodnich z Północy, a może nawet z Nigerii. Obydwa te cele osiągnięto z wielkim powodzeniem. W następstwie rzezi imigranci wracali do domu całymi gromadami, przekonani raz na zawsze, że Nigeria nie może ani nie chce zaproponować im podstawowych gwarancji praw obywatelskich - bezpieczeństwa życia i własności.

Od tamtych wydarzeń ich ofiary były oskarżane o rozdmuchiwanie rozmiarów i skutków masakr. Jak na ironię, rozdmuchiwanie nie było konieczne. Fakty mówiły same za siebie i zostały poświadczone przez zbyt wielu niezależnych obserwatorów, aby można je odrzucić. Walter Schwarz, którego trudno oskarżyć o popadanie w przesadę, określa je jako „pogrom o rozmiarach ludobójstwa”.

Nie były one również skierowane wyłącznie przeciwko Ibo. Słowo *Ibo* jest na Północy ogólnym określeniem (dokładnie biorąc, w języku hausa brzmi ono *Nyamiri* i jest zarówno rzeczownikiem, jak i obraźliwym epitetem) wszystkich urodzonych na Wschodzie, bez względu na przynależność plemienną. Tak więc nie tylko Ibo cierpieli, chociaż niewątpliwie byli w większości. Plemiona Efik, Ibibio, Ogoja i Ijaw również skazano na rzeź.

Gdy przybyli w rodzinne strony, fala gniewu zmieszana z rozpaczą i rozczarowaniem przetoczyła się po Wschodzie.

Trudno byłoby znaleźć w Regionie wieś czy miasteczko, rodzinę czy osadę, które nie przygarnęły jednego z uchodźców i nie posłuchały, co ma do opowiedzenia. Tysiące przybyszów zaznane katusze fizyczne lub psychiczne okaleczyły do końca życia. Prawie każdy pozostał bez grosza, gdyż imigranci ze Wschodu tradycyjnie inwestowali pieniądze w interes albo posiadłość i niewielu zbiegów było w stanie przywieźć coś więcej poza małą walizką.

Domy, interesy, stosowne dochody i pensje, oszczędności i meble, samochody i koncesje - w przypadku wielu ludzi dorobek całego życia - wszystko to musiało zostać. Uchodźcy nie tylko stracili domy i posiadłości - przybywając na Wschód nie mieli żadnych środków utrzymania, a wielu zjawiało się w miejscach, które po raz pierwszy widziało.

Naturalnie nastąpiła reakcja. Podczas gdy rzezie nadal trwały na Północy, zdarzały się sporadyczne akty odwetu przeciw imigrantom z Północy mieszkającym na Wschodzie. Emigranci opowiadali o atakach na Hausa w Port Harcourt, Aba i Onitsha. Ale ci sami naoczni świadkowie przyznali, że były to okazjonalne akty, spowodowane chwilowymi

wybuchami wściekłości. Na Wschodzie było zaledwie kilka tysięcy imigrantów z Północy i pułkownik Ojukwu na wieść o gwałtach zareagował szybko. Podczas gdy liczba zgonów na Północy rosła i zaczęły docierać wieści o tym, co się tam dzieje, stało się jasne, że na Wschodzie przyszłość imigrantów z Północy jest, łagodnie mówiąc, problematyczna.

Gubernator wojskowy rozkazał, by tych, którzy znajdowali się na terytorium Wschodu, przetransportować do granicy pod eskortą policji. Posłuch, jaki Ojukwu potrafił zdobyć wśród własnego narodu, kontrastował z bezradnością Gowona i Katsiny. Chociaż policja Regionu Wschodniego mogła nienawidzić ludzi, którymi przyszło jej się opiekować, wypełniała obowiązki. Tylko przy jednej okazji, gdy pociąg został zatrzymany na moście nad rzeką Imo, grupka imigrantów z Północy będąca pod opieką policji doznała szkody. Ogromna większość opuściła Wschód bez szwanku.

Co się tyczy ogólnych danych, będących od tamtej pory przedmiotem poważnych sporów, to Legum trafia w sedno, gdy zauważa, że „tylko Ibo znają całą straszną prawdę”. Wobec oczywistej niechęci rządu federalnego do przeprowadzenia śledztwa Wschód zarządził własne dochodzenie. Przeprowadził je Gabriel Onyiuke, dawny nigeryjski prokurator generalny, który uciekł z Nigerii. Zebranie pełnego materiału dowodowego trwało długo. Wielu uchodźców rozpiechło się po całym Regionie i trudno było do nich dotrzeć. Inni nie zareagowali na wezwanie do zgłoszenia się i złożenia zeznań. Co więcej, napływ uchodźców trwał miesiącami, gdy aura przemocy i strachu rozprzestrzeniała się z Północy na Zachód do Lagos.

Idąc w ślady swoich kolegów z Północy, żołnierze z tamtego regionu, stacjonujący na Zachodzie, również zaczęli włóczyć się po ulicach szukając okazji do dręczenia imigrantów ze Wschodu. Polowali nocami na ulicach Lagos, wyszukiwali błąkających się ludzi ze Wschodu i zabierali na autostradę Agege, gdzie przeprowadzali egzekucje. Niektóre z czołowych osobistości Nigerii uciekły z domów czy apartamentów samochodami pełnymi rzeczy, zamierzając przekroczyć Niger i dotrzeć do bezpiecznej strefy.

Do stycznia śledztwo ustaliło liczbę zabitych na Północy na 10 tysięcy, ale była ona szacunkowa, obliczona przez dodanie dużych grup zabitych w największych miastach. Na rozległych terenach Północy były setki małych osad imigrantów ze Wschodu. Liczyły czasem nie więcej niż dziesięć czy kilkanaście osób we wsiach zamieszkałych poza tym wyłącznie przez Hausa lub Tiv. Gdy zebrano dowody na to, co się stało z tymi grupkami, ogólna liczba zabitych - wraz z tymi, którzy stracili życie na Zachodzie i w Lagos - przewyższyła 30 tysięcy. Do tego dodano kilka tysięcy okaleczonych, inwalidów i doprowadzonych do stałej utraty zmysłów.

Sama liczba imigrantów ze Wschodu na Północy przekraczała znane oceny. W sumie, gdy wszyscy wrócili, ich liczbę ustalono na 1,3 miliona. Uchodźców z innych regionów było blisko 500 tysięcy.

Z konieczności dane te są przybliżone, gdyż wielu ludzi składało oświadczenia, że dawniej znało rodzinę żyjącą tam lub gdzie indziej, ale wszelki śluch o niej zaginął. Porównanie danych, aby można było ustalić los tych, którzy nie powrócili, wymagałoby w idealnych warunkach użycia komputera.

Goszcząc na Wschodzie w trzy miesiące po tak ogromnym napływie uchodźców, można by się spodziewać wielkich obozów ludzi bez stałego zamieszkania, korzystających z dobroczynności; całkiem normalne byłyby wezwania pod adresem Funduszu Uchodźców ONZ o przysłanie pomocy humanitarnej, by zapobiec klęsce głodu. Jak na ironię, gdyby taka była reakcja Wschodu, może problem uchodźców poruszyłby sumienie świata, jak sprawa Gazy, i świat z sympatią pobłogosławiłby sprawę niepodległości tego regionu. Gdyby mieszkańcy Wschodu byli skłonni od razu zerwać z Nigerią, może zdobyliby natychmiastowe poparcie i szerokie kręgi zwolenników.

Ale Nigeryjczycy ze Wschodu nie są Arabami. Nie zniesliby na swojej ziemi takiego chorego wrzodu jak Strefa Gazy. Rozwinięty system rodzinny - tradycyjna struktura, w której każdy bez względu na stopień pokrewieństwa jest zobowiązany do przyjęcia krewnego w biedzie - sprawdził się na medal. Niemal cudem uchodźcy zniknęli, znajdując kątek u dawno nie widzianych dziadków, wujów, kuzynów, teściów. W każdym wypadku głowa rodziny po prostu przyjmowała na siebie dodatkowy obowiązek nakarmienia jeszcze kilku gęb. To dlatego pozornie tak szybko uporano się z problemem.

Ale w rzeczywistości problem pozostał i był ogromny. Napływ ludności zrodził bezrobocie na trudną do rozwikłania skalę; służby zajmujące się opieką społeczną i zdrowotną były bezradne; służby medyczne nie mogły sobie poradzić z masą rannych; służby edukacyjne nagle miały o kilkaset tysięcy więcej dzieci w wieku szkolnym. W większości krajów świata rząd centralny czułby się zobowiązany do wdrożenia programu szerokiej pomocy. Przyspieszyłby rozwój wszystkich służb albo wprowadził wysokie ulgi podatkowe. Biorąc pod uwagę, że szkody zostały wyrządzone przez jednych obywateli tego samego państwa drugim, na porządku dziennym byłyby też wysokie odszkodowania. Ale nie w Nigerii rządzonej przez pułkownika Gowona.

Nie wyrażono żalu, rząd centralny Nigerii nie zażądał od Północy niczego podobnego; nie było odszkodowań, rekompensat, nie było propozycji wynagrodzenia szkód na tyle, na ile dałoby się je wynagrodzić. O ile wiadomo, żaden żołnierz nie dostał dnia „paki”, żaden oficer

nie stanął przed sądem wojennym, żadnego policjanta nie wysłano na emeryturę i żaden cywil nie został oskarżony, chociaż wielu zidentyfikowano.

Postawa rządu Gowona w Lagos była odpowiedzią na pytania mieszkańców Wschodu o bezstronność centrum. Odpowiedzią finalną i zniechęcającą. Tymczasem napięcie stało się już nieznośne, a żądanie kompletnego zerwania z Nigerią z szeptu przeszło w ryk huraganu.

Z dawnych trzech regionów Wschodni był ostatnim chętnym do wypowiedzenia słowa „secesja”. Przez dwadzieścia lat to Północ stale groziła odejściem. W 1953 r. podczas rozmów w Londynie, z których zrodziła się konstytucja 1954 r., wódz Awolowo przewodzący Action Group zagroził, że Zachód się odłączy, jeśli Lagos nie zostanie częścią Regionu Zachodniego, a nie terytorium federalnym. Dopiero ostre napomnienie ministra kolonii, Olivera Lyttletona, późniejszego lorda Chandos, odwiodło go od tego postanowienia.

Ale tymczasem większość mieszkańców Wschodu była przekonana, że stara Nigeria, w której obrębie niegdyś żyli, umarła. To znaczy, umarł jej duch. Pozostała tylko forma, a bez ducha taka forma jest tylko pustą skorupą, i do tego mocno zniszczoną.

Pułkownik Ojukwu, wprost przeciwnie, uważał, że jest szansa na uratowanie Nigerii. Całym autorytetem zwalczał ducha separatyzmu, chociaż był świadom, że czyniąc to może ten autorytet stracić. W jego przekonaniu, realnie patrząc, najlepsze dla Nigerii byłoby utworzenie struktury, w której okresowe rozluźnienie więzi między regionami wyciszyłyby atmosferę, po czym nastąpiłyby dalsze, mniej gorączkowe dyskusje.

Ale w Lagos Gowonowi widocznie doradzała grupa, która nie była na Wschodzie od czasu masakr na Północy i zakładała, że wzburzenie na Wschodzie to napad złego humoru, który minie albo który można całkiem spokojnie pominąć lub też wreszcie pokonać, gdyby mieszkańcy Wschodu sprawiali później kłopoty. Wydaje się, że to niedoceniame rozmiarów wyrządzonej szkody i reakcji, jaką wzbudziła ona na wschód od Nigru, udzieliło się również brytyjskiej Wysokiej Komisji. Doradzała ona Whitehall zbywać kryzys jako chwilowy wybuch temperamentu.

Jednakże pułkownik Ojukwu czuł się zobowiązany zabezpieczyć pod jednym względem - kupił za granicą trochę broni. Wyjazd garnizonu Enugu z całym wyposażeniem i powrót do ojczyzny bezbronnych żołnierzy pozbawiły Wschód możliwości obrony. Co więcej, za sprawą pewnego dyplomaty Ibo pracującego w Rzymie pułkownik Ojukwu wszedł w posiadanie dokumentu, z którego wynikało, że major armii Północy, Sule Apollo, jest we Włoszech i kupuje duże ilości broni.

Tymczasem wysłano zaproszenia do podjęcia rozmów na temat konstytucji. Biorąc pod uwagę przemoc, jaka nadal groziła imigrantom ze Wschodu z rąk żołnierzy Północy na

ulicach Lagos, Ojukwu uważał to zaproszenie za niezbyt realistyczne, dopóki nie zagwarantowano by odpowiednich listów żelaznych. Niczego takiego nie wystosowano, a skoro wszystkie pozostałe trzy regiony i stolica wciąż były pod ścisłą kontrolą żołnierzy z Północy, Ojukwu uznał, że nie może narażać życia delegatów Wschodu. Gowon zbył rozmowy na temat konstytucji jako niczemu nie służące i oświadczył, że komitet sporządzi plan nowej konstytucji, wedle której Nigeria składałaby się z ośmiu-czternastu stanów.

Ojukwu osłupiał, ale znał na tyle dobrze byłego kolegę, by wiedzieć, że mięczakowaty najwyższy dowódca dostał się w nowe ręce i urabia go nowa grupa doradców. I tak też było.

Przed jesiennymi zabójstwami niektóre z głównych stanowisk w służbie cywilnej w Lagos zajmowali imigranci ze Wschodu, którzy dostali się na sam szczyt dzięki swoim umiejętnościom. Stały sekretarz - najwyższy urzędnik służby cywilnej w danym ministerstwie - dysponuje potężną władzą nawet w demokratycznym społeczeństwie. Zna swoje ministerstwo i obszar, którym się ono zajmuje, często lepiej niż sam minister. Doradzając zwierzchnikowi, jak ma postąpić, wpływa na politykę lub nawet pośrednio ją tworzy. W rządzie wojskowym, składającym się z młodych i nie tak znowu bystrych żołnierzy, którym do szczęścia wystarcza karabin w garści, ale którzy głupieją, gdy kule wreszcie wyniosą ich do władzy i trzeba sobie radzić z zawilościami rządu, stały sekretarz zdobywa jeszcze większe wpływy. Gdy przywódca rządzącej klikki wojskowej okazuje się marionetką - on, pracownik służby cywilnej, pociąga za sznurki.

Ibo, jak również inni imigranci ze Wschodu, uciekli po rzeziach. Stołki zostały puste. Brakowało ludzi z Północy, aby je obsadzić, a poza tym utalentowany pracownik służby cywilnej z Północy jest tak cenny w ojczyźnie, że ma szansę na uzyskanie lepszej pracy tam niż w Lagos. Joruba z Zachodu trzymali się spraw swojego regionu. Gdy jesienią i wczesną zimą ludzie ze Wschodu opuścili stolicę, ich miejsca zajęli głównie przedstawiciele mniejszościowych plemion. Jak wyjaśniłem to wcześniej, mieli swoje powody, dla których nie życzyli sobie powrotu dawnych potężnych regionów. Dopóki Nigeria pozostawała wielostanowym zlepkiem o słabych regionach i potężnym centrum i dopóki tym centrum rządzący oni, po raz pierwszy w historii mieli zapewnioną władzę. Takiej szansy nie można było zmarnować.

Na początku zimy 1966 r. pułkownik Gowon stał się w oczach mieszkańców Wschodu wysoce podejrzanym osobnikiem, który nie może albo nie chce honorować swoich zobowiązań. To wrażenie później tak się wzmocniło, że stało się jednym z największych hamulców na drodze ku pokojowi. Podstawy tego braku zaufania można ująć następująco:

Jednomyślna decyzja przedstawicieli gubernatorów wojskowych z 9 sierpnia,

stanowiąca o repatriacji żołnierzy do miejsca ich narodzin, pozostała nie zrealizowana; decyzja o zwrocie broni i amunicji zabranej przez wycofujące się oddziały - nie zrealizowana. Gowon zobowiązał się, że mordowanie żołnierzy ze Wschodu ustanie, ale nic takiego nie nastąpiło. Obiecał, że śledztwo w sprawie masakry majowej wszczęte przez generała Ironsiego „na pewno będzie kontynuowane zgodnie z planem”. Nigdy o czymś takim nie słyszano.

Na początku września kilku żołnierzy pochodzących z Północy, a pełniących służbę w Ibadanie, stolicy Zachodu, wdarło się do więzienia w Benin City, Środkowy Zachód, i porwało stamtąd kilku oficerów zatrzymanych za udział w przewrocie styczeniowym. Żołnierze z Północy zostali uwolnieni, ci ze Wschodu - zamordowani. Gowon natychmiast obiecał ukaranie winnych, ale uszło im to na sucho.

Wreszcie rozwiązanie 30 listopada Specjalnego Komitetu Konstytucyjnego, z motywacją, że delegaci ze Wschodu nie uczestniczyli w obradach od 3 października, tj. od pierwszego spotkania, uznano na Wschodzie za krok dyktatorski, gdyż powodem nieobecności był całkowicie usprawiedliwiony lęk przed zamachem z rąk żołnierzy Północy stacjonujących w Lagos. Śmiałe oświadczenie, że komitet napisze nową konstytucję, tworzącą około dziesięciu-czternastu stanów, było traktowane podobnie. We wspomnianym już przemówieniu radiowym z 30 listopada Gowon odważył się po raz pierwszy zagrozić użyciem siły, jeśli „okoliczności o tym zdecydują”.

Upływały tygodnie i rząd centralny nie proponował żadnej pomocy, która by mogła rozwiązać problemy socjalne spowodowane napływem uchodźców ze Wschodu, i na początku grudnia pułkownik Ojukwu oświadczył pewnemu dziennikarzowi: „Nie mogę w nieskończoność czekać na Lagos, więc muszę działać inaczej” („West Africa”, 24 grudnia 1966 r.).

Zewsząd domagano się coraz powszechniej spotkania wojskowych gubernatorów regionów, licząc, że doprowadzi ono do rozwiązania problemów. To żądanie pokrywało się z poglądami pułkownika Ojukwu. Ale że nigdzie w Nigerii nie czułby się bezpiecznie, zgodzono się na spotkanie w Aburi, Ghana, pod przewodnictwem generała Ankraha.

Tam właśnie w luksusowej rezydencji byłego prezydenta Nkrumaha, zbudowanej na wzgórzach otaczających Akrę, spotkała się 4 i 5 stycznia 1967 r. Najwyższa Rada Wojskowa Nigerii. Obecni byli: podpułkownik Gowon, czterej regionalni gubernatorzy wojskowi - pułkownik Robert Adebayo (sukcesor nieżyjącego pułkownika Fajuyi), podpułkownicy Katsina, Ojukwu i Ejoor. Pozostali czterej członkowie rady reprezentowali Marynarkę Wojenną, Terytorium Lagos i policję federalną (dwóch przedstawicieli), ale faktyczne

ustalenia zależały od pięciu pułkowników.

Intelektualnie Ojukwu górował nad resztą, która wydawała się tego świadoma. Aby mieć pewność, że nie nastąpią żadne błędne interpretacje podjętych decyzji, sporządzono kompletny zapis stenograficzny i magnetofonowy całej dyskusji. Później, gdy Gowon dążył do zmiany ustaleń, Ojukwu opublikował na sześciu płytach gramofonowych cały tekst dwudniowych obrad.

Analiza tych zapisów nie pozostawia wątpliwości, że tylko jeden człowiek miał wykrystalizowaną ideę tego, jak Nigeria mogłaby przetrwać pod postacią jednego państwa, i że człowiekiem tym był wojskowy gubernator Wschodu. Wystąpienie Gowona ujawnia, że zależało mu na jedności Federacji, ale poza tym jego wyobrażenia były nikłe lub ograniczały się do zera. Pozostali trzej wkrótce byli zmuszeni ulec przygniatającej logice przedstawiciela Wschodu.

Gowon, gdy zarzucono mu niepowodzenia w sprawie repatriacji żołnierzy, tłumaczył się niezręcznie, iż chodziło mu tylko o to, że urodzeni na Wschodzie powinni wrócić na Wschód, a urodzeni na Północy powinni wrócić na Północ. Chociaż Konferencja Zachodnich Przywódców Myśli\* zgodziła się ze zdecydowanym stanowiskiem Wschodu, iż z Zachodu również powinna nastąpić repatriacja, Gowon oświadczył, że musi tam trzymać żołnierzy Północy, gdyż Joruba nie zaciągają się do armii. Na to zaprotestował Adebayo.

Ale głównym problemem pozostawała forma państwowości Nigerii i jej armii w najbliższej przyszłości. W tej sprawie Ojukwu głosił:

Dopóki utrzymuje się obecna sytuacja, żołnierze z Nigerii Wschodniej za żadną cenę nie są w stanie przebywać w tych samych koszarach, jeść w tych samych stołówkach, walczyć w tych samych okopach, co żołnierze z armii Nigerii Północnej... Te podstawowe przyczyny sprawiają, że podział sił zbrojnych, podział ludności jest ze wszech miar konieczny, aby uniknąć dalszych starć i dalszego zabijania.

Katsina, jak również Adebayo i Ejoor zgodzili się z tym.

W kwestii nieuznania Gowona jako najwyższego dowódcy Ojukwu argumentował, że ponieważ los generała Ironsiego nie jest znany, nikt nie może przejąć po nim władzy. Pod

---

\* Została ona po raz pierwszy zwołana za panowania reżimu Ironsiego. Przywódcy Myśli mieli doradzać gubernatorom wojskowym w sprawach miejscowych i informować o przekonaniach lokalnych społeczności. Byli wśród nich luminarze różnych profesji, biznesu, handlu, administracji oraz wodzowie i starszyzna. Ale swoje nominacje otrzymywali od gubernatorów; stąd też Ojukwu wolał słuchać członków Zgromadzenia Doradczego (wybranego głosami ludności), które nie istniało w żadnym innym regionie.

nieobecność Ironsiego jest przynajmniej sześciu oficerów starszych rangą od Gowona i najwyższy rangą powinien zarządzać sprawami kraju. I wreszcie Wschód nigdy nie był zwolennikiem mianowania Gowona na to stanowisko. W tym momencie Gowon ujawnił, co się stało z generałem Ironsim, przyznając, że uznał za „korzystne” nie informować o tym wcześniej, chociaż musiał znać szczegóły, gdyż porucznik Walbe zdał mu raport wieczorem 29 lipca zeszłego roku.

Problem został wreszcie rozwiązany. Podporządkowano armię Najwyższej Radzie Wojskowej, której przewodniczący będzie również „dowódcą sił zbrojnych i szefem federalnego rządu wojskowego”.

W sprawach konstytucyjnych zebranie ustaliło, że Specjalna Konferencja powinna podjąć posiedzenia tak szybko, jak tylko pozwolą na to okoliczności, i zacząć od tego, na czym przerwała obrady.

Co do problemu, który przyprawiał Wschód o wielki ból głowy - problemu uchodźców - spotkanie ustaliło, że stali sekretarze Ministerstwa Finansów powinni się spotkać w ciągu dwóch tygodni i zarekomendować sposób wypłaty odszkodowań dla wypędzonych. Pracownicy służby cywilnej i przedsiębiorstw państwowych (w tym pracownicy dniówkowi) powinni otrzymać pełne uposażenie do końca roku budżetowego, tj. do 31 marca, chyba że zostali zatrudnieni gdzie indziej. Regionalni komisarze policji powinni się spotkać i omówić problem odzyskania własności pozostawionej przez uchodźców. To były decyzje, które pułkownik Ojukwu musiał zawieźć swojemu ludowi, gdyż miały one podstawowe znaczenie dla uspokojenia nastrojów. Wśród uchodźców na przykład było 12 tysięcy samych pracowników kolei.

Na spotkaniu zgodzono się również, że następne takie zebrania powinny mieć miejsce w Nigerii - w ustalonym miejscu - i że rządowe media powinny się powstrzymać od publikowania oświadczeń czy dokumentów podgrzewających nastroje lub też kłopotliwych.

Spotkanie zakończyło się przyjaźnie, przy toastach wznoszonych szampanem. Po powrocie na Wschód Ojukwu zwołał konferencję prasową i zapewnił mieszkańców Regionu (z których wielu przedkładało natychmiastową secesję nad pertraktacje), że spotkanie w Aburi było wartościowe; powiedział im, że jeśli podjęte ustalenia zostaną wcielone w czyn, nastąpi znaczny postęp w kierunku złagodzenia napięcia i uwolnienia kraju od lęku.

Aburi było ostatnią szansą Nigerii. Od tamtej pory słyszało się, że Ojukwu zachował się bardzo „nie w porządku”, gdyż był bystrzejszy od pozostałych czterech pułkowników. Brzmi to tak, jakby dysponował dzięki temu jakąś nieuczciwą przewagą. Poza tym padało stwierdzenie, szczególnie ze strony angielskich komentatorów, że Ojukwu nie zachował się



jak dżentelmen, jadąc na spotkanie z jasno wykrystalizowaną ideą własnych żądań i nieodpartymi argumentami w głowie, podczas gdy inni spodziewali się, że spotkanie będzie wyłącznie przyjacielskim zebraniem oficerskiej braci.

Twierdzenie, że pozostali czterej oficerowie nie mogli się spodziewać, iż pierwsze spotkanie Najwyższej Rady Wojskowej po letnim holocaustie nie będzie tylko przyjacielską pogawką przy kominku, trąci zakłamaniem. Wszyscy jak jeden mąż musieli być świadomi, że Aburi stwarza historyczną szansę. Pozostali pułkownicy mogli zjawić się przygotowani, nikt im tego nie zabraniał, i pułkownik Ojukwu był święcie przekonany, że będą przygotowani. Oni również mieli pracowników służby cywilnej i doradców.

W kilka dni po powrocie Gowona do Lagos ustalenia z Aburi zostały obrócone wniwecz; nawet nie zaczęto wprowadzać ich w życie. Pracownikom służby cywilnej z plemion mniejszościowych wystarczyło raz spojrzeć na zapis ustaleń i zdali sobie sprawę, że ich wyzbyty oleju w głowie szef poszedł dalej, niż oni by sobie tego życzyli. Rozdzielenie armii i ludności na okres opadnięcia emocji stwarzało ich zdaniem zbyt wielką autonomię regionom, osłabiając w ten sposób władzę urzędników państwowych. Stali sekretarze wzięli się do pracy nad Gowonem, wymuszając wycofanie się z ustaleń.

W ciągu dziesięciu dni rząd federalny opublikował broszurkę pt. *Nigeria 1966*, w której przedstawił wersję federacyjną, tj. północną, wszystkich wydarzeń od czasu styczniowego zamachu stanu. Ta książeczka po dziś dzień pozostaje pomnikowym osiągnięciem w dziedzinie przeinaczania faktów. W swoim czasie zrobiła furorę na Wschodzie. Gdy pułkownik Ojukwu zaprotestował telefonicznie, powołując się na ustalenie zakazujące publikowania dalszych oficjalnych wersji, pułkownik Gowon, kiedy już opadło z niego zaciętrzewienie, odparł, że był przeciek. Później Ojukwu dowiedział się, że poza tym, iż o żadnym przecieku nie mogło być mowy, to broszurka wyszła równocześnie w Londynie, Nowym Jorku i kilku innych wielkich miastach. Towarzyszyło jej tradycyjne edytorskie dęcie w trąby oraz koktajle w wysokich komisjach i ambasadach. Gdy znów zaprotestował przez telefon, Gowon kolejny raz się rozindyczył, po czym osaczony argumentami stracił całkowicie panowanie nad sobą i cisnął słuchawkę. (Przebieg tych rozmów rejestrowano w Enugu.) Pułkownik Ojukwu również odłożył słuchawkę, ale na myśl o tym, co może nastąpić w przyszłości, poczuł lodowaty dreszcz. Wiedział, że jego pozycja na Wschodzie uniemożliwia mu ustąpienie w sprawach ustalonych w Aburi.

26 stycznia Gowon zorganizował w Lagos konferencję prasową, na której niby ujawnił ustalenia z Aburi. Zapoznając się z opisem konferencji, odnosi się wrażenie, że była oparta nie na przebiegu i ostatecznych ustaleniach z Aburi, ale na krytyce tych dokumentów,

dokonanej przez stałych sekretarzy. Czytając opis jednego i drugiego (konferencji prasowej i protokołu z Aburi), można zadać sobie pytanie, czy Gowon naprawdę był w Aburi.

Najpierw nie zgodził się z podporządkowaniem armii Najwyższej Radzie Wojskowej, twierdząc, że pozbawia go to kontroli nad wojskiem i oddaje ją ciału zespołowemu, jakim jest Rada. Następnie dodał, że obszary komend wojskowych (pokrywające się z obszarami regionów) pozostaną pod zarządem wojskowej KG, „która będzie bezpośrednio podlegać mnie jako najwyższemu dowódcy sił zbrojnych” (*Nigerian Crisis* t. VI, str. 11-15). Prawdę mówiąc, podczas konferencji w Aburi nie udzielono zgody na nic takiego.

W sprawie wysiedleńców powiedział, że podczas spotkania ministrów finansów „nie powinno się poruszać zasady podziału podatków”, chociaż podział podatków, szczególnie w zakresie pewnych ulg fiskalnych, miał życiowe znaczenie dla Wschodu i umożliwił rozwiązanie problemu 1,8 miliona uchodźców.

W kwestii wypłaty pensji oświadczył: „Decyzja kontynuowania wypłat pensji do końca maja nie bierze pod uwagę związanych z nią czynników ekonomicznych... po drugie, nie ma sensu włączać pracowników dniówkowych do grupy tych, którym będą wypłacane pensje. Ta decyzja musi więc być rozpatrzona ponownie”. Jakby nie dość tego, dodał jeszcze, że przedsiębiorstwa państwowe będą miały „wielkie trudności” z płaceniem wysiedlonym pracownikom.

W sprawie konstytucji spuścił następną bombę. Stali sekretarze doradzili mu, że „powinien trzymać się ich poprzednich zaleceń i rad, to znaczy: Specjalna Konferencja Konstytucyjna winna zostać bezterminowo odwołana. Natomiast ogłoszony narodowi 30 listopada przez naczelnego dowódcę natychmiastowy program polityczny (tj. projekt podziału Nigerii na dziesięć-czternaście stanów) winien zostać wprowadzony w życie i kraj musi być o tym poinformowany”.

Zanim skończył na drobnych uwagach, niewiele zostało z Aburi. Równie dobrze mógł nie godzić się na to, co podpisał; być może były przyczyny, dla których powinno się jeszcze raz zastanowić nad ustaleniami z Aburi, ale faktem jest, że on sam i inni pułkownicy dobrowolnie podpisali dokument po dwóch dniach rozmów bez żadnego przymusu, i jednostronne odwołanie tak wielu ważnych punktów, szczególnie tych, które miały żywotne znaczenie dla Wschodu, było w istocie dla Nigerii ciosem, po którym nigdy już się nie podniosła.

W Enugu pułkownik Ojukwu przecierał oczy czytając zapis konferencji prasowej. Od tamtej pory wielu komentatorów twierdziło, że „pułkownik Ojukwu zrobił to...” lub „pułkownik Ojukwu odmówił zrobienia tego...”, ale nie zadano sobie zbytniego trudu, aby

zrozumieć naciski, którym był poddany. Od masakr zeszłej jesieni wołanie o wycofanie się z Nigerii stawało się coraz głośniejsze i dobitniejsze. Do tego chóru dołączało się coraz więcej odłamów społeczeństwa. Problem uchodźców, gładko zapomniany albo omijany przez Lagos, był nadal jęczącą się raną. Problem wypłaty, od której zależało, czy rodziny tysięcy pracowników przedsiębiorstw państwowych i służby cywilnej będą miały co włożyć do garnka, pozostawał palącym zagadnieniem. Ojukwu walczył z chórem separatystów, dopóki mógł.

„Nie zrezygnujemy z Aburi!” - stało się zawołaniem Wschodu. Pułkownik Ojukwu odmówił uczestnictwa w dalszych spotkaniach Najwyższej Rady Wojskowej, dopóki ustalenia z Aburi nie wejdą w życie. Zdecydował się na ten krok po części dlatego, że spotkanie przewidziano w Benin City, gdzie co krok napotykało się żołnierzy z Północy, po części dlatego, że wiedział, iż nie może iść na żadne ustępstwa. W przemówieniu radiowym wygłoszonym pod koniec lutego powiedział: „Jeśli postanowienia z Aburi nie zostaną wprowadzone w życie do 31 marca, nie pozostanie mi nic innego, jak podjąć wszelkie konieczne kroki, które sprawią, że w tym regionie postanowienia zaczną obowiązywać”.

Tego dnia wszyscy byli w pełni przekonani o odłączeniu się Nigerii Wschodniej. Dziennikarze przybywający do Enugu na konferencję prasową mieli już przyszykowane nagłówki. Natomiast pułkownik Ojukwu uchwycił się ostatniej szansy zachowania jedności Nigerii i oznajmił przybyłym, że ogłasza Edykt Podatkowy, na mocy którego wszystkie podatki federalne zbierane na Wschodzie zostają zarekwirowane na program odszkodowań. Edykt nie obejmuje podatków z ropy naftowej, gdyż były ściągane przez Lagos. Reporterzy byli oszołomieni; spodziewali się grzmiącego kazania, a zamiast tego poczęstowano ich programem fiskalnym. Ojukwu łagodnie oświadczył, że Wschód wystąpi z Nigerii jedynie w razie ataku lub blokady. Rząd federalny odpowiedział Dekretem Ósmym, dokumentem, który na pierwszy rzut oka zdaje się wprowadzać wszystkie główne ustalenia konstytucyjne z Aburi, a nawet zasady podatkowe. Przekazywał uprawnienia legislacyjne i wykonawcze Najwyższej Radzie Wojskowej, a decyzje w żywotnych sprawach mogły być podejmowane jedynie za zgodą wszystkich gubernatorów wojskowych. W obrębie regionów gubernatorzy mieli dysponować pełną autonomią.

Brzmiało to dobrze i było wychwalane pod niebiosa, chociaż nie szło dalej niż uzgodnienia z Aburi sprzed czterech miesięcy. Z wyjątkiem przypisów. Były tak zręcznie sformułowane, że przy pierwszym czytaniu wydawały się zupełnie nieszkodliwe. Dopiero zapoznając się z nimi po raz drugi widziało się, że dopiski redukowały główne akapity do zera.

Jeden z tych dodatkowych zapisów stanowił, że gubernatorzy regionalni nie mogą wykorzystywać swoich uprawnień „tak, by to hamowało władzę Federacji, przynosiło jej uszczerbek lub stanowiło zagrożenie dla rządu federalnego”. Choć brzmi to niewinnie, zapewne nie kto inny, tylko rząd federalny, tj. Gowon, miałby decydować, co „hamuje lub przynosi uszczerbek...”. Inny rozdział nadawał rządowi federalnemu prawo do odsunięcia od władzy rządu regionalnego, który „zagroza ciągłości sprawowania władzy przez rząd federalny”; i znowu wyglądało na to, że kryteria w tej sprawie ustala Lagos.

Dla mieszkańców Wschodu najbardziej złowróżbny był akapit, który decydował, że można ogłosić stan wyjątkowy w dowolnym regionie za zgodą tylko trzech gubernatorów wojskowych. Ponieważ ogłoszenie stanu wyjątkowego zwykle pociąga za sobą wysłanie żołnierzy i ponieważ pozostali trzej gubernatorzy wojskowi albo pochodzili z Północy, albo zarządzili regionami okupowanymi przez wojska Północy, pułkownik Ojukwu uznał, że jest to skierowane zwłaszcza przeciwko Wschodowi, i odrzucił dekret.

Na całym Południu reżim Gowona tracił popularność na łeb, na szyję. Na Zachodzie urazę i złość budziło nieprzystąpienie do repatriacji żołnierzy Północy, nakazanej powtórnie w Aburi. Wódz Awolowo poprowadził rewoltę. Jego zwolennikami tradycyjnie były elementy proletariackie i radykalne na Zachodzie, ludzie, którym najbardziej nie w smak była okupacja żołnierzy z Północy. Na spotkaniu Zachodnich Przywódców Myśli pod koniec kwietnia w Ibadanie zrezygnował ze stanowiska delegata Zachodu na mającą się wkrótce znowu zebrać Specjalną Konferencję. Stwierdził w liście, co następuje: „Uważam po zastanowieniu, że chociaż niektóre z żądań Wschodu są przesadzone, to w kontekście unii Nigerii większość ich jest nie tylko dobrze udokumentowana, ale może posłużyć płynnemu i zdrowemu połączeniu różnorodnych grup narodowościowych Nigerii” (Schwarz, op. cit, str. 227).

Wódz Awolowo właśnie powrócił z wizyty u pułkownika Ojukwu w Enugu i sam miał możliwość się przekonać (podczas gdy inni skrupulatnie się od tego powstrzymywali) o powadze nastrojów na Wschodzie. Według pułkownika Ojukwu Awolowo pytał, czy Wschód się odłączy; odpowiedź brzmiała, że nastąpi to wyłącznie wtedy, gdy nie będzie absolutnie żadnej innej możliwości.

Zapoznawszy się z sytuacją osobiście Awolowo wyraził współczucie ludowi Wschodu i spytał, czy w razie wystąpienia Wschodu z Federacji, Zachód będzie o tym ostrzeżony z dobowym wyprzedzeniem. On sam zobowiązuje się do tego samego w imieniu swojego regionu. Później został ostrzeżony, ale tymczasem uwiodły go inne pokusy i nie spełnił swoich zamiarów. Z punktu widzenia Joruba szkoda, że się tak stało, bo gdyby Awolowo

wytrwał przy swoim zdaniu, rząd federalny, nie mogąc równocześnie stawić czoła buntowi na dwóch frontach, byłby zmuszony spełnić porozumienie z Aburi co do joty.

Gdyby to nastąpiło, Nigeria prawdopodobnie żyłaby dziś w pokoju nie jako zunifikowany kraj składający się z dwunastu województw, ale jako konfederacja quasi-autonomicznych stanów trwających w harmonii. Urzędnicy centralnej służby państwowej może straciliby wiele ze swojej władzy, ale dużo więcej ludzi zostałoby przy życiu, w tym wielu Joruba, gdyż dziś Zachód jest jak zwykle pod okupacją żołnierzy Północy i pospiesznie wcielani do armii Joruba służą za mięso armatnie wysyłane przeciwko biafrańskim karabinom maszynowym. Nie znamy dokładnej liczby ofiar Joruba w wojnie z Biafrą i armia federalna odmawia podania danych, ale biafrański wywiad wojskowy jest przekonany, że Joruba mają wyższe straty niż jakakolwiek inna grupa etniczna.

I tak pod koniec kwietnia 1967 r. w Ibadanie Awolowo dodał w swojej rezygnacji, że jeśli Wschód się wycofa, Zachód nie widzi żadnych przeszkód, by pójść za tym przykładem. W jego ślady udał się pułkownik Ejoor ze Środkowego Zachodu, regionu, w którym żyło ponad milion Ibo. Chciał uniknąć wplątania się w jakiegokolwiek przyszłe starcie i wezwał do demilitaryzacji swojego regionu.

W tym momencie kolejny grom z jasnego nieba uderzył z Północy. Emirowie regionu, przez dziesiątki lat zawzięcie zabiegający o utrzymanie dominacji w Nigerii, nagle wystąpili z propozycją, aby Północ „całym sercem oddała się sprawie utworzenia stanów - bez względu na to, czy są one tworzone gdzie indziej - co będzie bazą stabilizacji na Północy i w całej Federacji, i nalegają na rząd federalny, by podjął natychmiastowe kroki, które uruchomią maszynię do stworzenia takich stanów” („West Africa”, 13 maja 1967 r.).

Podobnie jak wolta Specjalnej Konferencji, ta decyzja tak nie przystawała do jej wyrazicieli, że można przypuścić, iż albo plemiona mniejszościowe w piechocie znowu zabrały głos, albo też emirowie zdecydowali się użyć idei stworzenia nowych stanów w celu rozbicia rosnącej solidarności Południa, podczas gdy sami pozostaliby zjednoczeni za fasadą nowej formy państwowości i za granicami stanów.

Ta decyzja skutecznie wsparła reżim Gowona i złamała solidarność trzech regionów Południa. Awolowo, długotrwały rzecznik utworzenia większej liczby stanów, narzędzia służącego rozbiciu Północy, natychmiast uchwycił się tej szansy. Ta zmiana poglądów zbiegła się z jego nominacją na komisarza finansów i zastępcę przewodniczącego Najwyższej Rady w mieszanym rządzie wojskowo-cywilnym. Wódz Enahoro z mniejszościowego plemienia ze Środkowego Zachodu i Joseph Tarka, przywódca Tiv, również dostali ministerialne stołki. Ejoor się ugiął.

Po zaprowadzeniu porządku w szeregach Gowon poczuł się na tyle mocny, że zagrał w otwarte karty ze Wschodem. Zapewne tymczasem uzyskał zapewnienie, iż w razie jakichkolwiek walk zakończą się one szybko jego zwycięstwem. Bardzo prawdopodobne, że gdyby przewidział przyszłą długą i straszliwą wojnę, może powstrzymałby się od działania. Ale głosy z wojskowego zaplecza przekonywały go, że w razie militarnej próby sił zastosuje się proste wojskowe rozwiązanie. To przemówiło do prostego umysłu wojaka.

Z początkiem maja zastosował częściową blokadę Wschodu - obejmowała usługi pocztowe, ale dotknęła również telefony, telegraf, teleks i inne formy przekazu informacji, wszystkie marszrutowane przez Lagos. Zamierzano odciąć Wschód od zagranicy, czemu również miał posłużyć zakaz lotów Nigeria Airways.

W Enugu pułkownik Ojukwu wyznał Reuterowi: „Myślę, że teraz zjeżdżamy w dół. Trzeba będzie wiele wysiłku, żeby powstrzymać bezwładność tego ruchu. Jesteśmy bardzo blisko, bardzo blisko”.

Zrobiono ostatni pokojowy krok. Grupa nazywająca siebie Komitetem Porozumienia Narodowego, prowadzona przez nowego pierwszego prezesa federalnego Sądu Najwyższego, sir Adetokunboh Ademolę z plemienia Joruba, i mająca w swym składzie wodza Awolowo, odwiedziła pułkownika Ojukwu 7 maja. Wysłuchała jego poglądów, zaakceptowała wszystkie żądania i wezwała rząd federalny do wprowadzenia ich w życie. Te żądania obejmowały nieco więcej niż porozumienie z 9 sierpnia, dotyczące wycofania żołnierzy do ojczystych regionów i zniesienia sankcji gospodarczych.

20 maja Gowon zaakceptował wszystkie te rekomendacje. Ale stworzył tylko następną iluzoryczną nadzieję. Oświadczył, że zakaz lotów Nigeria Airways na Wschód jest zniesiony wraz z innymi sankcjami. Lecz prezes linii prywatnie przyznał, że nie otrzymał rozkazu wznowienia lotów. Co się tyczy żołnierzy, to pułkownik Katsina przyleciał z Kaduny do Ibadanu poinformować oddziały, że będą przeniesione - ale tylko do miasteczka Ilorin leżącego przy głównej drodze do Lagos, rzut kamieniem od granicy między Zachodem i Północą. Ich powrót trwałby chwilę.

Chór głosów domagający się wyjścia Wschodu z Nigerii stał się tak silny, że nawet pułkownik Ojukwu nie był w stanie mu się oprzeć. 26 maja Zgromadzenie Doradcze, składające się z 335 osób, po hałaśliwej debacie dało mu jednogłośnie mandat do wycofania Wschodu z - jak to wtedy uznano - martwej Federacji Nigerii „najwcześniej, jak to będzie możliwe”, ogłaszając Region Wschodni „wolnym, suwerennym i niepodległym krajem używającym nazwy i tytułu Republika Biafry”.

Jednym z kardynalnych błędów rządu federalnego była groźba użycia siły. Wedle

najbardziej miłosiernego wytłumaczenia władcy w Lagos trwali w błogiej nieświadomości powagi nastrojów na Wschodzie. Dla mieszkańców Wschodu, wiedzących, że armia federalna składa się głównie z tych samych mieszkańców Północy, którzy zaledwie osiem miesięcy temu dokonali masakr ich współziomków, wyglądało to (i nadal wygląda) na groźbę wysłania znienawidzonych morderców, aby dokończyli eksterminacji przerwanej rok temu.

Ten mandat nie oznaczał secesji, ale Gowon następnego dnia wprowadził w życie swoje plany. Ogłosił stan wyjątkowy i równocześnie podał do publicznej wiadomości dekret dzielący Nigerię na dwanaście nowych stanów i likwidujący dotychczasowe regiony. Trudno o bardziej prowokacyjne zachowanie. Po pierwsze, nie nastąpiły żadne konsultacje, co samo w sobie było sprzeczne z konstytucją. Oznaczało to cofnięcie wszystkich obietnic, wedle których każdy region miał pełne prawo wypowiedzi na temat przyszłego kształtu związku. Jeszcze ważniejsze było podzielenie Wschodu na trzy małe bezsilne stany oraz oderwanie Port Harcourt od Ibolandu i uczynienie go stolicą państwa ludów nadrzecznych. Zostało to określone jako „otwarte wyzwanie do secesji”. W tym samym przemówieniu radiowym Gowon ogłosił wznowienie blokady, odwołał Dekret Ósmy i przyznał sobie pełnię władzy „na krótki okres konieczny do wprowadzenia kroków, które są obecnie pilnie konieczne”.

Rankiem 30 maja dyplomaci i dziennikarze zostali wezwani do siedziby parlamentu (która wkrótce została przechrzczona na Dom Biafry), by wysłuchać pułkownika Ojukwu czytającego Deklarację Niepodległości. Oto jej tekst:

Bracia i siostry, ludu Nigerii Wschodniej!

Świadom nadrzędnej władzy Boga Najwyższego nad całą ludzkością; waszego obowiązku względem samych siebie i potomności;

Świadom, że wasze życie i dobytek nie mogą być dłużej chronione przez jakikolwiek rząd znajdujący się poza granicami Nigerii Wschodniej;

Wierząc, że jesteście zrodzeni wolnymi i macie niezbywalne prawa, o które najlepiej możecie zadbać sami;

Nie chcąc być niewolnymi uczestnikami jakiegokolwiek związku politycznej lub gospodarczej natury;

Odrzucając prawo jakiegokolwiek osoby lub osób innych niż rząd wojskowy Nigerii Wschodniej do podejmowania wszelkich decyzji dowolnego rodzaju lub natury, a dotyczących was;

Zdecydowany rozwiązać wszystkie polityczne i inne więzi między wami i byłą Federalną Republiką Nigerii;

Gotowy do wejścia w związek, porozumienie, sojusz z każdym suwerennym państwem wchodzącym w skład byłej Federalnej Republiki Nigerii lub każdym innym, w zgodzie z warunkami i ustaleniami najlepiej służącymi waszemu wspólnemu dobru;

Potwierdzając wasze zaufanie i wiarę we mnie;

Dysponując mandatem do ogłoszenia w waszym interesie i imieniu, że Nigeria Wschodnia staje się suwerenną, niepodległą republiką;

TERAZ TU OTO, JA, PODPUŁKOWNIK CHUKWUEMEKA ODUMEGWU OJUKWU, WOJSKOWY GUBERNATOR NIGERII WSCHODNIEJ, MOCĄ SWOJEJ WŁADZY I STOSUJĄC SIĘ DO WYŻEJ WYMIENIONYCH ZASAD OGŁASZAM UROCZYŚCIE, ŻE TERYTORIUM I REGION ZNANY I NAZYWANY NIGERIĄ WSCHODNIĄ RAZEM Z JEJ KONTYNETALNYM SZELFEM I WODAMI TERYTORIALNYMI BĘDZIE ODTĄD NIEZALEŻNYM, SUWERENNYM PAŃSTWEM, KTÓREGO NAZWA I TYTUŁ BRZMIEĆ BĘDĄ „REPUBLIKA BIAFRY”.

Z tymi słowami Wschodni Region Nigerii wkroczył w samoustanowioną niepodległość i termin „Biafra” wszedł do współczesnego słownika politycznego - w mniemaniu większości ówczesnych obserwatorów politycznych tylko chwilowo.

Trzy uczucia zdominowały poglądy ludu Biafry. Po pierwsze, głębokie przekonanie, że nie wszczynają rebelii, ale zostają odrzuceni, i to przekonanie trwa do dzisiaj. Biafrańcy uważają, że nie opuścili Nigerii, ale zostali z niej wypędzeni. Są święcie przekonani, że impuls do separacji przyszedł ze strony Nigerii. Większości zniszczono iluzję całego życia, gdyż oni, główni orędownicy i zwolennicy jednej Nigerii, w sumie okazali się w niej nie chciani. Wysiłki Nigerii, pragnącej zapędzić ich z powrotem do tego kraju, zawsze wydawały się im - między innymi - nielogiczne. Są przekonani, że w Nigerii nigdy nie będą mieli równych praw jak pozostali Nigeryjczycy; że ci ostatni chcą nie ich samych, lecz ich ziemi kryjącej naftę i inne bogactwa. Są przekonani, że to Nigeryjczycy, nie oni, zerwali więź łączącą społeczeństwo „kontraktowe”, w którym obywatele są zobowiązani do lojalności względem rządu, podczas gdy rząd odpłaca się im gwarancją dbałości o życie, wolność i własność. Pozostają przekonani, że od tej pory w Nigerii czeka ich głównie i jedynie rola ofiary i wiecznego niewolnika-robotnika. Jak na ironię, mimo licznych protestów generała Gowona (nominował się tymczasem generałem majorem), zachowanie się armii nigeryjskiej, liczne oświadczenia wyższych urzędników w Lagos i propaganda z Kaduny bynajmniej nie rozpraszają tych obaw, ale całkowicie je potwierdzają.

Po drugie, Biafrańcy żywili i nadal żywią kompletny brak zaufania do wszystkiego,



co rząd w Lagos może powiedzieć czy obiecać. Tu znowu precedensy potwierdzają tę wiarę. Podczas minionych osiemnastu miesięcy generał Gowon wielokrotnie udowodnił, że nie potrafi narzucić swojej woli dowódcom sił lądowych ani powietrznych i że oni z kolei nie mają posłuchu wśród oddziałów liniowych. Powtarzające się obietnice, że żołnierze będą zachowywać się porządnie, że lotnictwo przestanie bombardować ośrodki cywilne, okazały się bez pokrycia. Stąd też propozycje pokojowe strony federalnej, bazujące na obietnicy: „Oddajcie nam broń, a my będziemy dla was mili”, zostały przyjęte z całkowitą nieufnością. Na późniejsze konstytucyjne gwarancje bezpieczeństwa wewnątrz Nigerii, oferowane przez Gowona i mocno popierane przez Wielką Brytanię, Biafrańczycy odpowiadają, że mieli je poprzednio w konstytucji Nigerii, ale na nic się zdały w 1966 r. Ten brak zaufania sprawia, że wszelkie propozycje pokojowe ze strony obecnego reżimu nigeryjskiego mają bardzo marne szanse powodzenia.

Po trzecie, Biafrańczycy byli głęboko przekonani, że wkroczenie armii nigeryjskiej na ich ziemię będzie oznaczało kolejny pogrom na tak ogromną skalę, iż sięgnie wymiarów ludobójstwa, że plany władców Północy (i stąd rządu w Lagos) zakładają ostateczne wytopienie Biafrańczyków i że Północ, chciwa dochodów z ropy zalegającej na wybrzeżu, będzie kontynuowała zapowiadany przez Balewę „nieprzerwany marsz do morza” po trupach tubylczej ludności. Poza granicami, szczególnie w brytyjskich kręgach rządowych, ten lęk określono pogardliwie mianem „propagandy Ojukwu”. Przez następne miesiące podstawy do obaw bynajmniej nie znikły, a potwierdziły się zdaniem większości Biafrańczyków. Pułkownik Ojukwu nie musiał otwierać ust.

Natychmiast stworzono wiele teorii wyjaśniających odłączenie się Biafry od Nigerii. Zostały one następnie zaprezentowane światu przez Lagos, Londyn i korespondentów, nazwijmy to, kręgów władzy. Wedle jednej z tych teorii Biafra to była „rewolta Ojukwu”, akcja pojedynczego człowieka wspieranego przez małą klikę oficerów i pracowników służby cywilnej. Powstanie rebelianckiego państwa motywowano ambicją i chciwością jednostek. Fakty szybko obaliły tę teorię, chociaż nadal pobrzmiwa tu i ówdzie. Po pierwsze, przywódcy Biafry w przeciwieństwie do prostego ludu zdawali sobie sprawę z ogromu podjętego zadania i istniejącego ryzyka, a jednak większość z nich zrezygnowała z posiadanej władzy, aby móc powrócić do ojczyzny i żyć w uboższych warunkach służąc Biafrze. Wszyscy mieli świadomość, że droga do wygody i luksusu, władzy i prestiżu wiedzie przez współpracę z aktualnymi władcami, tj. z Lagos. Gdyby pułkownik Ojukwu zdecydował się pójść ręką w rękę z Gowonem wbrew pragnieniom ludności Wschodu, mógłby zachować fortunę, cieszyłby się wysoką pozycją w Nigerii i prawdopodobnie utrzymałby

gubernatorstwo Wschodu, nie jako popularny przywódca, ale jako znienawidzony quisling otoczony żołnierzami armii federalnej. Gdyby z kolei pragnął władzy, mógłby odczekać, snuć intrygi wraz z innymi przywódcami Południa, wśród których zajmował wysoką pozycję, doprowadzić do powstania nowej armii Południa i w późniejszym czasie samemu przeprowadzić zamach stanu. Przy swej inteligencji prawdopodobnie odniósłby większy sukces niż ci, którzy doprowadzili do poprzednich przewrotów.

Po drugie, jednomyślność wśród wybitnych osobistości urodzonych na Wschodzie i popierających Biafrę wykazała całkiem szybko, że wierzą w słuszność sprawy. Setki ludzi ze Wschodu, którzy osiągnęły czołowe pozycje w swoich zawodach, w ojczyźnie i za granicą, proponowało swoje usługi. Nie zrobiłoby tego w interesie ambitnego pułkownika, który dla własnego wywyższenia zaryzykowałby ruinę swojego narodu. Później, gdy Gowon szukał gubernatorów dla trzech stanów utworzonych z dawnego Regionu Wschodniego, nie potrafił znaleźć ani jednej liczącej się osobistości, która podjęłaby się tego zadania. Dla Stanu Środkowowschodniego zamieszkanego przez Ibo wybrał nieznanego wykładowcę socjologii na Uniwersytecie Ibadan, Ukpabiego Asikę, wydziedziczonego przez całą rodzinę (to największa hańba w Afryce). Dla Stanu Nadrzecznego musiał wynieść na komandora porucznika 25-letniego niższego oficera marynarki, Alfreda Spiffa. On również został wydziedziczony przez Spiffów z Port Harcourt. Dla Stanu Południowo-Wschodniego wybrał Essuene, kompletnie nieznanego niższego oficera z Lagos, który od lat nie pokazał się w ojczyźnie.

A wreszcie dokonania Biafrańczyków broniących swoich ziem - dokonania, które nawet w opinii najbardziej zawziętych wrogów były niesłychane - wskazują, że ci ludzie wierzyli w to, co robili. Jeden oficer lub grupa oficerów zmuszająca do rebelii ospały, chwiejny, oporny naród nigdy nie utrzymałaby nad nim kontroli. A przecież cierpienia, które go dotknęły, przekroczyły wszystko, co widziała Afryka. Królestwo takiego potężnego władcy dawno zostałoby opanowane przez armię federalną, oporni obrońcy cisnęliby broń i wzięli nogi za pas. Co więcej, lud zniechęcony sytuacją, w którą go wpędzono, dawno już podniósłby bunt przeciwko osobie odpowiedzialnej za sytuację. Nic takiego nie nastąpiło. Biafrańczycy walczyli zębami i pazurami o każdą piędź ziemi, a na zapleczu ani razu nie wybuchły zamieszki antyrządowe. Trudno byłoby je ukryć. Biafrańczycy są skłonni do dawania wyrazu swoim uczuciom. Brytyjczycy doświadczyli tego na własnej skórze w latach dwudziestych.

Tłumaczono również upór Biafry „propagandą Ojukwu”. W pewnych kręgach ciągle słyszy się tę piosenkę. Owszem za pomocą chytrej manipulacji publikatorami można

przeciągnąć (chwilowo) szerokie masy na swoją stronę, ale trudno sobie wyobrazić, by gładkiej propagandzie uległa grupa najświatlejszych umysłów, która oferując usługi Biafrze skazała się na dużo skromniejsze warunki niż poprzednio. Do tych ludzi zalicza się były prezydent doktor Nnamdi Azikiwe, były premier doktor Michael Okpara, były cywilny gubernator Wschodu doktor Francis Ibaim, były sędzia Sądu Światowego sir Louis Mbanefo, były prorektor Uniwersytetu Ibadan profesor Kenneth Dike, a także profesor Eni Njoku, zapewne jeden z najwybitniejszych uczonych, jakich kiedykolwiek wydała Afryka. Do nich należy dodać cały zastęp uczonych, biznesmenów, inżynierów i pracowników służby cywilnej. Generał Gowon byłby w siódmym niebie mogąc zaprezentować światu jednego zdrajcę spośród wyżej wymienionych luminarzy.

W kilka miesięcy po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości utworzyło się godne podziwu zbiorowisko sił, gotowe skruszyć nowe państwo. Generał Gowon spuścił ze smyczy armię federalną, posługując się sloganem: „Nigeria musi pozostać jedna - to jest zadanie dla żołnierza”. Roztrąbiono wkrótce na wszystkie strony takie określenia, jak „Jedna Nigeria!”, „Zachować terytorialną spójność Nigerii!” i „Zmiażdżyć rewoltę!”, chociaż wygląda na to, że autorzy tych sloganów zadali sobie niewiele trudu, aby znaleźć trwałe konstruktywne rozwiązania. Padały ponure wzmianki o natychmiastowej „bałkanizacji” Afryki, nie mające jakoś związku z oderwaniem się Republiki Irlandii od Wielkiej Brytanii, które cudownie nie doprowadziło do „bałkanizacji” Europy. „Secesję” potępiono powszechnie, chociaż nikt nie raczył zauważyć, iż przez lata podział był akceptowaną powszechnie formułą tam, gdzie dwa różne narody nie mogły znaleźć wspólnego *modus vivendi*.

Nigeria zyskała natychmiastowe poparcie wielu krajów, szczególnie „socjalistycznej” Wielkiej Brytanii, faszystowskiej Hiszpanii i komunistycznej Rosji. Te trzy państwa nadal dostarczają narzędzi do największej rzezi w historii Afryki.

Ale 30 maja 1967 r. wszystko to było częścią nieodgadnionej przyszłości. Widząc, że wojna jest nieunikniona, obie strony rozpoczęły gorączkowe przygotowania; Biafrańczycy - aby się bronić, Nigeryjczycy - aby szybko zakończyć rozwiązywanie dziecinnie łatwego zadania. Tak je oceniali. Pierwsze pociski przeleciały nad północną granicą Biafry o świcie 6 lipca.

**Część druga**  
**Walka o przetrwanie**



## 8. Charakter Biafry

Obszar Biafry nie jest wielki, wynosi około 29 tysięcy mil kwadratowych. Niemniej jednak inne dane statystyczne lokują Biafrę w pierwszej trójce państw afrykańskich. Zaludnienie jest najgęstsze na kontynencie, ponad 440 osób na milę kwadratową. Biafra jest pod każdym względem najbardziej rozwiniętym krajem Czarnego Łądu - ma najpotężniejszy przemysł, najwyższy dochód na głowę mieszkańca, największą siłę nabywczą, największą gęstość dróg, szkół, szpitali, przedstawicielstw handlowych i fabryk.

Jej potencjał opisywano różnie - mówiono o Japonii, Izraelu, Manchesterze lub Kuwejcie kontynentu. Każde porównanie ma związek z inną fasetą tego brylantu Afryki, którego widok może wzbudzić zdumienie odwiedzającego, wyobrażającego sobie wcześniej, że cała Afryka jest jednolicie zacofana. Lata niewykorzystania potencjału gospodarczego, gdy fabryki, inwestycje i służby publiczne rozmieszczano na innych obszarach Nigerii, sprawiły, że Regionowi Wschodniemu daleko było do osiągnięcia pełni możliwości. Nawet na południu największe przedsiębiorstwa naftowe nie wykorzystywały w pełni zasobów złóż, zachowując pełne rezerwy, z których ropa płynęła cienkim strumyczkiem, podczas gdy pompy na polach Arabów szły pełną parą.

Porównanie z Japonią odnosi się do ludności. Co rzadkie w Afryce, jest ona zdolna do stałej ciężkiej pracy. W fabrykach liczba roboczogodzin jest wyższa niż gdzie indziej, w gospodarstwach rolnych wieśniacy mają większe zbiory z akra niż w jakimkolwiek innym kraju. Być może to natura wymusiła tę cechę charakteru, ale jest ona również wsparta odwieczną tradycją narodu. W Biafrze zawsze bardzo ceniono osobiste powodzenie; człowiek osiągający sukces był podziwiany i poważany. Nie ma dziedzicznych urzędów ani tytułów. Po śmierci prestiż i władza człowieka idą do grobu razem z nim. Jego synowie muszą troszczyć się o siebie w ramach współzawodnictwa z innymi młodymi ludźmi, mającymi jak oni równe szanse w społeczeństwie.

Biafrańczycy są chciwi wiedzy, szczególnie w zawodach technicznych. Nie ma nic niezwykłego w takiej sytuacji: w wiosce stolarz ma pięciu synów; ojciec pracuje od rana do zmroku, matka ma stragan na targu; czterej młodszy synowie sprzedają zapalki, gazety, czerwoną paprykę, wszystko po to, aby pierworodny mógł chodzić do college'u. Gdy zdobędzie wykształcenie, jest zobowiązany się odplacić, zapewniając młodszemu bratu drogę przez college; następnie para wykształconych braci opłaci edukację trzeciego, czwartego i piątego. Stolarz może umrzeć stolarzem, ale zostawi po sobie pięciu wykształconych synów.

Dla większości Biafrańczyków nie ma takiej ofiary, jakiej nie ponieśliby dla zdobycia wykształcenia.

W ramach wiejskiej wspólnoty zawiązuje się współpraca i w wiosce powstaje budowla - nie ośrodek wypoczynku, basen czy stadion, ale szkoła. Wioska, która ma szkołę, zdobywa prestiż.

Ponieważ motto Ibo głosi, że „na tym świecie nikt nie jest na wieczność przypisany do swojej warstwy społecznej”, mają dużą zdolność adaptacji i potrafią przyswoić sobie nowy styl życia. Podczas gdy inni, zwłaszcza muzułmańskie wspólnoty afrykańskie, przyjmują biedę i zacołanie jako wolę Allacha, Biafrańczycy traktują jedno i drugie jako wyzwanie wobec danych im przez Boga umiejętności, jest to kardynalna różnica w postawach, bo wyraża rozdział między społecznością skazaną na sukces a taką, w której wpływ Europy Zachodniej nigdy nie zakorzeni się na stałe i kapitał inwestycyjny rzadko przyniesie owoce.

Jak na ironię, właśnie ciężka praca i sukces przyczyniły się do braku popularności Biafrańczyków w Nigerii, a szczególnie na Północy. Wymienia się inne cechy, aby wytłumaczyć wzbudzaną antypatię. Rozpychają się łokciami, są arogancy i agresywni - twierdzą ich przeciwnicy; są ambitni i energiczni - uważają obrońcy. Kochają pieniądze i zrobią wszystko dla grosza - głosi jedna szkoła; są sprytni i oszczędni - głosi inna. Tworzą kliki i bez skrupułów wykorzystują przewagę - mówią jedni; trzymają się razem i szybko wykorzystują przewagę wykształcenia - mówią drudzy.

Porównanie z Manchesterem wiąże się z talentem do handlu. Zamiast pracować dla jakiegoś szefa w ramach narzuconej siatki płac, Biafrańczyk woli latami oszczędzać, kupić jakąś komórkę i urządzić w niej sklepik. Ten sklepik będzie otwarty dzień i noc, dopóki jest szansa, że zajrzy do niego jakiś klient. Osiągnięte zyski przeznacza się na rozwój interesu, buduje sklep z cegły, potem większy, potem sieć sklepów. Chociaż Biafrańczyk ma kilka tysięcy w banku, zdarza się, że jeździ na rowerze. W całej Afryce znajdzie się hinduskich bądź arabskich handlarzy (Libańczyków lub Syryjczyków). Przedstawiciele tych narodowości wędrują po całym świecie wykorzystując swój talent do handlu, podkopują pozycję lokalnych sklepikarzy i przypierają ich do muru. Ale nigdy nie spotka się ich tam, gdzie działają Biafrańczycy.

Porównanie z Izraelem w sposób oczywisty wiąże się z prześladowaniami, które spadały na Biafrańczyków wcześniej lub później wszędzie tam, gdzie zakładali interes. Kiedy Legum porównywał Biafrę do Izraela, do którego po ostatniej wojnie podążały gromady wygnańców, być może był bliżej prawdy, niż to sobie wtedy uświadamiał; przyparciu do muru Biafrańczycy nie mieli gdzie się udać. To dlatego ci, którzy przetrwali, woleli umrzeć w

ojczyźnie niż poddać się i żyć jak Żyd Wieczny Tułacz. Pułkownik Ojukwu powiedział raz korespondentom: „Widzicie tu koniec długiej drogi; drogi, która zaczęła się na dalekiej Północy i doprowadziła wreszcie do serca Ibolandu. To droga do rzeźni” (pułkownik Ojukwu do Jamesa Wilde’a i autora, Umuahia, 17 sierpnia 1968 r.).

Kuwejt ma związek z ropą pod Biafrą. Zauważono, że gdyby Biafrańczycy mieli swoją ojczyznę w regionie półpustynnym, zarosłym jedynie kolczastymi krzakami, pozwolono by im opuścić Nigerię i pożegnano okrzykami, „Dobrej podróży!” Pewien zagraniczny biznesmen zauważył zwięźle podczas dyskusji na temat tej wojny: „To wojna o ropę” i nie uważał za stosowne dodać nic więcej. Pod Biafrą leży morze ropy, najczystszej na świecie. Można łąć białafrańską surową ropę naftową do baku ciężarówki i auto pojedzie. Mniej więcej jedna dziesiąta złoża leży w sąsiednim Kamerunie, około trzech dziesiątych w Nigerii. Pozostałe sześć dziesiątych zalega pod Biafrą.

Sposób zarządzania Biafrą sprawia zawód tym, którzy zjawiają się szukając totalitarnej dyktatury wojskowej. Pułkownik Ojukwu rządzi zadziwiająco lekką ręką, ale jest to zrozumiałe. Biafrańczycy nie zniesliby innej formy rządów. Nie przepadają za władzą, która się z nimi nie konsultuje. W styczniu 1966 r., wkrótce po objęciu urzędu gubernatora wojskowego, Ojukwu zdał sobie sprawę, że musi utrzymywać bliższą więź z szerokimi masami, po części z powodu ich cech charakteru, po części z powodu własnych predylekcji.

Nie mógł rekonstruować zdyskredytowanego parlamentu złożonego ze starych polityków, a generał Ironsi był przeciwny (chwilowo) innym formom parlamentarnym. Wolał, by rząd wojskowych najpierw pewnie stanął na nogach. Więc Ojukwu po cichu zaczął sporządzać plany powrotu do rządów cywilnych, a przynajmniej wyobrażał sobie stworzenie połączonego ciała konsultacyjnego, którego ustami lud komunikowałby swoje pragnienia gubernatorowi wojskowemu i które to ciało on sam mógłby pytać o pragnienia narodu.

Po lipcowym zamachu stanu powstała ku temu możliwość i plany weszły w życie. Poprosił, aby każdy z dwudziestu dziewięciu okręgów regionu wystawił czterech nominowanych i sześciu wybieralnych delegatów. Te stanowiska nominowane, chociaż wyznaczane przez jego urząd, były *ex officio* nominacjami. Obejmowały takie osoby, jak zarządca okręgowy, sekretarz okręgowy [najstarszy rangą pracownik służby cywilnej], itd. Sześciu delegatów wybierał lud głosami wodzów wiosek i szczepów oraz Konferencji Przywódców Myśli. To dawało 290 osób. Ponadto poprosił o dodanie 45-osobowej reprezentacji zawodów. Zostali wybrani i wysłani delegaci związków zawodowych, konferencji nauczycieli, palestry, związku rolników, kilku innych działów społeczności i co najważniejsze, Związku Przekupek - władczych i wygadanych „mamuś z targu”, które



nauczyły moresu Brytyjczyków, stając na czele zamieszek w Aba w 1929 r.

Ta grupa stworzyła Zgromadzenie Doradcze i wraz z Radą Wodków i Starszyny była uważana za parlament Biafry. Od tej pory pułkownik Ojukwu nie podejmował poważnych decyzji bez konsultowania się i siłą rzeczy spełniał ich życzenia względem polityki państwa. Do bezpośredniego zarządu ma Radę Wykonawczą, która spotyka się co tydzień i w której skład oprócz pułkownika Ojukwu wchodzi jeszcze tylko jeden przedstawiciel sił zbrojnych.

Od pierwszego zebrania, 31 sierpnia 1966 r., trzydzieści trzy dni po zamachu stanu Gowona, ze Zgromadzeniem konsultowano każdy krok ku podziałowi. Stawiano zarzuty, że Ibo narzucili separację innym plemionom wbrew ich woli. W świetle tych wypowiedzi znaczące jest, że stosunek nie-Ibo do Ibo w Zgromadzeniu liczącym 335 członków wyniósł 166:169. Dało to mniejszości wyższą reprezentację, niż mogłaby uzyskać przy użyciu zasady proporcjonalności.

Decyzja udzielająca mandatu pułkownikowi Ojukwu do wycofania się z Nigerii, podjęta dziewięć miesięcy po pierwszym spotkaniu, była jednogłośnie. Przedstawiciele plemion mniejszościowych mieli pełne prawo głosu i byli aktywnymi uczestnikami polityki wystąpienia z Nigerii. Trudno rzec, aby stali się ofiarami dominacji Ibo i byli zmuszeni do podziału wbrew swej woli. Bez wątplenia wśród tych grup znalazły się i takie, które nie zgadzały się z tą decyzją, i część z nich została wykorzystana przez Północ do oskarżenia Ibo o ogromny ucisk, jakiego doznały mniejszościowe plemiona. Ale ci, którzy wówczas podróżowali lub żyli wśród mniejszości, zauważyli nie tylko, że opozycja wydaje się stosunkowo niewielka, ale że ten sam duch podniecenia, który towarzyszył podziałowi na ziemiach Ibo, dał się zauważyć i na innych obszarach.

Obszary mniejszości znajdujące się na peryferiach Biafry pierwsze znalazły się pod kontrolą nacierającej armii federalnej i wiele osób zmieniło obóz. To rzecz zwyczajna, gdy w czasie wojny armia wkracza na teren przeciwnika. Dla większości ludzi, widzących wycofywanie się armii Biafry i pojawienie się armii nigeryjskiej, uniesienie ręki i zawołanie: „Jedna Nigeria!” było bardziej wyrazem chęci przeżycia niż politycznego przekonania.

Nietrudno było również znaleźć kolaborantów. Przywódcy grup mniejszości po zaprzysiężeniu wierności Biafrze byli teraz zmuszeni do ucieczki przed prześladowaniem z rąk żołnierzy Federacji. Pojawiły się wolne dobre posady, domy, urzędy, samochody, przywileje. Nigeryjczykom nietrudno było znaleźć tubylców do wypełnienia tych wakatów pod warunkiem pełnej kolaboracji. Ale po zbadaniu, kto obecnie pod rządami Nigerii zajmuje stanowiska przeznaczone dla miejscowej ludności, okazuje się, że są to drobne płatki, podczas gdy ich bardziej uzdolnieni ziomkowie uciekli do prowincji Biafra.

Natychmiast po podboju duża część ludności z plemion mniejszościowych pozostała na swoich terenach, przekonana do propagandy Federacji, że Biafra była omyłką i że współpraca z armią nigeryjską będzie lepsza. Niektórzy z tych miejscowych dygnitarzy szczerze wierzyli w swoją zmianę przekonań; inni liczyli na awans lub wzbogacenie się kosztem nieżyjących lub zbiegłych wczorajszych przywódców. Ale od lata 1968 r. do Biafry dociera coraz więcej doniesień o wzroście niezadowolenia pod rządami zdobywców.

Bardzo często największa fala uchodźców zjawiała się w nie okupowanej części Biafry nie z chwilą upadku województwa, ale po kilku tygodniach, gdy zakosztowano metod armii nigeryjskiej. Później lokalni przywódcy znaleźli się w większym osamotnieniu, gdy żołnierze federalni zabijali kozy, kurczaki, bydło i świnie na potrzeby własnych kuchni; zbierali niedojrzały yam i maniok napelniając żołądki; porywali miejscowe dziewczyny i robili z nimi, co chcieli; zwalczali protesty urządzając karne ekspedycje; zmuszali wieśniaków do oglądania publicznych egzekucji szanowanych naczelników wiosek i starszyny; zamykali szkoły i zamieniali je w koszary; bogacili się na czarnorynkowych transakcjach, sprzedając pomoc humanitarną przeznaczoną dla potrzebujących i dając do zrozumienia, że zamierzają zostać i żyć z bogactwa tego kraju, i to żyć dobrze.

Nim skończyło się lato, coraz więcej wodzów posyłało przez granicę do Ojukwu emisariuszy, przekonawszy się wreszcie - jeśli nie nastąpiło to wcześniej - że jego rządy są nieskończenie miłsze niż Nigeryjczyków. Między innymi chodziło o zmianę statusu mniejszości. Pod rządami polityków na pewno nie brakowało skarg. Ibo dominowali w parlamencie, więc na niektórych obszarach mniejszości czuły się pokrzywdzone przy podziale funduszy, urzędzeń i inwestycji. Pułkownik Ojukwu położył temu kres.

Jedną z pierwszych propozycji Zgromadzenia Doradczego było zniesienie ustalonego przez Brytyjczyków podziału na dwadzieścia dziewięć okręgów i zastąpienie ich dwudziestoma województwami, których granice wyznaczały przynależność plemienna i język. Pomysłodawcą był Okoi Arikipo, członek reprezentacji Ugepu, obszaru zamieszkanego przez jedną z najmniejszych grup, Ekoi. Gdyby miało miejsce coś takiego jak „dominacja Ibo”, o której tak wiele trąbiła propaganda nigeryjska od początku wojny, ta idea zostałaby odrzucona na pniu, gdyż zakładała szeroką autonomię każdego województwa, a osiem z nich było w większości zamieszkane przez nie-Ibo. Tymczasem plan zaakceptowało Zgromadzenie (w którym Ibo mieli większość), poparł pułkownik Ojukwu i wkrótce propozycja stała się prawem.

Na tej podstawie Arikipo oświadczył Ojukwu, że zasłużył na stanowisko ministra, ale ów miał inne zdanie. Wtedy Arikipo znikł i wypłynął w Lagos, gdzie został komisarzem

spraw zagranicznych.

Nie znaczy to, że Ojukwu ma coś przeciwko przedstawicielom mniejszości na czołowych stanowiskach; wprost przeciwnie, są oni reprezentowani obficie w rządzie Biafry niż kiedykolwiek poprzednio w Regionie Wschodnim. Szefem sztabu generalnego i głową państwa podczas nieobecności pułkownika Ojukwu jest generał major Philip Effiong, Efik. Głównym sekretarzem i szefem służby cywilnej jest N.U. Akpan, Ibibio. Komisarzem do specjalnych poruczeń, jednym z najbliższych współpracowników pułkownika Ojukwu, jest doktor S.J. Cookey z plemion nadrzecznych, podobnie jak Ignatius Kogbara, przedstawiciel Biafry w Londynie. Rada Wykonawcza, przedstawicielstwa za granicą, urzędy ministerialne, służba cywilna, zespoły negocjatorów pokojowych - wszędzie tam przedstawiciele mniejszości są licznie reprezentowani.

Jak na ironię, masakry 1966 r. i podobnie brutalne traktowanie, jakiego podczas obecnej wojny doświadczyli z rąk żołnierzy nigeryjskich Ibo i nie należące do tego plemienia mniejszości, przysłużyło się bardziej spojeniu Biafry w jeden naród niż jakikolwiek inny czynnik. Wysiedlenie milionów, wymieszanie ludzi, powszechne cierpienia, wspólne zubożenie - sprawiły w sumie to, co przywódcy innych państw Afryki usiłowali dokonać przez lata; ze zbiorowiska stworzyły naród.

## **9. Trzydzieści miesięcy walk**

Nigdy we współczesnej historii nie toczyła się wojna między armiami tak różnymi siłą i wyposażeniem jak podczas konfliktu Nigeria-Biafra. Po jednej stronie była armia nigeryjska, monstrualnej wielkości zlepek 85 tysięcy ludzi uzbrojonych po zęby w nowoczesną broń, którego dowództwo miało nieograniczony dostęp do zbrojowni przynajmniej dwóch światowych potęg i kilku mniejszych. Armia ta dysponowała olbrzymimi dostawami naboju, moździerzy, karabinów maszynowych, karabinów, granatów, pancernic, broni krótkiej, pocisków artyleryjskich, pojazdów opancerzonych. Wspierał ją liczny personel zagraniczny o doświadczeniu technicznym, czuwający nad łącznością radiową, transportem, wsparciem artyleryjskim, szkoleniem, wywiadem wojskowym, opanowaniem technik walki wręcz, służbami medycznymi oraz konserwacją pojazdów. Do tych specjalistów należy dodać kilka odmian najemników, sowieckich podoficerów zajmujących się działaniem broni wspierającej i obfitym uzupełnieniem w ciężarówki, wozy terenowe, samochody niskopodwoziowe, paliwo, samoloty i statki transportowe, wyposażenie inżynieryjne i saperkie, generatory i statki rzeczne. Wysilek wojenny tej maszyny wspierany był przez bezlitosne siły powietrzne, dysponujące myśliwcami i bombowcami zaopatrzonymi w działka, rakiety i bomby, oraz przez marynarkę wojenną, na którą składały się fregaty, kanonierki, eskortowce, desantowce, barki, promy i holowniki. Personel był bogato zaopatrzony w buty, pasy, mundury, hełmy, saperki, ładownice, racje żywnościowe, piwo i papierosy.

Naprzeciw tego wszystkiego stanęła armia białrańska z zaciągu ochotniczego, reprezentująca mniej niż jedną dziesiątą stanu, który zgłosił się do poboru. Liczba żołnierzy nigdy nie była problemem. Było nim wyposażenie tych, którzy zaciągnęli się pod broń. Podczas całkowitej 18-miesięcznej blokady armia Biafry utrzymywała się - przynajmniej przez pierwsze szesnaście miesięcy - średnio z dwóch, czasem jednego 10-tonowego ładunku broni i amunicji. Dowożony drogą powietrzną, musiał wystarczyć na cały tydzień. Standardowym wyposażeniem piechoty był przerobiony karabin Mausera z zamkiem tłokowo-obrotowym. Do tego dochodziła niewielka liczba pistoletów i karabinków maszynowych, karabinów maszynowych mniejszego i większego kalibru oraz pistoletów. Moździerzy, bomb, dział artyleryjskich i pocisków do nich było ledwo co; ręcznych wyrzutni przeciwpancernych prawie się nie spotykało.

40% białrańskiego ekwipunku było zdobyczne, w tym niezwykle cenione pojazdy opancerzone, których zaatakowane zniemacka załogi uciekły. Do tego należy dodać

domowego wyrobu rakiety, miny przeciwpiechotne, armaty, miny pułapkowe i koktajle Mołotowa. Obronę wspomagały takie „urządzenia”, jak doły przeciwczołgowe, zwalone drzewa i zaostrome kory ukryte w ziemi.

Nie mając przez półtora roku nowego pojazdu, Biafrańczycy posługiwali się reperowanym, łatanym i kleconym na nowo z rozbitych egzemplarzy sprzętem transportowym. Części zamienne albo brano ze zniszczonych pojazdów, albo dorabiano.

Co się tyczy wsparcia zagranicznego, to mimo wszystkich opowieści o setkach najemników dane z pierwszych osiemnastu miesięcy wyglądają następująco: czterdziestu Francuzów w styczniu 1967 r., którzy wyjechali w pośpiechu po sześciu miesiącach, gdy uznali, że jest dla nich za gorąco; grupa szesnastoosobowa we wrześniu 1968 r., która wytrzymała cztery tygodnie, zanim doszła do tej samej konkluzji. Faktycznie u boku Biafrańczyków walczyła garstka składająca się z Niemca, Szkota, Południowoafrykańczyka, Włocha, Anglika, Rodezyjczyka, dwóch Flamandów i dwóch Francuzów. Pół tuzina „żołnierzy fortuny” zjawiało się pojedynczo i zostawało na różne okresy - od jednego dnia do trzech tygodni. Poza rzadkimi wyjątkami trudy walki, ogromna przewaga wroga i głębokie przekonanie, że gdzie indziej muszą być łatwiejsze sposoby zarobienia na życie, ograniczały wizyty do paru dni. Jedynymi, którzy w ogóle odsłużyli swoje 6-miesięczne kontrakty, byli Niemiec Rolf Steiner, który doznał załamania nerwowego w dziesiątym miesiącu i musiał być wywieziony z kraju, i Południowoafrykańczyk Taffy Williams, który odsłużył dwa kontrakty i poszedł na urlop w początkach 1969 r.

Jak na ironię, historia wojny białrańskiej bynajmniej nie umocniła pozycji najemników w Afryce, lecz całkowicie zdemolowała stworzony w Kongo mit „białych gigantów”. W ostatecznym rozrachunku udział białych po stronie białrańskiej wynosił dużo poniżej 1%.

Większość okazała się zbirami w mundurach, a hołota z Kongo nie raczyła wcale zgłosić się w Biafrze. Ci, którzy w ogóle walczyli, zaprezentowali nieco większe umiejętności, lecz nie taką odwagę czy zawziętość, jak oficerowie białrańscy. Kontrast pomiędzy tymi dwiema grupami podkreślił major Williams, jedyny człowiek, który trzymał stronę Biafry przez dwanaście miesięcy walki, jedyny, który okazał się wart zatrudnienia. „Widziałem wielu Afrykańczyków w walce - rzekł raz. - Ale tych ludzi nic nie jest w stanie złamać. Dajcie mi 10 tysięcy Biafrańczyków na pół roku i stworzę armię, której nie oprze się nikt na tym kontynencie. Widziałem tu ginących ludzi, którzy w innym kraju dostaliby Krzyż Wiktorii. Mój Boże, niektórzy z nich byli naprawdę nie do przebiccia” (w rozmowie z autorem, 25 sierpnia 1968 r.). Jego uwagi o większości najemników, szczególnie Francuzach, nie nadają się do druku.

Na początku wojny obie strony czuły się pewnie. Generał Gowon obwieścił swojemu narodowi i światu, że podejmuje „krótką, chirurgiczną akcję” („Time”, 1 września 1967 r.). Wiktoria to raczej sprawa kilku dni niż tygodni. Na Północy pułkownik Katsina szydził z biafrańskiej „armii gryzpiórków” i zapowiadał szybkie zwycięstwo, gdy składająca się głównie z mieszkańców Północy nigeryjska armia federalna przekroczy granicę. Biafrańczycy, ufni w swoją większą mobilność, spryt i pomysłowość, uważali, że gdy uda się stawić opór przez kilka miesięcy, Nigeryjczycy zrozumieją bezsens wojny i wrócą do domu albo będą negocjować. Żadna ze stron nie miała racji.

Walki rozpoczęły się 6 lipca 1967 r. od ostrzału artyleryjskiego Ogoja, miasta w pobliżu granicy Regionu Zachodniego i najdalej na północ wysuniętego skrawka Biafry. Dwa bataliony federalne związały siły Biafrańczyków. Pułkownik Ojukwu zdawał sobie sprawę, że to manewr pozorny. Prawdziwy atak nastąpił dalej na zachodzie, w pobliżu Nsukka, zamożnego miasta handlowego, szczycącego się pięknym nowym uniwersytetem, nazwanym później Uniwersytetem Biafrańskim.

Tu pozostałych sześć batalionów nigeryjskich, zmasowanych na głównym kierunku ataku, przeszło 8 lipca granicę. Przebyły 4 mile i utknęły. Biafrańczycy, mając w tym sektorze około 3 tysięcy żołnierzy, stawili zaciekły opór 6 tysiącom Nigeryjczyków. Dysponowali 303 strzelbami policji Nigerii Wschodniej, zestawem włoskich, czeskich i niemieckich automatów i jaką taką liczbą dubeltówek, które w bliskich starciach na zakrzewionym terenie wcale nie są tylko niegroźnymi pukawkami. Nigeryjczycy opanowali Nsukka. Zniszczyli miasto, uniwersytet i inne zabudowania, ale nie przedarli się dalej. W prowincji Ogoja zajęli Nyonya i Gakem. Objęli zasięgiem artyleryjskim Ogoję, zmuszając Biafrańczyków do opuszczenia miasta i utworzenia linii obrony po południowej stronie rzeki. Tu również walki utknęły i wydawało, że na dobre.

Po dwóch tygodniach Lagos, zbite z tropu tą nieruchawością swojej straszliwej piechoty, zaczęło informować przez radio o upadku kolejnych biafrańskich miast pod ciosami sił federalnych. W Enugu zamieszkanym przez wszystkie grupy społeczne, w tym wysiedleńców, wyglądało to tak, jakby ktoś w Lagos wbijał na chybił trafił pinezki w mapę. W Hotelu Prezydenckim jak zawsze serwowano na tarasie podwieczorek, grano w piłkę wodną z personelem British Council, a do kolacji zasiadało się w smokingach.

Po trzech tygodniach Nigeryjczycy wpadli w kłopoty. Dwa ich bataliony odcięto od reszty, otoczono i rozbito na wschód od Nsukka między główną drogą i linią kolejową. Sklecono dwa rezerwowe bataliony z instruktorów i rekrutów, uzbrojono pośpiesznie i rzucono do sektora Nsukka ze strony nigeryjskiej.

W powietrzu aktywność ograniczała się do wyczynów samotnego biafrańskiego bombowca B-26, zbudowanego przez Amerykanów w czasie II wojny światowej i pilotowanego przez małomównego Polaka, który cieszył się przydomkiem „Kamikadze Brown”, i sześciu francuskich śmigłowców Alouette, pilotowanych przez Biafrańczyków ciskających granaty ręczne i domowej produkcji bomby na Nigeryjczyków.

25 lipca Nigeryjczycy przeprowadzili niespodziewany atak od strony morza na wyspę Bonny, ostatni kawałek lądu przed otwartym morzem, daleko na południe od Port Harcourt. Mierząc kategoriami prestiżowymi, było to spektakularne pociągnięcie w coraz bardziej monotonnej wojnie, gdyż Bonny służyła za terminal ładunkowy nitce rurociągu Shell-BP z Port Harcourt.

Ale pod względem militarnym nie przyniosło to żadnej korzyści, bo gdy tylko Biafrańczycy zostali raz ostrzeżeni, nieprzerwanie patrolowali wody na północ od Bonny i odpierali następne ataki nigeryjskie od strony morza na Port Harcourt.

9 sierpnia Biafrańczycy zastosowali kontruderzenie co się zowie. Spowodowało ono szok u obserwatorów w Biafrze i w Lagos. Zmotoryzowana brygada w sile 3 tysięcy ludzi, przygotowana starannie w tajemnicy, uderzyła o świcie i przedarła się przez most Onitsha na Środkowy Zachód. O dziesiątej region padł, a miasta Warri, Sapele, centrum naftowe w Ughelli, Agbor, Uromi, Ubiaja i Benin City dostały się pod okupację. Po małej armii Środkowego Zachodu nie zostało nic; z jedenastu wyższych oficerów dziewięciu było Ica-Ibo, najbliżsi kuzyni biafrańskich Ibo, i zamiast walczyć, serdecznie powitali oddziały Biafrańczyków.

Zdobycie Środkowego Zachodu zmieniło równowagę sił. Biafra kontrolowała teraz wszystkie roponośne tereny Nigerii. Chociaż sama straciła około 500 mil kwadratowych terytorium w trzech małych sektorach nadgranicznych, zajęła 20 tysięcy mil kwadratowych Nigerii. Co ważniejsze, cała piechota Nigerii była wiele mil dalej, naprzeciw Nsukka, oddzielona szerokim Nigrem od drogi powrotnej do stolicy i niezdolna do interwencji. Biafrańczycy mieli przed sobą otwartą i wolną drogę do Lagos.

Pułkownik Ojukwu zadał sobie wiele trudu, aby uspokoić nie należącą do plemienia Ibo większość mieszkańców Środkowego Zachodu i zapewnić ją, że nie zazna krzywdy. Przez tydzień zaproszone delegacje wodzów plemion, bankierów, kupców, działaczy Izby Handlowej, oficerów i dygnitarzy kościelnych płynęły do Enugu. Spotkały się z przywódcą Biafry, który zapewnił je o pokojowych intencjach. Pułkownik Ojukwu miał nadzieję, że przymierze dwóch regionów Południa przyciągnie trzeci - Zachodni - i zmusi rząd federalny do negocjacji.

Po tygodniu okazało się, że nici z tych oczekiwań, i pułkownik Ojukwu rozkazał dalszy marsz na zachód. 16 sierpnia Biafrańczycy dotarli do mostu na rzece Ofusu, wyznaczającej granicę Regionu Zachodniego. Tu nastąpiła krótka utarczka z oddziałami Nigerii, które następnie się wycofały. Po obejrzeniu trupów przeciwnika biafrańskim żołnierzom urosły skrzydła. Poległymi byli członkowie Gwardii Federalnej, osobistej ochrony Gowona, składającej się z 500 Tiv, normalnie stacjonującej w Lagos. Uznano, że jeśli musiał wysłać ją w bój, nie miał nikogo innego pod ręką.

20 sierpnia Biafrańczycy zaatakowali Ore, miasto na skrzyżowaniu dróg, 35 mil od granicy Zachodu, 130 mil od Lagos i 230 mil od Enugu. Tym razem stawiający opór Tiv dostali sroższe baty i wycofali się w rozsypce. Obserwatorom wydawało się wówczas, że zaledwie dziesięć tygodni po wojnie arabsko-żydowskiej mają do czynienia z kolejnym militarnym fenomenem. Oto maleńka Biafra zachwiała przeogromną Nigerią. Nagły zmotoryzowany rajd jedną z trzech głównych dróg przemieściłby siły Biafrańczyków głęboko w serce ojczyzny Joruba, pod bramy Lagos. Pułkownik Ojukwu wydał rozkaz takiego posunięcia.

Później dowiedziano się ze źródeł z ambasady amerykańskiej, że 20 sierpnia Europejczycy i Amerykanie byli prawie gotowi podjąć wobec Biafry politykę ustępliwości za cenę ratowania własnej skóry. Gowon rozkazał przygotować swój samolot, grzać silniki i szykować się do lotu do Zarii, na Północ. Brytyjski wysoki komisarz, sir David Hunt, i ambasador amerykański, James Matthews, odbyli długą, poważną rozmowę z Gowonem w koszarach Dodan, w wyniku której nerwowy naczelny dowódca armii Nigerii zgodził się wytrwać na posterunku.

Więści o tej interwencji, jeśli faktycznie nastąpiła (a godne zaufania źródła twierdzą, że tak), dotarły w ciągu tygodnia do pułkownika Ojukwu i wzbudziły gniew brytyjskich i amerykańskich obywateli w Biafrze, którzy uznali, że ich ambasadorowie postąpili nierozważnie narażając na szwank bezpieczeństwo swoich rodaków, bo gdyby ogół Biafrańczyków poznał te wiadomości, mógłby zareagować gwałtownie.

Decyzja Gowona uratowała jego rząd od upadku i sprawiła, że wojna trwała dalej. Gdyby uciekł, to niewątpliwie Zachód zmieniłby obóz i Nigeria stałaby się konfederacją trzech stanów. Od tego dnia Biafrańczycy podejrzewają, że marchewką, która zachęciła Gowona i jego kolegów z plemion mniejszościowych do nieoddania władzy, było zobowiązanie się Brytyjczyków i Amerykanów do pomocy. Rzeczywiście, od tego dnia szła ona szybko i w dużym zakresie.

Zajęcie Środkowego Zachodu wywołało jeszcze jeden skutek uboczny. Otworzyło



Nigeryjczykom oczy na fakt, że prowadzą wojnę. Początkowo nie doceniali Biafry, która wykorzystwała tę jedyną możliwość, aby samej pokierować wojną. Prawdę mówiąc, siły biafrańskie nie dotarły dalej niż do Ore, gdyż tymczasem nastąpił inny znaczący obrót wydarzeń. Niespodziewanie dla wszystkich dowódca biafrańskich sił na Środkowym Zachodzie okazał się zdrajcą.

Victor Banjo był Joruba, majorem armii nigeryjskiej, uwięzionym przez generała Ironsiego za udział w domniemanym spisku przeciwko niemu. Więziony na Wschodzie, został zwolniony na początku wojny przez pułkownika Ojukwu i otrzymał propozycję zajęcia stanowiska w armii Biafry. Przyjął ją, zamiast wracać na Zachód, gdzie być może czyhała na niego zemsta z rąk rządzących tam ludzi z Północy. Nigdy się nie dowiemy, dlaczego pułkownik Ojukwu wybrał jedyne wyższego stopniem Joruba w biafrańskiej armii do rozkazywania oddziałom atakującym Nigerię Zachodnią, ale przywódca biafrański nigdy nie krył przyjaźni łączącej go z Banjo i darzył go instynktownym zaufaniem. Banjo w randze brygadiera dowodził Brygadą „S”, gdy wjechała na Środkowy Zachód.

Po demaskacji sam wyznał, że niebawem po 9 sierpnia zapragnął nawiązać kontakt z przywódcami Zachodu, szczególnie wodzem Awolowo. W Benin City odkrył kryjówkę gubernatora Środkowego Zachodu, pułkownika Ejoora. Natychmiast poprosił go, aby wystąpił w roli pośrednika między nim a Awolowo, lecz Ejoor odmówił.

Banjo wyznał później, że korzystając z krótkofalówki, przekazywał wiadomości brytyjskiej Wysokiej Podkomisji w Beninie. Brytyjski urzędnik po niemiecku komunikował wiadomości koledze w Lagos. Te informacje były przekazywane wodzowi Awolowo. Ujawniony przez Banjo kompleksowy spisek był typowy dla Joruba. Wraz z dwoma innymi wyższymi oficerami biafrańskimi, mającymi polityczne ambicje, Banjo zamierzał doprowadzić Biafrę do upadku, wycofując pod różnymi pretekstami swoje oddziały ze Środkowego Zachodu, aresztując i mordując Ojukwu i na końcu proklamując „rewoltę”. Wróciłby w glorii bohatera do ojczyzny w Regionie Zachodnim, rozgrzeszony z całej przeszłości.

Dodał, że dalsza część spisku zakładała, iż wraz z Awolowo wezwą świeżo powołanych do wojska Joruba pod swój sztandar, złożą Gowona z urzędu i Awolowo dostanie od dawna wymarzone premierostwo. Wydaje się niezbyt prawdopodobne, by rząd Gowona znał te wszystkie zamysły.

Banjo udało się wciągnąć do spisku pułkownika Ifeajuanę (również zwolnionego z więzienia), a poza tym wyszkolonego w Moskwie komunistycznego oficera - Philipa Alale, urzędnika biafrańskiego MSZ - Sama Agbama, który przeprowadził część negocjacji między

dwiema stronami poza granicami Biafry, i kilku innych niższych oficerów i funkcjonariuszy.

W połowie września był gotów do działania. Pułkownik Ojukwu przebywający w Enugu, chociaż sfrustrowany brakiem działań na zachodzie, nadal ufał Banjo i przyjmował do wiadomości jego doniesienia o kłopotach związanych z zarządzaniem, brakiem ludzi, broni, amunicji i tak dalej. To prawda, że Nigeryjczycy stali się silniejsi w ciągu trzech tygodni. Wdrożono błyskawiczny kurs szkolenia, po zaledwie jednym tygodniu ubierając w mundury tak różne elementy, jak uczniów college'ów i kryminalistów wyciągniętych z więzień. Nigeryjczycy sformowali jedną brygadę, a potem następną. Te oddziały, nazwane II Dywizją i dowodzone przez pułkownika Murtełę Mohammeda, stawiały opór w Regionie Zachodnim. Wykorzystanie szybkich kolumn zmotoryzowanych nadal zapewniało Biafrańczykom dominującą pozycję na Zachodzie, aż do pierwszego tygodnia września, ale 12 tego miesiąca Banjo wydał nie autoryzowany rozkaz wycofania się z Benin City bez oddania strzału. Mohammed wszedł do miasta dopiero 21 września.

Następnie Banjo wydał rozkazy ewakuowania się bez walki z Warri, Sapele, Auchy, Igueben i innych ważnych pozycji. Zdumieni i oszołomieni niżsi oficerowie biafrańscy słuchali tych poleceń. Równocześnie obrona biafrańska na południe od Nsukka załamała się i siły federalne zdobyły odcinek drogi do Enugu, zatrzymując się 45 mil od Nsukka.

W tym momencie Banjo zdecydował się zaatakować wprost pułkownika Ojukwu. Na Środkowym Zachodzie odbył naradę z Ifeajuaną i Alale. Spiskowcy dopracowali w szczegółach plan zabójstwa. Miało się zbiec z obecnością Banjo w Enugu 19 września. Wezwano go tam, by wyjaśnił swoje postępowanie na Środkowym Zachodzie.

Żaden z trzech spiskowców nie zdawał sobie sprawy, że ich czas się skończył. Co zaskakujące, przekazali swoje plany wielu oficerom i cywilom, nie sprawdzwszy nawet, czy ci ludzie nie pozostali lojalni wobec Ojukwu. A tak przeważnie było i kilka osób stawiało się już u Ojukwu, zapoznając go ze szczegółami spisku.

Trzeba było przywódcę bardzo przekonywać, ale fakty zaczęły mówić same za siebie. Ifeajuanę i Alale wezwano pojedynczo do siedziby parlamentu regionu, gdzie lodowaty Ojukwu doprowadził do konfrontacji, a potem nakazał osadzić ich w areszcie. Banjo również został wezwany, ale pojawił się z silną eskortą lojalnych żołnierzy. Nie chciał sam wejść do parlamentu. Przekonano go, by zostawił eskortę przy bramie, w zasięgu głosu, i wszedł tylko z bronią. Podczas gdy czekał w przedpokoju, adiutant pułkownika Ojukwu, młody sprytny inspektor policji, wyszedł przed gmach z butelką dzinu. Postawił kolejkę, a potem zaprosił żołnierzy do pobliskiego domu na następną. Zgodzili się i odeszli.

W siedzibie parlamentu straż odczekała do zniknięcia eskorty, a potem skierowała

automaty na Banjo, Rozbrojono go i wprowadzono do gabinetu szefa państwa. Było sześć godzin do chwili, w której pułkownik Ojukwu powinien umrzeć, do północy 18 września.

Skandalu nie dało się utrzymać w tajemnicy, gdyż główni winowajcy dobrowolnie przyznali się do winy, a plotki aresztowano. Wpływ tej afery na armię miał przełomowe znaczenie. Szybko zaczęła się demoralizacja. Cały korpus oficerski został zdyskredytowany w oczach szeregowców, nadal niezachwianie wiernych pułkownikowi Ojukwu. Choć ten czuł się związany starą przyjaźnią z Banjo i powinowactwem poprzez żonę z Alale, był pod silną presją ze strony kolegów z armii, którzy uważali, że dla powstrzymania rozkładu konieczny jest precedens. Zgodził się z tym rozumowaniem.

Czterej przywódcy spisku zostali osądzeni przez specjalny trybunał, skazani na śmierć za zdradę stanu i rozstrzelani o świcie. Był 22 września.

Dokładny stopień uczestnictwa lub wiedza na temat spisku niektórych dygnitarzy brytyjskich przebywających w Nigerii pozostaje sprawą spekulacji. Banjo w swoich zeznaniach (popartych odebranymi mu pisemnymi dowodami, które Ojukwu zaprezentował autorowi) mocno obciążył brytyjską Wysoką Podkomisję w Beninie i wysokiego komisarza w Lagos, którzy posłużyli mu za łączników z Awolowo i Gowonem. Później korespondenci w Lagos stwierdzili, że w połowie września zauważyli wśród brytyjskich urzędników nagle uniesienie, słyszeli stanowcze zapewnienia, że „to wszystko zakończy się w kilka dni”. Te zapowiedzi nijak nie miały się do sytuacji na froncie i ostro kontrastowały z paniką widoczną 20 września.

Ale po próbie zamachu sprawy uległy znacznej zmianie, Biafrze zadano ogromny niszczycielski cios. Do 25 września Biafrańczycy wycofali się z Agbor na Środkowym Zachodzie, miasta leżącego w połowie drogi między rzeką Niger i Benin City, a do 30 września zajęli pozycje obronne wokół Asaba, niedaleko od miasta i plecami do rzeki. Na północ od Enugu zdemoralizowana piechota wycofała się, niestety, pod natarciem Nigeryjczyków idących na południe z Nsukka. Do końca miesiąca Enugu znalazło się w zasięgu ostrzału artyleryjskiego. 6 października Biafrańczycy z Asaba przeszli Niger drogą do Onitsha i wysadzili nowy, zbudowany za 6 milionów funtów most, by zapobiec przeprawie Mohammeda. Byli bardzo zniechęceni. Dwa dni wcześniej, 4 października, przeciwnik wkroczył do Enugu.

Za granicą panowała powszechna opinia, że Biafra musi paść. Dwa elementy powstrzymały kraj od rozpadu: osobowość pułkownika Ojukwu, który zaprowadził porządek w armii i nagadał do słuchu oficerom i szeregowcom, oraz postawa ludu, który wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zamierza się poddawać. Ponieważ prości żołnierze byli jak zwykle

synami ludu ubranymi w mundury, armia niebawem zrozumiała, czego się od niej oczekuje.

Pułkownik Ojukwu poczuł się w obowiązku złożyć rezygnację, którą Zgromadzenie Doradcze jednogłośnie odrzuciło. To wyznaczyło koniec epizodu z Banjo; Biafra na poważnie wzięła się do walki. Zaczęła się długa, mozolna wymiana ciosów.

Tymczasem ogromna przewaga uzbrojenia importowanego przez Nigerię, szczególnie z Wielkiej Brytanii, Belgii, Holandii, Włoch i Hiszpanii, stała się miazdząca. Następny zaciąg rekrutów umożliwił wzmocnienie armii do ponad 40 tysięcy ludzi. Oddziały w północnej części Biafry tworzyły teraz I Dywizję, te po drugiej stronie Nigru pod dowództwem Mohammeda II. Pierwsza była dowodzona przez pułkownika Mohammeda Shuwę, który kierował nią z Makurdi, odległego miasta Regionu Północnego. Ponieważ pułkownik Ekpo był szefem sztabu wojsk lądowych, Bissalla szefem sztabu armii, czterej Hausa kontrolowali nigeryjską armię. Poprzednik Bissalli, pułkownik Akahan, Tiv, zginął w wypadku helikoptera w tak dziwnych okolicznościach, że podejrzewano podłożenie bomby.

Koniec jesieni i zima nie przyniosły szczęścia Biafrze. Na północy padło Enugu, podczas gdy bardziej na wschodzie, w sektorze Ogoja, oddziały nigeryjskie parły z Ogoja do Ikom główną drogą do sąsiedniego Kamerunu. Wtem 18 października nowo sformowana III Specjalna Dywizja Federalnej Piechoty Morskiej wylądowała w Calabarze na południowym wschodzie. Ponieważ Bonny nadal pozostawała punktem za palnym i Mohammed groził przekroczeniem Nigru, oznaczało to dla Biafrańczyków pięć frontów.

Pomimo gwałtownych kontrataków nie dało się usunąć Nigeryjczyków z Calabaru i dzięki silnemu wsparciu ich przyczółek na plaży rozrastał się stopniowo, aż Adekunle rozbił obronę i podążył na północ wzdłuż wschodniego brzegu rzeki Cross, usiłując połączyć się z I Dywizją w Ikom. Zamykając drugą drogę do Kamerunu (z Calabaru), Nigeryjczycy odcięli Biafrze połączenia lądowe ze światem.

Jedyny pozostały kontakt powietrzny utrzymywany był teraz z Port Harcourt. Po tym, jak samotny B-26 z Enugu został poryty kulami na ziemi, zastąpił go również samotny B-25, pilotowany przez byłego żołnierza Luftwaffe, znanego jako Fred Herz.

Jesienią zagraniczni korespondenci bez zająknięcia wieścili koniec Biafry. To wołanie słyszano kilka razy przedtem i miano usłyszeć jeszcze kilka razy. Biafrańczycy niezbyt się nim przejmowali.

W październiku i listopadzie 1967 r. pułkownik Mohammed trzy razy usiłował pokonać łodziami Niger z Asaba i przechwycić Onitsha.

Przy pierwszej okazji, 12 października, przepłynął dwoma batalionami. Jednym z dowódców liniowych w Onitsha był pułkownik Joe Achuzie, twardy i bezwzględny

mieszkaniec Środkowego Zachodu, który spędził II wojnę światową w armii brytyjskiej i walczył w Korei. Gdy wybuchła wojna, pracował w Port Harcourt jako inżynier. Zaciągnął się do milicji. Stamtąd przeniesiono go do armii. Widząc przeprawę Mohammeda, zdecydował się złapać go w zasadzkę.

Łodzie przybiły do brzegu i żołnierze zeszli na ląd w pojazdach opancerzonych. Achuzie obserwował z drewnitni Ministerstwa Robót Publicznych, jak żołnierze Hausa puszczają z dymem targ w Onitsha, największy w Afryce Zachodniej, którego zapasy oceniano niegdyś na 3 miliony funtów. Po tym bezsensownym akcie wandalizmu sformowali się i wyszli z opuszczonego miasta. Przemaszerowali około mili, gdy Biafrańczycy przypuścili kontratak. Nigeryjczycy stracili oba pojazdy opancerzone, zostali zepchnięci do rzeki i wreszcie zniszczeni przy przystani.

Dokonano jeszcze dwóch prób przebycia Nigru statkiem, ale za każdym razem jednostka była dziurawiona pociskami z broni maszynowej i szła na dno. Towarzyszyły temu ciężkie straty w ludziach, zwłaszcza w wyniku zatonięć. Główny ciężar strat dotykał Joruba w II Dywizji, aż ich dowódca zaprotestował przeciwko dalszym przeprawom. Mohammed zostawił Joruba na straży Asaba i zabrał swoich Hausa na północ, przeszedł Region Północny i wkroczył do Biafry zamierzając wziąć Onitsha od strony lądu.

W Lagos generał Gowon zapowiedział koniec wojny na schyłek roku, ale gdy stało się to niemożliwe, wyznaczył kres Biafry na 31 marca 1968 r. Pod koniec roku sytuacja na południe i wschód od Enugu ustabilizowała się. Na wschodzie siły nigeryjskie miały do miasta około 20 mil, podczas gdy na południu Biafrańczycy stali twarzą w twarzą z przeciwnikiem na skraju przedmieść.

Na północnym wschodzie siły federalne przejęły całą prowincję Ogoja i stały twarzą w twarzą z Biafrańczykami nad rzeką Anyim, dopływem Cross. Dalej na południe siły Adekunle były w połowie drogi z Calabaru do Ikom, podczas gdy głęboko na południu w sektorze Bonny utrzymała się sytuacja bardzo podobna do tej sprzed pięciu miesięcy. Kilka ataków od morza zakończyło się klęską.

Ale gdy Nigeria dostawała coraz większe uzupełnienia broni, a uzupełnienie Biafrańczyków utrzymywało się mniej więcej na równym poziomie - dwa samoloty tygodniowo - walka stawała się cięższa. Siła ognia Nigeryjczyków, szczególnie artylerii i moździerzy, była coraz bardziej mordercza, podczas gdy równoczesne nadchodziły z Wielkiej Brytanii świeże zapasy pojazdów opancerzonych. To nie tylko wyrównywało straty, ale znacznie powiększało istniejący kontyngent. Zwykle pojazdom opancerzonym Nigeryjczycy zawdzięczali zdobytą teren, bo Biafrańczycy nie mieli ich jak ugryźć.

Pod koniec grudnia pułkownik Mohammed ze swoją dywizją, która teraz rozrosła się do 14 tysięcy żołnierzy, wybrał się na 68-milowy marsz główną drogą do Onitsha. Zabrał ze sobą gigantyczne zaopatrzenie. Dokument znaleziony później w kieszeni martwego majora ujawnił, że batalion tylko tego oficera miał rezerwę 20 tysięcy pocisków artyleryjskich. Tuż za Enugu, blisko miasta Udi, II Dywizja spotkała Biafrańczyków i zaczęła się jedna z największych bitew tej wojny.

Zgodnie z tradycją Hausa Mohammed skupił swoje oddziały w zwarte falangi i szedł tak drogą. W połowie lutego dotarł do Awka, skąd miał jeszcze 30 mil do Onitsha. Ponościł ogromne straty, gdyż jego szlak był znany i żołnierze federalni nie lubili oddalać się zbyt od głównej drogi. Podczas wojny bardzo wystrzegali się wejścia w busz, gdzie nie mogli brać ze sobą ciężkiego sprzętu, a tworząc zmasowane oddziały, stanowili łatwy cel dla Biafrańczyków.

Pułkownik Ojukwu, ucząc taktyki w Teshie w Ghanie, miał w swojej klasie młodego porucznika Murtełę Mohammeda. Siedząc w gabinecie w Umuahia, Ojukwu sporządzał plany i projekty, dzięki którym mógłby przechrzyć znacznie lepiej wyposażonego przeciwnika. Musiał go przechrzyć. Biafrańczycy, lekko uzbrojeni, ale bardzo zwrotni, nie mogli zaatakować Mohammeda czołowo. Skoncentrowali się na szarpaniu flanków i tyłów, powodując wysokie straty. Ale Mohammed, nie przejmując się tym wcale, parł uparcie naprzód. W Awka nie wykorzystał swojej wielkiej szansy. Siły Biafrańczyków były niezwykle słabe z przodu, ale silne z boku i z tyłu. Gdyby uderzył zdecydowanie na Awka, doszedłby prosto do Onitsha. Pułkownik Ojukwu zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i przetrzymał dodatkowe siły tam, gdzie mogło pójść główne uderzenie. Potrzebował 48 godzin, Mohammed dał mu je. Wojska Północy spędziły trzy dni na kompletnym niszczeniu zabudowań miejskich Awka.

Zanim skończyły, Biafrańczycy się przegrupowali. Dalej na północ Achuzie ze swoim doborowym 29 Batalionem działał na własną rękę. Przemaszerował 92 mile i zdobył od tyłu miasto Adoru w Regionie Północnym. Idąc stamtąd odzyskał Niuikka, również od tyłu, najpierw rozpoznawszy obronę od środka. Udając starego wieśniaka chętnego do współpracy z Nigeryjczykami, wszedł sam do miasta i nawet został przelotnie pozdrowiony przez mijającego go wojskowego dowódcę Nsukka. Po dziesięciu godzinach Achuzie z powrotem przywdział mundur i na czele 29 Batalionu wdarł się do miasta w miejscu pozbawionym obrony.

Z Nsukka przemazzerował na południe w kierunku Enugu i w Ukehe, w połowie odległości między Nsukka i Enugu, połączył się z pułkownikiem Mikiem Ivenso,

przemierzającym kraj na przełaj. Ten epizod ogromnie podniósł na duchu Biafrańczyków i zaniepokoił Nigeryjczyków w Enugu, ponieważ droga była głównym szlakiem dla ich uzupełnienia. Ale konieczność zatrzymania Mohammeda była zbyt nagła. Ojukwu niechętnie wezwał obu pułkowników na południe, by pomogli w walce toczony między Awka i Abagana. Mohammed zdążył do Abagana, 16 mil od Onitsha, w pierwszym tygodniu marca.

Po przybyciu dwóch dodatkowych batalionów Achuziego i Ivenso walki stały się bardziej zajadłe. Mohammed rozpaczliwie domagał się większej liczby ludzi i ogalając miasto z garnizonu, dostał 6 tysięcy z Enugu. Gdyby Ojukwu miał wolny batalion, odzyskałby miasto darmo. Ale Mohammed parł do Ogidi, 8 mil od Onitsha, pozostawiając główne siły w Abagana.

Szpica dwóch najlepszych batalionów Hausa, 102. i 105., pod wodzą Mohammeda wdarła się do Onitsha 25 marca. Achuzie zdał sobie sprawę, że nie da się jej zatrzymać, ale zdecydował się zmienić kierunek marszu i wejść do Onitsha następując wrogowi na pięty, by Nigeryjczycy nie mieli czasu się okopać. Miał nadzieję, że zepchnie ich do Nigru. To mogło się udać, bo bataliony federalne były wyczerpane. Ale po drodze inny batalion Biafrańczyków błędnie wziął żołnierzy Achuziego za wroga. Kiedy wyjaśniono omyłkę, Achuzie podążył szybko przed siebie. Przy kościele pod wezwaniem Apostołów on i jego ludzie natrafili na ciała 300 parafian, którzy zostali na modlitwie, podczas gdy inni uciekli. Hausa wywlekli modlących się ze świątyni i wymordowali.

Żołnierze białrańscy byli tak oszołomieni, że odmówili dalszego marszu. Na oficerów spadł niemiły obowiązek usunięcia ciał z drogi.

Achuzie ruszył dalej, ale z 18-godzinnym opóźnieniem. Okazało się, że Nigeryjczycy dobrze się okopali. Miał dwie możliwości - albo wykurzyć Nigeryjczyków, albo wrócić do Abagana. W pierwszym wypadku wyczerpałby ludzi i zapas amunicji, przez co nie byłiby zdolni walczyć z większym oddziałem, który na pewno szedł za nimi. Wywiązała się sprzeczka między Achuziem i innymi dowódcami białrańskimi. Upierali się, że nie ma żadnego większego oddziału. Achuzie wygrał spór i przygotował ogromną pułapkę przed Abagana. Następnego rana przytoczył się główny oddział, konwój 102 ciężarówek z 6 tysiącami ludzi na platformach i 350 tonami wyposażenia.

Zasadzka przed Abagana była największa w historii tej wojny. Przypadkowy pocisk z moździerza trafił cysterne z 8 tysiącami galonów benzyny i eksplozja poszła do tyłu. Jęzor płonącego paliwa, długi na 400 jardów, pokrył 60 pojazdów. Niebawem spłonęły. Żołnierze, którzy przeżyli, wpadli w panikę, zeskoczyli z ciężarówek i uciekli. Dopadła ich czekająca

piechota biafrańska. Bardzo niewielu uszło z życiem.

Mohammed dotarł do Onitsha, ale z 20 tysięcy przyprowadził jedną dziesiątą. Większość stracił po drodze. Lagos nie było zadowolone, gdy Mohammed, przepłynąwszy Niger małą łódką, zdał raport. Już nigdy nie dostał dywizji. Bataliony 102. i 105. zluzowano z Onitsha. Świeże siły wysłano przez rzekę z Asaba. Niebawem w Onitsha było o 5 tysięcy więcej Nigeryjczyków i mimo ponawianych usiłowań odzyskania miasta pozostali w nim. Do listopada 1968 r. garnizon wzrósł do 8 tysięcy żołnierzy.

Kwiecień 1968 r. był katastrofalnym miesiącem dla Biafry. W lutym spora liczba doradców technicznych przybyła do Nigerii „w celach szkoleniowych”. Według Biafrańczyków byli to brytyjscy podoficerowie. Potwierdzają to źródła w Londynie. Efekt tego stał się odczuwalny właśnie w kwietniu. Łączność radiowa Nigeryjczyków zdecydowanie się poprawiła, a biafrański nasłuch wyłapywał głosy przesyłające w eterze instrukcje nienaganną angielszczyzną. Skomplikowane manewry, dotąd będące poza zasięgiem Nigeryjczyków, były na porządku dziennym. Równocześnie zwiększył się park samochodowy strony nigeryjskiej. Dziury w transporcie, widoczne przed kilkoma tygodniami, zostały załatane. Co ważniejsze, od kwietnia Nigeryjczycy budowali mosty Bailey'a [przenośne mosty z kratownic], nad czym dawniej ślęczeli miesiącami. Korpus inżynierski armii nigeryjskiej składał się prawie całkowicie z mieszkańców Wschodu i Biafrańczycy zdawali sobie sprawę, że tak szybki montaż tych mostów jest poza możliwościami Nigeryjczyków.

Na wschód od Enugu Nigeryjczycy przeszli stromy i wysoki wąwóz w Ezulu. Ich pojazdy opancerzone przemknęły ostatnie 12 mil do Abakaliki i połąkły miasto. Odcieśli Biafrańczyków na wschód od Abakaliki. Biafrańczycy, mając przed sobą Nigeryjczyków po drugiej stronie Anyim, wycofali się na nową linię w kierunku na południe. W ciągu kilku dni Nigeryjczycy w prowincji Ogoja przeszli Antim po kolejnym moście Bailey'a i połączyli się z siłami w Abakaliki. Po raz pierwszy dwa skrzydła nigeryjskiej I Dywizji nawiązały bezpośredni kontakt i zajęły pas wschód-zachód na linii północnej granicy Biafry.

III Dywizja Adekunle, wykorzystując dwa bataliony czarnych najemników z Czadu, nazywanych *gwodo-gwodo*, parła doliną rzeki Cross po jej wschodniej stronie do Obubra, ostatniego dużego miasta w kraju Ekoi. Została zatrzymana przez dwa tygodnie na linii rzeki. Sprawiała to groźna obecność majora Williamsa na przeciwnym brzegu, stu jego osobiście wyćwiczonych komandosów i siedmuset wolontariuszy ze szczepu Ibo. Williamsa łączyła osobista przyjaźń z wodzem szczepu. Ci wojownicy z buszu byli zdecydowanymi zwolennikami Biafrańczyków. Na uzbrojeniu mieli rusznice oraz maczety. Sprawowali stały



nadzór nad 70 milami rzeki.

Ale wyjazd Williamsa w celach szkoleniowych na początku kwietnia stworzył Czadyjczykom z drugiej strony rzeki długo wyczekiwaną szansę. Pod koniec kwietnia dokonali w dwóch miejscach przeprawy i zdobyli Afikpo, największe miasto po stronie zachodniej.

Dalej na wschód szczęście uśmiechnęło się do Adekunle. W ostatnich dniach marca przy pomocy kilku brytyjskich ekspertów od pokonywania rzek dokonał w najszerszym miejscu Cross, mierzącym prawie milę, podwójnej przeprawy. W kilka dni zajął Oron i Itu, a jego szybko poruszające się kolumny, prowadzone przez najemników, w kilka tygodni przemierzyły kraj Ibibio, zajmując szybko jedno po drugim miasta: Uyo, Ikot Ekpene, Abak, Eket i Opobo. Miały ułatwione zadanie dzięki przewodnikom znającym szlaki w buszu, zimowe słońce utwardziło grunt, a niektórzy miejscowi wodzowie szli częściowo na współpracę z najeźdźcami. Później, po kilku tygodniach, a wreszcie miesiącach okupacji żołnierzy Adekunle, ci wodzowie slali żalosne apele do pułkownika Ojukwu. Żaden naród w Biafrze nie doznał bardziej brutalnego traktowania ze strony nigeryjskiego okupanta niż ludy Ibibio i Annang.

W północnym zakątku terytorium Ibibio, tam gdzie zaczyna się kraina Ibo, około 30 mil od Umuahia, Nigeryjczyków zatrzymano. Zresztą głównym celem Adekunle nie była północ, ale zachód - błyszczący klejnot, Port Harcourt.

Od kwietnia działalność I i II Dywizji ustała i uwaga skierowała się coraz bardziej na Adekunle na południu. II Dywizja usiłowała kilkakrotnie utworzyć linię komunikacyjną Onitsha-Abagana, podczas gdy I Dywizja umacniała kolejne miasteczka wzdłuż głównej drogi Enugu-Onitsha. Dojazd samochodowy do Abagana był możliwy, ale połączenie z Onitsha szwankowało. To utrudnienie komunikacyjne uniemożliwiało wszelkie poważne uderzenia na wschód, chociaż I Dywizja zaatakowała w kierunku południowym w czerwcu i 15 czerwca zdobyła Awgu, położone na południe od głównej drogi.

Ale w lecie 1968 r. Adekunle stał się najważniejszym nigeryjskim dowódcą i Lagos faworyzowało go największymi przydziałami broni i amunicji. Podczas gdy stan I Dywizji utrzymywał się na stałym poziomie 15 tysięcy żołnierzy, a II Dywizja liczyła około 13 tysięcy, III Dywizja Adekunle odpowiedzialna za całe południe urosła pod koniec 1968 r. do 25 tysięcy.

Korzystając znowu z pomocy zagranicznych ekspertów, oddziały Adekunle przeszły w drugiej połowie kwietnia rzekę Imo, ostatnią barierę przed Port Harcourt. Adekunle do największego miasta Biafry miał 40 mil.

W miejscu podwójnej przeprawy Adekunle Imo płynie na południe z Umu Abayi do ujścia w Opobo. Powyżej Umu Abayi rzeka płynie w kierunku wschód-zachód 40 mil od Awaza. Ten prostokąt lądu, długi na 40 mil i obejmujący na linii północ-południe 30 mil, jest ograniczony na zachodzie rzeką Bonny, przy której stoi Port Harcourt. Od południa opasują go strumienie, nie kończące się bagna i splątane mangrowce, które z kolei sąsiadują z otwartym morzem. Na tym obszarze, poza Port Harcourt, leży napędzana gazem ziemnym elektrownia Afam oświetlająca całe południe Biafry, miasto naftowe Bori, rafineria Shell-BP w Okrika warta 10 milionów funtów i liczne szyby naftowe. Chociaż sam Port Harcourt zamieszkują przeważnie Ibo, otaczające tereny należą głównie do Ogoni, Ikwerra i Okrika, podczas gdy ludność nadrzeczna mieszka wzdłuż strumieni i w kierunku zachodnim po drugiej stronie rzeki Bonny.

W tym czasie Biafra przyjęła jakieś 4 miliony uchodźców z okupowanych terenów, w tym około 1,5 miliona Ibo oraz 2,5 miliona plemion mniejszościowych. Szczególnie preferowano Port Harcourt i jego bogate w żywność wiejskie otoczenie, toteż przedwojenna 0,5-milionowa populacja urosła tam do blisko miliona.

III Dywizja szybko złapała oddech na zachodnim brzegu Imo. Zwalczyła wypadki zorientowane na zniszczenie przyczółków na plażach i w ostatnich dniach kwietnia zaatakowała Port Harcourt. Siły białe przyjęły uderzenie. Jak zwykle najpierw jechały wozy opancerzone, wspierane atakiem z dział i moździerzy. Następnie szła piechota. Na samotnym stanowisku, z pustym magazynkiem, ostatni raz widziano Włocha walczącego za Biafrę, majora Giorgio Norbiatto. Uznany za zaginionego, prawdopodobnie został zabity.

Do połowy maja padły Afam, Bori i Okrika. Biafrańczykom utrudniały obronę tysiące uchodźców, podczas gdy posuwaniu się Nigeryjczyków towarzyszyła mała grupka zwerbowanych tubylców, ochotników i przewodników. Niektórzy z nich zostali przywiezieni z Lagos, jak były student-powstaniec, Isaac Boro, który tym razem wypłynął jako major sił federalnych. Został zabity pod Bori.

Szybkim prawym sierpowym Nigeryjczycy odcięli drogę północną z Port Harcourt w kierunku Aba i 18 maja czołowe oddziały zajęły wschodnie obrzeża miasta. Przez kilka dni trwał silny ostrzał artyleryjski. Drogi na północny zachód do Owerri były zablokowane prawie milionem szukających schronienia uchodźców. Ten ludzki potop unieruchomił pułkownika Achuzie, nowo mianowanego dowódcę sektora, i zanim oczyszczono szlaki komunikacyjne, Nigeryjczycy ukryli się w mieście zajmując jedną stronę lotniska, podczas gdy Biafrańczycy utrzymali się po drugiej. Obie strony na miesiąc zaniechały działań. Nabierały oddechu.

Na początku kwietnia Niemiec, major Steiner, eks-sierżant Legii Cudzoziemskiej, najstarszy stopniem z czterech najemników (ostatnim był Anglik, który, jak Williams, działał wzdłuż rzeki Cross, ale wyjechał), otrzymał rozkaz pułkownika Ojukwu, aby wyszkolić i stworzyć doborową brygadę na wzór małych, twardych grup, którymi Europejczycy dowodzili do tamtej pory. Steiner, którego oddziałik partyzancki działał ku wielkiemu utrapieniu Nigeryjczyków wokół lotniska Enugu, założył obóz i rozkazał Williamsowi dołączyć. Obaj zaczęli budować IV Biafrańską Brygadę Komandosów, kontrowersyjny oddział, który jednak miał odegrać szeroko rozreklamowaną rolę w operacjach Biafrańczyków przeciwko armii federalnej.

Williams wolałby pozostać nad rzeką Cross, ale musiał słuchać rozkazów. W pół miesiąca po jego odejściu *gwodo-gwodo* przeszli do obozu przeciwnika, co zdaniem Williamsa byłoby nie do pomyślenia, gdyby pozostał. Po wygaśnięciu kontraktu wrócił na początku maja do Londynu. ale w tydzień później został poproszony o powrót. Nową służbę rozpoczął 7 lipca. Tymczasem Steiner wyszkolił 3 tysiące ludzi podzielonych na sześć małych batalionów lub oddziałów uderzeniowych i był gotów do akcji. Gdy zaoferowano mu dowolny sektor, wybrał drogę Enugu-Onitsha i wrócił na północ, gdzie dołączył do niego po powrocie Williams.

W czerwcu komandosi atakowali z pewnymi sukcesami pozycje II Dywizji. Pułkownik Haruna, dowódca II Dywizji, pytany później, dlaczego nie wsparł I i III Dywizji „podczas ostatecznego ataku na Iboland”, przyznał, że wszystkie jego przygotowania udaremnił komandosi, których wypadki zmuszały go do manewrowania dużymi oddziałami. Działalność komandosów w Amansee, Uku i Amieni udowodniła słuszność nonkonformistycznej taktyki Steinera głoszącej wyższość małych, mobilnych oddziałków, bardziej skutecznych w afrykańskim terenie niż zwarte falangi piechoty. Chociaż pułkownik Ojukwu teoretycznie zgadzał się z tą zasadą, to później okoliczności zmusiły go do narzucenia komandosom roli piechoty.

W lipcu Adekunle wyruszył z Port Harcourt z rozkazami zajęcia resztek Stanu Nadrzecznego, leżących na zachód od Bonny. W tym momencie pułkownik Ojukwu poprosił wodzów dwóch południowych prowincji, Yenagoa i Dagema, o przyjazd i spotkanie. Teren, który zamieszkiwali, był tak niedogodny do obrony, iż armia Biafry nie miała wielkich szans na powstrzymanie Nigeryjczyków. Złożył wodzom propozycję: skoro wolą połączyć się z Nigerią i zaoszczędzić sobie przyszłego odwetu, rozlokujecie linie obronne na północ od ich prowincji i ustąpi resztę terenów Stanu Nadrzecznego Nigerii.

Wodzowie chcieli odpowiedzieć od razu, ale Ojukwu rzekł, aby wrócili do siebie i

omówili to z radą. Następnego dnia przybył posłaniec z odpowiedzią ludu Stanu Nadrzecznego.

Chciał zostać przy Biafrze; pokładał nadzieję w każdej możliwej obronie i będzie pomagał, ile się tylko da; zdaje sobie sprawę, że to pociągnie za sobą odwet, i był na niego przygotowany.

Adekunle kazał później zapłacić mieszkańcom Stanu Nadrzecznego wysoką cenę za lojalność wobec Biafry. Zgodnie z przewidywaniami Ojukwu okazało się, że terytorium nie nadaje się do obrony przed oddziałami dysponującymi wieloma łodziami i statkami. Obrońcy musieliby rozbić siły na małe grupki strzegące każdego skrawka lądu i wyspy. Nigeryjczycy mogli wybrać miejsce ataku i nadpłynąć od strony morza. Na kontynencie piechota nigeryjska przeszła przez Igritta, Elele i Ahoada, zdobywając resztę Stanu Nadrzecznego.

Dotychczas pułkownik Adekunle nigdy nie walczył poza obszarami zamieszkanymi przez mniejszości. Nigdy nie postawił nogi na ziemiach Ibo, podczas gdy dwie pozostałe dywizje nigeryjskie nigdy nie działały poza Ibolandem, jeśli nie liczyć kampanii I Dywizji w prowincji Ogoja. Stąd też, mimo ogromnej przewagi militarnej Nigeryjczyków, Adekunle miał dotąd ułatwione zadanie.

Nie oznacza to, że walki były chociaż o włos mniej zacięte na terenach mniejszości niż na ziemiach Ibo ani że większość wodzów mniejszości plemiennych nie pozostała lojalna względem Biafry. Ale na terenach mniejszości łatwiej było znaleźć dysydentów gotowych do kolaboracji - z przekonania albo dla korzyści - i ci agenci Nigeryjczyków wykonali ogromną pracę, prowadząc siły najeźdźcy i wskazując im ukryte przejścia, o których mogła wiedzieć tylko ludność tybylcza.

Łatwiej było również na kilka tygodni przed atakiem wpuścić na obszary zamieszkałe przez mniejszości zastępy agentów ze wschodnich społeczności mniejszościowych w Lagos. Niektórzy z nich, gdy tylko znaleźli się wśród swoich, działali na korzyść wroga i opowiadali o wielkich sumach przeznaczanych na przekupywanie miejscowych wodzów, o prowokatorach głoszących nienawiść do Ibo i groźbach gwałtownych odwetów czekających tybylców lojalnych wobec Biafry, gdy nastąpi spodziewany atak.

Te techniki odniosły na pewnych terenach sukces, chociaż niewiele z obietnic spełniono, a zachowanie nigeryjskich żołnierzy na ogół powodowało szybkie rozczarowanie. Przemoc zwykle następowała dwiema falami. Najpierw zjawiały się federalne oddziały bojowe, strzelając do wszystkiego w zasięgu wzroku bez względu na przynależność plemienną, niszcząc i grabiąc własność bez względu na to, do kogo należała. Gwałty

żołnierzy były zwykle proporcjonalne do strat, które musieli ponieść przy zdobywaniu pozycji. I tak, gdy miasto padało łatwo, bez oddania strzału, a ludność szybko przybierała pronigeryjską postawę, co było związane ze zmianą władzy, tam czasami nawiązywała się sympatia między żołnierzami i tubylcami. W Ibolandzie nie było mowy o czymś podobnym, ale tam nikt nie miał specjalnych wątpliwości, że jego los jest i tak przypieczętowany.

Po wyjściu piechoty zjawiały się drugorzędne oddziały garnizonowe. W ciągu kilku tygodni miejscowa biedota uczyła się, że „jedna Nigeria” to piękny slogan, ale nieciekawa rzeczywistość. Zaczynała się okupacja, sprawowana przez żołnierzy całkowicie przekonanych, że wszystko w Biafrze do nich należy. To dlatego pod koniec 1968 r. partyzantka biafrańska rozwinęła się najbujniej na obszarach zamieszkałych przez plemiona mniejszościowe, będące najdłużej pod okupacją nigeryjską.

W lipcu Adekunle przygotował się do pierwszego ataku na ziemie Ibo i zaczął przeć na Owerri. Wprowadził w życie „plan OAU”, zakładający zdobycie Owerri, Aba i Umuahia szybko jedno po drugim. Nieco upojony własną ważnością i mylnie oceniając swoje umiejętności, chełpił się wszem i wobec, że błyskawicznie opanuje całą Biafrę. Jego coraz bardziej kapryśne zachowanie wzbudziło falę skarg skierowanych na ręce generała Gowona, który raz po raz musiał przeproszać w jego imieniu. Ale Adekunle najwyraźniej umiał owinąć sobie Gowona wokół palca, kiedy mu tylko na tym zależało, i pozostał na czele III Dywizji, budując swoje jednoosobowe królestwo.

Pod koniec lipca jego siły parły w górę drogi Port Harcourt-Owerri i dotarły do Umuakpu, 23 mile od celu. Pułkownik Ojukwu pragnął udać się do Addis Abeby, ale nie chciał, by upadek Owerri nastąpił pod jego nieobecność. Rozkazał Steinerowi i jego komandosom opuścić Awka i przybyć do Owerri.

Tymczasem stało się jasne, że Steinerowi wystarcza do szczęścia dowodzenie brygadą i przygotowywanie planów operacyjnych. W tym był dobry i bezpośrednio walkę pozostawiał Williamsowi. Z kolei ten szczupły, urodzony w Walii Południowoafrykańczyk radośnie przyznawał, że jest na wpół szalony, i miał zwyczaj udowadniać, że kule się go nie imają. Stał wyprostowany wśród ulewy ognia, podczas gdy żołnierze wokół niego padali jak muchy. Wymachiwał przy tym laseczką i wyzywał od najgorszych nigeryjską obsługę karabinów maszynowych, doprowadzając ją do szału. Ale biafrańscy komandosi imitowali tę brawurę i „chłopaki Taffy’ego” zdobyły reputację twardych zabijaków. W każdym razie nigeryjscy więźniowie przyznawali, że ich piechota „nie lubi natrafić na komandosów”, co niezmiernie podobało się Steinerowi i Williamsowi. Tymczasem dołączyło do nich trzech przybyszów - barczysty Szkot, cichy, ale bardzo niebezpieczny Korsykanin i przystojny młody

Rodezyjczyk Johnny Erasmus - nie intelektualista, ale z materiałami wybuchowymi potrafił wyczyniać istne czary.

Na południe od Owerri, za Umuakpu, Steiner zaprzął Erasmusa do pracy. Miał zbudować łańcuch przeszkód na drodze Nigeryjczyków. Po trzech dniach i ścięciu dwustu drzew, wykopaniu dołów, rozmieszczeniu min, połączeniu pułapek przewodami, przygotowaniu stanowisk dla ognia krzyżowego, wykopaniu bunkrów i podłożeniu klinów w postaci granatów z wyjętymi zawleczkami wszędzie tam, gdzie dało się je podłożyć, Erasmus oświadczył, że Nigeryjczykom pozostaje nie wychylać nosa z Umuakpu albo użyć spadochroniarzy. Prawdę mówiąc, nigdy nie pokonali tych przeszkód; zostali okrążeni i rozbici od tyłu.

Steiner zostawił piechotę białą ukrytą za tą „Linia Maginota” i posłał Williamsa wraz z pięciuset komandosami okrężną drogą. 4 sierpnia uderzyli nie na Umuakpu, ale na KG nigeryjskiego batalionu wioskę dalej, w Amu Nelu. W ciągu godziny Williams obrócił w perzynę KG, zdobył wielką ilość amunicji, broni i sprzętu, zostawił na drodze trupy stu Nigeryjczyków i zdążył z powrotem na śniadanie. Na efekt Amu Nelu nie trzeba było długo czekać. Nigeryjczycy posłali emisariusza na linię piechoty białą, proponując lokalne zawieszenie broni.

W ciągu tygodnia komandosi musieli być przeniesieni gdzie indziej, tym razem do Okpuala, w połowie drogi z Owerri do Aba. Nigeryjczycy też szli z południa na to skrzyżowanie i Szkot wraz z Korsykaninem zostali wezwani do powstrzymania natarcia. Nastąpiła seria ciężkich potyczek, która osłabiła obie strony. Ale połączone siły komandosów i piechoty związały Nigeryjczyków tuż przed Okpuala, aż Aba padła.

Uważano, że miastu chronionemu od południa i zachodu zakolem rzeki Imo nie grozi atak. Aba była największym z nie zdobytych miast, zapchanym nie tylko pierwszą falą uchodźców, ale i wieloma uciekinierami z Port Harcourt. Była również centrum administracyjnym Biafry. Przez rzekę Imo szły dwa mosty, jeden przy Imo River Town na głównym szlaku z Aba do Port Harcourt, drugi w Awaza, bardziej na zachód. Pierwszy most wysadzono, drugi był nietknięty, ale zaminowany. Nigeryjczycy wybrali właśnie most przy Awaza. Gdy pojawili się na drugim brzegu, Biafrańczycy zdetonowali ładunki, ale okazały się źle rozmieszczone. Był to jeden z największych błędów tej wojny. Most się załamał, ale gazociąg biegnący kilka jardów dalej z boku pozostał nietknięty. Ponad nim ciągnęła się kładka i pozbawieni amunicji Biafrańczycy patrzyli bezsilnie, jak Nigeryjczycy zaczynają się przeprawiać gęsiego. Było to 17 sierpnia. Posłano po Williamsa, ale zjawił się z 700 ludźmi dopiero rankiem 19. Do tej pory Nigeryjczycy przetrucili trzy bataliony.

Komandosi przez dwa dni usiłowali odbić most, ale podczas gdy dwa bataliony federalne utrzymywały ich o milę od rzeki, trzeci przemaszerował na południe i uchwycił północny przyczółek drugiego, większego mostu. Widząc bezużyteczność walki, Williams cofnął się do głównej drogi Aba-Port Harcourt. Przez sześć dni biafrańska XII Dywizja, wspomagana przez żołnierzy Williama, których liczba urosła do tysiąca, stawiała opór, podczas gdy fala Nigeryjczyków pieszo pokonywała Imo. Gorączkowo posuwała się odbudowa mostu, podobno z pomocą sowieckich inżynierów. Zamierzano przerzucić ciężki sprzęt.

Williams, blokujący główny kierunek natarcia, nie uważał, aby Nigeryjczycy nawet przy przewadze broni, nabojów i moździerzy byli zbyt groźni, dopóki nie dysponują pojazdami opancerzonymi i artylerią. 24 sierpnia zakończono odbudowę mostu i przetoczyła się kolumna atakująca. Bitwa, która się następnie wywiązała, była najbardziej krwawa w tej wojnie. Williams, zamiast czekać i bronić się rzucił do ataku swoich tysięcy komandosów. Ta bezczelność zaskoczyła Nigeryjczyków. Jak wynikało z doniesień, mieli trzy brygady w głównej kolumnie na głównej drodze i zamierzali przejść łatwo do Aby, pokonać opór i pójść dalej na Umuahia.

Przez trzy dni Williams i Erasmus prowadzili mniej niż tysiąc młodych Biafrańczyków, ściskających przeladowywane ręcznie karabiny na pohybel nigeryjskiej armii. Nie mieli ręcznych wyrzutni przeciwpancernych, nie mieli artylerii, dysponowali ledwo kilkoma moździerzami. Nigeryjczycy posłali deszcz pocisków artyleryjskich z moździerzy i pięciu pojazdów opancerzonych oraz monsun pocisków z pancernic. Ich karabiny maszynowe i samopowtarzalne strzelały przez siedemdziesiąt dwie godziny. Kręgosłupem obrony było *ogbunigwe*, dziwna mina pomysłu Biafrańczyków. Miała kształt ostrosłupa o kwadratowej podstawie. W węższy koniec wpychało się dynamit, w szerszy kulki z łożysk, gwoździe, kamienie, złom żeliwny, kawałki metalu. Opierało się ten ostrosłup o drzewo, by zniwelować siłę odrzutu. Wylot w kształcie czary głosowej zasłaniało się sklejką i ustawiało w kierunku nadchodzącego nieprzyjaciela. Detonowało się toto lontem i eksperci doradzali strzelcowi, aby trzymał się dobrze z tyłu. Wybuchając *ogbunigwe* oczyszczało przedpole w obrębie łuku o kącie 90°. Maksymalny zasięg rażenia wynosił 200 jardów. Takie urządzenie, działając na krótką odległość, zwykle niszczyło kompanię i zatrzymywało atak na dobre.

Nigeryjczycy przyszedli drogą wyprostowani, nie używając żadnej osłony. Wydawali swój okrzyk bojowy: *Oshebey!* i dziwnie kiwali się z boku na bok. Williams, który odsłużył swoje w Kongo, popatrzył raz i powiedział: „Są naćpani po uszy”.

Erasmus zaczął odpalać *ogbunigwe* z bezpośredniej odległości. Nigeryjczycy padli jak

ścięte zboże. Ci, którzy przeżyli, zakołysali się i parli przed siebie. Pierwszego dnia Erasmus odpalił ponad czterdzieści *ogbunigwe*. Jeden z Saladinów, pojazdów opancerzonych, wycofał się po tym, jak stracił porwane na strzępy koło. Biafrańska amunicja wyczerpała się, ale prowadząca nigeryjska brygada została rozgromiona. Powstrzymywana rowami przeciwczołgowymi, zasypywała je łopatami. Kolejne zmiany przejmowały pracę, gdy poprzednicy zostawali wybici do nogi. Napotykając ścięte wielotonowe drzewa, podnosili je ręcznie. Zespół wykonujący tę pracę został rozerwany na strzępy, gdy mina ukryta pod pniem eksplodowała automatycznie.

Gdy prowadząca nigeryjska brygada była luzowana, Williams wezwał swoich wyczerpanych żołnierzy, aby wykorzystali zamieszanie przed sobą i zaatakowali. Odzyskali 3 mile stracone w ciągu dnia i wrócili na pierwotne pozycje. Oczekując na następny dzień żołnierze spali, podczas gdy Erasmus wziął się do przygotowania kolejnych pułapek, a Williams wrócił do Aba po amunicję. Ale samolot z amunicją nie przyleciał. Steiner, który awansował wcześniej na podpułkownika i przeniósł swoją KG do Aba, skierował prośbę o uzupełnienie do dowódcy armii, potem do pułkownika Ojukwu. Amunicji nie było. Williams powrócił na front. Na niedzielę 25 sierpnia jego ludzie mieli po dwa naboje na osobę.

W niedzielę powtórzyło się to co w sobotę, a poniedziałek nie był inny. Następne sześć dni minęło spokojnie. Później zgłoszono, że Adekunle zappełnił szpitale Calabaru, Port Harcourt, Beninu i nawet Lagos rannymi z kolumny idącej na Aba. Ilu rannych nie wzięto z drogi, tego nigdy nie policzono, ale Williams ocenia ich liczbę na 2,5 tysiąca.

Po wylizaniu się z ran III Dywizja zaatakowała kolejny raz Aba, ale nie główną drogą. Uderzyła na prawe skrzydło komandosów. Pękło pod naporem pojazdów opancerzonych. Aba padła 4 września, nie pod atakiem frontalnym, ale skrzydłowym. Steiner wyrwał się z gromadą uzbrojoną w pistolety maszynowe. Pułkownik Achuzie miał prawie czołowe zderzenie z nigeryjskim Saladinem, gdy okrężał róg. Williams był nadal 6 mil na południe od miasta, broniąc je z głównego kierunku, gdy Aba padła za jego plecami. Przedarł się ze swoimi ludźmi na przełaj.

Pułkownik Ojukwu rozkazał komandosom powrócić do bazy, dokonać rekrutacji, reorganizacji i uzupełnień. Z 3 tysięcy ludzi, którzy dziewięć tygodni temu poszli do Awka, wróciło z Aba i Okpuala tysiąc. W połowie września Steiner poszedł na dwutygodniowy urlop, a Williams przejął obowiązki dowódcy.

Atak na Aba 24 sierpnia był sygnałem do ogólnego „ostatecznego ataku na Iboland”, który według informacji przedkładanych brytyjskiemu parlamentowi miał nigdy nie nastąpić. W każdym sektorze rozgorzała walka; na południu - od Ikot Ekpene, które sześciokrotnie



przechodziło już z rąk do rąk, do Owerri; na północy Haruna przeprowadził jedną natchnioną próbę wyrwania się z Onitsha i połączenia ze swoimi ludźmi w Abagana, podczas gdy I Dywizja rzuciła wszystkie siły przeciwko zdemilitaryzowanemu lotnisku Czerwonego Krzyża w Obilagu. Zostało wzięte 23 września.

11 września Nigeryjczycy wyprowadzili szybki atak łodziami w górę rzeki Orashi na Oguta, miasto nad jeziorem, niedaleko od lotniska Uli. W Oguta nadal było wiele ludzi i nastąpiła rzeź. Po ucieczce ludności systematycznie złupiono centrum i następnego Nigeryjczycy przeprawili się przez Niger ze Środkowego Zachodu. Rozgniewany pułkownik Ojukwu wezwał oficerów i rozkazał odzyskać Oguta w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Sam poprowadził operację, Achuzie dowodził w polu. Biafrańczycy wdarli się do miasta. Nigeryjczycy uciekli do rzeki, zostawiając kilkuset zabitych, w tym dowódcę.

Ale walka o Oguta miała swój skutek uboczny. Część użytych tam oddziałów biafrańskich wzięto z prawej flanki w Umuakpu i 13 września nigeryjski patrol sondujący skrzydła zlokalizował słaby punkt. Wyprowadzono atak, który okrążył linie obronne i poprowadził Nigeryjczyków do Obinze, 10 mil na południe od Owerri. Stamtąd 18 września wdarli się do miasta, prowadzeni przez pojazdy opancerzone.

Na północy I Dywizja wyruszyła z Obilagu i zdobyła miasteczko Okigwi, również niebronione, gdyż było to centrum dystrybucji żywności z pomocy humanitarnej Czerwonego Krzyża, przeznaczonej dla pobliskiego Obilagu. Tam Nigeryjczycy wyróżnili się zastrzeleniem pary staruszków, angielskich misjonarzy, państwa Savory i dwóch szwajcarskich pracowników Czerwonego Krzyża. Było to 1 października.

Od tej daty sytuacja uległa zmianie. Zrezygnowano z usług dostawcy broni, który zawiódł Biafrańczyków pod Aba i Owerri, i stworzono nowy most powietrzny z Libreville, Gabon. Latali piloci narodowości brytyjskiej, południowoafrykańskiej, rodezyjskiej i francuskiej. Zdobywając więcej funduszy pułkownik Ojukwu uzyskał szerszy dostęp do europejskiego rynku broni i zaczęły przylatywać większe transporty. Biafrańczycy przeszli do kontrataku.

Steiner powrócił z urlopu, ale nadal był znużony. Mianowany dowódcą nowo sformowanej dywizji komandosów, wyraźnie nie potrafił sprostać zadaniu. Trapiące go od dawna wyczerpanie nerwowe teraz objawiało się wyraźniej. Miewał okresy manii wielkości połączonej z manią prześladowczą. Jego zachowaniu coraz bardziej brakowało samodyscypliny. Wreszcie wydał rozkaz porwania trzech dżipów Czerwonego Krzyża i przeznaczył je do osobistego użytku.

Wezwany do złożenia wyjaśnień, pozwolił sobie na kłótnię z pułkownikiem Ojukwu.

Ten nie miał wyboru i musiał go zwolnić. Sześciu przybyłych wraz z nim oficerów odeszło. Williams znowu objął stanowisko p.o. dowódcy, które później przekazał biafrańskiemu brygadierowi. Ale jeszcze podczas sprawowania tych obowiązków dowodził w następnych dwóch bitwach. Między 10 a 12 listopada jedna z trzech brygad jego dywizji przeprowadziła serię ataków na Onitsha i chociaż nie zdobyła miasta, skróciła front do połowy, zmniejszając niebezpieczeństwo wyrwania się przeciwnika z okrążenia.

Ataki mogłyby trwać dalej, gdyby Nigeryjczycy w Awka nie zaatakowali wsi Agolo i Adazi w kierunku południowym, co zagroziło sercu biafrańskich ziem. Komandosi w tym regionie odpierali ataki wspierani przez dwa bataliony biafrańskiej piechoty. Nigeryjczycy dostali kolejne lanie i wycofali się do Awka.

W listopadzie i grudniu wszędzie działo się podobnie. Biafrańczycy kontratakowali w większości sektorów, szczególnie w Aba i Owerri. W Aba pułkownik Timothy Onuatuegwu zepchnął siły federalne z powrotem na obrzeża miasta, potem skierował ludzi na lewe i prawe skrzydło. W okolicach Owerri pułkownik John Kalu odzyskał 150 mil kwadratowych wokół miasta i zaczął oblężenie.

Samo wyliczanie wydarzeń z osiemnastu miesięcy może stworzyć wrażenie, że siły nigeryjskie w Biafrze posuwały się gładko i równomiernie. Nic podobnego. Z wyjątkiem przypadkowych sytuacji musiały walczyć o każdą piędź ziemi. Często osiągały cele dopiero za trzecią lub czwartą próbą. Czasami były blokowane miesiącami. Ich zużycie amunicji oblicza się na minimum kilkaset milionów sztuk naboju, straty w ludziach na kilkadziesiąt tysięcy.

Nie udało im się też uzyskać kontroli nad podbitymi terenami. Trzymając się głównych dróg i miast, unikając buszu pokrywającego 90% kraju, Nigeryjczycy mogli sobie rysować linie na mapach, ale nie miało to wiele wspólnego z realiami. Wyznaczony przez nich administrator siedzi w mieście i konkuruje z administratorem biafrańskim siedzącym w buszu i często władza tego ostatniego obejmuje większość terenu i większość przeważnie wiejskiej populacji.

Sekret przetrwania Biafry można częściowo wytłumaczyć osobą przywódcy, pułkownika Ojukwu, ale głównie cechami narodu biafrańskiego. Ani przywódca, ani armia nie mogłyby walczyć bez całkowitego poparcia narodu. Żeby armia mogła walczyć, musi czuć za sobą poparcie. Ludzie oddawali wszystko, co mieli; biedni wieśniacy robili składki; bogaci opróżniali zagraniczne konta i ofiarowywali dolary i funty. Krawcy szyli mundury z zasłon, szewcy szykowali wojskowe buty z kawałków żaglowego płótna. Wieśniacy dawali yam, kassawę, ryż, kozy, kurczaki i jajka. Buszmeni zgłaszali się z toporami i rusznicami. Konwoje

wojskowe korzystały z taksówek i wozów przekupek, księża i nauczyciele oddawali rowery.

Było trochę zdrajców, oszustów, zbiegów, nieuczciwych handlarzy i rozbójników; męty wypływają na powierzchnię podczas każdej wojny. Ale ludność nigdy nie urządziła zamieszek, demonstracji ani buntu. A gdy widziała, jak jej ziemie ulegają zniszczeniu, a rodacy giną, wśród ruin zrodziły się dwa uczucia - poczucie narodowości i nienawiść do Nigeryjczyków. Początkowe instynktowne wrażenie, że już nigdy więcej nie będą w stanie żyć pod panowaniem Nigeryjczyków, stało się głębokim przekonaniem. Na nim opiera się podstawowa polityczna prawda obecnej sytuacji. Jeśli Biafra ma zginąć, to tylko wtedy, gdy naród, który ją tworzy, zostanie kompletnie wyniszczony. Nawet pod całkowitą okupacją Biafra wcześniej czy później, z pułkownikiem Ojukwu czy bez niego - powstanie. W 1969 r. nastąpiły bardzo nieznaczne zmiany terytorialne i w grudniu wymianę ognia zastąpiła sytuacja patowa. 3 stycznia na rozkaz pułkownika Ojukwu nastąpiła translokacja dwóch brygad Dywizji „S” dowodzonych przez pułkownika Onuatuegwu. Z frontu koło Aba przeszły do Owerri na pomoc pułkownikowi Kalu i XIV Dywizji oblegającej miasto.

Przez resztę miesiąca obaj dowódcy prowadzili ataki czołowe. Ich przednie oddziały osiągnęły północne okolice miasta. Poniosły straty, wiele nie zyskując, gdyż Nigeryjczycy jak zwykle dobrze się okopali i byli zaopatrywani we wszelką potrzebną broń i amunicję. Dostawy szły główną drogą z Port Harcourt na południu. Pod koniec stycznia - na naradzie z pułkownikami Ojukwu i Kalu - Onuatuegwu zaproponował porzucenie tej taktyki walenia głową o mur. Zasugerował użycie całej biafrańskiej siły ognia do oczyszczenia flanków Owerri i zamknięcia Nigeryjczykom drogi dostawczej. Taktykę tę stosował w Aba.

Plan zaakceptowano i w lutym obaj dowódcy oczyścili okupowane wioski na wschód i zachód od Owerri. Wreszcie przeniknęli dużymi siłami na południe miasta. Zamknięcie pierścienia i ostateczne odcięcie nigeryjskiej drogi dostaw nastąpiło 28 lutego. W marcu, mimo ponawianych przez siły federalne prób rozerwania kordonu i uwolnienia brygady otoczonej w Owerri, pierścień trzymał i nigeryjskie lotnictwo musiało się uciec do zaopatrywania garnizonu zrzutami amunicji. Ponieważ nie było wprawione w tego rodzaju operacjach, około 70% zrzutów spadło poza odpowiedni obszar, w ręce Biafrańczyków. Dostawy zawierały sporo świeżutkich rosyjskich karabinków automatycznych Kałasznikowów AK-47 z odpowiednią amunicją.

Na początku kwietnia nawet te dostawy się urwały i Biafrańczycy, zdając sobie sprawę, że nie ma co liczyć na dalszą mannę z nieba, podjęli ataki na coraz bardziej zdemoralizowany garnizon federalny, często korzystając z przejętych dostaw nigeryjskich.

W marcu wysłano szczególnie mocne posiłki drogą z Port Harcourt. Miały otworzyć

drogę do Owerri, ale zwabione na zachód od głównej asfaltowej drogi zatrzymały się na odpoczynku w Ohuba, 9 mil na południe od Owerri. Zostały tam do końca 1969 r.

W kwietniu, po dwudziestu dniach nieprzerwanych ataków Biafrańczyków, dowódca Nigeryjczyków w Owerri, pułkownik Utuk, zwołał 22 kwietnia naradę dowódców batalionów. Dysponował resztkami amunicji i broni. Chociaż pułkownik Adekunle w Port Harcourt nakazywał się utrzymać, podjęto decyzję o wycofaniu się. Tej nocy cały garnizon sformował kolumnę skierowaną na południe. Rannych umieszczono na ciężarówkach. Poprzednio patrole badające południowe skrawki miasta odkryły słaby biafrański batalion pilnujący drogi w kierunku południowym. Nie była to główna asfaltowa szosa, ale inna, skręcająca lekko na wschód. Rano 23 kwietnia kolumna wiedzona przez dwa Saladiny uderzyła na Biafrańczyków i przerwała pierścień. Opuściła miasto i udała się w kierunku głównych sił nigeryjskiej III Dywizji. Jej najdalej wysunięte oddziały były koło Umuakpu i Arnu Nelu, gdzie Taffy Williams zatrzymał je przed dziesięcioma miesiącami.

Usłyszawszy, że garnizon wysliznął się z sieci, pułkownik Onuatuegwu pospiesznie wysłał w pogoń dwa bataliony. 5 mil na południe od Owerri dopadły ogon wojsk federalnych i zaczęła się zażarta walka z tylną strażą cofającego się wroga. Kolumna atakowana z tyłu i z boków, wpadając bez przerwy w pułapki, została pocięta na kawałki. Zamieniła się wreszcie w zbieraninę wlokących się grup, które dotarły do bezpiecznych pozycji nigeryjskich wokół Arnu Nelu, 23 mile na południe od Owerri. Utracono większość ekwipunku i prawie połowę ludzi.

Tego samego dnia, 23 kwietnia, Biafrańczycy odzyskali Owerri i zaczęli odbudowę rozbitego i ograbionego miasta. W dwa tygodnie po stracie Owerri, która bardzo nadważyła morale Nigeryjczyków, pułkownik Adekunle został zwolniony z dowództwa i wrócił na stanowisko szkoleniowca do Lagos. Aż do końca listopada 1969 r., mimo ponawianych prób odzyskania terenu, siły federalne były nadal w Chuba i Umuakpu, a Owerri stało się nową stolicą Biafry.

Radość Biafrańczyków z odzyskania tego strategicznie ważnego miasta skaziła niedawna utrata poprzedniej stolicy - Umuahia. Podczas gdy odzyskanie Owerri trwało długo i wymagało dużo wysiłku, zdobycie przez wojska federalne Umuahia sprowadziło się do krótkiego ataku przeważających sił, wspomaganym ogromną ilością sprzętu. Podczas trzech wiosennych miesięcy przed nadejściem pory deszczowej głównym zajęciem rządu federalnego nie było odbudowywanie prestiżowej III Dywizji na południu, ale mniej znanej I Dywizji na północy. Przez ostatnie trzy miesiące 1968 r. i pierwsze trzy 1969 r. dostarczono I Dywizji duże ilości nowej sowieckiej broni. 26 marca, w dzień przybycia do Nigerii Harolda

Wilsona, I Dywizja natarła na Okigwi i Afikpo.

Czołówki obu natarć wyposażono w pół tuzina pojazdów opancerzonych. Wspomagała je duża ilość artylerii i silny ogień moździerzy. Do 1 kwietnia osiągnięto miasta Bende i Uzoakoli. W obu rejonach rozgorzały ciężkie walki. Utrata Uzoakoli była szczególnie bolesna dla Biafrańczyków, ponieważ znajdowała się tam rafineria wzniesiona rok temu w maju po utracie Port Harcourt. Przy pełnym wykorzystaniu mocy przetwórczej dawała 30 tysięcy galonów oczyszczonej ropy dziennie i niedługo mogłaby zaspokoić głód paliwa, z którym Biafrańczycy borykali się od wyczerpania zapasów w listopadzie.

Przez kilka dni wydawało się, że uda się zatrzymać siły federalne przy tych dwóch miastach. Utrzymanie Bene było ważne również z tego powodu, że miasto dominowało nad pasmem wzgórz, z których szła droga do Umuahia. Ale 7 kwietnia nigeryjska kolumna, idąc na przełaj, zdobyła miasto Ovim przy linii kolejowej biegnącej wprost do Umuahia. Do 10 kwietnia pociski wojsk federalnych zaczęły padać na obrzeża Umuahia i ludność opuściła miasto.

Umuahia padła 15 kwietnia, chociaż sporadyczne utarczki wybuchały jeszcze przez kilka dni. Ostatni opuścił miasto pułkownik Ojukwu, który osobiście dowodził większością walk ze swojego domu przy końcu Okpara Road.

Mimo tego sukcesu panowanie Nigeryjczyków nad miastem było niepewne. Jak zwykle w takich wypadkach zdeorganizowani po upadku miasta Biafrańczycy przegrupowali się i kilka tygodni później przeprowadzili kontratak. Federalne linie zaopatrzeniowe, ciągnące się przez wiele mil górzystego terenu na północ i północny wschód od miasta, były bardzo narażone na atak i kilka razy na początku lata garnizon musiał prosić o zrzuty, aby się utrzymać. Pod koniec roku Umuahia, jak i Aba, nadal była otoczona z trzech stron, stając się placówką na końcu długiego i narażonego na ataki korytarza w głębi terytorium wroga.

Poza tymi dwiema dużymi kampaniami na wszystkich frontach utrzymał się spokój. Na początku marca federalna II Dywizja bazująca w Onitsha zaatakowała równocześnie z Onitsha i Awka, zamierzając przejąć 6-milowy odcinek drogi między tymi dwoma miastami, nadal utrzymywany przez Biafrańczyków i rozdzielający połówki dywizji. Udało się jej zlikwidować szczelinę, stworzyć linię komunikacyjną i utrzymać ją przez dwa tygodnie. Kontratakujący Biafrańczycy odzyskali ten kawałek drogi, a w końcu weszli na wschodnie przedmieścia samego Onitsha.

Poza tym w 1969 r. nic więcej nie wydarzyło się na północy. Natomiast na południu to Biafrańczycy po raz pierwszy zaatakowali w niemal wszystkich sektorach. Wykorzystując lekcję z nowej taktyki zastosowanej w Owerri, nigdzie nie przeprowadzali silnych ataków

frontalnych, ale skoncentrowali się na oczyszczaniu jednej po drugiej wioski zajętych przez nigeryjskiego okupanta. I tak pod koniec roku można było przejechać całą drogę z Owerri do Aba. Poprzednio poza ostatnimi 5 milami przed Aba była ona w rękach federalnych. Garnizon federalny wypchnięto z Okpuala i ojciec Kevin Doheny mógł na powrót otworzyć seminarium. Oczyszczona została również Owerrinta i wiodące siły federalne cofnęły się do Amala, 5 mil na południe od drogi, z której najemnicy szkocki i korsykański, dowodzący oddziałem komandosów, zepchnęli je w sierpniu 1968 r. W sumie Biafrańczycy, nie czyniąc wokół tego faktu zbyt wielkiego hałasu, odzyskali w 1969 r. około tysiąca mil kwadratowych terytorium sektora południowego.

Powodów tych nieco ograniczonych sukcesów było pięć. Po pierwsze, przyniosła je zmiana taktyki. Zrezygnowano z czołowych natarć na lepiej wyposażonego nieprzyjaciela, natomiast więcej atakowano skrzydła, robiono zasadzki i stosowano taktykę komandoską; krótko mówiąc, była to taktyka, o którą bezskutecznie upominał się Williams (wyjechał w lutym, po tym, jak nie podpisano z nim trzeciego kontraktu). Po drugie, były spowodowane stale upadającym morale piechoty federalnej. Tamtego roku obfite letnie deszcze i wołająca o pomstę do nieba logistyka armii nigeryjskiej sprawiały, że żołnierze oddziałów liniowych cierpieli braki amunicji i żywności. Schwytani jeńcy narzekali, że prości żołnierze mają wszystkiego dość, chcą wracać do domów i nie zamierzają ryzykować kolejnego samobójczego ataku na rozkaz trzymających się daleko na tyłach dowódców. Ogólne znużenie wojną dało się odczuć po obu stronach, ale żołnierze biafrańscy operowali przynajmniej na swoim terytorium, byli podtrzymywani przez wieśniaków na tyłach i mieli znacznie lepsze uzbrojenie niż kiedykolwiek.

Pozostałe trzy przyczyny, które doprowadziły do zmiany sytuacji, dotyczą broni. Przede wszystkim główna przewaga strony federalnej podczas wszystkich jej ataków aż do końca lata 1969 r. wpływała z posiadania pojazdów opancerzonych, z którymi Biafrańczycy zupełnie nie mogli sobie poradzić. W 1969 r. otrzymali sporą liczbę dobrej jakości pancernic i granatów. Były tam wyjątkowo lekkie i skuteczne granatniki konstrukcji sowieckiej, celne do 300 jardów i łatwe w obsłudze. Inne to bardziej skomplikowane francuskie LRAC konstrukcji zachodniej. Podczas gdy w 1968 r. szkolenie w obsłudze pancernic odbywało się po łębkach, to w 1969 r. dwaj europejscy oficerowie wyrównali wszelkie braki w tej dziedzinie. Skutek był taki, że piechota biafrańska wkrótce pozbyła się lęku przez Saladinami i Ferretami; te pojazdy rzadko odważały się na zuchwałe rajdy, a ich średnia długość życia coraz bardziej się zmniejszała.

Po drugie, ogólny poziom broni Biafrańczyków i siły ogniowej wzrósł podczas 1969 r.

Przemawiając na konferencji prasowej 4 listopada w Owerri, generał Ojukwu (przyjął awans na generała, uchwalony w marcu 1969 r. przez Zgromadzenie Doradcze) oświadczył: „Dysponujemy nieskończenie lepszą siłą ognia niż kiedykolwiek od początku tej wojny”. Dodał, że poprawa nastąpiła głównie w zakresie broni wsparcia, tj. pancernownic, artylerii, moździerzy i cekaemów. I znowu szkoleniem w zakresie tych broni objęto więcej żołnierzy w 1969 r. niż w 1968. Te dwa czynniki zmniejszyły prawie do zera przewagę Nigeryjczyków. A mieli ją tak długo, że przywykło się ją traktować niemal jak rzecz naturalną.

A wreszcie różnicę stworzyło nowe białe lotnictwo. Dokonało pierwszego nalotu 22 maja i przez resztę roku coraz bardziej rosło w siłę. Historia sił lotniczych Biafry nie może być jeszcze dokładnie zrelacjonowana, gdyż wciąż pozostaje dużo niewiadomych, ale większość działań i sukcesów jest zasługą niezwykle szwedzkiego pilota weterana, hrabiego Carla Gustava von Rosen.

To właśnie nie kto inny, tylko ten as lotnictwa (zob. rozdz. 11 str. 233), lecąc pierwszy w ramach akcji Nord Church Aid, przyprowadził o brzasku 10 sierpnia 1968 r. lekki samolocik z Sao Tome. Udowodnił, że można złamać monopol Whartona na pomoc humanitarną. Pod koniec września, po kilku sporach ze swoim bezpośrednim pracodawcą, Transair, i ostatnimi szefami w Nord Church Aid, zrezygnował z placówki w Sao Tome i wrócił do Szwecji.

Potem pojawił się znów w Umuahia pod koniec 1968 r., kiedy to doręczył list od cesarza Hajle Sellasje, osobistego przyjaciela pułkownika Ojukwu. W dzień Bożego Narodzenia przybył do przyczepy kempingowej autora. Był właśnie świadkiem zniszczenia i rzezi po jednym z trzech nalotów bombowych lotnictwa nigeryjskiego na Umuahia. Miał prawie łzy w oczach. Część bomb spadła na dom pełen dzieci. To wszystko bardzo poruszyło hrabiego, podobnie jak wielu dziennikarzy, którzy już uprzednio widzieli podobne zdarzenia.

Wywiązała się rozmowa przy kawie i stary szwedzki pilot, na którego za rok czekała emerytura z Transair, mówił z determinacją o pragnieniu powrotu do Biafry i rozbiciu w puch nigeryjskich sił powietrznych, obsadzonych egipskimi pilotami. W miarę upływu czasu opracowywał krok po kroku, wyobrażał sobie i rozwiązywał problemy, planował kupno lekkiej, wyjątkowo zwrotnej maszyny, uzbrojenie jej w rakiety lub bomby i zrzucanie ich z wysokości koron drzew na parkujące MiG-i i Iły. Utrzymał, że ucieczkę zapewni element zaskoczenia i niski pułap. Samoloty, pomalowane u góry na zielono, a na niebiesko pod spodem, latałyby tuż nad czubkami palm i byłyby nie do wyśledzenia aż do chwili ataku, a potem nie dałoby się ich doścignąć.

Wtedy miałem wrażenie, że słucham takich sobie opowieści, jakimi piloci często

raczą słuchaczy. Ale ten pilot zrobił dokładnie to, co zamierzał. 22 maja hrabia von Rosen poprowadził swoje pierwsze uderzenie na lotnisko Port Harcourt, niszcząc raketami wystrzelonymi z lekkich szwedzkich jednomotowców MFI Minicon jednego Iła i dwa MiG-i parkujące na płycie. W nalocie uczestniczyło pięć jednostek. Za sterami dwóch siedzieli Szwedzi, pozostałe trzy pilotowali Biafrańczycy wyszkoleni przez von Rosena w Gabonie.

W następnych miesiącach Minicony tłukły w lotniska federalne, niszcząc do końca roku jakieś trzydzieści samolotów wojskowych i transportowych, w tym trzy bombowce, nękające prawie co noc pas startowy w Uli, przyjmujący samoloty z pomocą humanitarną. Po uderzeniach na lotniska Minicony, pilotowane już wyłącznie przez Biafrańczyków, zaczęły w połowie lipca atakować urządzenia do transportu ropy naftowej, dzięki której Nigeria miała większość waluty zagranicznej i kredytu zapewniającego dostawy broni.

Do końca wojny ta mała flotylla samolocików zadała takie szkody, że udało się przekonać Shell-BP do chwilowego powstrzymania operacji z kontynentalnej części Nigerii. Gdy inne przedsiębiorstwa poszły w ślady Shell-BP, widząc rakiety niszczące ich instalacje, rzeka ropy płynącej z Nigerii wyschła do strumyczka i brytyjskie kręgi handlowe po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny poważnie zastanowiły się nad sytuacją.

Do połowy lata hrabia von Rosen oddał stery pełnym zapału, wyszkolonym młodym Biafrańczykom, ograniczając się do roli organizatora. Jego działalność przyniosła owoce 2 listopada 1969 r., gdy dwa Harvardy przyleciały na lotnisko Uli, dołączając do dwóch Miniconów stacjonujących na lotniskach bojowych w buszu. Te dwumiejscowe, jednosilnikowe dolnopłaty, zbudowane dla wojskowego lotnictwa kanadyjskiego z myślą o zaawansowanym szkoleniu, okazały się niezwykle modyfikowalne i skuteczne w lotach przeciwko Simba podczas kryzysu kongijskiego. Wyposażone w bomby, rakiety i karabiny maszynowe, były idealnym środkiem do działań powietrze-ziemia w wojnach toczonych na terenie Afryki, lepszym niż myśliwce.

Obaj piloci byli Niemcami. Jednym z nich okazał się Fred Herz, poprzednio pilot starego B-25, latającego jeszcze w styczniu 1968 r. 10 listopada oba Harvardy wraz z trzema Miniconami, których zadaniem było unieszkodliwienie obrony przeciwlotniczej, wykonały pierwszy atak na Port Harcourt, niszcząc trzy nowe MiG-i, trzy samoloty transportowe, najnowszy bombowiec nękający Uli, główny hangar, zbiornik paliwa i wieżę kontrolną. Pod koniec roku spodziewano się dwóch brytyjskich odrzutowych myśliwców bombardujących Meteor, które miały dołączyć do - jak je nazywał generał Ojukwu - minisił powietrznych Biafry.

Przez cały 1968 r. najważniejszym celem polityki Ojukwu było zmuszenie rządów



Nigerii i Wielkiej Brytanii do zawieszenia broni. Minicony były tylko jednym ze środków wiodących do tego celu. Na ziemi wspierały lotników ataki komandosów na rurociągi biegnące przez nie zaludnione obszary w buszu.

Częściowo mając na względzie to zadanie, generał Ojukwu rozkazał w marcu 1969 r. pułkownikowi Achuzie, by udał się z oddziałem komandosów na ojczysty Środkowy Zachód i wznicił powstanie wśród Ica-Ibo. Od października 1967 r., kiedy to Biafrańczycy opuścili region, Ica-Ibo wiedli niepewny żywot, głównie ukrywając się w gęstym buszu na zachodnim brzegu Nigru. Do 9 maja niewiele słyszało się o Achuziem. Z Lagos dobiegały tylko plotki o coraz silniejszej partyzantce w ibojęzycznej części Środkowego Zachodu.

Tego dnia w przedrannej szarówce oddział Achuziego wdarł się do osady pracowników rurociągu w Kwale i opanował ją. Kompania nigeryjska, mająca za zadanie strzec placówki, uciekła pozostawiając własnemu losowi dwudziestu dziewięciu białych pracowników. Jedenastu - dziesięciu Włochów i Jordańczyka - zabito w zamieszaniu. Osiemnastu innych - czternastu Włochów, trzech Niemców i Libańczyka - uwięziono i przetransportowano za Niger.

Ci z więźniów, przy których podobno znaleziono broń, zostali postawieni przed sąd jako najemnicy, uznani za winnych i skazani na śmierć. Kiedy gruchnęła o tym wieść, europejska prasa mało nie dostała hysterii. Jest niezmiernie wątpliwe, czy generał Ojukwu zamierzał cokolwiek uczynić tym ludziom; materiał dowodowy wskazuje, że nie. Jednakże wyrok spowodował gigantyczną wrzawę, wstrząsnął baronami naftowymi od czubków lakierków po kapelusze i sprawił, że szefowie włoskiego kartelu naftowego Agip, zatrudniającego nieszczęśników, rozpoczęli rozmowy z Ojukwu. Zapewnił również Biaftrze trochę możliwie najfatalniejszej reklamy.

Mimo wszystko Ojukwu był w sumie zadowolony z tego, co się stało. Potrzebował reakcji baronów naftowych i udało mu się ją uzyskać. Wszyscy zrozumieli, że armia nigeryjska mimo obietnic nie może ochronić personelu firm. Nie przypadkiem po tym wydarzeniu wszystkie przedsiębiorstwa naftowe wycofały znaczną część obsługi rurociągów w okupowanej części Biafry. Pozostawało pytanie: co zrobić z osiemnastoma skazanymi nafcierzami?

W końcu Ojukwu uległ prośbie o łaskę, wystosowanej przez papieża. 6 czerwca podczas ceremonii za murami więzienia Owerri, w którym dotąd przebywali, skazańcy zostali przekazani delegacjom Caritasu, Światowej Rady Kościołów oraz przedstawicielom Gabonu i Wybrzeża Kości Słoniowej. Nocą odstawiono ich drogą powietrzną do Gabonu, a stamtąd do domów.

Jedyną pozostałą osobą, która wpadła w ręce Biafrańczyków w niezwyklej okolicznościach, była brytyjska pielęgniarka, Sally Goatcher, pracująca dla Save the Children Fund [Funduszu Pomocy Dzieciom] po nigeryjskiej stronie. 29 maja przypadkiem przejechała linię frontu na południe od Uli i została pojmana. Zatrzymano ją do 16 czerwca i również zwolniono. Odleciała samolotem przez Libreville, Gabon. Znalazłszy się za granicą, ani ona, ani nacierze nie wnosili żadnych pretensji wobec Biafrańczyków i wszyscy zgodnie twierdzili, że byli dobrze traktowani podczas ograniczenia wolności.

Jesienią stale donoszono z Nigerii, że armia federalna powoli zbiera się do jeszcze jednego „ostatecznego ataku”. Część łatwowiernych dziennikarzy ograniczała się do powiadamiania czytelników, że półroczny okres bezczynności armii nigeryjskiej jest spowodowany dobrocią serca generała Gowona, który nie chce skruszyć resztek Biafry. Jednak ci, którzy mogli i chcieli zajrzeć pod propagandową przykrywkę, dostrzegali dwa powody zaniechania walk. Pierwszy to pora deszczowa; po dwóch lekkich sezonach deszczowych w latach 1967-1968 ulewy od kwietnia do października 1969 r. były niezwykle obfite. Nie tylko drogi i ścieżki w buszu zamieniły się w grząskie błoto, w którym żadne koło nie mogło się obracać, ale również duże partie dróg asfaltowych zostały zmyte. Na drugą przyczynę składało się to, że gdy w najlepszym okresie logistyka i dostawy dla armii federalnej były mierne, podczas lata opadły do poziomu najgorszego z możliwych. Po części sprawiały to deszcze utrudniające konwojom dalekie podróże, po części stan ciężarówek, które po dwuletnim okresie zaniedbania przeważnie stały teraz unieruchomione, po części zaś coraz częstsze ataki partyzantki, zmuszające wojska federalne do oddelegowania dużych sił do ochrony konwojów.

Niemniej jednak w połowie października Nigeryjczycy byli wreszcie gotowi i rozpoczęto atak. Załamał się tak żałośnie, jak żaden z poprzednich.

Radio Lagos przed „ostatecznym atakiem” zwykle zagrzewało żołnierzy do boju, po czym jeszcze dowódcy dywizji i brygad osobiście dodawali im animuszu. Z tej okazji generał Gowon za pośrednictwem radiowej sieci wojskowej zachęcił żołnierzy do ostatecznego, finalnego boju. Zadał sobie wielki trud, aby wbić im do głów, że to naprawdę ostatni atak, że teraz albo nigdy. Poprzednio ani razu tego nie mówił.

Niepowodzenie wynikało po części z braku entuzjazmu żołnierzy na froncie, po części z wyższości biafrańskiego uzbrojenia, po części jak zwykle ze złego dowodzenia. Atak zaczął się od I Dywizji na Północy, dowodzonej od niedawna przez pułkownika Bissallę. 22 października skierował on do ofensywy dwie najlepsze brygady. Uderzyły z Okigwi. Bitwa toczyła się z wielką zaciekłością przez dziesięć dni. W jednym miejscu wyglądało na to, że

siły nigeryjskie przerwały linie obrony i otworzyły sobie drogę w kierunku Orlu i niesłychanie ważnego lotniska Uli. Jak na ironię, decydującym czynnikiem okazały się działania lotnictwa nigeryjskiego.

Według europejskich naocznych świadków piloci wschodniemieccy, zasiadający teraz za sterami MiG-ów, mylnie wzięli nacierające siły federalne za Biafrańczyków i dwa razy w ciągu trzech dni tak dały im w kość, że zostało złamane morale atakujących, którzy wycofali się na pozycje wyjściowe. Poza większą niż poprzednio siłą ognia Biafrańczyków zadziałały jeszcze dwa nowe czynniki. Pierwszy to mina zaprojektowana i zbudowana przez Biafrańczyków. Nazywała się „latające *oghunigwe*” i miała postać szerokiej na 13 cali rakiety, długiej na jakieś 7 stóp, zakończonej potężną miną lądową opisaną wyżej. To urządzenie wlatywało jak rakietka na około 600 jardów i opadając wybuchło 50 stóp nad nacierającymi żołnierzami. Siało śmierć i zniszczenie na dużym obszarze, a I Dywizja składająca się głównie z Hausa i innych mieszkańców Północy szła jak zwykle gęstymi szeregami następujących sobie na pięty żołnierzy. Pewien Amerykanin, który później oglądał miejsce tych wydarzeń, oceniał, że z 6 tysięcy żołnierzy biorących udział w ataku prawie 4 tysiące nie wróciło.

Następny czynnik, który przyczynił się do porażki, to działania biafrańskiego lotnictwa. Minicony znalazły nigeryjskie ciężarówki z dostawami ustawione jak pod sznurek na drogach za linią frontu. Namierzono je ogniem rakietowym i artyleryjskim, a te pojazdy, które nie uległy zniszczeniu, zostały unieruchomione i porzucone przez kierowców zbiegłych do buszu. 2 listopada, po dziesięciu dniach nieprzerwanego ataku na gniazda cekaemów, którego się nie spodziewały, traktowane latającymi *ogbunigwe* i wreszcie będąc pod „opieką” własnego lotnictwa, dwie przetrzebione brygady wycofały się na dawne pozycje.

Gdyby ataki ze strony nigeryjskiej wyprowadzono równocześnie, przyniosłyby jakiś efekt. Ale jak zwykle dowódcy dywizji nie nawiązali między sobą współpracy. Ledwo atak I Dywizji się załamał, a III Dywizja, obecnie pod dowództwem pułkownika Obassi (Adekunle odebrano dowództwo po utracie Owerri), podjęła kroki wojenne. Na początku listopada w Ohuba, na zachód od głównej drogi Owerri-Port Harcourt, wybuchły zaciekle walki. Tu Biafrańczycy nie tylko powstrzymali atak, ale zanim się wyczerpał w połowie listopada, zepchnęli siły federalne z powrotem poza większość wiejskiej połaci zwanej Ohuba.

Dalej na wschód wzdłuż głównej drogi asfaltowej walki ciągnęły się dłużej i siły federalne zdobyły 4-milowy odcinek od wioski Umuakpu w kierunku Owerri. Jednakże z najdalej osiągniętego punktu nadal pozostawało do Owerri 16 mil.

W połowie listopada przeprowadzono inne główne uderzenie w kierunku Okpuala i

tam III Dywizja odniosła większy sukces. Posunęła się 9 mil i zatrzymała się na odpoczynek w wiosce Amala, jakieś 5 mil na południe od głównej drogi Aba-Owerri. Jak i inne nacierające oddziały, zdobycie terenu kosztowało ją sporo w ludziach i sprzęcie. Równocześnie z głównym atakiem II Dywizja w Onitsha też wyprowadziła uderzenie. To był jedyny przypadek koordynacji działań w różnych sektorach. Na wschód od Onitsha II Dywizji udało się zamknąć wyrwę w linii frontu i połączyć z wioską Ogidi. W tym momencie został ranny w brzuch odłamkiem granatu biafrański dowódca dywizji, brygadier Amadi. Wygląda na to, że odebranie XI Dywizji dowódcy podziało na biafrańskich żołnierzy jak płachta na byka, gdyż w ciągu ostatniego tygodnia listopada przeprowadzili kontratak i odzyskali nie tylko 6-milowy odcinek jezdni między wschodnimi pobrzeżami Onitsha i Ogidi, ale zdobyli jeszcze więcej.

Jedyny kryzys nastąpił podczas ostatniego z natarć federalnych. Było to w Ikot Ekpene, kraju Ibibio, głęboko na południowym wschodzie. W Ikot Ekpene panował spokój przez z górą rok, ale ostatniego tygodnia listopada siły federalne w tym sektorze rzuciły wszystko, co miały, w kierunku północnym, zamierzając połączyć się z Umuahia i odciąć biafrańską enklawę obejmującą miasta Ohafia oraz Arochukwu, a także odebrać jej panowanie nad obydwoma brzegami rzeki Cross w Ikot Okpora.

Zaskoczone siły generała Ojukwu zepchnięto 6 mil drogą od Umuahia do Ito-Ndan, miejsca, od którego zaczęły kontrataki w kierunku Ikot Ekpene w maju 1968 r. Misjonarze pomagający głodującym Ibibio byli zmuszeni do ewakuacji Urho-Akpan, na północ od Ikot Ekpene, i bitwa wciąż trwała pod koniec listopada. 29 listopada generał Ojukwu powiedział autorowi, że po świeżej dostawie broni zrealizowanej poprzedniego wieczoru należy się spodziewać, iż ten sektor wytrzyma ataki do pierwszego tygodnia lutego. Ta ocena się sprawdziła.

Do połowy lutego piąty ostateczny atak Nigeryjczyków na środkowy pas Biafry się nie powiodł i biafrański import uzbrojenia bynajmniej nie zmalał, ale wedle wszelkich wskazówek na niebie i ziemi nadal utrzymuje się na wysokim poziomie.

Pod koniec 1969 r. korespondenci pracujący po obu stronach frontu jasno zdali sobie sprawę, że decydujący wynik w kategoriach wojskowych jest wysoce nieprawdopodobny. Nie wyglądało na to, by którakolwiek ze stron miała wyraźną przewagę, więc pokoju należało poszukiwać za pomocą działań w sferze dyplomatycznej. To należało czynić od pierwszego rozłamu między Lagos i Enugu w 1967 r. Na nieszczęście w ciągu trzydziestu miesięcy, które upłynęły od tej pory, straciło życie 1,5 miliona ludzi.

## ***10. Rola rządu Wilsona***

Jak dało się zauważyć, tradycyjne brytyjskie interesy w Nigerii nie miały nic wspólnego z dobrem mieszkańców kraju i w tej mierze nic się nie zmieniło. Te interesy dotyczyły wąskiego kręgu brytyjskich polityków, służby cywilnej oraz biznesmenów i były czysto imperialistycznej natury. Działania rządzących były obliczone na utrzymanie prawa i porządku, podnoszenie podatków, z których opłacało się administrację kolonii, stymulację produkcji surowców dla brytyjskiego przemysłu i tworzenie rynku zbytu dla jego wytworów. Po wprowadzeniu niepodległości pierwsze dwie funkcje zostały przekazane wybranym i odpowiednio przyjaźnie nastawionym krajowcom, podczas gdy dwie ostatnie pozostały jak poprzednio w rękach brytyjskich. Dla tych Brytyjczyków, którzy w jakikolwiek sposób zajmowali się Nigerią, to państwo reprezentowało, jak inne, nie kraj zamieszkały przez żywych ludzi, ale rynek. Jakiegokolwiek tendencje wewnątrz Nigerii, które mogłyby się wydać szkodliwe dla rynku, należało zwalczać, a pragnienie Biafry odłączenia się od reszty kraju należało dokładnie do tej kategorii.

Podczas analizy polityki rządu brytyjskiego wobec całego zagadnienia wojny nigeryjsko-biafrańskiej nasuwają się dwie oceny: według pierwszej ta polityka to w istocie brak polityki, beznadziejne kłębawisko głupoty, apatii, obojętności, gruboskórności i ignorancji na wysokich stanowiskach; według drugiej od początku można mówić o świadomej polityce całkowitego poparcia, ale nie narodu nigeryjskiego, tylko rządzącego reżimu w Lagos. Tę politykę maskowano możliwie najdłużej przed opinią publiczną, natomiast głupota jej realizatorów, ignorancja i apatia szerokiego ogółu, a także ludzi sprawujących kontrolę nad mass mediami, służyły albo jej podtrzymaniu, albo ukryciu. W miarę postępu badań nad kolejnymi stosami dokumentów staje się coraz bardziej oczywiste, że dowody potwierdzają tę drugą opcję.

To, że brytyjscy przywódcy osobiście woleli oglądać pojedynczą i zjednoczoną Nigerię najdłużej jak to praktycznie możliwe, trudno uważać za naganne; ale chcąc za wszelką cenę mieć do czynienia z jednym ekonomicznym tworem, bez względu na cierpienia narodu, wmieszali się brutalnie w sprawy wewnętrzne kraju i poparli nie naród, nie jego aspiracje, ale małą klikę wojskowych buntowników. Fakt, że tymczasem poglądy tej kliky okazały się wielce niereprezentatywne dla opinii szerokich mas Nigeryjczyków, nie tylko nie zmieniły tej opcji, ale ją wzmocniły. Do tego stopnia, że polityka rządu brytyjskiego spłotła się na tyle nierozzerwalnie z przetrwaniem obecnego reżimu nigeryjskiego, iż ten pierwszy stał

się jawnym poplecznikiem wszystkich postępów tego drugiego.

Nie ulega wątpliwości, że przed południem 30 lipca 1966 r., dzień po zamachu Gowona, doradcy rządu brytyjskiego ocenili jego uprawnienia do sprawowania władzy za wielce wątpliwe i uznanie nowego reżimu wymagało podjęcia decyzji na najwyższym szczeblu. To wyraźnie kontrastowało z pierwszym, styczniowym zamachem stanu, który się nie powiódł, ale spowodował, że kadłubowy rząd poprosił generała Ironsiego o przejęcie władzy. 25 stycznia szef Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, Arthur Bottomley, powiedział Izbie Gmin, że rząd brytyjski nie uważa nawet za konieczne rozważać formalnego uznania generała Ironsiego („Hansard”, 25 stycznia 1966 r., kolumna 21).

Ale w lipcu, gdy rząd Gowona nie mógł się zasłonić żadnymi pozorami legalności, gdy uczestnicy częściowo udanego buntu kontrolowali tylko stolicę i dwa z czterech regionów, sytuacja była całkowicie odmienna. Kiedy i na jakich podstawach zdecydowano się uznać Gowona, to nadal pozostaje nie ujawnione. Ale dopiero w listopadzie 1966 r. nominowany przez Gowona nigeryjskim wysokim komisarzem w Londynie wielce ruchliwy brygadier Ogundipe przedstawił listy akredytacyjne na Dworze św. Jakuba. I co zadziwiające, dopiero 20 grudnia poinformowano Izbę Gmin, że Wielka Brytania w pełni uznała reżim Gowona („Hansard”, 20 grudnia 1966 r., kolumna 263). W lutym 1967 r. sir David Hunt wybrał się do Lagos jako nowy brytyjski wysoki komisarz Nigerii. Stopniowo wprowadził w czyn wcześniej ustaloną politykę bezwzględного poparcia dla Gowona.

Nie ulega zbyt wątpliwości, że bodziec kształtujący politykę brytyjską wobec Nigerii od lipca 1966 r. nie pochodził od polityków, ale od doradzających im wyższych pracowników służby cywilnej w Wysokiej Komisji w Lagos i Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w Londynie. Wygląda na to, że ówczesny szef MBWN, pan Bottomley, chociaż uznawany przez tych, którzy go znali, za istotę chętną do zgody, niewiele wiedział o całej sytuacji; o Herbercie Bowdenie, jego następcy, trudno rzec, by wyróżniał się znajomością podstawowych faktów; a jego następcą z kolei, George Thomson, okazywał publicznie i prywatnie, że najbardziej jest zainteresowany znacznie intensywniej opisywanym problemem rodezyjskim. Żadna z trzech wymienionych osób nawet przez chwilę nie miała wsparcia w Izbie Gmin ani Izbie Lordów w zastępcy o liczącym się kalibrze, a ci, którzy wiedzą, co się dzieje za kulisami Whitehall, nie byli zaskoczeni faktem, iż ustalanie polityki wobec Nigerii, odpowiedzi ministrów na interpelacje poselskie i bardzo ważne konferencje z akredytowaną prasą spadały w zupełności na służbę cywilną. Ta ostatnia wcale nie była tym zmartwiona, gdyż wielu jej pracowników uważa, iż wszystkie czynności bardziej skomplikowane niż złapanie odpowiedniego autobusu przekraczają zdolności intelektualne

zawodowych polityków. Na nieszczęście pracownicy służby cywilnej udowodnili z czasem, iż w tej sprawie stać ich tylko na mieszaninę ignorancji, braku orientacji, uprzedzeń, cynizmu i chwilami tradycyjnej pogardy brytyjskiej klasy wyższej wobec wszystkich Afrykańczyków, a tych, którzy wiedzą, czego chcą, w szczególności. To właśnie z tej mieszanki karygodnych przywar, którą później zabarwiał od czasu do czasu zastrzyk nienawiści, urodziło się brytyjskie wsparcie dla afrykańskiej junty i jej polityki wojennej. Tak zaznaczył się brytyjski udział w najbardziej krwawym epizodzie historii Wspólnoty Narodów.

Wielką Brytanię popchnął w objęcia Gowona ówczesny wysoki komisarz w Lagos, sir Francis Cumming-Bruce. Opowiadał później profesorowi Eni Njoku, rektorowi Uniwersytetu Nsukka i przewodniczącemu delegacji Wschodu na Specjalną Konferencję Konstytucyjną, że gdy w pełni zdał sobie sprawę, iż Gowon zamierza obwieścić w przemówieniu radiowym 1 lipca 1966 r. rozwiązanie Federacji Nigerii, udało mu się go skłonić do przemeblowania oświadczenia. W ten sposób - powiedział profesorowi - uratował jedność Nigerii. Miesiąc później odszedł. Jednakże wygląda na to, że jego uczynek ustawił Wielką Brytanię na kursie, z którego coraz trudniej było jej zbroczyć, chociaż trudno rzec, by czyniono w tym zakresie jakieś autentyczne wysiłki.

W następnych miesiącach zdarzyły się przynajmniej dwie okazje, podczas których brytyjski wysoki komisarz mógłby się przyczynić do odwrócenia nieszczęścia, gdyby zechciał wykorzystać niewątpliwy wpływ, jakim dysponował jego urząd. Pierwsza miała miejsce po posiedzeniu Konferencji Konstytucyjnej, gdy stało się jasne, że większość Nigeryjczyków, od najszerszych mas w górę, woli luźną konfederację i słaby rząd centralny. Druga okazja to spotkanie wojskowych gubernatorów regionów w Aburi, kiedy to wszyscy uczestnicy narady doszli do jednakowej konkluzji i potwierdzili ją podpisami.

Nic nie wskazuje na to, że miejscowy przedstawiciel rządu brytyjskiego zasugerował przy którejkolwiek z okazji wybranie takiej drogi działania. Przeciwnie, są oznaki, że Brytyjczycy, zamiast poradzić Gowonowi, by poszedł za powszechnymi pragnieniami Nigeryjczyków, przy obu okazjach zachęcali go, by zagroził użyciem siły i doprowadził do takich rozwiązań, jakie on sam i jego szefowie służby cywilnej chcieli uzyskać. Jak na ironię, luźna konfederacja Nigeryjczyków dawałaby Wielkiej Brytanii wszystkie walory najkorzystniejszego z jej punktu widzenia pojedynczego rynku, ponieważ już istniejące cztery Regionalne Zarządy Rynku dysponowały taką autonomią, że nawet wtedy można było mówić o konfederacji w dziedzinie gospodarczej. A tak roczne obroty handlowe Wielkiej Brytanii sięgające 170 milionów funtów zostały nieodwracalnie zredukowane i niewykluczone, że znikną całkowicie.

Być może dlatego Wysoka Komisja zdecydowała się poprzeć Gowona wbrew wszystkiemu, w tym również wbrew jego ludowi, i nakłoniła Whitehall do zajęcia podobnego stanowiska, ponieważ dała się przekonać Gowonowi, iż armia nigeryjska szybko poradzi sobie z każdym sprzeciwem i stąd też nie można brać poważnie opozycji wobec jego reżimu. Taka byłaby najbardziej litościwa interpretacja postępowania Wysokiej Komisji, lecz jej optymizm świadczy w najlepszym razie o braku orientacji, w najgorszym - o cynizmie.

Zadania ambasadora są, ogólnie biorąc, trojaki: utrzymuje możliwie najbardziej przyjacielskie stosunki między krajem, który reprezentuje, a tym, w którym jest akredytowany, zarówno w stosunkach oficjalnych, jak i podczas kontaktów prywatnych; strzeże życia, bezpieczeństwa, własności i interesów swoich rodaków w kraju, w którym jest akredytowany; stale dostarcza swojemu rządowi pełnego zasobu wiarygodnych informacji o stanie spraw kraju, w którym przebywa. Nie wydaje się, by kiedykolwiek ustalono, które z tych zadań jest najważniejsze, ale zapewne dwa pierwsze są głęboko uzależnione od polityki kraju ambasadora względem kraju, w którym przebywa, na co z kolei wpływają jego informacje. Bo chociaż on sam bynajmniej nie formułuje polityki, to z całą pewnością jego uwagi w tym względzie nie są zupełnie pomijane.

Rząd, wyrabiając sobie opinię o jakimś kraju, zwykle wzywa swojego ambasadora na konsultację i jego relacja na temat sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej jest zwykle słuchana z wielkim zainteresowaniem, a czasem ma decydujące znaczenie. W związku z tym „aspekt informacyjny” pracy ambasadora można uważać za najważniejszy spośród jego funkcji. Fatalne informowanie nie tylko dobitnie świadczy o fatalnym ambasadorze, ale łatwo może wprowadzić politykę jego kraju na ścieżkę ku katastrofie.

W przypadku brytyjskiego wysokiego komisarza w Nigerii opisanie faktycznego przebiegu wydarzeń nie powinno przedstawiać żadnych trudności. W Nigerii pełno jest brytyjskich biznesmenów, pracowników służby cywilnej, dziennikarzy, podróżników, misjonarzy, lekarzy, nauczycieli, wykładowców wyższych uczelni i inżynierów, którzy w sumie reprezentują stulecia doświadczenia i głębokiego rozeznania. Poza tym w każdym z czterech regionów jest zastępca wysokiego komisarza.

Oceniając Gowona na podstawie jego uwagi o „szybkiej chirurgicznej akcji policyjnej”, odnosi się wrażenie, że był autentycznie przygotowany na to, iż armia nigeryjska w ciągu kilku dni upora się z niezadowolonym w Regionie Wschodnim. To, że okazał się nie doinformowany, nie jest zaskakujące. Wszyscy władcy w Afryce są otoczeni przez pochlebców, lizusów i oportunistów, którzy we własnym interesie opowiadają rządzącemu to, co chce usłyszeć. Niemniej jednak wygląda na to, że brytyjska Wysoka Komisja dzieliła tę



euforię. Prywatne rozmowy z dziennikarzami przebywającymi wówczas w Lagos jasno uwidaczniają, iż Brytyjczycy byli całkowicie przekonani, że jeśli wybuchną walki, to będą one krótkie i niemal bezkrwawe, że pułkownik Ojukwu zostanie pokonany i że najpóźniej w ciągu kilku tygodni Wschód zostanie z powrotem włączony do Nigerii.

Oficjele, dziennikarze i ludzie zajmujący wysokie stanowiska podsycali nawzajem swoje złudzenia w zamkniętym, kazirodczym kręgu dyplomatycznych kontaktów, przekonując się, że będzie tak, jak im się wydaje, i nie mając zielonego pojęcia, jak faktycznie wygląda sytuacja w Regionie Wschodnim.

To, że Gowon i jego doradcy dali się wyprowadzić w pole, jest zrozumiałe; to, że pomylił się brytyjski wysoki komisarz, jest niewybaczalne. Sir David Hunt miał bowiem to szczęście, że w Regionie Wschodnim służył mu bystry i dobrze zorientowany zastępca, James Parker. Nawiązał on szerokie kontakty z ludźmi wszystkich narodowości i klas społecznych w całym Regionie. Jego amerykański kolega, konsul Robert Barnard, powiedział: „Jim trzymał rękę na pulsie” (w rozmowie z autorem, Enugu, lipiec 1967 r.). Parker znał na tyle dobrze teren i ludzi, że mógł zdawać sobie sprawę z ucisku, a także ich zdolności i determinacji do obrony, gdyby byli na nią skazani. Te warunki czyniły sytuację daleko bardziej niebezpieczną, niż przebywający w Lagos byli gotowi przyjąć do wiadomości.

Inne źródła w urzędzie zastępcy brytyjskiego wysokiego komisarza w Enugu dały jasno do zrozumienia, że pan Parker wielokrotnie przedkładał wysokiemu komisarzowi w Lagos informacje i ostrzeżenia. Przedstawiciele prasy w Lagos mówili później, że te ostrzeżenia ze Wschodu nie tylko wycinano z raportów Wysokiej Komisji przed wysłaniem ich do Londynu lub opatrywano krytycznymi notatkami, ale w kołach towarzyskich słyszało się sir Davida publicznie dyskredytującego swojego podwładnego z Enugu epitetem „biały Ibo”.

(Takie oczernianie każdego, nawet bezstronnych dziennikarzy, którzy wskazywali na błędy w publicznych oświadczeniach, stało się później kamieniem węgielnym taktyki Wysokiej Komisji i Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów - taktyki odwracania uwagi od sprawy Nigeria-Biafra).

Jak się okazało po czasie, z chwilą wybuchu wojny brytyjska służba cywilna wreszcie zdecydowała się bez zastrzeżeń poprzeć reżim Gowona. Fakt, że to poparcie w pierwszych tygodniach wojny nie przybrało szczególnie praktycznej formy, był spowodowany wyłącznie założeniem, iż Nigeria nie potrzebuje pomocy, aby zmiążdżyć Biafrę. Kiedy wsparcie okazało się konieczne, zapanował krótki okres zamętu, bo politycy, chociaż niezbyt zainteresowani zawikłaną afrykańską „wojną w buszu”, dopytywali doradców: „Jesteś pewny?”

Służba cywilna odniosła gładkie zwycięstwo i od tej pory pomoc dla Gowona przybywała w rosnących ilościach i pod coraz to innymi postaciami. O postawie Brytyjczyków wobec „ich” Wspólnoty Narodów, postawie odzwierciedlonej w prasie i wypowiedziach członków Izby Gmin, świadczy fakt, że polityka poparcia dla Gowona była na ogół nie kwestionowana przez blisko rok, tj. aż do chwili, w której rząd Gowona doprowadził do śmierci blisko 200 tysięcy obywateli tejże Wspólnoty. Dopiero gdy owo postępowanie zostało mocno zakwestionowane, maska oficjalności osunęła się i przelotnie się okazało, co uczyniono w imieniu Brytyjczyków. Ogół zareagował na to gwałtownie, ale zbyt późno. Polityka rządowa była tak głęboko utrwalona, że chociaż jej podstawa i kolejne uzasadnienia okryły się całkowitą hańbą, to reputacja polityków, a szczególnie premiera, uzależniła się całkowicie od zmiążdżenia Biafry, bez względu na ponoszone koszty.

Samo to, że rząd brytyjski zdecydował się poprzeć reżim Gowona, nie wywołało obrzydzenia Biafrańczyków. Chodziło o hipokryzję, z którą to uczyniono. Przez rok stawano na głowie, aby ukryć przed parlamentem, prasą i obywatelami, co się naprawdę dzieje. W Izbie Gmin kolejni posłowie składający interpelacje, jak i cały parlament, byli wodzeni za nos, oszukiwani, wprowadzani w błąd i potykali się o rzucane pod nogi kłody. Przemawiający w imieniu rządu z pełną świadomością oświadczaali, że rząd brytyjski jest neutralny, a później przyznawali, że o żadnej neutralności nigdy nie mogło być mowy. Z pokerową twarzą zaprzeczano, jakoby transporty broni do Nigerii przekroczyły poziom przedwojenny, podczas gdy prawda wyglądała dokładnie na odwrót. Ministrowie przeczyli samym sobie, zmieniali poglądy, wahali się, zajmowali wyczekujące stanowisko i przez dziesięć miesięcy łatwowierna Izba kiwała głowami i była usatysfakcjonowana.

Tymczasem transporty broni szły nieprzerwanie. Tajemnica, którą były otoczone, wskazywała, iż liczone się z tym, że gdyby fakty wyszły na światło dzienne, Brytyjczycy mogliby okazać brak zrozumienia.

Zakryte ciężarówki, pełne pocisków artyleryjskich i nabojów, mknęły przez noc na lotnisko Gatwick, gdzie pozwalano im okrążyć pas do kołowania (rzecz niemal bez precedensu w międzynarodowym porcie lotniczym), aby mogły przeprowadzić wyładunek przy tajnej rampie po drugiej stronie płyty. Rzecz wydała się wreszcie dzięki dziennikarzowi z Malty, gdzie samoloty miały międzylądowanie w celu uzupełnienia paliwa. Crown Agents for Overseas Government and Administrations przeprowadziła wiele zakupów dla rządu Nigerii w Millbank, Londyn, i nie wszystkie zamówienia na broń sporządzone przez tę agencję, tradycyjnie zaopatrującą kraje Wspólnoty Narodów, przyszły z Wysp Brytyjskich.

Podczas zakupów broni ważnym dokumentem jest licencja eksportowa - zwykle

wydawana po przedstawieniu „zaświadczenia użytkownika końcowego”, na którym jest podany ostateczny adres cargo - co zapobiega dostaniu się ładunku w niepowołane ręce. I tak zaświadczenie podpisane w jednym państwie może być ważne na zakup w innym, nawet gdyby statek przewożący broń nie zatrzymał się w kraju podpisującym licencję. Zakładając, że sprzedający pokazał licencję i zaświadczenie użytkownika końcowego, a jego rząd nie wnosi obiekcji, interes może zostać zawarty. I tak broń szła z magazynów brytyjskiej Armii Renu w Antwerpii, Belgia; zwłaszcza moździerze, pociski artyleryjskie i pojazdy opancerzone.

Nie jest celem tego rozdziału wyliczanie każdego ładunku broni wysłanego do Nigerii z Wielkiej Brytanii albo poprzez brytyjskie urzędy (informacje o tym w: „Financial Times”, 9 sierpnia 1967 r., „Birmingham Post”, 15 sierpnia 1967 r., „The Times”, 3 stycznia 1968 r., „Hansard”, 22 lipca 1968 r., kolumna 68). Znane transporty są zarejestrowane i dostępne do wglądu, szczególnie w archiwach gazet. Sprawdzone informacje o stałych i potajemnych dostawach broni reżimowi nigeryjskiemu, dokonywanych przez rząd brytyjski i zastrzeżonych jako „ściśle tajne”, pojawiły się po raz pierwszy 9 sierpnia 1967 r., trzydzieści trzy dni od wybuchu wojny, i były kontynuowane, aż stały się tak jawne, że nikogo już nie zaskakiwały. Ale jest interesujące, jak rząd brytyjski się z nich tłumaczył.

Przez pierwsze pół roku nie musiał się specjalnie wytężyć; wysuwano niewiele interpelacji i jeszcze mniej interpelujących było w pełni informowanych. Ale 29 stycznia 1968 r. lord Brockway przedłożył interpelację w Izbie Lordów i szef Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, lord Shepherd, odpowiadał. Po usłyszeniu zwyczajowej formułki, że nie należy do polityki rządu ujawnianie transportów broni dla obcego rządu, lord Brockway przypomniał Shepherdowi, że rząd przecież oświadczył, iż „tylko wcześniej zapowiedziane dostawy i części zamienne” będą dostarczane Nigerii. Shepherd odparł, że nic mu o tym nie wiadomo, ale dodał jeszcze: „Podczas gdy ubolewamy nad tragiczną i smutną wojną domową w Nigerii, dostarczaliśmy Nigerii większość jej wyposażenia wojskowego...” („Hansard”, 29 stycznia 1968 r., kolumny 599 i 600).

Było to sto dni po tym, jak nigeryjski dowódca w Asaba użył sporej ilości „większości swojego wyposażenia wojskowego” do przeprowadzenia egzekucji na każdym Ibo mającym powyżej dziesięciu lat.

Maska, za którą krył się Londyn, opadła w wyniku fatalnego nieprzygotowania Shepherda i od tej pory rząd skupiał się bardziej na usprawiedliwianiu transportów broni do Lagos niż na zaprzeczaniu, jakoby takie transporty szły z Wielkiej Brytanii. Ale co do ilości, to w dalszym ciągu oszukiwano w sposób znaczący. Parlament dowiadywał się, że idą tylko

„tradycyjne” dostawy broni, zarówno jeśli chodzi o rodzaj, jak i ilość, a jednak 16 maja 1968 r. Harold Wilson powiedział Izbie Gmin:

„Kontynuowaliśmy dostawy, ale nie czynił tego rząd. Chodzi mi o to, że zezwoliliśmy na dalsze dostawy broni prywatnym wytwórcom, dokładnie na takiej samej podstawie jak w przeszłości, ale nie było żadnych specjalnych dodatków na potrzeby wojny” („Hansard”, 16 maja 1968 r., kolumny 1397 i 1398).

Było to zadziwiające oświadczenie, skoro Nigeria dumnie ogłosiła, że udało się jej powiększyć liczebność wojska z 8 tysięcy do 80 tysięcy ludzi. Poza bronią Nigeria zdobywała również amunicję, i to w sposób dosłownie cudowny. Korespondenci z Wietnamu byli oszołomieni tym, jak Nigeryjczycy siali amunicją na prawo i lewo, mimo że potrzebowali uzupełnień w o wiele większym stopniu niż przed wojną. A co się tyczy „prywatnych wytwórców” wspomnianych przez Wilsona, autor książki przez całą wiosnę 1968 r. osobiście widział setki nigeryjskich łusek, wyraźnie oznaczonych: „Środki wybuchowe rządu Wielkiej Brytanii - Ministerstwo Obrony/Armia”, które miały równie wyraźnie oznaczoną z boku datę produkcji - listopad 1967 r.

Wreszcie przyznano, że brytyjskie dostawy broni do Nigerii uległy eskalacji, „bo wojna uległa eskalacji”. Ale nawet gdy politycy, dociśnięci mocno do muru, stopniowo pozwalali parlamentowi, prasie i szerokiemu ogółowi dojrzeć, że dostawy broni były całkiem spore, zachowywano pozory, że są one z różnych przyczyn usprawiedliwione. Zbadanie tych przyczyn i umieszczenie ich w pewnej perspektywie może się okazać bardzo użyteczne.

Jako główną przyczynę głoszono, że Wielka Brytania to tradycyjny dostawca broni do Nigerii i zaprzestanie dostaw byłoby krokiem nieneutralnym, służącym Biafrze. To nieprawda. Pułkownik Ojukwu, pierwszy rodzimy kwatermistrz generalny Nigerii, wiedział dokładnie, jakie zamówienia złożono w Wielkiej Brytanii, gdy sprawował urząd; sam je zresztą odwołał. Do ogłoszenia przez Biafrę niepodległości widział dokładnie, jakie zakupy poczyniono lub jakie nastąpią. Na konferencji prasowej 28 kwietnia 1968 r. podał dane. Co znaczące, nigdy nie zostały one podważone przez Lagos, a następny kwatermistrz generalny armii nigeryjskiej nigdy nie twierdził niczego innego. Oświadczył, iż w latach 1964-1966 „jedyne dostawy wyposażenia wojskowego przybyłe do Nigerii z Wielkiej Brytanii to 12 pojazdów opancerzonych Ferret i 2 Saladiny. Cztery następne dostawy zapowiedziano do końca 1966 r.”

Powiedział, że wie, iż „Nigeria zaprzestała kupna karabinów i karabinów maszynowych z Wielkiej Brytanii, odkąd w 1964 r. podpisała kontrakt z niemiecką firmą Fritz Werner na zbudowanie w Kadunie fabryki amunicji”. (Werner wolał wstrzymać budowę

niż produkować naboje na potrzeby wojny domowej). Oświadczył, że Nigeria kupowała karabiny bezodrzutowe w Ameryce, karabinki maszynowe i strzelby we Włoszech, rkm-y w Niemczech, Howitzery kalibru 105 mm we Włoszech, moździerze kalibru 81 mm w Izraelu, a buty i resztę ekwipunku sprowadzała z Niemiec.

Do lipca 1966 r., kiedy zamordowany został generał Ironsi, Wielka Brytania na tyle przestała być tradycyjnym dostawcą broni dla Nigerii, że to państwo było zależne od niej tylko w zakresie dostaw mundurów galowych i pojazdów opancerzonych.

Są dostępne sprawdzone dane, mówiące o całkowitych kosztach pomocy wojskowej Wielkiej Brytanii dla Nigerii w roku budżetowym 1965-1966. Wedle oświadczenia Arthura Bottomleya, złożonego w Izbie Gmin 2 marca 1966 r., wyniosła ona 68 tysięcy funtów („Hansard”, 2 marca 1966 r., kolumna 316). Niemniej jednak 12 lipca 1968 r. minister spraw zagranicznych, Michael Stewart, powiedział parlamentowi: „W każdym razie byłoby błędem z naszej strony zaprzestanie dostaw dla rządu federalnego na samym początku secesji... Obecnie dostawy z naszego kraju obejmują 75% wszystkich dostaw broni przychodzących do Nigerii” (ibid., 12 czerwca 1968 r., kolumna 290). Wcześniej podczas tej samej debaty Stewart oświadczył, że do czasu dojścia do władzy w Lagos generała Gowona Nigeria „była od nas bardzo zależna... w całej dziedzinie obronności” (ibid., 12 czerwca 1968 r., kolumny 289-290).

Prawdę mówiąc, głównym nigeryjskim zakupem w dziedzinie obronności była fregata nabyta od Holandii, a załazek jej sił powietrznych szkolili na Dornierach Niemcy z RFN. Procentowe wyliczenia pana Stewarta stają się jeszcze dziwniejsze, gdy się przypomni, że podobno Nigeria przyjęła w maju 1967 r. ładunek 50 francuskich pojazdów opancerzonych Panhard. Jeśli kupno fregaty, samolotów i 50 Panhardów oznacza 25% zakupów z innych źródeł niż Wielka Brytania, to w takim razie brytyjskie 75% musi być ogromną ilością uzbrojenia; niemniej jednak zdecydowane przekonanie Gowona, że zdoła wykończyć Biafrę w ciągu kilku dni, stawia pod wielkim znakiem zapytania prawdziwość tak potężnego zamówienia. Oczywiście, te domniemane dane dotyczą stanu rzeczy przed wojną.

22 lipca 1968 r. George Thomson powiedział Izbie, że udział Wielkiej Brytanii w nigeryjskich zakupach broni do tej pory, po roku wojny, wynosi tylko 15% całości („Hansard”, 22 lipca 1968 r., kolumna 106). Te dane są mylące. Odnoszą się wyłącznie do wartości; do tamtej pory Nigeria kupiła w Rosji Sowieckiej bardzo drogie myśliwce i bombowce, razem z sowiecką obsługą techniczną i egipskimi pilotami, których później zastąpili Niemcy z NRD. Te dane nie wskazują również, czy broń przyszła z Wysp Brytyjskich oraz czy obejmują one broń z magazynów Armii Renu w Antwerpii. Nie

wiadomo też, czy pieniądze, o których mowa, to całkowita zapłata czy też zadatek.

Jeśli nawet to, co powiedział Thomson, było prawdą, zaprzeczyły temu wypowiedzi jego kolegów. Lord Shepherd oświadczył pół roku wcześniej, że Wielka Brytania dostarcza Nigerii „prawie całe wyposażenie wojskowe”, podczas gdy niestrudzony wysoki komisarz, sir David Hunt, powiedział 22 stycznia 1968 r. słuchaczom w Kadunie, że „większość broni w rękach sił federalnych pochodzi z Wielkiej Brytanii” (BBC, podsumowanie wiadomości ze świata, część 4B, Afryka niearabska ME/2677/B/2).

I tak to szło i szło. Argument o „tradycyjnym dostawcy” był powtarzany w kółko, chociaż od dawna okazało się jasne jak słońce, że Wielka Brytania nie jest tradycyjnym dostawcą i że ilości, o których mowa, nie pokryłyby kilkugodzinnego zapotrzebowania, gdyby utrzymały się na poziomie przedwojennym. „Utrzymywanie istniejących dostaw”, zarówno pod względem rodzaju, jak i ilości, nie miało nic wspólnego z prawdą.

To była pierwsza wymówka. Według drugiej Wielka Brytania była zobowiązana do wspierania rządu w zaprzyjaźnionym kraju. To kolejna błędna interpretacja. Nie ma żadnych moralnych ani legalnych obowiązków wspierania kogokolwiek prowadzącego wojnę i nigdy ich nie było. Zazwyczaj każde państwo, decydujące się na sprzedaż broni krajowi prowadzącemu wojnę, musi rozsądzić najpierw dwie sprawy: po pierwsze, czy w pełni zgadza się z polityką, która doprowadziła do takiej sytuacji, że stała się potrzebna broń wojenna; po drugie, czy całkowicie pochwała to, do czego ta broń posłuży.

Gdyby ktokolwiek się zastanowił nad celowością dostarczania broni Nigeryjczykom prowadzącym wojnę z Biafrą, w obu wypadkach miałby powód do obaw. Tło tej wojny zostało opisane w poprzednich rozdziałach. W ciągu kilku tygodni od wybuchu konfliktu zachowanie piechoty nigeryjskiej na Środkowym Zachodzie dostarczyło wielu dowodów na to, że każda broń zostanie użyta bez wahania przeciwko osobom cywilnym.

Co więcej, państwa bardziej skrupulatne zazwyczaj odmawiają sprzedawania broni wojennej krajowi, którego postępowanie w sprawach wewnętrznych ganią, nawet jeśli jest konieczna do samoobrony w okresie pokoju. I tak Wielka Brytania pod rządami konserwatystów była o krok od sprzedaży okrętów wojennych. Pan Wilson wyskoczył z okrzykiem: „Żadnych fregat faszystom!” i jako że spodziewano się jego wyboru na premiera, Hiszpanie zrezygnowali z zakupu.

Później rząd laburzystowski nałożył embargo na sprzedaż broni do Afryki Południowej. Chociaż niewielu lubi apartheid, nawet najwierniejsi członkowie Partii Pracy nie sugerowali, że okręty wojenne i bombowce Buccaneer mogą być użyte przeciwko uczestnikom zamieszek. Argumentem decydującym i uznawanym było, że dostarczając broń

jakiemuś państwu wzmacnia się rządzący w nim reżim, nawet w okresie pokoju; i jeśli komuś nie podoba się ten reżim ani jego polityka wewnętrzna, nie powinien go wzmacniać. Oceniając logicznie sprzedaż broni dla Nigerii, dokonaną przez rząd Wilsona, trzeba dojść do konkluzji, że ten rząd pochwała uczynki reżimu Gowona. Są one opisane w następnym rozdziale przez naocznych świadków, dziennikarzy.

Trzecia wymówka była następująca: jeśli Wielka Brytania nie sprzedaby broni Nigerii, zrobiłby to kto inny. Praktycznie biorąc, nie jest to możliwe. W miarę jak dostawcy broni działający na zasadzie „za gotówkę, bez dostawy” oraz ich państwa zdawali sobie sprawę, do czego ta broń służy, rezygnowali z usług. Po kolei CSRS, Holandia, Włochy i Belgia decydowały się przerwać współpracę z Nigerią. Belgowie uchwalili nawet specjalną ustawę zakazującą realizacji dostaw końcowych. Pomysł, że Rosjanie automatycznie zastąpią Brytyjczyków w pełnym zakresie dostaw, jest do zbitcia dla każdego eksperta zbrojeniowego. Kaliber wszystkich sowieckich broni różni się od kalibru broni natowskich i brytyjskich. Zwykle jest on o milimetr większy, aby oddziały rosyjskie mogły użyć zdobyczej amunicji zachodniej, podczas gdy wojska NATO nie mogłyby wykorzystać amunicji Układu Warszawskiego. Z tego powodu amunicja sowiecka nie mogła być dostarczana Nigerii do broni wytwarzanej przez kraje NATO. Zmiana amunicji oznaczałaby całkowitą wymianę broni dla armii liczącej 80 tysięcy ludzi. Operacja taka była niemożliwa ze względu na koszty. W istocie niewykluczone, że w razie wycofania się Wielkiej Brytanii Nigeria, stojąc przed wizją zakupów na czarnym rynku, jak Biafrańczycy, byłaby zmuszona zasiąść do stołu rokowań i zgodzić się na sensowne ustalenia. Zanim Wielka Brytania i Rosja zostały jedynymi dostawcami, zarysowała się szansa, że porozumienie między tymi dwoma państwami stworzy podstawę do całkowitego zakazu eksportu broni. Pułkownik Ojukwu godził się na to z góry. Ale nawet tego nie spróbowano, być może dlatego, że nigdy nie miał to być argument, ale prosta wymówka dla naiwnych.

Co do moralnych implikacji tej wymówki, to earl Corku i Orrery powiedział w Izbie Lordów 27 sierpnia 1968 r.:

Czy ma to ten sam sens, co powiedzenie: „Skoro ktoś zamierza dostarczać broń, to dlaczego nie my?” Ale dopóki nie zdołacie wykazać, że cel, do którego będzie ona użyta, nie jest wcale zły - a nie widzę żadnego sposobu, w jaki moglibyście to uczynić - to nie jest to argument, którego jakikolwiek szanujący się rząd może użyć, gdyż jest to samousprawiedliwienie się czarnorynkowca, szabrownika, handlarza narkotyków... Seria pocisków 9-milimetrowych wystrzelona w brzuch jakiegoś Afrykańczyka - to zło, jakkolwiek

byśmy na to patrzyli, i jeśli będziemy wysyłać z Anglii te pociski, wiedząc, do czego będą użyte, wtedy na swój sposób przyłożymy rękę do ogólnego zła i naszego udziału ani o włos nie pomniejszą możliwość, że gdybyśmy ich nie wysłali, zrobiłby to ktoś inny („Hansard”, 27 sierpnia 1968 r., kolumny 754-755).

Czwarta i ostatnia wymówka głosiła, że niedostarczanie broni zlikwiduje brytyjski wpływ na Lagos. Tej wymówki nie zgłaszano aż do debaty w Izbie Gmin 12 czerwca 1968 r., ale później używano jej coraz częściej. Jest równie wątpliwa, jak jej trzy poprzedniczki. Podczas tej debaty pan Stewart zapewnił Izbę, że w razie ostatecznego ataku na ojczyznę Ibo podjętego przez armię nigeryjską lub w razie czyjejs „niepotrzebnej śmierci” Wielka Brytania będzie zmuszona do „stanowczej rewizji swojej polityki”.

Te zobowiązania nie miały żadnego pokrycia. Wpływ, który Wielka Brytania jakoby posiadała dzięki dostawom broni, albo nigdy nie został wykorzystany, albo - co bardziej prawdopodobne - nigdy nie istniał. W każdym razie reżim Gowona ani na jotę nie zmienił swojej polityki, której celem było zniaczenie Biafry i jej ludu, i wygląda na to, że Wielka Brytania nie wykonała żadnego wysiłku, aby Lagos zmienił postępowanie.

23 sierpnia 1968 r. przeprowadzono na wszystkich frontach ostateczny atak na ojczyznę Ibo. Użyto ogromnej liczby ludzi i sprzętu. Znad rzeki Imo przychodziły informacje naocznych świadków, obcokrajowców, donoszących o niczym nie usprawiedliwionych rzeziach tysięcy wieśniaków Ibo. Działo się tak w wyniku rozkazu pułkownika Adekunle: „Strzelać do wszystkiego, co się rusza!” Nie nastąpiła żadna „rewizja” polityki. Nieruchawa Izba Gmin kolejny raz dostała pogardliwego prztyczka w nos od rządu, który chyba doszedł tymczasem do przekonania, że obie Izby są tylko po to, aby miał z kogo robić balona.

Tak wyglądała sytuacja w zakresie handlu bronią do debaty rozpoczętej 27 sierpnia 1968 r. Do pewnego stopnia zmieniła ona sprawy - w tym sensie, że tego właśnie dnia rząd Wilsona odrzucił wreszcie ostatnie pozory zatroskania przebiegiem wydarzeń i ujawnił dotychczasową politykę.

Ale nawet już wcześniej stało się jasne, że rząd brytyjski wcale nie zamierza zniechęcać reżimu Gowona do kontynuowania polityki wojennej. Pod koniec grudnia 1968 r. konsekwencje tej polityki stały się tak groźne dla wielu ludzkich istnień, że bez względu na rozmiary winy, jaką historia obarczy reżim nigeryjski, rząd brytyjski trzeba już teraz uznać za współnika, na którym spoczywa równa odpowiedzialność za wszystkie popełnione zbrodnie.

Dostawy broni to tylko jeden ze sposobów, za pomocą których rząd brytyjski ukazywał swoje niezachwiane poparcie dla reżimu Gowona. Poza tym biura rządu stały się



potężnymi agencjami *public relations* dla Nigerii. Korespondenci zagraniczni wysłuchiwali najbardziej jednostronnych briefingów, jakie dało się przygotować, i wielu z nich wierzyło, że zestawy informacji są prawdziwe i bezstronne. Korespondenci codziennie zapoznawali się z poglądami Nigerii. Umiejętnie podsuwano wybrane kłamstwa. Robiono inspirowane „przecieki” o takich mitycznych przedsięwzięciach, jak „szeroka francuska pomoc” dla Biafry, a korespondenci, którzy temu zawierzali, nie rwali się do niezależnego sprawdzenia faktów.

Członkowie parlamentu i inni notable, którzy chcieli udać się do Biafry, aby na miejscu się przekonać, jak się sprawy mają, byli zniechęceni, podczas gdy ci pragnący odwiedzić Nigerię mogli liczyć na każdą pomoc. W barach, klubach, salach posiedzeń komisji i na koktajlach „linia Lagos” była entuzjastycznie odgórnie promowana. Nie żałowano żadnego wysiłku, aby przekonać wszystkich, iż cała racja jest po stronie Nigerii. Wersję biafrańską przekreślano na wszelkie możliwe sposoby, zarzucając nawet Biafrańczykom skrytobójcze zamachy. Ta kampania okazała się wcale skuteczna. Wielu wpływowych, ale (w tym przypadku) niezorientowanych ludzi wzięło propagandę Lagos dosłownie i zrezygnowawszy z dokładniejszego zbadania tła, zaczęło na własną rękę propagować to, co uznało za prawdę.

Jeśli chodzi o techniczne wsparcie dla Nigeryjczyków, to rząd brytyjski okazał się tu równie pomocny i szczodry, jak w zakresie sprzedaży broni. Chociaż wielokrotnie zaprzeczano, jakoby jakkolwiek brytyjski personel wojskowy walczył po stronie Nigerii, wkrótce stało się wiadome, że brytyjscy technicy zostali odkomenderowani do Nigerii „w celach szkoleniowych”. Możliwe, że ci żołnierze nie wchodzili wtedy w skład armii JKM i wcześniej wycofali się z czynnej służby, ale zakontraktowanie ich nastąpiło za pełną zgodą i aprobatą rządu brytyjskiego. Wysyłanie obcym rządów lub rządów Wspólnoty Narodów byłych specjalistów wojsk lądowych lub morskich w celach szkoleniowych jest standardową praktyką w okresie pokoju, ale zwykle w czasie wojny takie ustalenia są rewidowane.

Wiadomo - i nigdy nie usiłowano temu zaprzeczyć - że byli oficerowie brytyjskiej Marynarki Wojennej kierują i kierowali stale blokadą prowadzoną przez flotę nigeryjską. Działali z pełnym poparciem swojego rządu. Ta właśnie blokada spowodowała klęskę głodu w Biafrze, przynosząc około miliona ofiar śmiertelnych w 1968. Podjęto blokadę całkowitą, choć blokada selektywna, pomijająca neutralne statki z żywnością dla dzieci, również dobrze przysłużyłaby się wojskowym celom Nigerii. Jednakże blokada całkowita i wynikła stąd klęska głodu nie były nieuniknionym skutkiem ubocznym wojny, ale świadomie użytą bronią przeciwko cywilom.

Sir David Hunt w jednym z licznych oświadczeń, które potwierdzają jego totalne i nie kwestionowane poparcie dla reżimu Gowona oraz nie ukrywaną osobistą wrogość wobec Biafry i jej przywódcy, przyznał, iż od początku wojny „ściśle związki między armiami oraz marynarkami wojennymi Wielkiej Brytanii i Nigerii zostały utrzymane i wzmocnione” (przemówienie w Kadunie, 24 listopada 1967 r., BBC, podsumowanie wiadomości ze świata, Afryka niearabska, ME/263 I/B/2).

A jednak rząd Wilsona popierał Gowona głównie na arenie politycznej i dyplomatycznej. W momencie, w którym Biafra ogłosiła niepodległość, Wielka Brytania miała trzy opcje. Pierwsza - uznać nowy kraj. Oznaczałoby to w istocie sformalizowanie podziału od 1 sierpnia 1966 r., gdy Gowon objął przywództwo nad grupą zamachowców, która odniosła częściowy sukces, a Ojukwu odmówił uznania jego zwierzchnictwa. Ale nigdy nie zastanawiano się nad przyjęciem takiego kursu i nie ma powodu stawiać o to zarzutów.

Druga opcja to ogłoszenie i utrzymanie neutralności w myśli, słowie i czynie. Żadna ze stron nie dostałaby zachęty, aby wziąć udział w przyszłym konflikcie. Ojukwu przyjąłby, że ta bezstronność jest szczerą (prawdę mówiąc, akceptował mit ogłoszonej przez Wielką Brytanię neutralności, dopóki mógł, bo chciał w nią wierzyć), a Gowon był przekonany o szybkim zwycięstwie.

Trzecia opcja to ogłoszenie i realizacja pełnego moralnego, politycznego i wojskowego poparcia dla Gowona. Tę decyzję Ojukwu przyjąłby z żalem, ale przynajmniej wiedziałby, że Wielka Brytania żegluje pod prawdziwą banderą.

Natomiast rząd Wilsona przyjął ostatnią opcję, a oświadczył, że przyjmuje drugą. Postępując w ten sposób i głosząc tę bajeczkę przez rok, zrobił durniów z brytyjskich parlamentarzystów i Brytyjczyków oraz z kilku innych narodów, szczególnie mieszkańców Kanady, Stanów Zjednoczonych oraz państw skandynawskich, które później na tyle przejęły się konfliktem, że starały się znaleźć pokojowe rozwiązanie za pośrednictwem akceptowanego przez wszystkich, niezależnego mediatora.

Nadal trudno jest ustalić dokładne przyczyny, które skłoniły rząd brytyjski do całkowitego poparcia Lagos. Tło konfliktu musiało być znane. Nawet najbardziej zagorzały zwolennik Federacji musiał dostrzegać setki przesłanek moralnych za podziałem; wojny domowe są szczególnie zawiłe, krwawe i rzadko rozwiązywalne środkami militarnymi.

Powody wymieniane później były różne i żaden z nich nie wytrzymuje obiektywnej krytyki. Głoszono między innymi, że Wielka Brytania musi w każdych warunkach podtrzymywać kraj Wspólnoty zagrożony rewoltą, rebelią lub secesją. To nieprawda. Wielka Brytania ma wszelkie prawo rozpatrywać każdy przypadek merytorycznie. Nawet wtedy, gdy

Południowa Afryka była członkiem Wspólnoty, Wielka Brytania nie musiała podtrzymywać w jakikolwiek sposób rządu tamtego kraju i wybaczyć mu rasowej masakry 30 tysięcy Bantu podczas rewolty tego plemienia.

Inny powód wzięty wprost z nigeryjskiej propagandy głosił, że Ibo z Biafry zmusili inne plemiona do opuszczenia Nigerii wbrew ich woli, mając na celu zagarnięcie bogatego w ropę naftową Regionu Wschodniego. Wszystkie zebrane na miejscu dowody wskazują, że mniejszości plemienne w pełni uczestniczyły w procesie podejmowania decyzji i głosowały za opuszczeniem Nigerii z równym entuzjazmem jak Ibo. Co do ropy naftowej, to propaganda nigeryjska utrzymuje, że 97,3% produkcji ropy pochodzi z terenów nie należących do Ibo. Na szczęście można zbadać dane zarówno wielkich przedsiębiorstw naftowych, jak i rządu nigeryjskiego (George Knapp, *Aspects of the Biafran Affair*, London 1968, str. 27, 28, 53 i 54). W grudniu 1966 r. 36,5% całkowitej produkcji Nigerii pochodziło ze Środkowego Zachodu, który nie jest częścią Biafry. Dane samego Lagos pokazują, że 50% biafrańskiej produkcji z tego miesiąca pochodzi z województwa Aba (zamieszkanego wyłącznie przez Ibo), 20% z rejonu Ahoada (zamieszkanego w większości przez Ibo) i 30% z rejonu Ogoni i Oloibiri (zamieszkanego przez Ogoni i Ijaw). Poza tym każdy naoczny świadek, przebywający tam w miesiącach poprzedzających odłączenie się od Nigerii, twierdził później, że nie ropa była głównym powodem tego kroku.

Najczęściej powoływano się na szeroko popieraną teorię, że secesja jest zła sama w sobie, gdyż grozi wyzwoleniem nieuniknionej reakcji łańcuchowej podobnych ruchów w całej Afryce. Natychmiast przywołuje się widma „bałkanizacji”, „dezintegracji” i „powrotu do trybalizmu” i nawet zwykle rozsądni analitycy dają się ogłupić.

David Williams, wydawca czasopisma „West Africa” i jeden z najbardziej znanych komentatorów tego tematu, napisał w „Sunday Mirror” z 27 października 1968 r.: „Niemniej jednak w końcu wojska federalne zwyciężą i jeśli ta część świata nie ma się stać mozaiką maleńkich, zbankrutowanych, wojujących państewek, to muszą zwyciężyć”.

Chociaż to stanowisko było często prezentowane i pokrywa się z poglądami rządu Wilsona, nigdy nie było analizowane. Nigdy również nie było poparte argumentami. Jest ono po prostu postawione bez ogródek i uważane za prawdziwe. Dowody nie potwierdzają podobnej tezy.

Po pierwsze, przypadek Biafry jest całkowicie wyjątkowy. Nawet prezydent Kongo, Mobutu, orzekł kategorycznie, że wydarzenia w Biafrze i w Katandze są nieporównywalne, co potwierdza dyplomata ONZ, doktor Conor Cruise O'Brien, którego trudno określić mianem zwolennika secesji.

Po drugie, gdy Wilson optował przeciwko użyciu broni w Rodezji, sugerował, że przemoc w Południowej Afryce może wyzwolić przemoc na całym kontynencie. Prawdę mówiąc, niebezpieczeństwo zarażenia przemocą jest znacznie większe niż niebezpieczeństwo zarażenia tendencją do dzielenia krajów; niemniej jednak wojna trwa i nie czyni się jakichkolwiek poważnych usiłowań, aby ją wstrzymać.

Po trzecie, podział w przypadku niezgody jest uznanym politycznym rozwiązaniem, zwłaszcza gdy dwa narody udowodniły, że jest mało prawdopodobne ich dalsze pokojowe współzycie. Użyto tego środka w przypadku Irlandii i Zjednoczonego Królestwa. Ostatnio rząd brytyjski zaakceptował odłączenie się ziem Niasy od Federacji Środkowej Afryki, Kamerunu Zachodniego od Nigerii (po nadzorowanym przez ONZ plebiscycie), Kajmanów od Federacji Indii Zachodnich, Jamajki również od Federacji Indii Zachodnich (po tym, jak premier Jamajki przyznał, że nie ma legalnych podstaw do secesji) i zaakceptował żądanie Ligi Muzułmańskiej domagającej się oddzielenia od Indii w 1947 r., gdy stało się jasne, że jedność Indii da się utrzymać tylko za cenę krwawej wojny domowej.

Rząd brytyjski w przeszłości zaakceptował bez szemrania „balkanizację” Federacji Indii Zachodnich, Federacji Środkowej Afryki i Federacji Malajskiej. Nikt wtedy nie mówił o natychmiastowym pędzie do secesji w tych częściach świata. Niektóre z niepodległych państw Indii Zachodnich są tak drobne, że prawie niezdolne do samodzielnego przetrwania, gdy tymczasem niepodległa Biafra byłaby na trzecim miejscu pod względem liczby ludności w Afryce i na pierwszym, jeśli chodzi o potencjał rozwoju.

Prawdziwych przyczyn musimy szukać gdzie indziej. Można znaleźć tylko dwie. Po pierwsze, rząd Wilsona dostał informację od swojego wysokiego komisarza w Lagos, że wojna będzie krótka, gwałtowna i skończy się słodką wiktoria, i że na pewno należy poprzeć zwycięzcę. W kategoriach politycznych nie jest to stanowisko wyjątkowe. Nie popiera się tych, którzy mogą zniknąć z mapy w ciągu tygodnia lub dwóch. Jednakże gdy stało się całkiem jasne, że cała sytuacja została źle oceniona przez plenipotentą JKM i jego obsługę, że mieli błędne informacje, że „rewolta Ojukwu” jest w istocie silnym masowym ruchem, że wojna będzie się ciągnęła miesiącami, a może latami, i liczba zabitych będzie wciąż rosła, że zachowanie wojsk nigeryjskich w stosunku do cywilów biafrańskich i wszystkich grup rasowych wzywa do uderzenia na alarm, rząd brytyjski zasłużył na poważną naganę, gdyż nie tylko nie przemyślał swojej polityki, ale tym bardziej się jej trzymał.

Można rzec, iż do końca 1967 r. rząd brytyjski nie wiedział, do czego służy jego broń i poparcie dyplomatyczne. Ale w 1968 r. pojawiło się zbyt wiele dowodów, zbyt wiele oświadczeń naocznych świadków, zbyt wiele fotografii, zbyt wiele wiarygodnych relacji, zbyt

wiele doniesień prasowych i reportaży telewizyjnych, aby ktokolwiek mógł żywić uzasadnione wątpliwości.

Drugi powód, dla którego rząd Wilsona nadal pochwalał i wspierał politycznie, dyplomatycznie i wojskowo reżim Gowona po tym, jak fakty wyszły na światło dzienne, to decyzja Wielkiej Brytanii, że rynek nigeryjski musi zostać nietknięty bez względu na koszty. Nikt nie zdobył się na podanie podstaw tego rozumowania.

Ale wszystko to stało się wiadome dopiero po powtarzających się dociekaniach tych niewielu, którzy byli na tyle zainteresowani, że stawiali pytania. Przez rok zasłaniano się maską neutralności. Opadała tylko czasami i odsłaniała stroniczość.

20 czerwca 1967 r., na szesnaście dni przed wybuchem wojny, lord Walston oświadczył Izbie Lordów, że rząd nie ma jakiegokolwiek zamiaru interweniować w wewnętrzne sprawy Nigerii i „dał to bardzo jasno do zrozumienia wszystkim przywódcom Nigerii” („Hansard”, 20 czerwca 1967 r., kolumna 1376).

Osiem tygodni później korespondentom pytającym o transporty broni idące przez Gatwick powiedziano, że to jedynie „końcowa” realizacja zamówień. Ta oszukańcza „neutralność” trwała nie podważana, aż w styczniu 1968 r. rozległy się pomruki zdumienia. 25 tego miesiąca lord Shepherd, poproszony przez lorda Conesforda o wyjaśnienie stanowiska, odparł: „Jesteśmy neutralni wobec obu stron, ale to oczywiste, że jest uznany rząd w Nigerii... z pewnością, nie pomagamy ani jednej, ani drugiej stronie” („Hansard”, 25 stycznia 1968 r., kolumny 437-438).

Cztery dni później nadal utrzymywał, że Wielka Brytania dostarcza Nigerii „prawie całe wojskowe wyposażenie”. Do 13 lutego lord Shepherd nadal powtarzał tę parodię dobrych intencji, ale lekko ją zmodyfikował. Powiedział Izbie Lordów: „Odcięcie wszystkich dostaw (broni) byłoby uznane przez nich (Lagos) jako akt nieneutralny, skierowany przeciwko nim i sprzeczny z naszą deklarowaną polityką poparcia dla jednej Nigerii” (ibid., 13 lutego 1968 r., kolumny 90-91).

Pytania nadal się powtarzały i oszustwo było coraz trudniejsze do ukrycia. 21 maja George Thomson rozwinął temat Shepherd’a. Odpowiadając na interpelację w Izbie Gmin utrzymywał, że neutralność oznaczałaby poparcie dla rebelii (ibid., 21 maja 1968 r., kolumna 266). I trwało tak aż do doniosłej debaty 27 sierpnia, kiedy rząd Wilsona odsłonił wreszcie karty, ujawniając, że zawsze wszystkimi sposobami popierał Gowona.

Na międzynarodowej scenie dyplomatycznej konsekwencje błędnego odczytywania stanowiska Wielkiej Brytanii i całkowita zbrodniczość jej postępowania objawiły się dopiero później. W 1968 r. większość zagranicznych rządów przyjęła do wiadomości, że Wielka

Brytania jest co najmniej neutralna politycznie i stąd też w razie potrzeby może być bezstronnym mediatorem. Tymczasem tak naprawdę Wielka Brytania zapewniała Lagos, że dostawy broni będą kontynuowane, przez co zachęcała rząd federalny do walki aż do gorzkiego i krwawego końca. Utrzymywała wobec opinii światowej, że robi wszystko co w jej mocy, by tajnymi kanałami dyplomatycznymi doprowadzić do przerwania ognia i nawiązania skutecznych rozmów pokojowych. Wykorzystywała w pełni swoją bardzo sprawną dyplomację, by zainteresowane rządy nie poszły śladem Tanzanii, Zambii, Wybrzeża Kości Słoniowej oraz Gabonu i nie uznały Biafry. Gdy coraz silniejsze głosy opinii publicznej wymusiły na Nigerii rozmowy pokojowe, Wielka Brytania stała się zakulisowym rzecznikiem i obrońcą jej sprawy. To oszustwo trwało rok. Gdy inne rządy zaczęły tracić cierpliwość i chciały przejąć inicjatywę, ostrzeżono je argumentem: „W tej sytuacji stać nas na wprowadzenie najlepszych ustaleń pokojowych; wtrącanie się z zewnątrz, choćby w najlepszych intencjach, może tylko zaciemnić sprawę, zostawcie to nam, robimy wszystko, co możemy”.

I Wielka Brytania robiła wszystko, co mogła - zapewniła Nigerii całkowite militarne zwycięstwo, które odebrało Biafrze życie. Gdy pułkownik Ojukwu nie chciał uznać rządu Wilsona za mediatora, dopóki pozostawał głównym dostawcą broni dla jego wrogów, piętnowano to jako kolejny dowód jego grubiańskiego uporu. Zarzut ten stawiano Ojukwu zawsze, gdy nie dawał się nabierać na co bardziej oczywiste fortele Nigerii lub Wielkiej Brytanii.

Niemniej jednak ta maska „neutralności” oszukała niemal nawet Biafrańczyków. Wielu ludzi odgrywających istotne role w reżimie biafrańskim chciało w nią wierzyć, chociaż dowody łądzące na ich biurkach mówiły co innego. Sir Louis Mbanefo, prezes Sądu Najwyższego i szef delegacji pokojowej w Kampali, rozmawiał tygodniami z przedstawicielami rządu brytyjskiego i lordem Shepherdem w nadziei, że ich zapewnienia o neutralności i pragnienie pokoju są szczere.

Jeśli ta parodia dobrych intencji zmyliła Biafrańczyków, którzy byli głęboko zainteresowani całą sytuacją, to musiała zmylić inne rządy, które chociaż były przejęte tym, co się dzieje, to nie w równym stopniu, co Biafrańczycy. 9 września 1968 r. Richard Nixon, prowadzący wówczas kampanię prezydencką, niechcący ujawnił wahanie, jakie cały świat odczuwał w obliczu bezpośredniego konfliktu Nigeria-Biafra. Powiedział:

Wysiłki zmierzające do ulżenia narodowi Biafry były jak do tej pory udaremniane przez centralny rząd w Nigerii, pragnący doprowadzić do ostatecznego i bezwarunkowego

zwycięstwa, i plemię Ibo lękające się, że kapitulacja oznacza okrucieństwa na pełną skalę i ludobójstwo. Ale ludobójstwo trwa właśnie teraz - i to klęska głodu niesie pokłosie śmierci. Nie czas na ceregiele, używanie „wyrafinowanych metod” czy przyglądanie się dyplomatycznym menuetom. Zniszczenie całego narodu jest niemoralnym celem nawet w najbardziej moralnej z wojen. Nigdy nie może być usprawiedliwione; nigdy nie może być osłaniane.

A jednak świat w 1968 r. robił ceregiele, używał „wyrafinowanych metod” i przyglądał się wszystkim dyplomatycznym menuetom. Nie zamierzam przez to powiedzieć, że szczerza deklaracja autentycznych interesów brytyjskich wyzwoliłaby działania innych przywódców świata lub na pewno zakończyłaby się sukcesem, doprowadzając do zawarcia pokoju. Ale można uczciwie stwierdzić, że brytyjskie ostrzeżenie „nie wtrącać się!” i przyznany samemu sobie monopol na rolę mediatora udaremnił z góry powodzenie jakiegokolwiek inicjatywy tego rodzaju.

Warto poświęcić parę linijek na opis debaty w Izbie Gmin 27 sierpnia, gdyż następnego dnia korespondenci nazwali ją „jedną z najbardziej niezwykłych demonstracji wrogości (wobec rządu) widzianą od wielu lat w Izbie” („Financial Times”), „żałosnym przedstawieniem” („Guardian”) i „niesamowitym bałaganem” („The Times”).

Tego dnia toczyły się dwie debaty - jedna w Izbie Gmin, a druga w Izbie Lordów. Obydwie dotyczyły sprawy Nigeria-Biafra. Kilka godzin po tym, jak earl Corku i Orrery opisał użytek czyniony z brytyjskiej broni w Nigerii, pan Thomson dokładnie zdefiniował rolę brytyjskiego rządu. Wracając do wybuchu wojny, który miał miejsce trzynaście miesięcy wcześniej, powiedział Izbie: „W owym czasie neutralność nie była możliwą opcją dla rządu Jej Królewskiej Mości” („Hansard”, 27 sierpnia 1968 r., kolumna 1446).

Następnie wraz z kolegami ujął się za Nigerią z większym poświęceniem, większą pasją, większą stronnictwością i chwilami większą gwałtownością, niż byłoby na to stać samych Nigeryjczyków.

Na początku dał jasno do zrozumienia, iż Wielka Brytania zajęła jednoznaczne stanowisko w najkrwawszej wojnie dziesięciolecia i że obrała ten kurs trzynaście miesięcy temu. Jego zdaniem rząd w Lagos był gotów do załagodzenia sporu w ramach porządku konstytucyjnego, narzucającego zasadę jedności. Nawet wspomniał o konfederacji. (Co nigdy nie zostało potwierdzone przez Lagos, które, prawdę mówiąc, głosiło coś wręcz przeciwnego). Ale pan Thomson, opisując Izbie poprzedzającą wojnę wymianę zdań pomiędzy reżimami Gowona i Ojukwu, ani razu nie wspomniał, że pułkownik Ojukwu

nieustannie optował za konfederacją, która pozwoliłaby zachować jedność kraju bez uciekania się do wojny.

Jeśli posłowie mieli jakiegokolwiek wątpliwości co do całkowitej stronniczości rządu brytyjskiego, rozwiął je minister stanu, William Whitlock. Czytając słowo w słowo z notatek przygotowanych w Ministerstwie Brytyjskiej Wspólnoty Narodów przez pracownika służby cywilnej, minister zaprezentował - jak to później określono - najbardziej stronniczą wersję propagandy na rzecz obcego rządu, jaką Izba kiedykolwiek słyszała.

Rozpoczął od gwałtownego ataku na Biafrę. Oczernił jej sprawę, a za szczególny cel obrał Zagraniczną Służbę Prasową, małą firmę *public relations* z siedzibą w Genewie, rozpowszechniającą białrańskie wiadomości wśród przedstawicieli międzynarodowej prasy. Oskarżył o naiwność posłów wierzących w jakiegokolwiek oświadczenia białrańskie. Opierając się na jakiejś cudacznej logice zapewnił Izbę, że ostateczna ofensywa nigeryjska na ojczyznę Ibo, obwieszczona w telewizji brytyjskiej wieczór wcześniej przez samego Gowona, nie jest - wbrew temu, co powiedział sam Gowon - ostatecznym atakiem, ale dalszym do niego przygotowaniem.

Następnie odczytał z notatek niemal słowo w słowo większość tez propagandy wojennej Nigerii, które - jak już dawno temu ustaliły niezależne badania - były mylne lub całkowicie nieprawdziwe.

Zadaniem Whitlocka było „przegadać” ostatnie trzydzieści dwie minuty debaty, tak aby Izba zakończyła obrady o dziesiątej wieczór bez głosowania. Zasady debaty ustalono poprzedniego dnia. Ale w miarę jak prawdziwe stanowisko rządu stawało się coraz bardziej jasne, Izba przeszła od oszołomienia do wściekłości i wybuchło pandemonium. Oburzeni posłowie przerywali Whitlockowi dziewiętnaście razy. Dame Joan Vickers, która normalnie nie pozwala sobie na wybuchy, wtrąciła: „Sekretarz stanu (Thomson) na wstępie powiedział, że rząd brytyjski będzie neutralny. Czy ten czcigodny dżentelmen myśli, że jego przemowa trzyma się kursu wytyczonego przez jego wielce czcigodnego przyjaciela?” („Hansard”, 27 sierpnia 1968 r., kolumna 1527).

Whitlock rozwiął wszelkie wątpliwości. Przypomniał dame Joan, że pan Thomson oświadczył, iż w tej sytuacji rząd nie może być neutralny. Po czym jechał dalej.

Tymczasem Izba chciała głosować. Było na to za późno. Na nic zdały się protesty sir Douglasa Glovera, twierdzącego, że gdy posłowie poprzedniego dnia zgodzili się nie głosować, nie mieli pojęcia o autentycznym stanowisku rządu. Czas przeznaczony na debatę minął i podczas gdy w Biafrze dzienna liczba ofiar utrzymywała się nadal na poziomie 6-10 tysięcy, posłowie udali się do domów na letni odpoczynek. Jak na ironię, wakacje parlamentu



przerwano nie z powodu Biafry, ale sowieckiej inwazji na Czechosłowację, agresji, w wyniku której zmarło niecałe sto osób.

Po 27 sierpnia sytuacja się wyjaśniła. Maska opadła i zarysowały się stanowiska. Zwolennicy Nigerii, wewnątrz i poza Whitehall, mogli przestać udawać. Hasłem dnia nie było wprowadzanie w błąd, ale usprawiedliwianie. Kampania progowonowska ruszyła pełną parą. Przywódcy opinii byli ciągnani na stronę w barach i klubach i starannie pouczani poważnymi argumentami o grożącej bałkanizacji Afryki, absolutnej konieczności zachowania nie tylko Nigerii, ale Nigerii Gowona, o zakamuflowanym złu podstępnych Ibo i szczególnie przerażającej postaci, jaką jest pułkownik Ojukwu.

Korespondenci uczestniczący w codziennych odprawach w Ministerstwie Brytyjskiej Wspólnoty Narodów byli wyczerpująco pouczani za pomocą „wiarygodnych” raportów o szerokiej francuskiej pomocy dla Biafry idącej z Gabonu, co oczywiście pociągało za sobą konieczność zwiększenia dostaw broni, naboju i Saladinów z Wielkiej Brytanii. Wykorzystywano, ile się dało, tajone sentymenty antyfrancuskie albo przynajmniej antygaullistowskie niektórych odłamów prasy - zarówno na prawicy, w Partii Konserwatywnej, jak i na lewicy, w Partii Pracy.

A w samej Izbie Gmin 22 października 1968 r. Michael Niewart, minister spraw zagranicznych, będący również głową Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów po połączeniu tych dwóch agend, kolejny raz gromił pułkownika Ojukwu za śmierć grożącą jego własnemu narodowi, „potwierdzając”, że żadne ludobójstwo nigdy nie miało miejsca, i upierając się, że Wielka Brytania musi kontynuować dostawy broni (*Wczoraj w parlamencie*, „Daily Telegraph”, 23 października 1968 r.).

Ruszyła zajadła kampania na wszystkich frontach. Miała na celu dyskredytację nie tylko propagandy biafrańskiej, ale nawet raportów Czerwonego Krzyża i informacji prasowych o liczbach ofiar śmiertelnych spowodowanych głodem, o zabijaniu cywilów przez armię nigeryjską i losie Biafrańczyków, w razie gdyby ulegli podbojowi.

Uważna analiza tej kampanii powoduje, że ostrzegawczy dzwonek rozbrzmiewa w głowach tych, którzy pamiętają małą, ale hałaśliwą klikę pewnego oślizgłego dżentelmena, która w 1938 r. odegrała rolę *advocatus diaboli* nazistowskich Niemiec, przekonując słuchaczy, że wszelkie głosy o złym traktowaniu Żydów przez Niemców to stronicza propaganda, którą można puścić mimo uszu. Zastosowana taktyka, użyte argumenty, szydercze założenie, że każdy, kto na własne oczy widział, co się dzieje, ma wypaczone spojrzenie, i prawie osobiste zaangażowanie, z którym obrzucano błotem najlepiej poinformowanych, w obu wypadkach są zadziwiająco podobne.

Nie tylko argumenty są bardzo podobne, podobne są źródła informacji i podobni są ci, którzy dali sobie narzucić rolę źródeł informacji, przekazując dalej wiadomości. W większości są to głupi parlamentarzyści lub inne osoby z życia publicznego, uległe wobec idei krążących w sieci starych koneksji i powiązań; ludzie mający wiele do stracenia osobiście, politycznie, finansowo lub obawiający się o swoje dobre imię; ludzie, którzy spędzili najlepsze lata w Nigerii i nie mogli znieść złego słowa na jej temat; niezbyt rozgarnięci dziennikarze, których pióra były do kupienia za cenę opłacanego przez rząd objazdu z uroczą młodą obsługą z Ministerstwa Informacji i hojnej gościnności. Większość z wyżej wymienionych pozwala całkiem bezwiednie wykorzystywać się w roli tub propagandowych, chociaż kilka dni poświęconych na sprawdzenie wiarygodności zasłyszanych informacji zapewne przyniosłoby dywidendy.

Ale w każdym razie wśród piewców Niemiec sprzed wojny zawsze była mała grupa, której orientacja opierała się na czysto osobistej i czasami żarliwej nienawiści wobec mniejszości rasowych i pragnieniu zadania mu cierpień. Na nieszczęście w obecnym przypadku duchowa kwatery główna tego jądra znajduje się w brytyjskiej Wysokiej Komisji w Lagos i Ministerstwie Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w Londynie.

## ROPA NAFTOWA I WIELKI BIZNES

Wielki biznes nie musiał się tłumaczyć w czasie interpelacji poselskich i mógł się zachowywać znacznie ciszej niż rząd, gdy chodziło o jego prawdziwy stosunek do sprawy Nigeria-Biafra i uczestnictwo w niej. Do dziś rola odgrywana przez sfery biznesu, szczególnie te związane z ropą naftową, pozostaje tajemnicą i jest polem bardzo rozbieżnych interpretacji.

W przedwojennej Nigerii zagraniczne inwestycje były głównie brytyjskie. Ich całkowitą wysokość oceniano na 600 milionów funtów, z czego jedna trzecia przypadała na Region Wschodni. Tam przeważnie inwestowano w ropę.

Jest jedna znacząca różnica między inwestycjami w ropę naftową i resztą przedsięwzięć finansowych i handlowych podjętych w Nigerii przez Wielką Brytanię. Gros inwestycji w ropę nastąpiło na Wschodzie. Ale jeśli chodzi o wszelkie inne interesy, to ich przytłaczająca większość dotyczyła reszty Federacji, a drobna część - Wschodu. Suma inwestycji w ropę naftową sięga 200 milionów funtów.

Chociaż Biafrańczycy oskarżyli przedsiębiorstwa finansowe i naftowe, że od początku popierały Lagos, wygląda jednak na to, że w pierwszym etapie wojny firmy dla własnego dobra były autentycznie nie zaangażowane i pragnęły tę postawę utrzymać. Jak na ironię, mimo że w wyniku przeciągającej się wojny sfery handlowe ucierpiały, gdyż udaremnilo im

zarobek po obu stronach i większość fabryk oraz urzędów zniszczono lub zagarnięto też po obu stronach, są one bardziej oskarżane przez obu przeciwników niż dyplomaci, czyli architekci polityki „popierajcie Gowona”, którą obrał rząd brytyjski.

Tajemnicą pozostaje stopień zaangażowania pośredniego lub bezpośredniego firm po stronie Nigerii. Jednakże związkiem zawodowym wszystkich brytyjskich biznesmenów w Afryce Zachodniej jest wpływowy Komitet Afryki Zachodniej z siedzibą w Londynie i uznaje się za pewnik, że Komitet zawsze idzie za polityką rządu.

W gruncie rzeczy zadaniem wielkiego biznesu jest eksploatacja, handel oraz gromadzenie dochodów i z tego powodu w jego interesie leży szybkie zakończenie wojny. Ale utrzymywanie, że w interesie biznesu naftowego albo jakiegokolwiek innego było zmiążdzenie Biafry, to rozmijanie się z prawdą. Biznesmeni zapytywani na początku wojny odpowiadali prywatnie, że wynik konfliktu jest im obojętny; prowadzenie dwóch przedsięwzięć handlowych, jednego w Nigerii, a drugiego w Biafrze, wymagałoby trochę dodatkowych nakładów, ale dopóki oba kraje żyłyby w pokoju obok siebie, interesy mogłyby się rozwijać. Ciągąca się wojna na pewno nie była opłacalna.

Szczególnie ważne było to dla biznesu naftowego. Ropa naftowa ze Środkowego Zachodu nie jest eksportowana przez wybrzeże Środkowego Zachodu, ale płynie rurociągiem deltą Nigru do Port Harcourt w Biafrze, gdzie łączy się z ropą z odwiertów biafrańskich i płynie innym rurociągiem do terminalu dla tankowców na wyspie Bonny. Kiedy Biafra wystąpiła z Nigerii i zaczęła się blokada, ropa zarówno ze Środkowego Zachodu, jak i z Biafry została odcięta. Głównie dotknęło to firmę Shell-BP, angielsko-duńskie konsorcjum, mające większość koncesji w obu regionach.

W sierpniu 1967 r. Biafrańcyzy posłali silną delegację do Londynu. W jej skład wszedł prezes Sądu Najwyższego, sir Louis Mbanefo, i profesor Eni Njoku. Mieli przekonać rząd brytyjski, by zaniechał polityki popierania Nigerii. Przez trzy tygodnie obaj delegaci siedzieli w Royal Garden Hotel, a przed nimi płynął strumień pracowników służby cywilnej, a także ludzi interesu z Komitetu Afryki Zachodniej. W rezultacie stanowisko Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów stało się niezwykle chwiejne i biznesmeni zgrupowani w Komitecie zaczęli naciskać biuro, by przyjęło przynajmniej zdecydowanie neutralne stanowisko. W pierwszej dekadzie września wszystko to zmieniło się z zaskakującą szybkością. Później wyszło na jaw, że akurat oczekiwano realizacji spisku Banjo i zabicia Ojukwu. Według pewnego zamieszanego w to Anglika informacja dostarczona z Lagos w pierwszym tygodniu września sprawiła, że Whitehall szybko powrócił do dawnej polityki progowonowskiej i politycy zostali poinformowani o tej zmianie. Dwaj Biafrańcyzy

zauważyli, że mówią w pustkę, i wyjechali. Od tej pory Ministerstwo Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i City szły rękę w rękę, chociaż w drugiej połowie 1968 r. wątpliwości biznesu zaczęły rosnać. Niemniej jednak zaraz na początku października 1967 r. suma 7 milionów funtów, należna za dochody z ropy naftowej osiągnięte przed wybuchem wojny, została wypłacona rządowi generała Gowona, mimo protestów Biafry, że prawnie jej się należy.

Na długo przed końcem 1968 r. wszyscy przedstawiciele biznesu mieli wojny po uszy i okazywali duży sceptycyzm wobec zapewnień rządu, iż konflikt skończy się za kilka tygodni. Wysłuchano jeszcze raz kilku biznesmenów zatrudnionych przez wielkie firmy w Afryce Zachodniej, którzy przepracowali lata na Wschodzie, i którzy, jak pan Parker, ostrzegali, że niczego nie można z góry przewidywać. Początkowo Londyn zlekceważył te ostrzeżenia, uznając, iż są wywołane przyjaznym nastawieniem wobec plemion Wschodu. Ponadto stawało się coraz bardziej oczywiste, iż nawet w wypadku wojskowego triumfu Nigerii szanse na powrót normalizacji gospodarczej w Biafrze są wątpliwe, biorąc pod uwagę rzezie, gorycz, ucieczkę do buszu biafrańskich techników i wykwalifikowanych robotników, zniszczenie gospodarki i eskalację wojny partyzanckiej.

Jedynym ewentualnym wyjątkiem była tu ropa naftowa. Ten produkt wymaga stosunkowo niewielkiego nadzoru, gdy jest eksportowany w postaci surowej, i pod koniec 1968 r. rozpoczęto produkcję z odwiertów, nad którymi Nigeryjczycy mieli pewną kontrolę. Ale bez względu na to, czy przedsiębiorstwa naftowe wierzyły w to, czy nie, szansa na nieprzerwane dostawy w razie zażartej wojny partyzanckiej była równie mierna, jak w przypadku innych surowców.

Ale ropa naftowa różni się od reszty surowców. Ma wartość strategiczną. W obliczu wciąż nie ustabilizowanej sytuacji na Bliskim Wschodzie alternatywne źródła ropy budziły zainteresowanie. Biafra jest takim wielkim alternatywnym źródłem. Dla Francji, Portugalii i Południowej Afryki (by wymienić tylko te trzy państwa) ropa jest poważnym czynnikiem strategicznym. Nie wszystkie koncesje na ropę w Biafrze są podpisane, ale poza tym Biafrańczycy kilkakrotnie ostrzegali rząd brytyjski, że może zapłacić za swoją politykę renegocjacja podpisanych koncesji i oddaniem ich w ręce konkurencji.

Nie ma powodu wierzyć, że biznes brytyjski postąpił tak, jak rząd brytyjski - słysząc zapewnienie, że jeden koń łatwo wygra, postawił na niego i wkopał się tak głęboko, że musi go popierać bez względu na koszty, skazał się na politykę, którą po cichu chciałby odmienić, ale nie wie, jak ma to uczynić. Jeśli tak, to przedsiębiorstwa naftowe i inne firmy muszą być dodatkowo poirytowane wiedząc, że ta polityka bynajmniej im nie służy.

## BRYTYJSKA OPINIA PUBLICZNA

Brytyjska opinia publiczna czekała cały rok od wybuchu wojny, zanim uzyskała choćby zamglony i przeważnie nieoficjalny zarys tego, co się dzieje. Ale dowiedziawszy się za pośrednictwem prasy i telewizji o niesłychanych cierpieniach - zareagowała. Przez następne pół roku zrobiła wszystko, co mogła w ramach prawa, aby zmienić rządową politykę w zakresie dostaw broni dla Nigerii i wesprzeć Biafrę.

Były spotkania, komitety, protesty, demonstracje, rozruchy, naciski, blokady, głodówki, czuwania, zbiórki, transparenty, publiczne mityngi, marsze, korespondencja do wszystkich opiniotwórczych osobistości życia publicznego, kazania, wykłady, filmy i dary. Młodzi ludzie zgłaszali się ochotniczo do pomocy, lekarze i pielęgniarki wyjeżdżali i starali się ulżyć cierpiącym.

Inni proponowali, że wezmą białrańskie niemowlęta do siebie na czas wojny; jeszcze inni chcieli latać lub walczyć dla Biafry. Szeregi darczyńców sięgały od emerytów do chłopców z Eton College. Niektóre z ofert były niepraktyczne, inne postrzelone, ale za wszystkimi stały dobre intencje.

Podczas gdy o wiele skromniejsza mobilizacja opinii publicznej w Belgii i Holandii doprowadziła do znacznej modyfikacji polityki rządów tych krajów i ograniczenia transportów broni do Lagos, to wysiłki szerokiego ogółu w Wielkiej Brytanii nie zdołały poruszyć rządu ani o włos. Nie jest to oskarżenie Brytyjczyków, ale rządu Wilsona.

Normalnie taki niezwykle silny i oparty na szerokiej bazie wyraz woli ogółu ma wpływ na rząd, bo chociaż Wielka Brytania nie ma pisanej konstytucji, to generalnie uznaje się, że gdy parlament - zarówno posłowie partii rządzącej, jak i opozycji - władze partii, Kościoły, związki zawodowe, prasa oraz szeroki ogół potępią politykę rządu i sprzeciwia się jej, to jeśli tylko rzecz nie dotyczy podstawowych założeń obronności i zobowiązań zagranicznych, premier idzie za wolą przytłaczającej większości elektoratu i zmienia postępowanie.

Tylko bezprecedensowo i niespotykane arogancki rząd mógł najpierw oszukiwać przez rok przedstawicieli narodu, a potem wypiąć się na pragnienia parlamentu, narodu i jego instytucji. Ale Wielka Brytania od października 1964 r. ma właśnie rząd bezprecedensowo i niespotykane arogancki, naprzeciw którego stoi słaba i bezwolna opozycja.

## ZAANGAŻOWANIE SOWIECKIE

Od grudnia 1968 r. stale rosnące sowieckie zaangażowanie w Nigerii zaczęło budzić coraz większą troskę zagranicznych obserwatorów. Chociaż pierwszy ładunek rosyjskich

myśliwców MiG i bombowców Il pojawił się w Nigerii pod koniec sierpnia 1967 r., a uzupełnienia, którym towarzyszyło dwustu lub trzystu sowieckich techników, przysły w trakcie następnych piętnastu miesięcy, to dopiero podpisanie paktu sowiecko-nigeryjskiego w listopadzie 1968 r. otworzyło szeroko drzwi infiltracji rosyjskiej.

Pakt wzbudził zaniepokojenie zachodnich dyplomatów, gdy był jeszcze w fazie dyskusji między stronami, i Brytyjczycy podjęli trzykrotnie wysiłki, aby wpłynąć na Nigeryjczyków i nie dopuścić do podpisania dokumentu. Każda próba wywoływała zwłokę, ale wreszcie 21 listopada pakt podpisano w obecności zaskakująco silnej delegacji z Moskwy.

W następnych tygodniach obecność Rosjan stała się coraz bardziej niepokojąca nie tylko dla Brytyjczyków i Amerykanów, ale i dla wielu Nigeryjczyków o umiarkowanych poglądach.

Pakt wyliczał pewne obszary pomocy Rosji dla Nigerii, takie jak budowa przemysłu hutniczego. Ale wygląda na to, że podpisanie łączyło się z innymi działaniami. Niebawem zaczęły przychodzić raporty z Nigerii Północnej o nocnych transportach dużych ilości broni dla piechoty, idących przez lotniska z południowej Sahary do Kaduny i stamtąd do nigeryjskiej I Dywizji w Enugu. Na poprzednie dostawy składały się myśliwce, bombowce, bomby, rakiety, łodzie patrolowe, pancernownice i granaty ręczne. W drugiej połowie 1968 r. - samochody transportowe, dżipy, narzędzia do budowy okopów. Pojawili się też podoficerowie sowieccy, operujący sprzętem pomocniczym. Wyposażenie łatwo było zidentyfikować po zdobycznych egzemplarzach, a obecność doradców sowieckich zdradzili więźniowie, szczególnie pewien Joruba, dowódca kompanii, który utrzymywał, że Rosjanie nie ukrywali, skąd pochodzą, i nakazywali niższym oficerom uczestniczyć w wykładach, na których wynosili pod niebiosa radziecki styl życia.

Ale pod koniec wojny, po podpisaniu paktu, I Dywizja została uzbrojona do styczniowego uderzenia 1969 r. przeciwko Biafrańczykom głównie w sowiecką broń podstawową, w tym tysiące karabinków maszynowych RK 49, standardową broń piechoty Układu Warszawskiego, i karabiny maszynowe Kałasznikow.

W innych częściach Nigerii korespondenci zaczęli dostrzegać zespoły sowieckich doradców. Niektórzy kryli się pod Szyldem mineralogów, geologów, ekspertów rolniczych i tym podobnych. Wyrażono obawy, że skrajna lewica nigeryjska, która już przeniknęła głęboko do związków zawodowych, stanie się jeszcze silniejsza. Pod koniec wojny wybuchły demonstracje antyzachodnie. W Ibadanie skandujący tłum studentów i działaczy związkowych porwał, spalił i podeptał flagi amerykańską oraz brytyjską.

Pod koniec 1968 r. perspektywiczny cel sowiecki w Nigerii był nadal przedmiotem

spekulacji. Niektórzy uważali, że Sowieci nie chodzi o szybkie zakończenie wojny, ale o tak daleko idącą eskalację konfliktu, że doprowadziłaby do beznadziejnego zadłużenia Nigerii i podporządkowania rosyjskim żądaniom, nie mającym żadnego związku z okazywaną pomocą. Inni sądzą, że chodzi o długoterminowy monopol na nigeryjskie produkty rolne, takie jak orzeszki ziemne, bawełna, kakao i olej palmowy, zabierane w miejsce gotówkowych opłat za broń i inną pomoc, co w latach siedemdziesiątych mogłoby uzależnić Nigerię od Rosjan. Ale jeszcze inni uważali, że finalny cel jest strategicznej natury - chodzi o uzyskanie baz powietrznych w Nigerii Północnej i być może bazy morskiej przy wybrzeżu południowym. Ci obserwatorzy przypominali o brytyjskich bazach, ciągnących się od Anglii przez Gibraltar, Maltę, Libię, Cypr, Aden, Malediwy i Singapur, co w latach sześćdziesiątych dawało Wielkiej Brytanii możliwość szybkiego interweniowania na wschód od Suez. Według tej linii rozumowania Rosja, mająca dostęp od Krymu przez Damaszek, Port Said, Górny Egipt do Sudanu, potrzebowała tylko Kaduny i Calabaru, aby mieć łańcuch baz lotniczych, wiodący prosto na południe Afryki. Prawdę mówiąc, pod koniec 1968 r. rosyjscy technicy założyli bazę w Kadunie i rozbudowali małe pasy startowe w tym mieście i Calabarze do wielkości pełnowymiarowych, umożliwiając obsługę bombowców Iliuszyn oraz samolotów transportowych Antonów. Te lotniska zaopatrzone we wszelkie urządzenia na wypadek złej pogody i nocnych lądowań.

Przytoczenie w całości działań i wypowiedzi rządu brytyjskiego zawzięcie popierającego w 1969 r. nigeryjską wojnę, opis wszystkich okoliczności zawierający daty, nazwiska, miejsca byłby powtarzaniem tego, co już zostało opisane w tym rozdziale.

Na podstawie oceny sytuacji i coraz to nowych dowodów przerażających cierpień, powodowanych stałą polityką rządu brytyjskiego, wystarczy powiedzieć, że była ona źle prowadzona i niekompetentna. Jednakże nie zmieniała się. Przez cały rok ministrowie i inni urzędnicy państwowi, wydając oświadczenia, naginali i fałszowali fakty, chociaż w większości przypadków były one weryfikowalne dzięki dobrze udokumentowanym zapisom. W kilku przypadkach prasa, parlament i opinia publiczna były częstowane świadomymi kłamstwami, które miały zapewnić powszechne poparcie dla polityki rządu, opowiadającego się za wojną reżimu nigeryjskiego i strategią wygłodzenia.

Gdy się zdarzyło, że rząd brytyjski nakłaniał do zawarcia pokoju, było to zawsze i wyłącznie wtedy, kiedy opinia publiczna i prasa wymuszały na nim jakiś rodzaj łapówki dla sumienia. Każda z tych inicjatyw, oceniana po czasie, okazuje się tylko propagandowym zabiegiem dla naiwnych, świadomie nie doprowadzającym do jakiegokolwiek konkretnego rezultatu.

Pierwsza z nich nastąpiła w przeddzień burzy protestów w prasie i parlamencie, wywołanych artykułem Winstona Churchilla w marcowym „The Times”. Raporty Churchilla spowodowały między innymi rosnący nacisk na parlament, czego kulminacją była jeszcze jedna debata, tym razem 20 marca. Okazała się jednak tylko kolejnym przykładem nieskuteczności. Nie padł główny argument przeciwko polityce rządowej - mianowicie taki, że transporty broni są źródłem ludzkich cierpień na zupełnie niespotykaną skalę. Oceniając Partię Konserwatywną po rozbieżnych wystąpieniach jej mówców, dochodzi się do wniosku, że nie prowadziła żadnej konstruktywnej polityki ani nie była gotowa przeciwstawić się inteligentnie rządowi w tej jednej zasadniczej sprawie, w której mogła osiągnąć jednolite poparcie Partii Liberalnej i częściowe drugorzędnych parlamentarzystów z obozu Wilsona.

Ale w przededniu debaty pan Wilson ogłosił, że sam uda się do Nigerii. Zarówno w prasie, jak i w Izbie Gmin odezwały się sceptyczne głosy co do wartości takiej wizyty i jej praktycznej użyteczności. Początkowo wyglądało to (i sprawdziło się) na kolejne mydlenie oczu, do jakiego przyzwyczał opinię publiczną laburzystowski premier. Ale ponieważ minister spraw zagranicznych, Michael Stewart, oznajmił Izbie przed wyjazdem Wilsona, że „premier nie wyklucza możliwości odwiedzenia Biafry”, i ponieważ polityczni komentatorzy wskazywali, że rozpoczęły się działania umożliwiające taką wizytę, to optymiści mieli nadzieję, że rząd brytyjski może wreszcie zbada obie strony medalu, nie tylko tę, która odpowiada jego z góry przyjętym założeniom.

Wygląda na to, że generał Ojukwu, ożywiony takimi właśnie nadziejami, zaprosił Wilsona do Biafry. Ta oferta kosztowała go wiele trudu. Opór wobec przyjęcia człowieka, którego Biafrańczycy serdecznie nienawidzili, był powszechny.

Optymizm okazał się równie przedwczesny, jak niewygodna była oferta Ojukwu dla brytyjskich oficjeli. Wilson po powrocie chciał przedstawić Izbie Gmin swoje wrażenia. Gdy Ojukwu wyśtosował zaproszenie, trudno było sobie wyobrazić, że Wilson pojedzie do Biafry, zobaczy to, co zobaczy, i zda z tego relację, pozostając przy tym w zgodzie ze swoją wcześniejszą polityką i wypowiedziami kolegów. Problem był zawikłany, ale go rozwikłano.

W „Sunday Telegraph” z 30 marca H.B. Boyne, towarzyszący wyprawie premiera do Nigerii, uspokoił zdeorientowanych czytelników. „Przy okazji, otóż pan Wilson nigdy nie zamierzał się udawać na terytorium secesjonistów”.

W tym samym numerze Nicholas Carroll wyjaśnił czytelnikom krótką uwagę kolegi. „Chociaż wizyta pana Wilsona może wydać się pobieżna, widział wystarczająco wiele, aby potwierdziło się to, co już słyszał zarówno od swojego gospodarza, jak i własnych doradców”.



Ale nic więcej. Taki zapewne był cel tego wypadu.

W kilka miesięcy później ta wizyta ukazała się w dziwnym, ale znaczącym świetle, gdy pułkownik lotnictwa Leonard Cheshire, kawaler Krzyża Wiktorii, który odwiedzał Biafrę i rozmawiał z generałem Ojukwu na tydzień przed wizytą Wilsona w Lagos, ujawnił cel swojej wyprawy. W weekendowym dodatku do „Guardiana” z 22 listopada były pilot bombowca i bohater wojenny oznajmił po raz pierwszy, że udał się do Biafry jako emisariusz MSZ, chociaż był amatorem w tej roli.

Wtedy, pod koniec marca, jego wyznanie nie zaskoczyło Biafrańczyków ani nie stanowiło to tajemnicy dla pewnych cudzoziemców przebywających w Biafrze, choć do listopada było dobrze strzeżone przed Brytyjczykami.

Pułkownik Cheshire ujawnił, że został poproszony przez osobistego przyjaciela w MSZ o udanie się do Biafry i wybadania generała Ojukwu, jak się zapatruje na możliwość zawarcia pokoju. Poproszono go również o sporządzenie własnej oceny i przekazanie jej osobiście Wilsonowi do Lagos.

Uczył to. Ci, którzy go wysłali, ku swojemu zmieszaniu usłyszeli:

Nigdy nie zapomnę mojej rozmowy z Ojukwu. Odniosłem wrażenie, że rozmawiam z kryształowo uczciwym człowiekiem... W Lagos, dokąd przybyłem na dzień przed wizytą premiera, złożyłem pełny raport wysokiemu rangą członkowi delegacji brytyjskiej, a potem zapewniono mi jakiś kwadrans z panem Wilsonem. Powiedziałem mu, że Biafra walczy w imię gorąco wyznawanych przekonań i żaden polityczny przywódca nie wodzi jej za nos... Wyraziłem przekonanie w dobrą wiarę Ojukwu i namawiałem go [tj. premiera] do odwiedzenia Biafry, gdyż tylko to mogło doprowadzić do pokoju. Odpowiedział mi, że taka wizyta nie jest w ogóle brana pod uwagę...

Pod koniec artykułu pułkownik Cheshire relacjonuje składanie sprawozdania w londyńskim MSZ przed wyraźnie sceptycznie nastawionym urzędnikiem, który pod koniec jego wypowiedzi zauważa: „Dziwne, że dosłownie każdy, kto pojedzie do Biafry, bierze jej stronę”.

Należy przypomnieć, że właśnie MSZ wybrało pułkownika Cheshire’a do tej misji. To pełne wyższości stwierdzenie w typowy sposób odzwierciedla postawę ministerialnych doradców do spraw Nigerii wobec dosłownie każdego, kto na miejscu oceniał sytuację. Lista tak potraktowanych jest długa, od lordów i posłów przez osoby duchowne, przedstawicieli różnych zawodów do dziennikarzy i fotoreporterów. Według tych doradców tylko oni sami

mają rację, choć rzadko który z nich był w Nigerii, a w Biafrze żaden.

I tak ciągnęło się to przez cały 1969 r. W październiku poprzedniego roku miało miejsce połączenie Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, którego doradcy wpakowali Wielką Brytanię w aferę Nigeria-Biafra, z MSZ, tradycyjnie uważanym przez obserwatorów w Londynie za instytucję bardziej profesjonalną niż MBWN. Trudno o bardziej opaczny sąd.

Gdy MSZ objęło zdecydowane kierownictwo, a część urzędniczego balastu z Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów po cichu przeszła na emeryturę, zaświtały skromne nadzieje, że może w 1969 r. zarysuje się bardziej realistyczna postawa względem całego problemu Nigeria-Biafra. Nic z tego.

To, że nawet pragmatyzm nie podyktował takiej zmiany, należy w dużym stopniu przypisać ministrowi spraw zagranicznych, Michaelowi Stewartowi, politykowi, którego giętkość umysłowa przypomina prawa Medów i Persów. Poprzednio długo był jedyną osobą, na której spoczywała odpowiedzialność za brytyjską politykę zagraniczną, i dał jasno do zrozumienia, zarówno publicznie, jak i prywatnie, że nie jest człowiekiem, któremu fakty mogą zamącić w głowie, kiedy tylko raz się na coś zdecyduje. A w przypadku Nigerii jego zdecydowanie było doprawdy niewzruszone i żadne środki wybuchowe nie mogły zmienić jego opinii, nawet jeszcze przed połączeniem MSZ i MBWN. I tak jeśli chodzi o problem pomocy dla głodujących w Biafrze, wielokrotnie dał do zrozumienia w Izbie i gdzie indziej, że brak porozumienia w sprawie przełożenia dostaw Międzynarodowego Czerwonego Krzyża po tym, jak ta organizacja została w czerwcu zmuszona do przerwania nocnych lotów, jest wyłącznie błędem generała Ojukwu. Żadne wyliczanie kolejnych wydarzeń, z którego wynikałoby, że federalna oferta dziennych lotów jest cyniczną bzdurą, nie mogło zmienić przekonania Stewarta, że członkowie rządu federalnego w Lagos to anioły miłosierdzia.

Jednak aby przekonać swoich kolegów w Izbie, prasę oraz szeroki ogół, Stewart przekroczył wszelkie dopuszczalne granice, nawet jak na polityka. Kiedy MCK pod naciskiem Lagos przekazał swoją wielomilionową operację pomocy żywnościowej w ręce Nigerian Rehabilitation Commission i zawiesił nocne loty do Biafry, co w efekcie spowodowało 50-procentowe obcięcie dostaw pomocy dla tego kraju, posunięcie to zostało otwarcie poparte przez Wielką Brytanię. Stewart, broniąc tego kroku podczas czerwcowej debaty w Izbie, stwierdził, że działanie MCK jest wspierane przez połączone agendy udzielające pomocy. Było to oczywiste łgarstwo i spotkało się z gwałtownym, wyrażonym bez osłonek zaprzeczeniem zainteresowanych Kościołów skupionych pod egidą Joint Church Aid (Walter Schwarz, *Pan Wilson i głód w Biafrze*, magazyn weekendowy „Guardiana”, 22

listopada 1968 r.). 17 listopada w Izbie, po tym, jak nie udało się osiągnąć porozumienia między Lagos i Biafrą co do dziennych lotów z pomocą żywnościową, Stewart zadał sobie wiele trudu, aby pomniejszyć przyczyny militarne, dla których generał Ojukwu odmówił używania lotniska Uli w dzień. Podczas swojego wystąpienia Stewart stwierdził, że Amerykanie gotowi byli udzielić gwarancji, iż strona federalna nie odniosłaby wojskowych korzyści z dziennych lotów. Prawdę mówiąc, taka amerykańska gwarancja nie była w ogóle nigdy dostępna. Co znaczące, żadne z wielkich mocarstw nie było w ogóle gotowe zagwarantować, iż nigeryjskie lotnictwo uszanuje nietykalność samolotów i lotniska podczas dziennych lotów (*Brytyjska rola w Nigerii*, komentarz redakcyjny, *ibid.*).

Oceniając to wystąpienie w Izbie, magazyn weekendowy „Guardiana” zauważył: „Kolejny raz pan Stewart oszukał haniebnie, opisując rolę Wielkiej Brytanii w wojnie nigeryjskiej” (*ibid.*).

Bardzo trudno w to uwierzyć, ale taka jest żalosna prawda, iż podczas sprawowania przez Stewarta urzędu ministra spraw zagranicznych rządu Jej Królewskiej Mości fałszowanie rzeczywistości i nieprawda były po prostu wynikiem złych briefingów - tak częstych, że przestały wywoływać jakiegokolwiek komentarze redakcyjne.

## ***11. Uchodźcy, głód i pomoc***

Nic innego, tylko głód w Biafrze naprawdę poruszył sumienie świata i skierował jego uwagę na to, co się w niej dzieje. Społeczeństwo nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale w całej Europie Zachodniej i Ameryce zwykle nie potrafi sobie wyobrazić całej złożoności sytuacji kryjącej się za newsami z frontu, niemniej jednak zdało sobie sprawę, że dzieje się coś złego, widząc zdjęcie głodującego dziecka. Ten wizerunek zapoczątkował kampanię prasową, która podbiła zachodni świat, spowodował, że rządy zmieniły politykę, i dał Biafrze szansę przeżycia, a przynajmniej tego, że nie zginie nie zauważona.

Ale nawet ten problem został zatarty przez propagandę, sugerującą, że sama Biafra „nakręca temat” i wykorzystuje głód, aby wzbudzić sympatię świata dla swoich politycznych aspiracji. Żaden spośród międzynarodowej grupy księży, lekarzy, pracowników pomocy humanitarnej i administratorów, którzy pracowali w Biafrze w drugiej połowie 1968 r. i widzieli żalną śmierć kilkuset tysięcy dzieci, nie mógłby zasugerować, że ten problem wymagał jakiegokolwiek „nakręcania”. Wystarczyły nagie fakty, flesze fotoreporterów - i głód dzieci biafrańskich stał się światowym skandalem.

Poważniejszy zarzut głosi, że Biafrańcy, a szczególnie pułkownik Ojukwu, wykorzystali sytuację, a nawet nie dopuścili do jej złagodzenia, aby zdobyć wsparcie i współczucie. Jest to zarzut tak mocny, a do całej sprawy przyłgnęło tyle błota, że nie można opisać historii Biafry nie wyjaśniając, co się naprawdę stało.

Gdzie indziej w tej książce wytłumaczono, że głód w Biafrze nie był dziełem przypadku, złym trafem czy nawet koniecznym, pożałowania godnym skutkiem ubocznym wojny. Był integralnym i świadomie realizowanym składnikiem polityki Nigerii. Przywódcy Nigerii mówili o tym bez ogródek, z godną pochwałą szczerością, którą nigdy się nie zhańbili przywódcy brytyjscy.

W tym świetle w sposób oczywisty narzuca się stwierdzenie, że jedynym ustępstwem, które mogłoby zapewnić pułkownikowi Ojukwu szybsze i większe dostawy żywności, była wymagana przez Nigerię i Wielką Brytanię - bezwarunkowa kapitulacja.

Wszystkie „oferty” przedkładane przez rząd nigeryjski, często po konsultacjach z brytyjską Wysoką Komisją, zwykle akceptowane i witane w dobrej wierze przez naiwny parlament brytyjski, prasę i ogół, po zbadaniu okazywały się korzystniejsze pod względem strategicznym i taktycznym dla armii nigeryjskiej.

Wszystkie propozycje wyzbyte z góry założonych korzyści dla którejś ze stron,

wysuwane przez pułkownika Ojukwu i inne zainteresowane strony, jak MCK, Kościół rzymskokatolicki czy redakcje pewnych gazet, były niezmiennie odrzucane przez Nigeryjczyków przy pełnym błogosławieństwie Whitehall.

A teraz przejdźmy do zasadniczej opowieści. Biafra kształtem przypomina z grubsza kwadrat. Jedną trzecią wschodniego boku stanowi rzeka Cross, jej żyzne doliny i łąki. Wzdłuż boku południowego, tuż nad zatoczkami i moczarami, biegnie kolejny pas łądzu nawodniony wieloma rzeczkami, wznoszący się wyżynami i opadający ku morzu. Reszta kraju, górny lewy róg kwadratu, to wyżyna będąca ojczyzną Ibo.

Na tej wyżynie mieszkała przed wojną większość ludności Regionu Wschodniego, ale żywności dostarczały głównie tereny należące do mniejszości plemiennych na wschodzie i południu. Tamten rejon był niemal samowystarczalny, jeśli chodzi o żywność, zapewniał dostateczną ilość węglowodanów i owoców, ale z terenów hodowlanych Nigerii Północnej sprowadzał sporo mięsa wołowego, ze Skandynawii importował suszone dorsze, importował także sól. Mięso i ryby zapewniały białkową część diety i chociaż w głębi kraju hodowano kozy i kurczęta, to jednak nie było ich dość, aby utrzymać w dobrym zdrowiu ponad 13 milionów ludzi.

Blokada i wojna odcięły import białka. Podczas gdy dorośli pozbawieni przez długi czas wystarczającej ilości tego składnika diety mogą zachować zdrowie, dzieci nie potrafią obejść się bez białka.

Biafrańczycy zorganizowali farmy intensywnej hodowli kurcząt, by podnieść udział pokarmów białkowych. Mogliby uporać się z tym problemem przynajmniej na jakieś dwa lata, gdyby nie zostali skrzepowani utratą części terytorium, w tym bogatych w żywność peryferii, i napływem ponad 5 milionów uchodźców.

Do połowy kwietnia stracili większość doliny rzeki Cross i część południa, ojczyznę Ibo - województwa Uyo, Annang i Eket, najżyźniejsze tereny w kraju. Mniej więcej wtedy raporty przedstawiciela MCK, szwajcarskiego biznesmena Heinricha Jaggiego, przywódców katolickiego Caritasu, Światowej Rady Kościołów, Biafrańskiego Czerwonego Krzyża i lekarzy różnych narodowości, którzy zostali w Biafrze, wskazywały, że problem staje się poważny. Eksperci napotykali coraz to nowe przypadki kwashiorkoru, choroby, która w krajach tropikalnych atakuje dzieci pozbawione białka. Jej symptomy to barwienie się włosów na rudo, bledność skóry, obrzmienie członków i opuchlizna ciała, które wygląda jak rozdęte wodą. Poza kwashiorkorem była anemia, pelagra i zwyczajne niedożywienie. Ich ofiary wyglądały, jakby składały się z samej skóry i kości. Efektem kwashiorkoru, największej plagi, było zniszczenie tkanki mózgowej, letarg, śpiączka i wreszcie śmierć.

Pod koniec stycznia Jaggi zaapelował do Czerwonego Krzyża w Genewie, aby postarał się o pozwolenie obu walczących stron na ograniczoną pomoc międzynarodową, obejmującą dostawę lekarstw, żywności i ubrań. Pułkownik Ojukwu wyraził zgodę natychmiast - 10 lutego; Lagos przysłało swoją pod koniec kwietnia. Tymczasem problem uchodźców stawał się coraz poważniejszy. Podobna sytuacja niemal zawsze towarzyszy międzynarodowym tarciom i trudno o nią winić rządy zaangażowane w konflikt, pod warunkiem że podejmą rozsądne kroki, mające na celu ulżyć cierpieniom wysiedlonych, dopóki ci nie poczują się na tyle bezpiecznie, że będą mogli wrócić do domów.

Jednakże dziennikarze oraz pracownicy pomocy humanitarnej działający za linią frontu po stronie nigeryjskiej zgłosili później, że rząd nigeryjski i władze wojskowe stale hamowały akcje pomocy korzystające ze środków zagranicznych, utrudniały transport artykułów pomocy humanitarnej, zawłaszczały środki transportu nabyte za pieniądze z darów i zakazywały wjazdu na szczególnie dotknięte klęską głodu obszary, mimo że odwiedzającym nie groziło tam żadne niebezpieczeństwo. Odpowiadając na pytania reporterów, dowódca nigeryjskiej III Dywizji, brygadier Benjamin Adekunle, rozwiał wszelkie wątpliwości: wcale nie zamierza pozwalać pracownikom pomocy humanitarnej na ratowanie życia secesjonistów, co dopiero mówić o udzielaniu im wsparcia. Ta powszechnie odnotowana postawa była tym dziwniejsza, że z punktu widzenia Nigeryjczyków cierpiący cywile byli ich rodakami - też Nigeryjczykami.

Ogromna większość ludności cywilnej uciekła ze strefy walk do nie okupowanej Biafry. Pod koniec lutego 1968 r. znalazło się tam około miliona uchodźców. Przeważnie nie byli to Ibo, ale członkowie mniejszości plemiennych. Rozwinięty system rodzinny, który pomógł mieszkańcom Wschodu wchłonąć uchodźców z Północy i Wschodu półtora roku wcześniej, nie mógł zadziałać teraz, gdyż większość obecnych uchodźców nie miała krewnych, u których mogłaby się zatrzymać. Stąd też przeważnie znalazła schronienie w osiedlach zbudowanych na obrzeżach wiosek, podczas gdy władze biafrańskie z pomocą Czerwonego Krzyża i Kościołów zorganizowały łańcuch obozów, w których bezdomni mogli przynajmniej znaleźć dach nad głową i jeden posiłek dziennie. Większość tych obozów stworzono w pustych szkołach, zapewniających od razu niezbędne urządzenia sanitarne. Te budynki stały się później celem dla egipskich pilotów siedzących za sterami MiG-ów i Ilów.

Pod koniec kwietnia sytuacja militarna spowodowała alarmujący wzrost fali uchodźców - do 3,5 miliona ludzi.

Caritas i Światowa Rada Kościołów, organizacje nie działające po nigeryjskiej stronie frontu i nie ograniczone statutem, który zobowiązywał Jaggiego do dopełnienia formalności

wstępnych przed dostarczeniem pomocy, same zdecydowały się podjąć niezbędne kroki. Od początku roku kupowano za granicą różne ilości żywności i lekarstw przeznaczone do transportu powietrznego do Biafry. Wymienione organizacje nie dysponowały ani maszynami, ani pilotami i dlatego doszły do porozumienia z Hankiem Whartonem, amerykańskim wolnym strzelcem, który woził broń z Lizbony do Biafry dwa razy w tygodniu, i wykupiły nieco miejsca w jego samolocie. Ale w ten sposób niewiele można było przewieźć.

Od 8 kwietnia również Czerwony Krzyż zaczął posyłać samolotem Whartona małe ładunki pomocy humanitarnej i zamierzał wynająć lub kupić samolot i załogę. Wysyłał z Genewy kolejne apele do rządu nigeryjskiego. Prosił o list żelazny dla wyraźnie oznaczonego samolotu Czerwonego Krzyża, który mógłby latać za dnia nie narażony na zestrzelenie. Te apele nieodmiennie spotykały się z odmową.

Starano się przezwyciężyć obawy Nigeryjczyków, że pod płaszczykiem pomocy humanitarnej Wharton może przewozić broń. Najpierw Szwajcarski Czerwony Krzyż wysunął gwarancję, iż samoloty Whartona nie będą latać za dnia. Nie. Więc zasugerowano, że pracownicy Czerwonego Krzyża zrobią inspekcję ładowni. Nie. Nigeryjski Czerwony Krzyż zrobi inspekcję. Nie. Ojukwu zgodził się, by Nigeryjski Czerwony Krzyż towarzyszył każdemu samolotowi z pomocą humanitarną aż na lotnisko w Biafrze. Nie.

Wtedy jeszcze nawet Biafrańczycy nie zdawali sobie sprawy, że nigdy nie zamierzano udzielić pozwolenia na loty z pomocą humanitarną. Tymczasem Kościoły robiły swoje, posyłając ile się dało, gdy tylko było dość miejsca w samolocie Whartona.

W połowie kwietnia, studiując raporty na temat braku białka, pułkownik Ojukwu zdał sobie sprawę, że zostało niewiele czasu, aby zapobiec nieszczęściu na szeroką skalę. Przedstawiciele agencji pomocy humanitarnej oznajmili, że problem nie polega na zakupie żywności (którą na pewno mogli nabyć bez specjalnego zachodu), ale na przewiezieniu jej do Biafry przez blokadę. Naturalnie był to problem raczej techniczny niż medyczny i pułkownik Ojukwu poprosił odpowiednią komisję o przedstawienie w możliwie najkrótszym czasie różnych sposobów dostarczenia żywności.

Na początku maja otrzymał wyniki ekspertyzy. Żywność do Biafry mogła być dostarczona trojako: powietrzem, morzem i lądem. Most powietrzny, jeśli miałby zapewnić odpowiednie ilości, musiałby być znacznie większy, niż to zapewniała ładowność trzech jednostek Whartona, i bardzo kosztowny. Ale gwarantowałby zdecydowanie najszybszą pomoc. Drogą morską, poprzez Port Harcourt lub w górę rzeki Niger, posuwano by się wolniej, ale przewieziono by większy tonaż za mniejsze pieniądze. Transport lądowy byłby

powolny, wyczerpujący i drogi. Żywność docierałaby wpierw morzem do portów Nigerii, aby przebyć setki mil do okupowanych terenów białfrańskich przez nieprzejezdne szosy zatłoczone wojskowymi pojazdami nigeryjskimi i uszkodzone mosty. Droga lądowa nie zapewniłaby ani szybkości, która była plusem mostu powietrznego, ani niskich kosztów, z którymi łączył się transport morski.

Ojukwu, naciskany przez lekarzy domagających się pośpiechu, optował za mostem powietrznym jako rozwiązaniem tymczasowym, które później zastąpiono by drogą morską, dającą możliwość sprowadzenia dużych zapasów. Jaggi i inni szefowie organizacji humanitarnych zapoznali się z wynikami badań komisji technicznej i nie wnieśli zastrzeżeń.

W połowie maja Biafra straciła Port Harcourt i kolejny milion uchodźców napłynął do ojczyzny. Niektórzy byli mieszkańcami miasta i okolic, inni uciekinierami z wcześniej najechanych terenów. Ale utrata portu nie zmieniła opcji pomocy humanitarnej. Utratę Port Harcourt wyrównano otwarciem lotniska Uli, nazwanego Annabelle, a od morza wciąż był dostęp do rzeki Niger i portu Oguta, jeśli tylko Nigeryjczycy zgodziliby się przepuścić statki Czerwonego Krzyża.

Pod koniec maja MCK w Genewie wystosował drugi apel, tym razem konkretnie pod adresem Biafry, gdyż Nigeria nie zamierzała udzielić pozwolenia.

Ale przez cały ten czas problem pozostawał nie znany opinii publicznej. Wieść jeszcze się nie rozeszła. W połowie czerwca Leslie Kirkley, prezes Oxfam [międzynarodowej organizacji pomocy dla krajów dotkniętych głodem lub klęskami żywiołowymi], odbył piętnastodniową inspekcję Biafry. To, co zobaczył, bardzo go zaniepokoiło. Równocześnie Michael Leapman z „Sun” i Brian Dixon z „Daily Sketch” przesłali reportaże z Biafry. Ci dwaj dziennikarze i ich fotografowie opowiedzieli prawdziwą historię Biafry. W ostatnich dniach czerwca pierwsze zdjęcia małego dziecka zamienionego w żywy szkielet pojawiły się na łamach prasy londyńskiej.

W tym miesiącu przychodziły z zewnątrz jedynie małe transporty żywności, które udawało się wcisnąć do niewielkich samolotów Super Constellation Whartona wylatujących z Lizbony. Ale w sytuacji, w której trzy organizacje konkurowały o miejsce w ładowni, było więcej żywności niż przestrzeni, która mogłaby ją pomieścić. W ciągu następnych trzech tygodni wszystkie trzy agencje kupiły samoloty, ale Wharton uparł się, że on zajmie się organizacją lotów, konserwacją maszyn i że jego piloci będą nimi latać. Tymczasem żywność zaczęła przybywać statkiem na portugalską wyspę przybrzeżną São Tomé, poprzednio wykorzystywaną tylko jako miejsce uzupełnienia paliwa. Stamtąd dało się zorganizować krótszą trasę dostaw, podczas gdy transporty broni szły inną drogą, bezpośrednio Lizbona-



Biafra. I tak ładunki mleka w proszku i pocisków zostały rozdzielone na różne działy operacji Whartona.

Przed opuszczeniem Biafry pan Kirkley zorganizował konferencję prasową, na której stwierdził, że jeśli w ciągu sześciu tygodni znacznie nie wzrosną transporty pomocy humanitarnej z żywnością, to 400 tysięcy dzieci umrze na kwashiorkor. Zapytany o wielkość ładunku, który mógłby zapobiec zrealizowaniu się tej wizji, odpowiedział: 300 ton na dobę.

Po powrocie do Anglii zdał relację na łamach „Evening Standard” z 2 lipca, ale została ona powszechnie uznana za kolejny pokaz „propagandy biafrańskiej”, dopóki 3 lipca nie wystąpił osobiście w programie BBC poświęconym bieżącej polityce, *24 godziny*, i nie powtórzył swoich ocen. Tymczasem społeczeństwo powoli budziło się z letargu, widząc fotografie prezentowane w brytyjskiej prasie. Przed opuszczeniem Biafry Kirkley miał spotkanie z Jaggim i pułkownikiem Ojukwu. Przywódca biafrański zaoferował ni mniej, ni więcej, tylko swoje najlepsze lotnisko, na wyłączny użytek organizacji pomocy humanitarnej. W ten sposób oddzieliłoby się powietrzny transport broni od transportu żywności i zwiększyłoby szansę uzyskania od Nigerii zgody na dzienne loty z pomocą humanitarną. Jaggi i Kirkley zaakceptowali tę ofertę.

1 lipca Kirkley spotkał się w Londynie z Shepherdem, a 3 z George’em Thomsonem. Przedstawił obu ministrom możliwie najpełniejszy zasób informacji na temat rozmiarów i zakresu problemu, konieczności szybkiego działania oraz korzyści płynących z poszczególnych sposobów transportu żywności. Wspomniał również o ofercie pułkownika Ojukwu, a że sam niejednokrotnie korzystał z lotniska Annabelle, zapewnił ministrów, że może ono przyjmować ciężkie jednostki, takie jak Super Constellation, i robi to od kilku tygodni. Obserwatorzy pomyśleli: Brytyjczycy zdobyli poprzednio wpływy (tak przynajmniej sądził rząd laburzystowski) dzięki dostawom broni do Lagos, teraz mają szansę wykorzystać je w dobrej sprawie. Niezwłocznie przesłano generałowi Gowonowi prośbę o pozwolenie na loty Czerwonego Krzyża do Biafry. Jego odpowiedź z 5 lipca opublikowano w wieczornych wydaniach gazet. Była krótka i treściwa: rozkaże zestrzelić każdy samolot Czerwonego Krzyża, który wkroczy w przestrzeń powietrzną Nigerii.

Wygląda na to, że Harold Wilson miał pod ręką swoją „lampkę dobrej woli”, której promyczki nadawały każdemu czynowi pozory wielkoduszności. Gdy Leslie Kirkley, przewodniczący delegacji, prosił go telegraficznie o użycie nacisku na Lagos, odpisał, że generałowi Gowonowi chodziło tylko o to, iż każe zestrzelić każdy samolot wlatujący do Biafry bez pozwolenia. Ponieważ samolotów mających pozwolenie Gowona nie było, problem stał się akademicki i taki pozostał na wieczność.

Rząd brytyjski dostał policzek od Nigerii, należało więc coś uczynić dla przywrócenia harmonii. I uczyniono. 8 lipca nigeryjski minister spraw zagranicznych, Okoi Arikpo, zwołał konferencję prasową w Lagos, na której zaproponował korytarz lądowy. Żywność sprowadzi się morzem do Lagos. Stamtąd poleci samolotem do Enugu, a potem pod nigeryjskim konwojem pojedzie drogą do określonego punktu, położonego na południe od Awgu zdobytego w zeszłym miesiącu przez siły federalne. Tam zostawi się żywność na drodze w nadziei, że „rebelianci” przyjdą ją odebrać.

Tę propozycję rząd brytyjski i prasa ochrzcili wcieleniem wielkoduszości. Nikt nie raczył zauważyć, że sprowadzenie statku do Lagos jest równie kosztowne jak do São Tomé, Fernando Póo czy rzeki Niger i że most powietrzny z Lagos do Enugu jest tak kosztowny jak z São Tomé do Annabelle. Poza tym Nigeryjczycy zastrzegli się, iż most powietrzny może nie działać z powodu złych warunków pogodowych, braku samolotów albo pilotów. Nie mają też ciężarówek na utrzymanie stałej linii dostawczej Enugu-Awgu. Nikt też nie zauważył, że w rejonie Awgu nadal toczą się zaciekle walki.

Prawdę mówiąc, zgoda na pomysł opracowany przez Arikpo nie była konieczna, ponieważ współpraca Biafrańczyków nie była wymagana. Faktycznie z Awgu nie zabrano ani jednej paczuski mleka dla nie okupowanej Biafry; zresztą na drodze nie złożono ani jednej paczuski, którą rebelianci mogliby sobie wziąć. O ile wiadomo, po stronie nigeryjskiej nikt nigdy nie zamierzał przechodzić w tej mierze od słów do czynów.

Z punktu widzenia Biafrańczyków bynajmniej nie chodziło tylko o prosty problem techniczny. Pomysł odbierania żywności za pośrednictwem armii nigeryjskiej spotykał się z gromkim sprzeciwem nie pułkownika Ojukwu, ale prostych ludzi. Wielu wolało dawać sobie radę bez żywności dostarczanej przez prześladowców. Poza tym obawiano się zatruc. Ostatnio zdarzały się przypadki tajemniczych zgonów po spożyciu żywności przybywającej na Środkowy Zachód przez Niger za sprawą działających w dobrej wierze przemytników. Analiza próbek, dokonana w laboratorium szpitala w Ihiala, wykazała obecność arsenu i innych substancji toksycznych.

Informacje te zostały wyśmiane za granicą, ale bezstronni obcokrajowcy w Biafrze również przeprowadzili dochodzenie i doszli do wniosku, że nie są one propagandą; szczególnie zajął się tym dziennikarz Anthony Hayden-Guest („Daily Telegraph”, 8 lipca 1969 r.). Jeśli chodzi o skutki fizyczne, to straty były niewielkie, ale w kategoriach psychologicznych - ogromne. Dla wielu „żywność z Nigerii” znaczyło „zatruta żywność” i nie tylko Biafrańczycy tak myśleli. Pewien irlandzki ksiądz powiedział: „Nie mogę dać małemu dziecku kubka mleka, które przyszło z Nigerii. Nawet minimalna groźba już jest zbyt

wielka” (ojciec Kevin Dohoney, zakon Ducha Świętego, misja Okpuala, sierpień 1968 r., w rozmowie z autorem).

Najważniejsza była sytuacja na froncie. Podkomendni Ojukwu zgłosili wielkie nagromadzenie sprzętu wojskowego po stronie nigeryjskiej od Enugu do Awgu. Osłabienie linii obronnych w celu przepuszczenia dostaw z pomocą humanitarną oznaczałoby po prostu stworzenie nie strzeżonych szlaków do serca Biafry. Czy można było zaufać armii nigeryjskiej, że ich nie wykorzysta i nie skieruje nimi pojazdów opancerzonych, piechoty i broni? Wcześniejsze doświadczenia wskazywały, że nie.

17 lipca na konferencji prasowej w Aba pułkownik Ojukwu jasno przedstawił swoje stanowisko. Chciał szybkiego stworzenia mostu powietrznego, gdyż stanowił on gwarancję najefektywniejszej realizacji zadania. Zaproponował neutralną drogę rzeczną w górę Nigru albo zdemilitaryzowany korytarz lądowy z Port Harcourt do linii frontu. Nie mógł się zgodzić na to, by dostawy przechodziły przez ręce Nigeryjczyków bez obserwacji ani eskorty neutralnego personelu zagranicznego; nie do przyjęcia było też, aby szły one korytarzem kontrolowanym wyłącznie przez armię nigeryjską. Tego wieczoru odleciał do Niamey, stolicy Republiki Niger, na zaproszenie Organization for African Unity Committee on Nigeria [Organizacji na Rzecz Komitetu Jedności Afrykańskiej w Sprawie Nigerii]. Tam po raz wtóry zasygnalizował, że jest otwarty na różne opcje, jeśli tylko będą one służyć rozwiązaniu problemu, a nie celom politycznym.

Rząd Wielkiej Brytanii wszelkimi siłami popierał plan Enigu-Awgu. Alternatywne propozycje niecierpliwie odsuwano na bok. Słyszając coraz głośniejsze oburzenie opinii publicznej, rząd zaoferował Nigerii 250 tysięcy funtów na rozwiązanie sytuacji. Chociaż problematyka, opcje i techniczny materiał dowodowy przedstawiony przez naocznych świadków były znane lub dostępne, posłano lorda Hunta na objazd Nigerii i Biafry, by zdecydował, jak dotacja mogłaby być najlepiej wykorzystana.

Pułkownik Ojukwu odpowiedział, że jego naród nie życzy sobie pieniędzy ani pomocy od rządu pana Wilsona. Dał do zrozumienia, że suma wchodząca w grę to mniej niż 1% wartości sprzedanej broni, która właśnie spowodowała katastrofę, i dopóki będą dostarczane transporty broni, mleko z darów nie przejdzie Biafrańczykom przez gardło. Równocześnie dał jasno do zrozumienia, że pomoc narodu brytyjskiego przyjmuje ze szczerą wdzięcznością. Jednakże ponieważ celem misji lorda Hunta jest zapoznanie się z możliwościami podziału daru rządowego, jego przyjazd do Biafry nie ma sensu.

Niektórzy obserwatorzy w Biafrze uznali decyzję Ojukwu za pochopną. Lord Hunt i jego towarzysze podróży, odwiedzając Biafrę, mogliby osądzić praktyczność mostu

powietrznego do Annabelle. Ale pułkownik Ojukwu wiedział, że jego naród jest w ogromnej większości przeciwny wizycie Hunta. Był o włos od zmiany zdania, lecz nie przemyślana wypowiedź Thomsona, że światowa opinia potępi go całkowicie, jeśli nie zaakceptuje korytarza do Awgu, uniemożliwiła całkowicie odstąpienie od pierwotnej decyzji.

Przez dwa tygodnie lord Hunt odwiedzał różne odcinki frontu po stronie nigeryjskiej, ale mógł się zapoznać tylko z opiniami polecającymi korytarz do Awgu. Zresztą podczas nieobecności lorda rząd brytyjski zdecydował się poprzeć te głosy. Korzyści z raportu lorda Hunta dopiero miały się ujawnić. W następnych tygodniach i miesiącach dostarczenie cierpiącym żywności o wartości 250 tysięcy funtów do linii nigeryjskich, co dopiero za nie, stało się nieco wątpliwe.

Niektórzy w Wielkiej Brytanii w pełni rozumieli niepokoje Biafrańczyków. 22 lipca w Izbie Gmin Hugh Fraser, protestując przeciwko nieprzerwanym transportom broni, rzekł: „W imię ludzkości byłoby głupotą transportować narzędzia wojny, które zamienią korytarze litości w drogi masakry” („Hansard”, 22 lipca 1968 r., kolumna 68).

Aby wesprzeć szansę korytarza, konieczne należało się uporać z problemem mostu powietrznego, szczególnie pomniejszając możliwość korzystania z lotniska Annabelle, do tej pory znanego jako Uli. Zajęto się tym niezwłocznie. George Thomson określił Uli jako „wyboistą łąkę” i powiedział, że nie nadaje się na lądowisko. Poza Kirkleyem w promieniu mili od Whitehall było kilkunastu dziennikarzy mogących zaświadczyć, że nie jest to wyboista łąka i mogą na niej lądować ciężkie jednostki. Nie zasięmano ich opinii, a gdy dokładne dane na temat Uli dostarczono Ministerstwu Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, zostały gładko i pospiesznie odsunięte na bok.

Pas startowy Uli ma 6 tysięcy stóp, tzn. jest dwa razy dłuższy od pasa w Enugu i o połowę od pasa w Port Harcourt. Jego szerokość wynosi 75 stóp, trochę mniej, niż to lubią piloci, ale jest na tyle przestronny, że większość podwozi ma po bokach wolną przestrzeń. Udźwig sięga 75 ton. Został zbudowany przez tego samego Biafrańczyka, który przed uzyskaniem niepodległości zaprojektował główne pasy startowe na międzynarodowych lotniskach Nigerii - Lagos i Kano.

Niemniej jednak kampania rządu brytyjskiego dała efekty i miliony Brytyjczyków wywiedziono w pole, każąc im myśleć, że pułkownik Ojukwu bezwarunkowo odmawia zgody na korytarz lądowy, stając się w ten sposób odpowiedzialny za śmierć każdego Biafrańczyka.

W istocie nigdy nie otrzymał od Nigeryjczyków - bezpośrednio czy pośrednio - żadnej formalnej propozycji stworzenia korytarza do Awgu. Po konferencji prasowej pana Arikpo i

zręcznym wyprowadzeniu w pole opinii światowej - sprawa ucichła. Na krótko została podniesiona przez Biafrańczyków, gdy spotkali się z Nigeryjczykami w Niamey, ale po wymianie stosownych argumentów za różnymi propozycjami Nigeryjczycy zdali sobie sprawę, że względy praktyczne przemawiają na korzyść przeciwnika, i wycofali się ze wszystkiego, informując Biafrańczyków, że zamierzają zagłodzić ich na śmierć. Jest to opisane szerzej w następnym rozdziale.

Jednakże Allison Ayida, szef nigeryjskiej grupy negocjacyjnej, gdy wrócił z Niamey do Lagos, rozmawiał z „Observerem”. 28 lipca 1968 r. gazeta opublikowała, co następuje:

Według pana Ayidy Biafrańczycy są gotowi zaakceptować korytarz lądowy nawet bez gwarancji na wymagany przez nich dzienny korytarz powietrzny do Biafry, zakładając, że korytarz lądowy będzie patrolowany przez siły międzynarodowe.

Po tym, jak przedstawiciel Nigerii w Niamey, Allison Ayida, raz na zawsze dał do zrozumienia, jakie są intencje Nigeryjczyków, jakkolwiek nadzieja na porozumienie dotyczące wwozu żywności do Biafry drogą powietrzną, lądową lub morską została pogrzebana. Trudno zrozumieć, dlaczego w ogóle robiono takie zamieszanie wokół negocjowania korytarza. Jedyńm sposobem dostawy żywności były nocne loty, co przynajmniej technicznie biorąc oznaczało przerwanie blokady. Tylko Kościoły zdały sobie z tego sprawę i bez rozgłosu i reklamy po cichu przywoziły tyle żywności, ile mogły. Do tej pory obie organizacje kościelne kupiły po samolocie, ale Wharton nadal sprawował kontrolę nad maszynami i Kościoły chciały zorganizować własne akcje.

Problemem był sprzeciw samego Whartona, który nie chciał stracić monopolu na loty do Biafry i z powrotem. Kościoły nie mogły wynająć własnych pilotów i obsługi naziemnej, bo tylko piloci Whartona znali najważniejsze hasła lądowania, dzięki którym wieża kontrolna w Uli rozpoznawała „swoich”.

Niezależnie od obaw Kościołów nawet Biafrańczycy wahali się przed wyrządzeniem afrontu Whartonowi i odebraniem mu monopolu, przecież byli od niego zależni w kwestii transportu broni. Ale wreszcie zdecydowali się podać hasła Czerwonemu Krzyżowi i Kościołom. Nie było to łatwe. Pewien emisariusz biafrański, udający się na São Tomé, nie został w Uli wpuszczony na pokład przez pilota Whartona, gdyż ten podejrzewał (całkiem słusznie), że Biafrańczyk ma hasła w kieszeni. Dopiero delegat Biafry na konferencję pokojową, udający się via Gabon do Addis Abeby, przesmuglował hasła i w stolicy Etiopii przekazał je przedstawicielowi Czerwonego Krzyża, który później wręczył je Kościołom.

Czy to złamanie monopolu miało coś wspólnego z późniejszymi działaniami Whartona

i niedostarczaniem Biafrańczykom rozpaczliwie potrzebnej amunicji pod koniec sierpnia, gdy Nigeryjczycy przeprowadzali „ostateczny atak” - oto pytanie, na które tylko Wharton może odpowiedzieć.

15 lipca rozpoczął się ogień przeciwlotniczy ze statków kotwiczących w zatoczkach na południe od Biafry i piloci Whartona uznali, że robi się zbyt gorąco. Odlecieli i przez dziesięć dni żaden samolot nie zjawił się w Uli. Wreszcie loty wznowiono 25 lipca po zapewnieniach popartych całkiem sporą gotówką.

31 lipca Czerwony Krzyż wreszcie zaczął własną akcję z Fernando Póo, wysepki stanowiącej wówczas kolonię hiszpańską, położonej znacznie bliżej Biafry niż São Tomé, 40 mil od wybrzeża i 180 od portugalskiej wyspy. Ale 12 października Fernando Póo miała otrzymać niepodległość i sympatie przyszłego rządu, składającego się z Afrykańczyków, nie były znane. Wybory wygrała nie ta partia, na którą liczono. Okazała się z gruntu nieprzychylna. Za ten stan rzeczy dużą odpowiedzialność ponosił wywierający nieprzerwaną presję konsul nigeryjski.

Działalność Międzynarodowego Czerwonego Krzyża spotkała się z wieloma krytycznymi uwagami obu stron. Również dziennikarze nie szczędzili jej ostrych słów. Organizacja była oskarżona o to, że nie starała się dostatecznie, wydawała więcej pieniędzy na administrację niż na realizację zadań, przesadnie dbała, by nie nadepnąć któremuś z polityków na odcisk, i nie przykładała się odpowiednio do pomocy.

Ale jej pozycja nie była łatwa. Istota statutu MCK narzuca całkowitą neutralność, która musi być nie tylko zachowana, ale i widoczna. MCK powinien działać po obu stronach frontu. Oczywiście, mógłby być bardziej skuteczny i popełniać mniej błędów. Ale akcję o takim zasięgu i rozmiarach podjęto po raz pierwszy w historii. Były zespoły z różnych krajów afiliowanych przy MCK i zespoły pracujące pod flagą organizacji narodowych. I tak w Biafrze były dwie grupy francuskie - jedna działająca pod egidą MCK i druga formowana przez Francuski Czerwony Krzyż. Ich wysiłki często były rozbieżne, nie skoordynowane. Aby jakoś to wszystko uporządkować, MCK poprosił Augusta Lindta, szwedzkiego ambasadora w Moskwie i byłego wysokiego funkcjonariusza ONZ do spraw uchodźców i głodu, by przyjechał i poprowadził całą akcję.

Zwykle oskarżano MCK, że nie dość obcesowo usuwał przeszkody, na co pewien znużony przedstawiciel organizacji stwierdził: „Słuchajcie, tu w Biafrze wszyscy pomagają nam, ile trzeba. Ale po drugiej stronie daje się nam jasno do zrozumienia, że jesteśmy niechciani. Nie podoba się to, co robimy, to znaczy ratowanie wielu ludzi, których po cichu chętnie widziano by w grobach, i nie podoba się im nasza obecność, bo uniemożliwia pewne

działania, które jak nic skierowano by przeciw cywilom.

Jeśli bylibyśmy wobec nich zbyt ostrzy, łatwo mogliby kazać się nam wynieść. No, świetnie, przez dzień bylibyśmy na pierwszych stronach gazet. Ale co z milionem ludzi za liniami nigeryjskimi, milionem, który nasze dostawy żywności utrzymują przy życiu? Co się z nim stanie?”

Ale można przedstawić całkowicie uzasadniony zarzut, mianowicie ten, że Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi potrzeba było katastrofalnie dużo czasu, aby się ocknął i wziął do dzieła. Chociaż Jaggi od samego początku informował organizację o konieczności pośpiechu i chociaż pieniądze, które napływały z różnych źródeł w lipcu, sięgały wielomilionowych kwot, to dopiero ostatniego dnia miesiąca pierwszy samolot Czerwonego Krzyża poleciał do Uli. Nawet w sierpniu, mając własną akcję powietrzną, Czerwony Krzyż dostarczył tylko 219 ton żywności, podczas gdy Kościoły, dysponując mniejszymi pieniędzmi i zależne od Whartona w kwestii transportu, przerzuciły tysiąc ton. Ponieważ wynika z tego, że ogólnie przyjęty niezbędny ładunek wysokości 300 ton na dobę pojawiał się w czterokrotnie zmniejszonej ilości, ponura przepowiednia pana Kirkleya stała się rzeczywistością.

Nie jest zamiarem tego rozdziału malowanie krzykliwych wizerunków ludzkich cierpień; jest to przede wszystkim kronika wydarzeń mająca wyjaśnić skołowanemu czytelnikowi, co się naprawdę wydarzyło. Poza tym te wizerunki zostały przedstawione w gazetach oraz telewizji, a bardzo emocjonalne obrazy przekazało wielu dziennikarzy i komentatorów. Wystarczy krótkie podsumowanie.

Do lipca założono 650 obozów uchodźców i było w nich około 700 tysięcy wynędzniałych szczątków ludzkich, wypatrujących bez nadziei posiłku. Poza obozami przykucnęła w buszu, jak oceniano, reszta z 4,5-5 milionów wysiedlonych. Podczas gdy ceny żywności szły w górę, nie było końca cierpieniom zarówno uchodźców, jak i miejscowej ludności.

Pomiędzy rzucanymi na chybił trafił danymi występowały kolosalne rozbieżności. Autor usiłował dojść średniej, sięgając do najlepiej poinformowanych źródeł w MCK, Światowej Radzie Kościołów, Caritas International oraz zakonach żeńskich i męskich, które rozprawdzały żywność w wioskach w buszu.

W lipcu i sierpniu politycy przybierali pozy, a dyplomaci łgali na potęgę. Gdyby nawet zorganizowano korytarz lądowy, to byłaby to operacja spóźniona. Napływały dotacje od osób prywatnych z Wielkiej Brytanii i Europy Zachodniej. Kilka rządów, szczególnie skandynawski, dało do zrozumienia, że nie odmówią prośbie Czerwonego Krzyża i

wypożyczą samolot transportowy z załogą. Czerwony Krzyż w Genewie wolał jednak negocjować z prywatną firmą, której piloci oznajmili, iż będą latać do Biafry tylko wtedy, gdy Nigeria zagwarantuje im bezpieczny przelot. Skierowana do Lagos prośba o żelazny list jak zwykle spotkała się z odmową.

Liczba zgonów rosła zgodnie z przewidywaniami. Zaczęło się od około 400 ofiar dziennie, ale - jak ustaliły to cztery główne zespoły pracowników pomocy humanitarnej - wkrótce doszło do 10 tysięcy. Napływ żywności w lipcu i sierpniu był żałośnie skromny. O ile wypadki śmierci w obozach mogły być odnotowywane, to jednak znacznie więcej zdarzało się ich w wioskach, do których strużka żywności w ogóle nie docierała. Najcięższe i najbardziej dramatyczne obowiązki wzięli wówczas na siebie katolicy.

Żadne słowa w żadnym języku nie opiszą heroizmu Irlandczyków - księży z zakonu Ducha Świętego i zakonnic z zakonu Różańca Świętego. Widzieć dwadzieścioro maleńkich dzieci w stanie zaawansowanego kwashiorkoru i mieć świadomość, że posiadana żywność tylko połowie z nich może dać cię szansy przeżycia, stawać wobec takich problemów dzień po dniu, starzejąc się przy tym każdego miesiąca o rok, żyć pod bombami i ogniem artyleryjskim w brudzie, znoju, o głodzie i dalej pracować - wszystko to wymaga odwagi, jaką nie mogłaby się poszczycić większość mężczyzn z rzędami baretek na piersi.

Pod koniec 1968 r. zgodnie wyliczono liczbę ofiar śmiertelnych w nie okupowanej Biafrze na 0,75 miliona, a najbardziej ostrożne szacunki mówiły o 0,5 miliona. Czerwony Krzyż, który pracował też po drugiej stronie frontu, zgłosił mniej więcej 0,5 miliona ofiar na obszarach okupowanych przez Nigeryjczyków.

Należy powiedzieć, że większość żywności sprowadzonej za pieniądze z darów brytyjskich, zachodnioeuropejskich i północnoamerykańskich nie przyszła bezpośrednio do Biafry i wcale nie dotarła do głodujących. Podczas gdy tacy reporterzy, jak Stanford i Noyes Thomas z „News of the World”, relacjonowali w czerwcu i lipcu tragiczne sceny widziane w Ikot Ekpene, mieście Ibibio, które Nigeryjczycy uznawali za własne przez dwanaście miesięcy, inni reporterzy ze zgrozą opisywali stosy żywności z darów gnijące w dokach Lagos. Tamtejsi pracownicy Czerwonego Krzyża skarżyli się, że oficjele wszystkich szczebli utrudniają im pracę.

Poza tym informatorzy z Czerwonego Krzyża donieśli później, że brytyjska dyplomacja podjęła w sierpniu i wrześniu ciche naciski na MCK, aby przerwał bezpośrednią pomoc dla Biafry, która i tak jest skończona, i przekazał sprawy po stronie nigeryjskiej tamtejszemu Czerwonemu Krzyżowi, według Brytyjczyków „bardziej skutecznemu”.

W pierwszym tygodniu sierpnia 1968 r. dwie kościelne organizacje pomocy



humanitarnej otrzymały od Czerwonego Krzyża hasła lądowania. Zerwały z Whartonem i zorganizowały własną akcję, ale nadal korzystały z São Tomé. 10 sierpnia hrabia Carl Gustav von Rosen, szwedzki weteran lotnictwa, dokonał w dzień lotu na niskiej wysokości. Zatkanął uszy na wszelkie „dobre rady” i udowodnił, że przewóz żywności w tych warunkach jest możliwy. Był to pierwszy lot kolejnej organizacji pomocy humanitarnej, Nord Church Aid, stowarzyszenia protestanckich Kościołów skandynawskich i zachodnioniemieckich. Później trzy kościelne agencje połączyły się w São Tomé pod nazwą Joint Church Aid.

Kiedy gasły nadzieje na nigeryjskie pozwolenie na dzienne loty do Uli, w Biafrze ożywał inny pomysł. W Obilagu był port lotniczy i pas startowy, ale brakowało instalacji elektrycznej i pełnego wyposażenia wieży kontrolnej. Czerwony Krzyż zgodził się na uzupełnienie tych braków z własnej kieszeni i prace ruszyły 4 sierpnia. 13 tego miesiąca podpisano porozumienie między pułkownikiem Ojukwu reprezentującym rząd Biafry i panem Jaggi reprezentującym Czerwony Krzyż. Stanowiło ono, że dopóki jedna ze stron nie unieważni dokumentu, lotnisko pozostanie zdemilitaryzowane.

Jean Kriller, genewski architekt, został komendantem lotniska z ramienia Czerwonego Krzyża. Od razu wydał rozkaz usunięcia wszystkich żołnierzy i urzędów wojskowych, w tym działek przeciwlotniczych, poza obszar o promieniu 5 mil od środka pasa. Armia biafrańska zaprotestowała. Pozycje przeciwnika były zaledwie w odległości 13 mil i demilitaryzacja lotniska osłabiłaby możliwość obrony. Pułkownik Ojukwu poparł Krillera i wojsko się wycofało. Następnym posunięciem Krillera było polecenie wymalowania na pasie trzech białych kół i naniesienie na każde wielkiego czerwonego krzyża. Zabezpieczywszy się w ten sposób, rozbił swój namiot koło pasa. 20, 24 i 31 sierpnia lotnisko zostało precyzyjnie zbombardowane i ostrzelane raketami. Pół tuzina lokalnych przewoźników żywności zostało zabitych, kilkunastu innych było rannych.

1 września 1968 r. odbył się pierwszy próbny lot do nowego lotniska z Fernando Póo. Czerwony Krzyż nadal usiłował wyciągnąć od Lagos pozwolenie na dzienne loty. Uważał, że jego pozycja niezwykle się wzmocniła po uzyskaniu własnego lotniska. Ale odpowiedź nadal brzmiała „nie”. Wtem 3 września Lagos zmieniło zdanie, a przynajmniej tak się wydawało. Będzie pozwolenie na dzienne loty, ale nie do Obilagu. Do Uli.

Podczas gdy Czerwony Krzyż spokojnie tłumaczył, że samoloty z pomocą humanitarną nie są już kierowane do Uli, ale do Obilagu, i argumentował, że tylko nowe lotnisko zapewni maksymalną dostawę żywności w celu ratowania życia, doradcy pułkownika Ojukwu rozważali tę nagłą decyzję Nigerii z innego punktu widzenia.

Dlaczego Uli i tylko Uli - zachodzili w głowę. Po dokładnym przemyśleniu sprawy

znaleźli odpowiedź. Uli było często bombardowane za dnia i mimo że białrański ogień przeciwlotniczy nie był zbyt celny, to jednak osiągał pewną skuteczność. Zmuszał nigeryjskie bombowce do utrzymywania się na wysokim pułapie, dzięki czemu ładunki nie trafiały dokładnie w cel. To zapobiegało zniszczeniu pasa startowego dużą bombą, a małe kraterki po rakietach z nurkujących MiG-ów dawały się łatwo wypełnić. Ale gdyby zmusić działka przeciwlotnicze do zamknięcia za dnia, aby wielkie DC-7 z Fernando Póo i São Tomé mogły przewieźć żywność, wtedy wystarczyłby jeden wielki nigeryjski bombowiec, w rodzaju sprowadzonego z Rosji Antonowa, którego widywano od czasu do czasu. Gdyby tylko prześliznął się tam, gdzie nie trzeba, wyposażony w bombę ważącą 5 tysięcy funtów, i wyrwał dziurę w pasie startowym, spowodowałoby to zamknięcie lotniska na dwa tygodnie. Podczas gdy Nigeryjczycy wdzierali się do Aba i przygotowywali do wielkiego natarcia na Owerri, Biafrańczycy rozpaczliwie potrzebowali amunicji i wypatrywali oczy za następnym ładunkiem broni. W tej sytuacji pułkownik Ojukwu nie mógł zaryzykować zniszczenia lotniska, na którym lądowały transporty.

10 września Nigeryjczycy spróbowali opanować Oguta. Choć zostali wyparci z miasta po czterdziestu ośmiu godzinach, Ojukwu musiał odwołać swoje ustalenia względem lotniska Obilagu. Kiedy stracono Oguta leżące niebezpiecznie blisko Uli, musiano ewakuować lotnisko. Zostało znów otwarte 14 września, ale gdy samoloty z amunicją zaczęły wreszcie przybywać, Ojukwu musiał im pozwolić na korzystanie przez trzy dni z Obilagu. Od tej pory zarówno wojsko, jak i pomoc humanitarna używały obu lotnisk. Nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż w tym czasie Nigeryjczycy nie prowadzili żadnych nocnych nalotów bombowych, a nie wyglądało na to, by samoloty z pomocą humanitarną miały jakąkolwiek szansę uzyskania pozwolenia na loty dzienne do wydzielonego lotniska. 23 września Obilagu padło w wyniku silnego uderzenia nigeryjskiej I Dywizji i Uli kolejny raz stało się jedynym działającym lotniskiem.

Wtedy Lagos znów wysunęło ofertę bezpiecznych dziennych lotów z pomocą humanitarną. Ojukwu był powszechnie oskarżany o odrzucenie tej propozycji i w konsekwencji na niego spadła cała odpowiedzialność za klęskę głodu. Tymczasem powiedział tylko, że zgadza się na dzienne loty na każde lotnisko z wyjątkiem Uli. Nie chce go narażać na precyzyjne ataki ciężkich bombowców w świetle dziennym.

Od 1 października do końca roku kontynuowano nocne loty do Uli. W październiku Kanada pożyczyła Czerwonemu Krzyżowi samolot transportowy Hercules o udźwigu 28 ton. Przyjmując, że każdej nocy odbędzie on dwa rejsy, Czerwony Krzyż przygotował budzący otuchę plan na listopad. Ale po jedenastu rejsach Ottawa przerwała loty, po czym Herculesa

wycofano. W grudniu rząd USA zaproponował osiem samolotów transportowych Globemaster, każdy o udźwigu 30 ton - cztery dla Czerwonego Krzyża i cztery dla Kościołów. Maszyny miały wejść do akcji po Nowym Roku. Wiązano z nimi wiele nadziei.

Ale w grudniu rząd Gwinei Równikowej, który obecnie kontroluje Fernando Póo, poinformował Czerwony Krzyż, że nie może dłużej dostarczać ropy samochodom-cysternom ani butli z tlenem do operacji chirurgicznych. Wygląda na to, że ta zmiana polityki została zainicjowana pewnej nocy, gdy gwinejski minister spraw wewnętrznych wpadł pijany na lotnisko w towarzystwie konsula nigeryjskiego i wywołał burdę, podczas której jeden z pilotów samolotów transportowych wygarnął im obu do słuchu.

W październiku zaczęło się bombardowanie lotniska Uli.

Prowadził je samolot transportowy z silnikiem tłokowym, należący do lotnictwa nigeryjskiego. Buczał na dużej wysokości przez kilka godzin każdej nocy, zrzucając wielkie bomby w nierównych odstępach czasu. Nie były zbyt niebezpieczne, gdyż przy pełnym zaciemnieniu lotniska samolot nie mógł znaleźć celu. Ale leżenie plackiem w poczekalni przez kilka godzin i czekanie, aż następna seria bomb spadnie z gwizdem na pobliski lasek, nie było zbyt wygodne. Miało się wrażenie, że chcąc nie chcąc uczestniczy się w rosyjskiej ruletce.

Pod koniec listopada kwashiorkor został opanowany, chociaż nie do końca wyeliminowany. Mimo że większość uratowanych dzieci odzyskiwała zdrowie, mogła lada chwila ulec nawrotowi choroby w razie zerwania wątlej nitki dostaw żywności. W grudniu pojawiło się nowe niebezpieczeństwo - odra. Wzdłuż wybrzeża Afryki Zachodniej epidemie odry wśród dzieci zdarzają się regularnie. Zwykle śmiertelność sięga 5%. Ale brytyjski pediatra z długą praktyką w Afryce Zachodniej ocenił, że w warunkach wojennych ten wskaźnik może się podnieść do 20%.

Zapowiadało się, że 1,5 miliona dzieci zachoruje na odrę w styczniu. Oznaczałoby to 300 tysięcy ofiar. Z udziałem UNICEF-u i innych organizacji pomocy dzieciom błyskawicznie sprowadzono drogą powietrzną szczepionkę zapakowaną w specjalne niskotemperaturowe pojemniki i rozpoczęły się masowe szczepienia.

Z nadejściem Nowego Roku stało się jasne, że następny problem to brak podstawowych węglowodanów, zawartych w yamie, kassawie i ryżu. Styczniowe zbiory zgodnie z przewidywaniami były skromne, po części dlatego, że na pewnych obszarach zjedzono sadzeniaki yamów po zeszłorocznych zniwach, po części dlatego, że niedojrzałe uprawy zebrano przedwcześnie i również zjedzono. Aby dostarczyć żywność tego rodzaju, należało - ze względu na jej dużą wagę - znaleźć większe i cięższe samoloty transportowe lub

podjąć energiczne wysiłki w celu uzyskania od Nigeryjczyków pozwolenia na transport żywności statkami w górę Nigru.

W sumie wysiłki ratowania dzieci w Biafrze były równie heroiczne, co daremne. Pomimo starań ani jedna paczka z żywnością nie dotarła do Biafry „legalnie”. Jeśli cokolwiek przekroczyło granicę, to tylko w wyniku złamania nigeryjskiej blokady. W ciągu pół roku od chwili, gdy Kirkley wyznaczył sześciotygodniowy termin ostateczny i wyliczył, że trzeba dostarczać 300 ton każdej doby, Czerwony Krzyż sprowadził 6847 ton, a wszystkie Kościoły razem około 7500 ton. Jeśli podczas tych stu osiemdziesięciu nocy, kiedy można było latać, przewieziono 14 374 tony żywności, to przeciętna dobowa wyniosła tylko 80 ton. Ale nawet ta średnia jest myląca; żywność była naprawdę potrzebna w pierwszej połowie lipca. Mogła uratować 200-300 tysięcy dziecięcych istnień. A właśnie wtedy nie dostarczono absolutnie nic.

Bezradność, z jaką Biafrańczycy musieli patrzeć na umieranie swoich dzieci, zrodziła głębszą i bardziej nieustępliwą nienawiść do Nigeryjczyków, ich rządu i rządu Wielkiej Brytanii, niż sprawiły to pogromy 1966 r. i skutki wojny. To uczucie pewnego dnia da gorzkie żniwo, jeśli oba ludy nie będą rozdzielone rzeką Niger.

Po afromie z 5 lipca rząd brytyjski na pozór utrzymywał, że robi wszystko dla ulżenia sytuacji, ale w pełni realizował pragnienia Nigeryjczyków. Pan van Walsum, szanowany eks-burmistrz Rotterdamu, były poseł i senator, obecny prezes Dutch Ad Hoc National Committee for Biafra Relief [Holenderskiego Komitetu Specjalnego do Spraw Pomocy Biafrze], powiedział już publicznie, że jest gotowy potwierdzić pod przysięgą prawdziwość raportów, z których wynika, iż rząd brytyjski i amerykańskie MSZ w sierpniu i wrześniu wywarły „silną presję polityczną” na MCK w Genewie, aby nie posyłał żadnej pomocy Biafrze (oświadczenie skierowane do Petera Gatacre’a, cytowane przezeń w liście do „The Times”, 2 grudnia 1968 r.). Brytyjscy dziennikarze sprawdzili bezpośrednio w MCK w Genewie prawdziwość tych słów.

Może późniejsze i pełniejsze badania wykażą, że najobrzydliwsze w tej konsekwentnie żalosej polityce rządu brytyjskiego było utrudnianie dostaw pomocy humanitarnej dla bezradnych afrykańskich dzieci.

\*

Opowieść o tym, co przydarzyło się pomocy humanitarnej dla głodnych dzieci biafrańskich w drugiej połowie 1968 r., dobitnie ukazuje, ile może ujść na sucho zamordystycznej dyktaturze, kiedy ma do czynienia tylko z cywilizowanym światem, nie przygotowanym do walki o niezależny sąd i teoretycznie niezłomne standardy.

Od stycznia do końca maja rejsy z pomocą humanitarną Joint Church Aid (Caritasu, Światowej Rady Kościołów, Nord Church Aid) i MCK odbywały się bez przeszkód. Od przybycia ośmiu samolotów, sprzedanych za symboliczną kwotę obu wzmiankowanym organizacjom, wielkość dostaw żywności stale rosła.

W marcu i kwietniu łączny tonaż żywności dla Biafry osiągnął maksymalną wielkość 400 ton na dobę, a więc przekroczył oceniane przez ekspertów minimum konieczne do zahamowania kwashiorkoru i niedożywienia. Przy takich ilościach nie tylko osiągnięto cel, ale widmo głodu i towarzyszących mu plag zaczęło blednąć.

Do tej pory większą częścią akcji MCK kierowano z Kotonu, stolicy Dahomeju, zachodniego sąsiada Nigerii, podczas gdy kilka samolotów tej samej organizacji powtórnie zaczęło startować z Fernando Póo za osobistą zgodą prezydenta Enrico Maciasa, który interweniował, aby zażegnać wcześniejsze nieporozumienia. Z kolei JCA mogła dysponować lotniskiem na São Tomé.

Perspektywy rysujące się w związku ze zwiększeniem dostaw żywności dodały Biafrańczykom otuchy. Ponad 2 miliony dzieci i pół miliona dorosłych miało regularny dostęp do niezbędnej, bogatej w białko żywności. Podczas gdy kilka miesięcy wcześniej podróżujący zastawali milczące bezлюдne osiedla, których mieszkańcy leżeli wyczerpani w chatkach, teraz widywali tam gromadki dzieci bawiących się w słońcu, biegnących poboczem drogi i krzykiem pozdrawiających przejeżdżające samochody. W setkach ambulatoriów całego kraju widok niezliczonych prymitywnych kołysek z umierającymi dziećmi, które wyglądały jak maleńkie szkielety, stał się rzadszy, a w 3 tysiącach centrów wyżywienia, administrowanych przez dwie organizacje, stojący w długich kolejkach malcy wręcz poprawiali się w oczach. W maju 1969 r. można było stwierdzić, że bez względu na wojskowy rezultat zmagania miliony dzieci mają szansę przeżyć. Bez pomocy humanitarnej niewątpliwie umarłyby.

Stawiano zarzuty, że żywność idzie dla żołnierzy biafrańskich. Administracje organizacji prowadzących dystrybucję sprawdzały ściśle wagę wszystkich ładunków wwożonych do kraju oraz rozdawanych i orzekły, że tylko część „do przyjęcia”, około 5% całości, zaginęła lub została rozkradziona w trakcie przewozu. Biorąc pod uwagę niezwykle okoliczności, w których działał most powietrzny, całkowity brak urządzeń zmechanizowanych do obsługi ładunków w Uli, fakt, że wszystko wyladowywano w ciemności itd., trzeba przyznać, że liczba ta jest wyjątkowo niska.

Organizatorzy pracujący w barwach Czerwonego Krzyża, jednej z dwóch organizacji prowadzących dużą akcję wśród głodujących po nigeryjskiej stronie frontu, oceniają, że

wskaźnik zgub i zawłaszczenia był wyższy tam niż po stronie biafrańskiej. Częściowo było to wynikiem skuteczności systemu przewozu i dystrybucji w Biafrze, częściowo - dużo krótszego dystansu od miejsca wwozu do punktu spożycia.

Akcja JCA miała tę wyższość, że dysponowała spójną organizacją europejskich misjonarzy działającą już na miejscu. Osiemdziesięciu księży irlandzkich i pięćdziesiąt irlandzkich zakonnic pracowało dla Caritasu; dwudziestu siedmiu misjonarzy i dwudziestu przybyłych ochotników pracowało dla Światowej Rady Kościołów. Ci Europejczycy, z których większość dobrze znała kraj i ludzi, zapewniali osobisty nadzór na każdym etapie i zapobiegali wszelkim nieprawidłowościom. Umykały im naprawdę rzadkie przypadki. Czerwony Krzyż, mimo konieczności budowy własnej sieci dystrybucji, również sprowadził wystarczającą liczbę ochotników, by zapewnić sobie dokładny nadzór. Nord Church Aid, trzecia strona konsorcjum JCA, nie miała struktury dystrybucyjnej i nie starała się współzawodniczyć z katolikami oraz protestantami w budowie własnej sieci w Biafrze. Zamiast tego zajmowała się mostem powietrznym i osiągnęła fantastyczną sprawność.

Podczas tych pięciu miesięcy kładła się cieniem na dystrybucji żywności jedynie nocna działalność nigeryjskiego samolotu transportowego Dakota, zamienionego na bombowiec pilotowany przez najemnika z Południowej Afryki. Bombowiec regularnie przelatywał nad Uli w godzinach nocnych, spuszczać ładunek na chybił trafił, podczas gdy pilot naigrawał się przez radio z załóg samolotów pomocy humanitarnej. Nadał sobie przydomek „Genocide” [Ludobójstwo] i straszył załogi wiozące żywność opowieściami o tym, co je spotka, gdy wylądują.

Jednakże jego bomby nigdy nie trafiły w samolot ani w żadną z załóg. Ponieważ Uli nadal było używane jako lotnisko, na które dowożono broń dla Biafry, nikt nie mógł uczciwie twierdzić, że nie jest ono celem militarnym, i agencje pomocy humanitarnej nigdy temu nie zaprzeczały.

Pod koniec maja weszły do akcji Minicony hrabiego von Rosena i podczas czterech kolejnych lotów nad lotniskami znajdującymi się w rękach federalnych - Enugu, Benin, Calabar i Port Harcourt - zniszczyły większość MiG-ów i Iłów nigeryjskiego lotnictwa. Bombowiec pana „Genocide” również został zniszczony na ziemi. Odpowiedź Rosjan nadeszła szybko.

W poniedziałek 2 czerwca podczas nocnego lądowania w Uli australijski samolot z pomocą humanitarną, pilotowany przez kapitana Vernona Polleya, pracującego dla JCA, został trafiony ogniem broni maszynowej z dwóch MiG-ów lecących w ciasnym szyku. Wyskoczyły przed nim w światłach lotniska i każdy oddał ostrą serię z działek. Zniknęły

natychmiast w ciemności, lecz DC-6 kapitana Polleya został posiekany od dzioba do ogona. Szczęśliwie pilotowi udało się ujsć cało.

Tej samej nocy przyleciała z São Tomé ekipa techniczna i pracowała cały dzień pod rozpiętą siatką kamuflażową, aby naprawić samolot. We wtorkową noc kapitan Polley sam sprowadził kulejącego DC-6 z powrotem do São Tomé. Piloci z pomocy humanitarnej w mig pojęli poniedziałkową lekcję. Aby trafić ogniem z broni pokładowej oświetlony cel, wyłaniając się z ciemności, nie potrzeba w pełni wyposażonego nocnego myśliwca, potrzeba za to pilota o znacznych umiejętnościach.

Latanie dziennym myśliwcem w nocy jest standardową praktyką, ponieważ wszystkie myśliwce są wyposażone w instrumenty do nocnych lotów i urządzenia samokierujące. Lecz wykazane umiejętności strzeleckie dowodziły, że do tych pilotów ani umywali się nieskuteczni Egipcjanie, latający dotąd dla Nigeryjczyków i nie wykonujący nocnych zadań.

Nurkując w kierunku oświetlonego celu, pilot myśliwca chwilowo widzi gorzej nawet w przyciemnionych szklach, gdyż jego oczy są przyzwyczajone do innego natężenia światła. Zanurkować na wysokość 80 stóp nad ziemią, strzelić z maksymalną dokładnością, zrobić to w ciasnym szyku z innym myśliwcem przy prędkości 500 mil na godzinę, zaryzykować oślepienie na ułamek sekundy w razie wygaszenia świateł - do tego wszystkiego potrzeba pilota o znacznych umiejętnościach i doskonałej znajomości maszyny, mającego kolegę z eskadry na skrzydle. Takich umiejętności nie sposób opanować w ciągu kilku godzin, nie posiadli ich Egipcjanie. Więc to ktoś nowy latał dla Nigeryjczyków.

„Sunday Telegraph” z 22 czerwca rozszyfrował zagadkę; nowymi pilotami była szóstka Niemców Wschodnich przysłana na zlecenie Rosjan. Dziesięć dni później zastępca rzecznika prasowego rządu RFN, Konrad Ahlers, oznajmił, że wywiad zachodnioniemiecki ustalił, iż Niemcy z NRD latają dla Nigerii. Ale fakt, że tak zwane lotnictwo federalne jest w istocie połączeniem Rosjan, Niemców Wschodnich, Egipcjan i najemników, wzbudził małe zainteresowanie rządów Zachodu i nadal nazywało się go „lotnictwem nigeryjskim”.

Jeszcze wcześniej zostały zidentyfikowane samoloty latające za dnia nad Biafrą. Były to MiG-i 19, znacznie nowocześniejsze niż poprzednie MiG-i 15 i 17 prowadzone przez Egipcjan.

Pomimo że piloci Czerwonego Krzyża i JCA coraz bardziej narażali się na trafienie na ziemi, zdecydowali, iż będą kontynuować loty. Zastrzegli sobie tylko, że światła Uli powinny być włączane podczas lądowania w ostatniej sekundzie, co skróci czas oświetlenia pasa startowego, i wyłączane na rozkaz lądującego pilota, kiedy jego prędkość na pasie zmaleje do tego stopnia, iż będzie mógł się zatrzymać bezpiecznie w ciemności. Od tej pory starty

odbywały się tylko przy światłach maszyn.

Ten pomysł okazał się skuteczny. MiG-i 19 w dalszym ciągu ostrzeliwały lotnisko, gdy tylko odnajdywały je w ciemności, ale nigdy nie trafiły samolotu z pomocą humanitarną. Obsługa naziemna wsłuchiwała się w cichnące wycie odrzutowców, po czym sygnalizowała swoim pilotom, aby zaczynali ścieżkę schodzenia. W ostatniej sekundzie światła zapalały się; wysoko w górze odrzutowce krążyły i nurkowały, ale zanim znalazły się w zasięgu działek, światła gasły i piloci musieli podrywać maszyny, aby nie rozbić się o ziemię. Nadal ostrzeliwali teren z broni pokładowej i rakiet, ale zwykle nie trafiali.

W czwartek 5 czerwca lotnictwo federalne naprawdę przeszło samo siebie. MiG 17 z zimną krwią zestrzelił w biały dzień wyraźnie oznakowany samolot Czerwonego Krzyża. W świetle praw Konwencji Genewskiej i niepisanych praw lotnictwa było to największe przestępstwo, jakie może popełnić pilot jakichkolwiek sił powietrznych. Za sterami DC-6 Czerwonego Krzyża siedział Amerykanin, weteran II wojny światowej i wojny koreańskiej, kapitan David Brown.

Prawie nie mieści się to w głowie, ale niektórzy brytyjscy dziennikarze usiłowali usprawiedliwić lub zminimalizować ten postępek. Jeden z nich w niedzielnym dodatku kilka dni później doniósł, że pilot myśliwca podczas długiej rozmowy radiowej z kapitanem Brownem kilkakrotnie rozkazał mu lądować na nigeryjskim lotnisku i zestrzelił go dopiero wtedy, gdy tamten z uporem odmawiał. Jest to kompletny nonsens z trzech powodów:

1. Myśliwiec MiG 17 komunikuje się z bazą lub innym myśliwcem w powietrzu na ustalonym zakresie fal, na który jest ustawiony jego przełącznik kanałów. Nie może „zmienić zakresu” jak radiotelegrafiści samolotów transportowych, którzy dysponują wszechstronniejszymi radiami. Zwyczajem pilotów Czerwonego Krzyża i JCA było codzienne zmienianie zakresów po wcześniejszych ustaleniach z wieżą kontrolną. Ani razu piloci samolotów z pomocą humanitarną nie znaleźli się na tym samym kanale co piloci myśliwców nigeryjskich. Co więcej, nic nie wiadomo o systemie sygnalizacji ręcznej, za pomocą której pilot lecący skrzydło w skrzydło z drugim samolotem mógłby poinstruować pilota przejętej maszyny, by zmienił kanał w celu nawiązania łączności. Gdyby nawet taki system istniał, niezmiernie wątpliwe, czy operator radiowy samolotu transportowego znalazłby zakres fali MiG-a.

2. Jest coś takiego, jak międzynarodowy system sygnalizacji ręcznej, dzięki któremu po interwencji w powietrzu pilot może dać znać innemu pilotowi, że ten został przejęty i ma robić to, co mu się każe. Taki system jest używany od przypadku do przypadku, gdy wysyła się w powietrze maszynę, aby pilotowała w bezpieczne miejsce samolot, któremu wysiadło



radio. Systemu tego używały myśliwce domagające się od przejętego samolotu transportowego, aby wylądował na wskazanym lotnisku - na przykład miało to miejsce w wypadku samolotów liniowych, które wyszły poza powietrzny korytarz berliński i zostały przejęte przez sowieckie MiG-i. Pilot samolotu transportowego, otrzymawszy sygnał zmiany lotniska, odmawiając wypełnienia tego polecenia musiałby być wariatem albo samobójcą. Kapitan Brown nie był ani jednym, ani drugim. Znane jest wśród lotników powiedzenie: „Są starzy piloci i śmiali piloci, ale nie ma starych śmiałych pilotów”. Kapitan Brown był starym pilotem z ćwierćwiekowym doświadczeniem. Znał procedury i wiedział, jak należy się zachowywać. Gdyby wylądował na przykład w Port Harcourt, jego ładunek okazałby się nieszkodliwymi 10 tonami mleka w proszku oraz suszonego dorsza i po okresowym pobycie w areszcie pilot w wyniku działań własnego rządu albo MCK zostałby zwolniony. Wiedział o tym.

3. Jest nie do pomyślenia, by pilot z jego doświadczeniem, kiedy tylko został przejęty i usłyszał nakaz zmiany portu przeznaczenia, nie pisnął słówką swojej wieży kontrolnej o tym, co się stało. Dla każdego pilota jest jasne jak słońce, że w takich okolicznościach pierwszym krokiem jest poinformowanie własnej wieży kontrolnej o zaistniałej sytuacji i działaniach, jakie się w związku z tym wykonuje. Pracownicy wieży kontrolnej w Fernando Póo są przekonani, że kapitan Brown nigdy nie zszedł z częstotliwości, na której łączył się z nimi.

\*

Oto, co wydarzyło się naprawdę. O 17<sup>38</sup> tego czwartkowego wieczoru kapitan Brown wyleciał z ładunkiem z Fernando Póo. W jego załodze byli dwaj Szwedzi - drugi pilot oraz mechanik pokładowy - i z tyłu Norweg odpowiedzialny za załadunek i wylądunek. Jego samolotem był DC-6, biały od dziobu do ogona. Na górnej i dolnej płaszczyźnie każdego skrzydła namalowano dwa czerwone krzyże, każdy długości 8 stóp. Krzyże ozdabiały też po obu stronach kadłub i każdą stronę statecznika pionowego. Było niemal niemożliwością wyraźniej oznaczyć samolot.

Jeśli popełnił jakiś błąd, był nim zbyt wczesny odlot do Biafry. Na nieskazitelnie niebieskim niebie bez chmurki słońce stało wysoko nad horyzontem. Samoloty z São Tomé zwykle wyruszały o tej porze, gdyż miały przed sobą długą podróż i nad wybrzeżem białafrańskim zjawiały się po 19<sup>00</sup>, tj. po zmierzchu. W Afryce jest on bardzo krótki. W lipcu światło zaczyna przygasać około 18<sup>00</sup>, a po 19<sup>00</sup> jest ciemno. Ale wyruszając z Fernando Póo miał przed sobą znacznie krótszą podróż (tylko 60 mil) i zjawił się nad wybrzeżem około 18<sup>00</sup> przy idealnym świetle dziennym.

Popełnił więc błąd, chociaż... łatwo być mądrym po fakcie. Podobnie jak pozostali

piloci, chciał wykonać możliwie najwięcej przelotów do Uli i z powrotem w ciągu jednej nocy. Trzy inne samoloty wiozące pomoc humanitarną z Fernando Póo były w tym czasie w powietrzu.

O 18<sup>03</sup> wieża kontrolna w Fernando Póo i piloci samolotów Czerwonego Krzyża będących w drodze usłyszeli Browna. Nie nadał sygnału wywoławczego, tylko mówił zdenerwowany, podniesionym głosem: „Jestem atakowany... jestem atakowany!” Wyłączył nadawanie, zapadła chwila ciszy i wieża w Fernando Póo usłyszała coś niezrozumiałego. Poprosiła o identyfikację. Po pół minucie głos odezwał się znowu. „Silnik się pali... spadam...” Zaległa cisza. Nikt nigdy nie usłyszał już głosu kapitana Browna.

Jego samolot runął płonąć w bagna koło Opobo, blisko wybrzeża. Początkowo mówiono, że trzech ludzi z czteroosobowej załogi przeżyło, potem ogłoszono, że wszyscy zmarli. Rządy USA i Szwecji wystosowały protesty z powodu incydentu i zażądały wydania ciał swoich obywateli. Nie naciskały jednak w tej sprawie, również protesty były umiarkowane w tonie.

Dla każdego pilota latającego nad wybrzeżem jedno było całkowicie jasne i śledztwo to potwierdziło: Amerykanin, dwaj Szwedzi i Norweg zostali zamordowani. Następnym nasuwającym się pytaniem było: kto dokonał morderstwa? Początkowo myślano, że to jakiś Niemiec Wschodni, potem krążyły plotki, iż to Nigeryjczyk latający MiG-iem.

Świat lotników to dziwny świat. Ma własne prawa, własny kodeks i własną sieć informacyjną. Lotników, tak jak ludzi morza, wiąże braterstwo. Piloci, którzy walczyli przeciw sobie, mogą usiąść razem po latach i bez wrogości obgadywać stare czasy w sposób nie spotykany w żadnej innej formacji. Jest całkiem możliwe, że piloci wożący pomoc humanitarną wypiliby kiedyś piwo z najemnikiem siedzącym za sterami bombowca krążącego nad Uli; on wykonywał swoje zadanie, oni - swoje. To wszystko. Na peryferiach świata transportu lotniczego, zamieszkanym przez ludzi, którzy za słuszną cenę wozili wiele dziwnych towarów i pasażerów na przedziwne lotniska, niewiele jest wrogości spowodowanej minionymi zadaniami i dawną konkurencją. Jest też mało niewiadomych. Rzadko się zdarza stanąć w grupie pilotów, wspomnieć nazwisko jakiegoś „latającego najemnika” weterana i nie spotkać nikogo, kto by o nim słyszał.

W ciągu dwóch tygodni piloci Czerwonego Krzyża i JCA mieli nazwisko człowieka, który zestrzelił kapitana Browna. Był to australijski najemnik. Kilku kolegów kapitana Browna przysięgło, że któregoś dnia dopadną Australijczyka. Złamał ostatnią zasadę niesłuchanie tolerancyjnego bractwa. Zestrzelił pilota nie dając mu szansy, a to było niewybaczalne.

Wszystko to oczywiście działo się w zamkniętym klubie lotników. Na zewnątrz obserwatorzy czekali, jaka będzie reakcja na ten wyraźny akt brutalności nigeryjskich sił powietrznych, które już miały ręce okrwawione po łokcie. Czy USA zaprotestują, że Nigeryjczycy posunęli się za daleko i następnie zaproponują osłonę samolotom z pomocą humanitarną? Nic takiego nie nastąpiło. Czy Szwedzi zaprotestują w podobny sposób? Było to poważnie dyskutowane w Szwecji, ale rząd w Sztokholmie zadowolił się formalnym protestem i pozwolił sprawie umrzeć w sposób naturalny.

Nikt nie obserwował reakcji świata dokładniej niż rząd nigeryjski. Podobnie jak wszystkie zbiry sondował, jak daleko może się posunąć. Jeśli uda mu się to, co zamierzał, nie będzie sprzeciwów. A jeśli z drugiej strony ktoś stawi mu czoło i mając za sobą siłę powie jasno i wyraźnie, że jego zdaniem posunął się wystarczająco daleko, zwykle zbir położy uszy po sobie. Wtedy Afrykańczycy będą szanować pilnującego porządku i potępią zbira. Krótko mówiąc, tak reagują ludzie na całym świecie, co dosadnie udowodniły lata 1935-1939 w Europie.

Generał Charles de Gaulle rozumiał to. Dlatego miał doskonałe stosunki z Afrykańczykami i był przez nich bardzo szanowany. Rządy brytyjski i amerykański tego nie pojmują i dlatego są traktowane z pogardą w całej Afryce. Żadną sumą dolarów ani funtów wydanych na pomoc humanitarną nie zdobędą takiego szacunku, jakim Afrykańczycy obdarzą człowieka gotowego stanąć w obronie swoich podstawowych przekonań.

W ciągu sześciu dni rząd nigeryjski jasno zdał sobie sprawę, że pogwałcenie prawa, jakiego się dopuścił 5 czerwca, uszło mu na sucho i może dalej tak postępować. Nadal więc poniżał Międzynarodowy Czerwony Krzyż, udaremniając jego akcje. Wspomagała go w tym później ambasada amerykańska w Lagos.

W dzień po zestrzeleniu samolotu genewska centrala MCK nakazała tymczasowe zawieszenie akcji. Następnie odbyła się klasyczna kampania psychologiczna, mająca na celu podważenie morale grupy ludzi dążących do określonego celu. Powiodła się idealnie.

Czerwony Krzyż w Genewie spodziewał się - i miał prawo się spodziewać - że po incydencie z samolotem rządu Zachodu udzieli mu poparcia. Nie otrzymał żadnego. W Kotonu koordynator akcji, doktor Lindt, nalegał na wznowienie transportów powietrznych. Dowodził, że nie ma potrzeby latać w dzień, jak to czynił kapitan Brown; można z powodzeniem kontynuować nocne akcje, co zresztą robi Joint Church Aid.

Prawdę mówiąc, w wyniku wydarzeń z 5 czerwca JCA ograniczyła loty do kilku każdej nocy. Przyczyną zaniepokojenia pilotów nie było zestrzelenie kapitana Browna, ale działalność MiG-ów, które ostrzeliwały Uli w ciemności. Impas został przełamany dzięki

żelaznej woli Vigo Mollerupa, duńskiego pastora z kopenhaskiej parafii biedoty, przewodniczącego Nord Church Aid odpowiedzialnej za most powietrzny z São Tomé. Znaczącą rolę odegrała tu także niepospolita osobowość pułkownika lotnictwa duńskiego, Denisa Wiechmanna, szefa operacyjnego na São Tomé. Pastor Mollerup stałe kursował między swoimi parafianami, kolegami z Caritasu i Światową Radą Kościołów w Genewie. Nalegał ile sił o nierezygnowanie z mostu powietrznego z powodu jednego incydentu. Pułkownik Wiechmann w mesie pilotów na São Tomé namawiał pilotów do wznowienia rejsów. Do 10 lipca dużym wysiłkiem udało się powrócić do poprzedniej normy - osiem, dziesięć samolotów każdej nocy odbywało dwa loty tam i z powrotem.

10 czerwca doktor Lindt wrócił do Moskwy, gdzie poprzednio był ambasadorem Szwajcarii. Przyjechał po rzeczy i meble, które czekały nań jedenaście miesięcy od jego pospiesznego wyjazdu po pamiętnym telefonie z Czerwonego Krzyża. Zostawił instrukcje szefowi operacyjnemu w Kotonu, Nilsowi Wachtmeistrowi. Po serii ostrożnych lotów próbnych należało stopniowo odbudować most powietrzny Czerwonego Krzyża. Doktor Lindt uczynił kilka zastrzeżeń: samoloty mogą startować wyłącznie po zmierzchu, nawet gdyby oznaczało to rezygnację z jednego rejsu; należy też podjąć nadzwyczajne środki ostrożności podczas lądowania i startu w Uli, ograniczając do minimum czas włączenia świateł.

10 czerwca islandzki pilot latający dla Czerwonego Krzyża z Kotonu własnym samolotem, kapitan Lofto Johanssen, odbył dwa rejsy do Uli w ciągu jednej nocy i nie przydarzyło mu się nic złego. 12 czerwca zgodnie z rozkładem odbył dwa kolejne rejsy, po których zamierzano wrócić do pełnego programu.

Wieczorem tego dnia szefowie Joint Church Aid konferujący w Lucernie, Szwajcaria, otrzymali tajemniczy telefon z ambasady amerykańskiej w Genewie (upewniono się telefonicznie, czy wiadomość nie jest jakimś szwindlem). Słowa świadczącymi o jak największej trosce nalegano na JCA, by wstrzymała loty tej nocy. Nie ujawniono powodu owych nalegań, ale miało to być coś niezmiernie poważnego.

Po pospiesznej konsultacji czterej szefowie organizacji obecni na konferencji ustalili, że prześlą do São Tomé polecenie skreślenia wszystkich lotów tej nocy, ale zażądali od Amerykanów, aby w ciągu dwunastu godzin poinformowali o przyczynie tego żądania.

Nord Church Aid wysłała przez Międzynarodową Obsługę Lotniczą Wież Kontrolnych teleks oznaczony klauzulą pierwszej kolejności. Nic dziwnego, że gdy pułkownik Wiechmann go otrzymał, odniósł wrażenie, że to sygnał alarmowy. Wystartowało dotychczas siedem maszyn i wszystkie otrzymały nakaz powrotu. Jedna wylądowała już w Uli, dwie były blisko lotniska i załogi zdecydowały, że za późno na powrót, więc poleciały dalej i wylądowały.

Pozostałe wróciły do bazy i zrezygnowały z drugiego lotu. Trudno sobie wyobrazić większy cios dla już nadwątlonego morale pilotów.

Następnego rana Amerykanie wyjaśnili wieczorną panikę stwierdzeniem, że chodziło o „pewne polityczne kłopoty w Kotonu”. Pastor Mollerup odparł szorstko, że nie mogło to mieć żadnego związku z mostem powietrznym JCA z São Tomé.

Kolejny raz pułkownik Wiechmann odbudował połączenie. Tymczasem dokładnie taka sama alarmująca wiadomość dotarła przez ambasadę USA w Genewie do Czerwonego Krzyża. Również ta organizacja odwołała nocne loty i Lofto Johanssen pozostał na ziemi. Akcja została wstrzymana; dopiero kilka miesięcy później Czerwony Krzyż zorganizował parę transportów lekarstw.

W Genewie po wydarzeniach z 12 czerwca zastanawiano się, czy kontynuować transporty powietrzne, czy nie. W następnych tygodniach obie organizacje pomocy humanitarnej, zaintrygowane owymi wydarzeniami, przeprowadziły własne śledztwa. Chciały się upewnić, czy w razie kontynuacji transportów czekają je dalsze fałszywe informacje o nieokreślonych niebezpieczeństwach. Niezależnie od siebie wykryły źródło wiadomości - była nim ambasada amerykańska w Lagos.

Tymczasem kolejny cios trafił Czerwony Krzyż. 14 czerwca doktor Lindt wrócił do Afryki Zachodniej, próbując odbudować akcję, którą z takim mozołem sklecił w poprzednich miesiącach. Na lotnisku w Lagos wpakowano go do aresztu. Pozornie przyczyną było lądowanie prywatnym Beechcraftem bez właściwych dokumentów (w istocie były w idealnym porządku). Po kilkugodzinnym zatrzymaniu został uznany za *persona non grata* i wydalony.

To ostateczne poniżenie złamało chęć Genewy do niesienia dalszej pomocy. Usiłowała wynegocjować zgodę na wznowienie działalności, ale każdy wiedział, że to daremne próby. Jeden z wyższych pracowników Czerwonego Krzyża, zaangażowany przez cały czas w operację pomocy w Biafrze i Nigerii, kilka miesięcy później powiedział autorowi: „Nie mam cienia wątpliwości, iż byliśmy celem świadomie uknutego spisku, zawiązanego w Lagos między Nigeryjczykami i ambasadą amerykańską. Udał im się na medal”.

Jednakże z tego samego źródła dowiedziałem się, że nawet gdyby nie został zestrzelony samolot organizacji, to samo odejście doktora Lindta wystarczyłoby, aby położyć kres działalności Czerwonego Krzyża w Nigerii i Biafrze. Ten niezwykle człowiek stworzył całą akcję, czuwał nad nią, swoimi argumentami i staraniami przeprowadził ją przez wiele raf. Jego surowy wygląd i szorstkie maniery kryły głęboką i szczerą troskę o cierpiących, których widział po obu stronach linii frontu. Mimo zaawansowanego wieku wkładał w sprawę więcej

energii, niż potrafiłoby wykrzesać jej z siebie mnóstwo młodszych ludzi. Miał zaciekle wrogów w Nigerii. Nie godząc się na rabowanie magazynów z pomocą humanitarną, którego dopuszczali się oszuści pracujący na własny rachunek, ani na oddawanie transportów w ręce wojska, wykurzył specjalistów od prowizji i chłopaczków żyjących z łapówek; w ten sposób zapewnił maksymalny dopływ żywności głodnym dzieciom i wysiedleńcom po nigeryjskiej stronie frontu.

Nie jest wcale pewne, czy reżim nigeryjski ośmieliłby się poniżyć i wyrzucić szefa MCK, a także polecić tej organizacji przekazanie całej akcji pomocy skorumpowanym Nigeryjczykom, gdyby nie uszło mu na sucho zestrzelenie kapitana Browna.

Od tej pory mówiło się, że MCK sprzeniewierzył się dwóm stronom, wobec których miał zobowiązania - cierpiącym w Biafrze i Nigerii oraz darczyńcom liczącym na to, że kupiona za ich pieniądze żywność uratuje wiele ludzkich istnień, zamiast gnić w magazynach, ile przecież w decydującej chwili MCK został zdradzony przez dwa zachodnie rządy, brytyjski i amerykański, po których mógł się ze wszech miar spodziewać niezachwianego poparcia, pozostając największą na świecie, całkowicie neutralną organizacją charytatywną.

Tymczasem ani z Whitehall, ani z Waszyngtonu nie padło ani jedno słowo poparcia dla misji MCK w Nigerii i Biafrze. Prawdę mówiąc, rząd brytyjski, który nie kiwnął palcem, aby uwolnić z Biafry pannę Sally Goatcher (jej oswobodzenie nastąpiło dzięki staraniom Kościołów i Czerwonego Krzyża), groził mętnie, że jakakolwiek uczyniona jej krzywda pociągnie za sobą straszliwe następstwa, ale nie zdołał wykrztusić słowa potępienia morderstwa kapitana Browna i trzech członków jego załogi.

Najwyższa nagroda w dziedzinie złego smaku winna przypaść „Daily Telegraph”. W numerze z 8 lipca w artykule wstępnym padły słowa: „Coraz bardziej skuteczne federalne siły powietrzne, usiłując powstrzymać loty z transportami broni, zestrzeliły - jak się później okazało - samolot z pomocą humanitarną, czego białrańska propaganda nie omieszkała zaraz wykorzystać”. Po takim komentarzu można się zastanowić, kogo spotkało większe nieszczęście - czterech lotników, którzy znaleźli grób w bagnach, czy najemnika, który ich zestrzelił.

17 czerwca podjęto ostateczną próbę zniweczenia wysiłków JCA zmierzających do odbudowy mostu powietrznego. Do Genewy dotarły bardzo głośne plotki ze źródeł amerykańskich. Nigeria ponoć kupiła dwa nocne myśliwce Su-7 wyposażone w radar. Ich zadaniem miałyby być wyłapywanie i zestrzeliwanie w ciemności samolotów z pomocą humanitarną. Ta plotka była także szeroko kolportowana w prasie. Szybkie śledztwo przeprowadzone przez centralę MCK w Genewie wykazało, iż również ta informacja

pochodziła z ambasady amerykańskiej w Lagos. Tymczasem Vigo Mollerup miał dosyć amerykańskich plotek i powiedział pułkownikowi Wiechmannowi, żeby wziął się do pracy. Plotki okazały się fałszywe. Nigdy żaden nocny myśliwiec Suchot nie latał w Nigerii. Ambasada amerykańska, dla której pracowała w Nigerii niezmiernie rozbudowana siatka CIA, musiała być o tym doskonale poinformowana.

Dla Biafry zawieszenie transportów powietrznych z żywnością oznaczało szybką katastrofę. Dwie główne agencje pomocy humanitarnej miały w sumie dostawy na jakieś dziesięć dni. Dostarczały pomocy w różnej formie blisko 3 milionom osób dziennie. Gdy Czerwony Krzyż wstrzymał akcję i liczba lotów JCA została okrojona, pomoc od razu zmniejszyła się o połowę.

Większość dzieci, podtrzymywana codziennie przy życiu dzięki żywności z pomocy humanitarnej, była już u kresu sił. Nie miała jakichkolwiek rezerw fizycznych, które pozwoliłyby jej przetrwać kolejny długi okres głodu lub braku białka. W ciągu tygodnia wskaźnik zgonów zaczął znowu iść w górę.

Po raz drugi misjonarze, katolicy i protestanci, stanęli przed rozdzierającym dylematem: czy odjąć tym dzieciom, które były tak ciężko chore i osłabione, że ich szansa na przeżycie sięgała zera, i zwiększyć w ten sposób szansę przeżycia pozostałych, czy też przede wszystkim pomóc najbardziej potrzebującym, wiedząc, że inne wkrótce osiągną ten sam stan? Obie grupy kościelne doszły do tego samego wniosku - żywność powinna najpierw być stosowana leczniczo, potem zapobiegawczo. Przy niewielkich zapasach i małych dostawach rozdawano ją w tak skąpych ilościach, że niebawem wszędzie dało się zauważyć osłabienie dziecięcej populacji.

Od tego momentu trudno było już na dobrą sprawę mówić o różnicy między uchodźcami i nieuchodźcami, co mogło jeszcze mieć miejsce jesienią 1968 r. Do sierpnia 1969 r. prawie wszystkie dzieci w kraju cierpiały takie czy inne skutki niedożywienia. Większość dorosłych również. Letarg i zubożenie, stali towarzysze głodu i anemii, pojawiły się na szeroką skalę. Liczba zgonów znowu zaczęła się pięć i u schyłku lipca była oceniana na tysiąc przypadków dziennie. Pod koniec roku odbudowany most powietrzny JCA pomógł powstrzymać tę falę, chociaż według zgodnych danych jeszcze do listopada doliczano się 500 do 700 przypadków śmiertelnych dziennie.

Od 20 czerwca most powietrzny znowu stał się tym, czym był w maju. Nastąpiło to z (jak się wydawało) ślimaczą prędkością. Tym razem obywno się bez rozgłosu. Władze JCA nigdy nie wspomniały, ile wynosi ogólna waga transportów, lękając się, że mogłoby to sprowokować kolejne kroki odwetowe Lagos. Dopiero w październiku dostawy zaczęły

przekraczać całkowitą objętość tego, co JCA sprowadzała w maju. W porównaniu z dawną sumą dostaw JCA-MCK była to zaledwie ponad połowa, znacznie poniżej wymaganego minimum.

Oprócz osobowości Vigo Mollerupa i pułkownika Wiechmanna jeszcze dwa czynniki zadecydowały o podjęciu lotów przez zdemoralizowanych pilotów. Jednym z nich był przykład pilotów Africa Concern, jak i Francuskiego Czerwonego Krzyża latających do Uli z Libreville. Africa Concern, prywatne towarzystwo z siedzibą w Dublinie, założone w 1968 r. przez ojca Raymonda Kennedy'ego, reprezentowało wkład narodu irlandzkiego w pomoc dla Biafry i prowadziło samotną akcję powietrzną ze stolicy Gabonu, dysponując jednym DC-6. Podobnie postępował Francuski Czerwony Krzyż, który mając jeden zespół w ramach MCK, jednocześnie działał samodzielnie, korzystając z samolotu startującego z Libreville. Zarówno belgijscy piloci działający w ramach Africa Concern, jak i *commandant* Morencey pracujący dla Francuskiego Czerwonego Krzyża latali nie niepokojeni podczas całego kryzysu. Obserwując ich działalność piloci w São Tomé stawiali sobie pytanie: Jeśli oni mogą, czemu my nie?

Drugi czynnik być może w równej mierze dodał pewności siebie Francuzom. W Zatoce Biafrańskiej tuż przy brzegu stało na kotwicy pięć sowieckich „trawlerów”, a właściwie okrętów szpiegowskich najeżonych antenami przeszukującymi i radiowymi. Możliwe, że jedna z tych jednostek zgłosiła dwa tygodnie wcześniej lot kapitana Browna i zdążyła na czas wysłać MiG-a, który go zestrzelił. Gdy piloci z São Tomé lecieli o zmierzchu nad tą flotyllą, zauważyli pośrodku francuski lotniskowiec. Jego pokład zapełniały myśliwce odrzutowe.

Jednostka składała rutynową wizytę grzecznościową w Libreville, gdy zaczęły się wszystkie kłopoty. Bez hałasu, spokojnie odpłynęła z Libreville i na dwa tygodnie zarzuciła kotwicę między São Tomé i Biafra. Widok stojącego tam i czekającego (na co?) okrętu niezmiernie pokrzepił pilotów z pomocy humanitarnej. 20 czerwca MiG-i nagle zaprzestały nocnych lotów i ostrzeliwania lotniska. Nigdy więcej nie podjęły lotów przeciwko mostowi powietrznemu JCA.

Podczas gdy Kościoły bez żadnego szumu ratowały ludziom życie, na pierwszych stronach gazet omawiano problemy MCK. Reżim nigeryjski, pokonawszy z założonymi rękami Czerwony Krzyż, mógł dyktować warunki i wykorzystał tę sytuację. Między innymi zażądał przekazania całej akcji pomocy humanitarnej w Nigerii w ręce Nigerian Rehabilitation Commission. Do tej pory w Nigerii wśród ofiar wojny działało 1400 zagranicznych pracowników Czerwonego Krzyża.



Czerwony Krzyż, pozbawiony wsparcia Wielkiej Brytanii i Ameryki, był zmuszony ustąpić. W związku z tym dotacje z zewnątrz na pomoc humanitarną w Nigerii zmalały zgodnie z przewidywaniami. Tymczasem Czerwony Krzyż nieśmiało usiłował wynegocjować pozwolenie od władz federalnych na odbudowę mostu powietrznego.

W środę 25 czerwca wódz Awolowo oświadczył, że zagłodzenie to broń dozwolona przez prawo i że jest przeciwny dostawom żywności dla secesjonistów („The Times”, artykuł wstępny, 28 czerwca 1968 r.). Następnego dnia szef sztabu armii, brygadier Hassan Usraan Katsina, powiedział: „Osobiście nie karciłbym nikogo, z kim walczę” (ibid.).

Znaczące, że opinie tych ludzi, z których szczególnie ten drugi miał większy wpływ na rozwój wypadków w Nigerii niż dwudziestu generałów Gowonów, kompletnie uszły uwagi rządu brytyjskiego i prasy. 6 lipca po spotkaniu w MSZ w Londynie między Maurice’em Foleyem, ministrem stanu Wspólnoty Narodów, Okoi Arikpo, nigeryjskim komisarzem do spraw zagranicznych, i profesorem Jacques’em Freymondem, p.o. prezesa Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża [MKCK], MSZ wydało oświadczenie, że ta trójka osiągnęła „całkowite porozumienie” w sprawie dziennych transportów lotniczych żywności do Biafry. Samoloty Czerwonego Krzyża miałyby latać z Lagos, dokąd dostarczano by wszelką żywność z pomocy humanitarnej.

Był to niezwykle wredny numer. Profesor Freymond poleciał do domu wieczorem 6 lipca i dowiedział się o oświadczeniu dopiero z nagłówek prasy brytyjskiej dostarczanej do Genewy około dziewiątej rano. Poprzedniego wieczora nie przygotowano żadnego wspólnego dokumentu i brytyjskie MSZ działało całkowicie na własną rękę. Z Genewy MKCK zaprotestował gwałtownie, oświadczając, że wzmiankowana trójka nie osiągnęła żadnego porozumienia.

W istocie był to anglo-nigeryjski plan, który Czerwony Krzyż miał przekazać generałowi Ojukwu i rządowi biafrańskiemu. Twierdzenie, że Czerwony Krzyż zaakceptował ów plan bez żadnej konsultacji z Biafrańczykami, ciężko skompromitowało organizację tuż przed negocjacjami.

Nie powstrzymało to Michaela Stewarta, przemawiającego 7 lipca w Izbie, od obciążenia generała Ojukwu całą odpowiedzialnością za to, czy biafrańskie dzieci dostaną jedzenie, czy nie. Była to stała śpiewka rządu brytyjskiego. Natomiast Biafrańczycy po rozważeniu odrzucili plan przekazany im przez Czerwony Krzyż. Dałby on Lagos całkowitą i wyłączną kontrolę nad akcją pomocy humanitarnej, nie zabezpieczając Uli przed atakiem, jaki można by podjąć pod osłoną lotów z żywnością.

Czerwony Krzyż wycofał się i zaczął wszystko od początku. 19 czerwca doktor Lindt

złożył formalną rezygnację, stwarzając organizacji lepszą pozycję wyjściową do negocjacji.

1 lipca nowy prezes Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża objął urząd. Był nim Marcel Naville, bankier, członek komitetu od kilku lat. Został obrany na prezesa jakiś czas temu, ale mógł podjąć obowiązki dopiero 1 lipca. Tego dnia na konferencji prasowej w Genewie miał wyjątkowo emocjonalne i bezpardonowe wystąpienie. Skrytykował reżim nigeryjski jako „bezczelny... wskazujący filantropom drzwi jak niewiernemu służącemu”. Beształ handlarzy bronią, których dostawy napędzały maszynę wojenną, i nie wymieniając nikogo z imienia stwierdził, że w Nigerii nie ma dość ropy naftowej, aby ją przerobić na mydło, które umyłoby ręce odpowiedzialnych za nieszczęścia dotyczące kraju. Obserwatorzy odnieśli wrażenie, że Naville jest bardzo nierozważnym człowiekiem lub też ma za sobą jakieś potężne poparcie dyplomatyczne, które umożliwi mu zwycięstwo w bezpośrednim starciu z juntą w Lagos.

Z czasem się okazało, że pierwsze wrażenie było słuszne. Niestety, Naville udowodnił, iż poza brakiem rozwagi nie starcza mu również siły charakteru. W debacie, która następnie rozwinęła się w łonie komitetu, zwyciężyły bardziej nieśmiało nastawione duszyczki. Rezultatem był komunikat stwierdzający, że MKCK zastosuje się do zasad „całkowitej legalności”, co w tych okolicznościach oznaczało kompletną inercję.

Rozpoczęła się seria długich i żmudnych negocjacji. Tymczasem zastępy nigeryjskich dzieci nadal umierały. 8 lipca Naville sam przewodniczył grupie negocjatorów MKCK udającej się do Lagos. Ostentacyjnie zrezygnował z wizyty w Londynie, który miał po drodze. Wkrótce wrócił nie załatwiwszy niczego i prowadzenie rozmów spoczęło na barkach Enrico Beniamiego, najstarszego rangą członka delegacji MKCK w Lagos. Mijały tygodnie i rozmowy nie prowadziły do niczego.

4 sierpnia Czerwony Krzyż zrobił to, co powinien był zrobić na samym początku. Przedstawił własny plan kompromisowy. Zakładał on, że samoloty Czerwonego Krzyża startowałyby z Kotonu w Dahomeju, przelatywały nad Nigerią dokładnie oznaczonym korytarzem powietrznym, wylądowywały żywność w Uli i wracały innym korytarzem. Loty odbywałyby się między dziewiątą a osiemnątą i byłyby ochraniające. Zawartość transportu weryfikowałaby podczas załadunku i tuż przed startem mieszana komisja, w której skład wchodziłoby Nigeryjczycy. Gdyby mieli na to ochotę, mogliby nawet uczestniczyć w każdym locie, aby uzyskać pewność, że nie dochodzi do żadnej zamiany.

Tę propozycję, zakładającą obecność przedstawicieli Nigerii na pokładzie każdego samolotu, Ojukwu przedstawił już w lipcu 1968 r.

Plan zaprezentowano wprawdzie przywódcy Biafry. Widział w nim pewne elementy

ryzyka, wskazane również przez doradców wojskowych. Przede wszystkim po rozpoczęciu dziennych lotów JCA znalazłaby się pod ogromną presją. Domagano by się przerwania „nielegalnych” nocnych lotów. Gdyby z nich zrezygnowano i JCA przyłączyłaby się do akcji dziennej, to co by się stało, gdyby rząd w Lagos jednostronnie wypowiedział porozumienie? Pomoc zostałaby całkowicie odcięta. Po drugie, chociaż porozumienie mówiło wyraźnie, że maszyny i pas startowy byłyby nietykalne między dziewiątą a osiemnastą, kto byłby gotów zagwarantować, że federalne siły powietrzne nie złamią umowy i nie zaatakują? Taki manewr, przeprowadzony z samolotu transportowego mogącego udźwignąć szczególnie dużą bombę, zniszczyłby lotnisko. Co znaczące, żadne mocarstwo, a tym bardziej takie, które pełnym głosem zapewniało o uczciwości reżimu federalnego, nie było gotowe wziąć pod uwagę podobnych gwarancji.

Niemniej jednak, pomimo sprzeciwu w łonie swojego rządu, Ojukwu zdecydował się podjąć ryzyko. 29 sierpnia Biafra wreszcie zaakceptowała plan. Zachwycony Czerwony Krzyż zawiózł tę wiadomość do Lagos. W tym momencie trochę międzynarodowego poparcia dla organizacji zapewniłoby powodzenie owej kompromisowej propozycji. Nie otrzymała jednak żadnego. Reżim federalny odrzucił plan, wnosząc potrzebę dokonania pewnych zmian. Wtedy Czerwony Krzyż popełnił kolejny duży błąd. Powinien twardo odrzucić jakiegokolwiek zmiany proponowane przez którąkolwiek ze stron. 5 września Lagos zgodziło się „zasadniczo” na plan pod warunkiem dopracowania pewnych szczegółów technicznych. 14 września podpisało porozumienie po wprowadzeniu jednostronnych poprawek. Następnie tekst przesłano Ojukwu.

Każda organizacja konsumencka wbija do głów swoim członkom, że diabeł siedzi w przypisach. To porozumienie zawierało pięć nowych przypisów, w sposób znaczący zmieniających ducha i literę oryginału. Trzy z nich opiszemy.

Jeden skracał czas lotów do siedemnastej, co oznaczało zmniejszenie liczby samolotów o jeden-dwa dziennie. Drugi dawał wieży kontrolnej w Lagos prawo do ściągnięcia na ziemię w dowolnej chwili każdego samolotu z pomocą humanitarną, lecącego nad terytorium Nigerii, i przeprowadzenia dodatkowej inspekcji, po której jednostka musiałaby wrócić do Kotonu nie rozładowana. Trzeci stanowił, iż porozumienie w „żaden sposób nie może zaszkodzić działaniom wojennym” skierowanym przeciwko Uli.

Ostatnie dwa warunki w istocie anulowały porozumienie. Pierwszy z nich uzależniał kontynuowanie pomocy humanitarnej od wyłącznej decyzji rządu federalnego; drugi pozbawiał lotnisko w Uli nienaruszalności podczas dziennych dostaw żywności. Jak samoloty MCK miałyby lądować w Uli podczas ataku odrzutowców nieprzyjaciela, tej zagadki nikt nie

umiał rozwiązać.

Jednak 11 września inny, bardziej złowieszczy dokument wpadł w ręce MKCK w Genewie. Było to ksero rozkazu dowódcy federalnych sił lotniczych, pułkownika Shittu Alao. Dowódcy baz w Enugu, Port Harcourt, Calabarze i Beninie mieli wysyłać w dzień swoje MiG-i do „patrolowania” Uli. W razie ostrzelania powinny one odpowiedzieć ogniem. Wszystkim członkom komitetu dreszcz przeszedł po plecach.

Nie trzeba było nadmiernej wyobraźni, aby przewidzieć, że patrolujące odrzutowce będą narażone na serię jakiegoś nerwowego strzelca. Co zobaczą na ziemi? Długie, dopraszające się ataku kolumny samochodów Czerwonego Krzyża czekające na transport, parkujące na płycie lotniska samoloty, zastępy europejskich pracowników Czerwonego Krzyża. Jeden z doradców, znający mentalność Biafrańczyków, zauważył, iż atak MiG-a na taki cel w pełnym świetle dziennym spowoduje nie tylko rzeź wśród europejskiego personelu, ale doprowadzi do wściekłości Biafrańczyków, którzy obrócą swój gniew przeciwko pracownikom Czerwonego Krzyża. W takim przypadku - doradca oznajmił komitetowi - odpowiedzialność spadnie na Genewę.

Pod koniec września komitet niemal z westchnieniem ulgi przyjął wiadomość, iż Biafrańczycy odrzucili zmienione porozumienie. I tak sprawa zawisła w próżni do ostatnich dni 1969 r. Kościoły kontynuowały nocne loty i pod koniec 1969 r., wożąc coraz większe ładunki i mając coraz więcej samolotów, podniosły całkowity tonaż z początkowych 150 ton na dobę w lipcu do prawie 200 ton w grudniu.

W gruncie rzeczy cały plan dziennych lotów, jego powodzenie lub krańcowa i niewykluczone, że krwawa porażka - zależały nie od gwarancji Lagos, ale od uczciwości federalnych sił lotniczych. Były to te same siły powietrzne, których brutalne naloty na targi, szpitale, kliniki, obozy uchodźców i miasteczka wstrząsnęły światem; te same siły, które raz po raz łamały zawieszenie broni, ogłoszone przez samego generała Gowona, i które wreszcie przeszły same siebie zestrzeliwując z zimną krwią nie uzbrojony samolot transportowy Czerwonego Krzyża.

Generała Ojukwu kolejny raz oskarżono o szafowanie życiem swoich rodaków dla zagrywek politycznych. Ten oklepany chwyt nadal był w użytku Whitehall i Waszyngtonu. Oskarżenie nie miało zbytniego sensu. Generał Ojukwu, odmawiając zgody na plan dziennych lotów, znów stał się celem ataków. Człowiek chętny do zagrywek politycznych działałby zupełnie inaczej, szukałby uznania w oczach świata, a nie potępienia. Ojukwu kierował się nie jedną, ale dwiema przesłankami. Po pierwsze, miał na względzie bezpieczeństwo Biafry. Dla Biafrańczyków była to sprawa podstawowa, a lotnisko Uli grało

tu zasadniczą rolę. Z bezpieczeństwem szła kwestia pomocy i większość Biafrańczyków akceptowała taką kolejność priorytetów.

Tragedia Czerwonego Krzyża w 1969 r. polegała na tym, że nie udało mu się zrozumieć dwóch stałych czynników sytuacji w Nigerii i Biafrze. Pierwszy polegał na tym, że Ojukwu nie mógł ryzykować narodowego bezpieczeństwa nawet na rzecz dostaw żywności; drugi to ten, że dowódca nigeryjskich sił zbrojnych, który stał za plecami rządu i kontrolował sytuację, pozwoliłby na transport żywności do Biafry tylko na warunkach, które dawałyby mu wyraźną przewagę militarną.

### WSPARCIE AMERYKANÓW

Trudno sobie wyobrazić bardziej hojnych i współczujących ludzi niż obywatele Stanów Zjednoczonych. Nieprzypadkowo więc, gdy tylko prasa ukazała cierpienia dzieci po obu stronach linii frontu, Amerykanie udzielili wsparcia większego niż wszystkie pozostałe kraje, nawet licząc *pro rata*.

Niemniej jednak rząd USA, kierowany nieczułą ręką MSZ, z uporem popierał Nigerię, nie przejmując się liczbą ofiar, którą pociągała za sobą wojna. Przyczyna tej dziwnej dychotomii płynie z jednego prostego faktu: każdy cent wydany przez rząd amerykański na pomoc cierpiącym dzieciom musiał być niemal dosłownie wyduszany z władz w wyniku presji opinii publicznej.

Do chwili zakończenia akcji Czerwony Krzyż otrzymał z Waszyngtonu w gotówce i darach ponad 19 milionów dolarów. Do końca 1969 r. JCA dostała w tej samej formie około 60 milionów dolarów pomocy. Suma wsparcia udzielonego przez USA przekracza połowę globalnej kwoty.

Większość pomocy udzielono w towarach; posłano ogromne ilości CSM [Corn-Soya-Milk - połączenie płatków zbożowych, soi i mleka, znane też pod nazwą Formuła Two], nowego produktu w postaci lekkiej mączki, którego jedynym producentem były Stany Zjednoczone. Przewóz przez Atlantyk opłacono gotówką. Cztery Mc Stratofreightery (początkowo była mowa o Globemasterach, ale okazały się za ciężkie) sprzedano MKCK i Kościołom za cenę nominalną 3800 dolarów za sztukę. Koszty przelotu tych samolotów i ich utrzymania pokryto w dolarach, a późniejsze opłaty za transporty amerykańskie przekazywane nieamerykańskimi maszynami również wyrównała Ameryka.

Dodawało to niezmiernej otuchy wszystkim tym, którzy wiedzieli, że każdy worek żywności i każdy dolar oznaczają szansę przeżycia dla kolejnej grupki dzieci, w innym przypadku skazanych na śmierć. Natomiast amerykańskie MSZ ociągało się, jak tylko mogło,

podczas całej akcji.

Wysyłania darów nigdy nie uzależniano od potrzeb lub dramatyzmu sytuacji; było ono po prostu spowodowane lękiem przed wewnętrzną presją. Równocześnie nie chciano drażnić reżimu w Lagos. Dlaczego potężne amerykańskie MSZ czuło się skępowane wobec tych nie znaczących demagogów, to zapewne na zawsze pozostanie tajemnicą.

Mimo odważnych słów wypowiedzianych we wrześniu 1968 r. prezydent Richard Nixon po dojściu do władzy w ogóle się nie przyczynił do zwiększenia pomocy dla Biafry. Dary były wynikiem nacisku ze strony prasy, kongresmanów i senatorów oraz wielu wpływowych osobistości życia publicznego. Nawet sprzedaż ośmiu samolotów transportowych była jednym z ostatnich dekretów ustępującego prezydenta Johnsona.

Na początku 1969 r. doktor Clarence Clyde Ferguson, profesor prawa na Uniwersytecie Rutgera, Murzyn, został mianowany nadzwyczajnym koordynatorem Nigeria Relief [Pomoc Nigerii]. Przez resztę roku on sam i jego zespół marnotrawili własny i cudzy czas, lecz udało się im osiągnąć wyjątkowo mało. Po zestrzeleniu kapitana Browna, gdy zwiększenie liczby lotów JCA miało podstawowe znaczenie (nie były one idealnym rozwiązaniem, ale przynajmniej dawały jakie takie wyniki), doktor Ferguson zaczął pomniejszać sens transportu powietrznego. Trwonął energię na przepchnięcie swojego ukochanego programu - posłużenie się dwoma desantowcami, które miałyby dowozić żywność rzeką Cross do Biafry.

Teoretycznie plan wydawał się sensowny i dwa desantowce, „Donna Mercedes” oraz „Donna Maria”, przepłynęły Atlantyk i znalazły się w Lagos. Gdy generał Ojukwu zaakceptował tę propozycję, Nigeryjczycy zajęli odmienne stanowisko. Za wymówkę posłużył sprzeciw marionetkowego rządu ustanowionego przez nich w Calabarze w południowym biegu rzeki Cross. Desantowce zakończyły karierę, pełniąc bliżej nie określone obowiązki w okupowanym przez Nigeryjczyków Port Harcourt. A poza tym doktor Ferguson pałętał się po Afryce Zachodniej, latał tam i z powrotem do Nigerii i Biafry, do Europy i Waszyngtonu. Raz usiłował przeforsować własny plan dziennych lotów, ale udało mu się nie poinformować o tym Czerwonego Krzyża, który akurat negocjował ten pomysł.

Prawdziwą pracę wykonali Amerykanie w Joint Church Aid. Rząd USA realizował pomoc poprzez trzy główne agencje: USA AID (MSZ), UNICEF (ONZ) i JCA/USA. Ta ostatnia zdobyła i przekazała najwięcej środków.

Osoby z JCA/USA, będące łącznikami z MSZ w sprawie lokalizacji transportów, jasno dały później do zrozumienia dziennikarzom, że gdyby nie naciski na MSZ, to z radością wstrzymałoby ono całą pomoc. Na szczęście nie pozwolono mu na to. Jednak musiano ostro

przyprzeć do muru pewne „sługi” narodu amerykańskiego, działające w Lagos i Genewie. Nie ma cienia wątpliwości, że Amerykanie nic nie wiedzieli o tych podłych błaznach, bo gdyby było inaczej, zostaliby oni pozbawieni wpływów.

W samym MSZ trzy różne wydziały zajmowały się sprawą Nigeria-Biafra. Jednym z nich był Wydział Nigeryjski podległy Wydziałowi Afryka Zachodnia i gęsto zaludniony kolegami eks-zastępcy wiceministra do spraw Afryki, Josepha Palmera. Palmer, niegdyś ambasador w Nigerii, długo był zdecydowanym popiecznikiem tego państwa, nie bacząc na fakt, że od czasu jego służby stoczyło się ono do poziomu zwykłej dyktatury. Nic więc dziwnego, że Wydział Nigeryjski, nawet pod nieobecność Palmera (w 1969 r. został ambasadorem w Libii), był silnie pronigeryjski i antybiafrański. Trwało to tak w pełnej harmonii z raportami Elberta Matthews, amerykańskiego ambasadora w Lagos, który został zwolniony z funkcji dopiero pod koniec 1969 r. W głębi korytarza było biuro AID, a jeszcze dalej gabinet doktora Fergusona. Ku zdziwieniu pracowników JCA/USA, mających do czynienia z trzema sąsiadującymi agendami, żadna z nich nie wiedziała, co zamierza druga ani jaką ma „linię oficjalną”. Rezultatem było spore zamieszanie.

Stąd też większość pracy spadła na JCA/USA. Jej najważniejszymi członkami były: Catholic Relief Services [Katolicka Służba Pomocy], gigantyczna organizacja charytatywna, największy eksporter w USA po rządzie, wysyłający rocznie miliony ton dostaw do 72 krajów; Church World Sendce [Kościelna Służba Świata], składająca się z 30 odłamów protestantyzmu i pomagająca 42 krajom; wreszcie American Jewish Committee [Amerykański Komitet Żydowski], reprezentujący 22 organizacje żydowskie. Były one wspierane przez cały zastęp innych, mniejszych stowarzyszeń.

Przywódcy tych ciał bez przerwy agitowali, naciskali, wrzeszczeli i nacierali na MSZ, wymuszając od niego gotówkę i artykuły niezbędne do pomocy dzieciom po obu stronach. Wśród tych natrętów byli biskup Swanstrom i Ed Kinney z CRS, James McCracken i Jan von Hoostraten z CWS oraz rabin James Rudin i Marcus H. Tannenbaum z AJC.

Gdyby działali sami, może nie osiągnęliby celu. Ale za nimi stało wiele osobistości, które publicznie mówiły i nie przestawały mówić, dopóki coś nie zostało zrobione. Spektrum poparcia dla tej humanitarnej akcji było w Stanach tak rozległe, jak zróżnicowane jest życie w tym kraju. Naciski przychodziły ze strony skrajnej prawicy i z lewicy, wywierali je liberałowie i konserwatyści, demokraci i republikanie, związkowcy i zarządy wielkich korporacji, wszystkie pięćdziesiąt jakże różnorodnych stanów. Nie milkła również amerykańska prasa. Nie pozwalała sprawie odejść w zapomnienie, które we współczesnym świecie jest najpewniejszym grobem każdej idei.

Jednym z tych, którzy uczynili szczególnie dużo w kwestii dostarczenia żywności głodującym, był senator Edward Kennedy. Jako przewodniczący podkomisji do spraw uchodźców organizował przesłuchania. Zażenowani i kładący uszy po sobie urzędnicy byli zmuszeni stawiać się i tłumaczyć, dlaczego nie zrobiono więcej. W ten sposób komisja senatora nie dawała odpoczynku opornemu MSZ.

W zestawieniu z bogactwem Ameryki sumy, które wchodziły w grę, nie były wielkie - koszt zabijania przez trzy dni w Wietnamie pokrywał koszt dawania życia przez osiemnaście miesięcy w Biafrze; był to również ekwiwalent dwudziestu minut lotu Apollo 11. Ale dał on szansę przeżycia milionom znajdującym się na krawędzi wyniszczenia.

Prawdziwego amerykańskiego bohatera tej akcji nie należy szukać wśród osób publicznych lub przywódców kościelnych stojących w pierwszych szeregach walczących. Był nim szary obywatel, jeden z milionów bezimiennych, o których zawodowi manipulatorzy we władzach zapomnieliby z największą rozkoszą. Ale oni nie dali o sobie zapomnieć. Pewnego dnia MSZ otrzymało 25 tysięcy listów w sprawie Biafry i urzędnicy mieli zatrute życie. Zasługa za tę największą akcję pomocy humanitarnej w historii świata przypada milionom bezimiennych Amerykanów, którzy wraz z obywatelami Niemiec, Holandii, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Szwecji, Kanady, Danii i Irlandii nie przestawali mówić pełnym głosem, podczas gdy ich władcy modlili się, by się wreszcie zamknęli.



## ***12. Konferencje pokojowe***

W ciągu osiemnastu miesięcy wojny - między lipcem 1967 a grudniem 1968 r. - odbyły się trzy konferencje pokojowe, z których każda zakończyła się fiaskiem. Nie zaskoczyło to nikogo, zwłaszcza strony białrańskiej. Warunkiem wstępnym każdych uwieńczonych powodzeniem rokowań pokojowych jest gruntowne przeświadczenie obu stron, że nie są w stanie rozwiązać konfliktu dostępnymi środkami militarnymi i porozumienie przy stole konferencyjnym jest nie tylko pożądane, ale i na dłuższą metę nieuniknione.

Strony nie zamieszane w konflikt, jeśli pragną powodzenia rokowań i nie chcą się ograniczyć do wygłaszania jałowych przemówień, muszą zrobić wszystko co w ich mocy, aby przekonać głównych antagonistów o słuszności owego przeświadczenia. Jeśli jakiegokolwiek nie zaangażowane mocarstwo podsuwa którejś ze stron konfliktu powody do postępowania uniemożliwiającego pokojowe rozwiązanie, to jego stanowisko jest świadectwem hipokryzji.

Podczas wspomnianych trzech konferencji Brytyjczycy i Amerykanie dyplomatycznie - a Brytyjczycy także praktycznie - postarali się, aby Nigeria nie wyszła poza swoje pierwotne przekonanie o skuteczności dostępnego rozwiązania militarne, uznając równocześnie, że rozwiązanie pokojowe wcale nie jest na dłuższą metę nieuniknione. W rezultacie Nigeryjczycy w kilka godzin po rozpoczęciu każdej konferencji dawali do zrozumienia, że obecność ich delegacji jest spowodowana wyłącznie chęcią przedyskutowania warunków kapitulacji Biafrańczyków. Jeśli odrzuca się ten warunek wstępny negocjacji, wojna w sposób nieunikniony musi toczyć się dalej. I się toczyła. Część odpowiedzialności za to musi spocząć na dwóch mocarstwach i opieszalych państwach Afryki, które dały się przekonać do polityki nieangażowania się w sprawę będącą ujmą dla całego kontynentu.

Pierwsza konferencja była wynikiem działalności dyplomatycznej ministra brytyjskiej Wspólnoty Narodów, Arnolda Smitha, sympatycznego Kanadyjczyka dysponującego sporą ilością dobrej woli i niewielką bystrością. Po kilkakrotnych kontaktach z Lagos powiedział wreszcie Biafrańczykom, że druga strona chce prowadzić rokowania. Ponieważ Biafrańczycy nie pragnęli niczego innego przez całą wojnę, zgodzili się i poczyniono ustalenia, w myśl których rozmowy wstępne miałyby się odbyć w Marlborough House w Londynie. Podczas tego spotkania omówiono by formułę konferencji.

Nigeria znajdowała się wtedy w trudnej sytuacji. Ponawiane próby zajęcia od strony morza jednego z największych miast białrańskich, Port Harcourt, zawiodły i dowódca III

Dywizji obiecał, iż zdobędzie miasto do końca maja.

Podczas gdy III Dywizja kontynuowała ciężki marsz przez bagna w kierunku Port Harcourt, sytuacja na froncie dyplomatycznym zmieniła się w sposób alarmujący. 13 kwietnia Tanzania uznała niepodległość Biafry. To w równej mierze dodało ducha Biafrańczykom, jak pozbawiło Nigeryjczyków wiary w zwycięstwo. W tych okolicznościach, gdy Wybrzeże Kości Słoniowej i Gabon rozważały pójście w ślady Tanzanii, Nigeryjczycy oznajmili Smithowi chęć do rozmów. Po stronie biafrańskiej natychmiast uznano, że przeciwnik gra na zwłokę, gdyż upadek Port Harcourt prawdopodobnie całkowicie by odmienił dyplomatyczne tendencje w Afryce. Te przeczucia okazały się trafne.

Rozmowy wstępne rozpoczęły się 2 maja w Londynie. Prezes Sądu Najwyższego Biafry, sir Louis Mbanefo, szefował jednej stronie, a wódz Anthony Enahoro przewodził delegacji Nigerii. Miano przedyskutować miejsce konferencji, osobę przewodniczącego, międzynarodowych obserwatorów (jeśli mieliby uczestniczyć w rozmowach) i porządek obrad. Podejrzenia Biafrańczyków, że rozmowy są manewrem w grze na zwłokę, pogłębiły się. Sir Louis powiedział panu Smithowi, że jest przekonany, iż rozmowy nie mogą się zakończyć powodzeniem. Po pierwsze, Brytyjczycy odmówili wstrzymania transportów broni do Lagos nawet podczas konferencji. Nigeryjczycy właściwie zrozumieli ten gest. Po drugie, znaczący był skład nigeryjskiej delegacji.

Poza wodzem Enahoro byli tam Alhaji Amino Kano, mieszkaniec Północy, ale nie należący do północnych kręgów władzy, osobnik pozbawiony prerogatyw do przemawiania w imieniu Nigeryjczyków z Północy, i trzech kolaboranci z Biafry - Asika, nominowany przez Lagos administrator ojczyzny Ibo, brygadier George Kurubo, renegat pochodzący z ludów nadrzecznych, odtrącony przez swoich ziomków, brygadier armii biafrańskiej przed ucieczką do Lagos, gdzie ofiarowano mu posadę ambasadora Nigerii w Moskwie, i pan Ikpeme, Efik z Calabaru, który reprezentował Lagos w Calabarze pod koniec listopada i w grudniu, podczas gdy jego lud cierpiał represje.

Wyglądało to zupełnie tak, jakby na paryskie rozmowy w sprawie Wietnamu zjechała delegacja Wietnamu Południowego w osobach trzech zbiegów z szeregów Vietcongu. Łatwo sobie wyobrazić reakcję delegacji obu stron.

Ale chociaż sir Louis zdawał sobie sprawę, że ta grupa ludzi w żadnym wypadku nie jest na tyle reprezentatywna dla ludu Nigerii, aby móc przemawiać w jego imieniu, kontynuował rozmowy. Jako miejsce negocjacji Biafrańczycy zasugerowali Dakar. Enahoro odrzucił tę propozycję i nie przedstawił żadnej alternatywnej oferty. Po trzydniowej zwłoce sir Louis poprosił Enahoro o przedstawienie listy miejsc odpowiadających Lagos, dodając, iż

nadzieje Nigeryjczyków na Londyn są nieiziszczalne, dopóki Wielka Brytania kontynuuje dostawy broni do Nigerii.

Enahoro przedstawił listę siedemnastu stolic Wspólnoty Narodów. Sir Louis zaakceptował Kampalę. Poprzednio miał ją na drugim miejscu swojej listy, ale wolał trzymać asa w rękawie. Zbity z tropu, ale przyparty do muru Enahoro zgodził się na stolicę Ugandy. Biafra domagała się przewodniczącego rozmów i trzech niezależnych obserwatorów. Po Aburi uświadomiła sobie konieczność odbywania takich spotkań przy świadkach. Enahoro sprzeciwił się zarówno jednemu, jak i drugiemu warunkowi. Zaproponował rozstrzygnięcie tych spraw w Kampali. Sir Louis na to przystał. Po kolejnej zwłoce zaczęto dyskutować sprawę porządku obrad.

Sir Louis chciał dwóch punktów: porozumienia co do przerwania ognia i dłuższych rozmów na temat istoty związku między obiema stronami, tj. rozwiązania politycznego. Enahoro natomiast przedstawił siedmiopunktowy porządek obrad, którego sens sprowadzał się do całkowitej i bezwarunkowej kapitulacji Biafry. Sir Louis zaprotestował. Zawieszenie broni musi być głównym celem rozmów, bez tego negocjacje grozi klęską. Poza tym Smith zaproponował właśnie rozmowy na temat zawieszenia broni bez żadnych warunków wstępnych. W końcu zaakceptowano dwupunktowy porządek obrad.

Właściwa konferencja rozpoczęła się w Kampali w czwartek 23 maja 1968 r. Do tej pory czujki nigeryjskie weszły do Port Harcourt i konferencja stała się akademicką dyskusją. Dwa dni zajęło ustalenie, że nie powinno być przewodniczącego i tylko jeden obserwator. Biafrańczycy zaproponowali prezydenta Miliona Obote, gospodarza rozmów, zmuszając w ten sposób Nigeryjczyków do ustąpienia, jeśli nie zamierzali posunąć się do nietaktu. Zgodzili się i doktor Obote wyznaczył ministra spraw zagranicznych, Simona Odakę, jako swojego reprezentanta. W sobotę Nigeryjczycy żalili się, że brak jednego z ich sekretarzy, Johnsona Banjo, i nie mogą podjąć rozmów, dopóki nie znajdą stenografisty.

Rozmowy zaczęły się upodabniać do opery komicznej, ale w Umuahia pułkownik Ojukwu gniewnie nazwał je ponurą farsą. W niedzielę przed południem Enahoro nie mógł podjąć rozmów, ponieważ spieszył się do kościoła, i znalazł kolejne dwie wymówki na popołudnie i wieczór. Zażądał spotkania z prezydentem Obote, a potem chciał rozmowy w cztery oczy z sir Louistem. Nie doprowadziło to do niczego. We wtorek złożył dwunastopunktową propozycję dotyczącą poddania się Biafry, rozbrojenia wojska, przekazania terytorium pod zarządek Nigeryjczyków. Była tam też mowa o losie przywódców biafrańskich. Sir Louis przypomniał Enahoro, że są w Kampali, aby przedyskutować zawieszenie broni, pierwszy punkt porządku obrad, i wynikające z tego rozwiązania

polityczne. Enahoro uparł się jednak przy swojej propozycji, co skutecznie odwróciło porządek obrad. Tymczasem szczegóły zdobycia Port Harcourt stały się wiadome i taki był koniec nadziei na skierowanie umysłów rządu w Lagos ku polityce pokojowej.

Podczas gdy toczyły się rozmowy w Londynie i Kampali, trzy kolejne państwa uznały Biafrę - Wybrzeże Kości Słoniowej 8 maja, Gabon 14 maja i Zambia 20 maja. Ale wiadomości o Port Harcourt, które doszły do Kampali między 23 i 27 maja, pozbawiły tamte fakty jakiegokolwiek wpływu na zmianę polityki nigeryjskiej.

W owym czasie panowało ogólne przekonanie, że utrata lotniska w Port Harcourt, która nastąpiła kilka dni po zajęciu miasta, odepnie Biafrę od świata zewnętrznego i dostaw broni. Zakładano, że w tej sytuacji opór nie potrwa dłużej niż dwa tygodnie.

Ale postępek trzech państw afrykańskich, chociaż nie doceniony przez rozentuzjzmowanych Nigeryjczyków, zaniepokoił rząd brytyjski i amerykański. Oba rozpoczęły intensywną działalność, by powstrzymać inne kraje pragnące podążyć śladem tamtej trójki. Alfred Palmer, amerykański podsekretarz stanu do spraw Afryki, były ambasador USA w Nigerii, odbył podróż po krajach Afryki Zachodniej, w publicznych i prywatnych wystąpieniach opowiadając się gorąco za Nigerią i przeciwko Biafrze. Nie trzeba było czekać na efekty tej akcji; pęd ku uznaniu niepodległej Biafry został wstrzymany i trzy następne kraje Afryki, które po cichu poinformowały pułkownika Ojukwu, że zastanawiają się nad tym krokiem, ale których gospodarka była uzależniona od pomocy amerykańskiej, zdecydowały się zmienić kurs.

W piątek 31 maja sir Louis powiedział najpierw doktorowi Obote, a potem prasie, że zdaniem jego kraju Nigeria jest całkowicie przekonana o skuteczności rozwiązania militarnego, że on osobiście traci czas i zamierza się wycofać. Sądząc po tym, co pisała większość międzynarodowej prasy, ona też już doszła do tego samego wniosku.

Sir Louis, zawiedziony, ale nadal pełen nadziei, nie wrócił do kraju, ale poleciał do Londynu, gdzie spędziwszy kilku dni z brytyjskimi oficjelnymi poprosił w końcu o spotkanie z Haroldem Wilsonem. Zamiast zgody na kontakt z premierem otrzymał telefoniczną sugestię spotkania z ministrem brytyjskiej Wspólnoty Narodów, lordem Shepherdem. Przystał na to i spotkali się w domu Arnolda Smitha. Lord Shepherd rozpoczął dyskusję od monstrualnej gafy.

Dał jasno do zrozumienia, że do tej chwili uważał Biafrańczyków za ciemne plemię z buszu. Nawet tak zahartowani w bojach weterani dyplomacji, jak sir Monice James, były podsekretarz, nie wiedzieli, jak się zachować, tylko odwrócili się do okna. Takie było pierwsze wejście lorda Shepherda na dyplomatyczną scenę.

Odbyły się trzy spotkania, podczas których lord wyznał, iż rządowi brytyjskiemu zależy na zawieszeniu broni i kolejnych rozmowach pokojowych. Spytał, czy Biafra zaakceptowałaby brytyjskie pośrednictwo. Sir Louis, zakłopotany tym, że lord Shepherd nie pojął jeszcze sytuacji, odparł, że według jego rządu mediacja brytyjska nie wchodzi w grę, dopóki Wielka Brytania dostarcza broń do Lagos. Doniesienia prasowe wskazywały, że te transporty rosną. Ten punkt widzenia zadziwił czcigodnego lorda.

Jednakże lord Shepherd przedstawił plan wiodący do zawieszenia broni. Sir Louis poprosił o przedstawienie mu go na piśmie. Tak się stało. W porównaniu z planem białym w zasadzie nie można było się dopatrzeć zasadniczych różnic. Zawieszenie broni, potrzeba międzynarodowych sił pokojowych, wynikłe stąd negocjacje w sprawie rozwiązania politycznego - wszystko się zgadzało. Lord Shepherd wydawał się zadowolony i powiedział, że uda się do Lagos usiłując osiągnąć zgodę na podstawowy zarys porozumienia, będący już do przyjęcia dla Brytyjczyków i Biafrańczyków. Poprosił sir Louisa o pozostanie w Londynie aż do jego powrotu z Lagos, ale sir Louis wolał polecieć do Biafry. Zobowiązał się wrócić do Londynu, w razie gdyby misja lorda Shepherd'a przyniosła owoce. Ten ostatni poleciał 13 czerwca, sir Louis następnego dnia.

To, co nastąpiło, wprawiło w zdumienie obserwatorów. Plan lorda Shepherd'a, jeśli w ogóle był omawiany w Lagos, został całkowicie odrzucony. W oczach Lagos polityczne rozwiązanie polegało na poddaniu się Biafrańczyków i to było warunkiem wstępnym zawieszenia broni. Nieugięty lord Shepherd poleciał do Calabaru, będącego teraz w rękach Nigeryjczyków. Zachowywał się tam w sposób niezwykle jak na domniemanego mediatora, wygłaszał przemówienia i pokątne uwagi świadczące, że w ciągu kilku dni stał się całkowitym orędownikiem Nigerii i jej sprawy.

Podczas rozmowy z dwoma korespondentami „News of the World”, Noyesem Thomasem i Grahamem Stanfordem, którzy w żarliwych słowach odmalowali obrazy ludzkiej nędzy, rozpacz i poniżenia, jakie widzieli na okupowanych przez Nigeryjczyków terytoriach Ibibio, szczególnie w Ikot Ekpene, lord Shepherd wydawał się zaskoczony, a nawet wstrząśnięty. Ale niebawem, będąc w centrum uwagi, machał zachwycony tłumowi (agenci Biafry poinformowali później, że było tam sporo żołnierzy z plemienia Joruba odzianych w mufti) i nawet powitał chór, któremu nakazano śpiewać psalm „Pan jest moim pasterzem” [pasterz - ang. *shepherd*]. Porównanie z misją lorda Runcimana do Czechosłowacji w 1938 r. i żalnym zachowaniem się earla w Petrovicach narzucało się samo. W Lagos wygłosił kolejne oświadczenie o mocnym pronigeryjskim zabarwieniu i wyjechał. Wszelkie szanse na negocjowane porozumienie przy jego mediacji legły w gruzach.

Skuteczność brytyjskiej dyplomacji w tej sprawie była zerowa i pomimo dalszych opowieści o wielkich zwycięstwach odniesionych w korytarzach Lagos, o koncesjach, wstępnych porozumieniach i wielu innych podobnych zasługach - rząd brytyjski nie był w stanie zwiększyć o włos szansy na pokój w Nigerii. Wręcz przeciwnie, tylko ją zmniejszył. Obserwatorzy zachodzili w głowę, dlaczego akurat Wielka Brytania, dysponująca zastępem dyplomatów kalibru sir Humphreya Trevelyana, który jakże przebiegle działał w sprawie Adenu, w takiej sytuacji jak wojna Nigeria-Biafra, sytuacji wymagającej największej delikatności, skazuje się na usługi lorda Shepherda, którego nie sposób nazwać profesjonalistą.

Następne posunięcie uczyniono w Afryce. Cesarz Etiopii, Hajle Sellasje, przez wiele miesięcy przewodził Komitetowi do Spraw Nigerii w łonie Organizacji Jedności Afrykańskiej. W skład komitetu wchodził przedstawiciele sześciu narodów. Komitet milczał od ostatniej zimy, kiedy to zgłosił chęć odwiedzenia Biafry, lecz został ostrzeżony przez generała Gowona i potulnie ustąpił. Po skontaktowaniu się z głowami pozostałych pięciu państw - Liberii, Kongo Kinszasa, Kamerunu, Ghany i Republiki Nigru - cesarz zwołał konferencję w Niamey. Gospodarzem był prezydent Nigru - Hamani Diori. Spotkanie rozpoczęło się w poniedziałek 15 lipca i od następnego dnia uczestniczył w nim generał Gowon. Ledwo odleciał do domu po południu, a komitet wysłał zaproszenie pułkownikowi Ojukwu, aby przybył i przedstawił swoje argumenty.

Więści dotarły do Biafry najpierw drogą radiową, ale oficjalne zaproszenie szło dłużej i zostało doręczone wieczorem za pośrednictwem prezydenta Gabonu, Bongo. Na następny dzień, środę, pułkownik Ojukwu miał od dawna ustalony termin konferencji prasowej w Aba, podczas której zaproponował dwa sposoby dostaw żywności do Biafry. Jeden szlak szedłby morzem i w górę rzeki Niger do portu Oguta, nadal pozostającego w rękach Biafrańczyków. Drugi korzystałby z umiędzynarodowionego Port Harcourt, objętego neutralną kontrolą. Z Port Harcourt pomoc szłaby szerokim na 10 mil korytarzem na północ do linii frontu. Dalej transportem opiekowałby się Biafrański Czerwony Krzyż. Ojukwu zapytany, czy pojedzie do Niamey, potrząsnął ze smutkiem głową i odparł, że chciałby, ale sytuacja wojskowa na to nie pozwala.

Tego wieczoru miał powód, aby zmienić zdanie. Dostał wiadomość o możliwości szybkiego transportu i po pospiesznej konsultacji z Radą Wykonawczą odleciał z małą grupą doradców niebawem po północy 18 lipca. Wylądowali w Libreville przed świtem i natknęli się na Bruce'a Oudesa, dobrze zorientowanego w sprawach afrykańskich korespondenta kanadyjskiego. Wieść o przyjeździe pułkownika Ojukwu już się rozeszła. Po śniadaniu z

prezydentem Bongo pułkownik Ojukwu poleciał na północ prywatnym odrzutowcem prezydenta Wybrzeża Kości Słoniowej, Houphoueta-Boigny'ego, który przekazał samolot do dyspozycji białrańskiemu przywódcy.

Przemawiając przed komitetem pułkownik Ojukwu użył całej siły przekonywania i wszelkich atutów swojej osobowości. Wielokrotnie powtórzył prośbę o jeden lub dwa „korytarze łaski” - lądowy lub morski. Wyłuszczył argumenty Biafry. Komitet, mimo iż poprzednio trzech jego członkowie byli wrogo nastawieni do Biafry, okazał przychylność, co do pewnego stopnia zmartwiło Nigeryjczyków.

W piątek opuścił Niamey i poleciał do Abidżanu na spotkanie w cztery oczy z prezydentem Houphouetem-Boignym. W sobotę wrócił do Biafry, zostawiwszy profesora Eni Njoku, aby przewodniczył delegacji białrańskiej. W niedzielę miał kolejną konferencję prasową, tym razem w nieco lżejszej atmosferze, w ogrodzie w Owerri, podczas której wyraził ostrożny optymizm, że przyszła konferencja pokojowa w stolicy Etiopii, Addis Abebie, będącą najważniejszym wynikiem jego wizyty w Niamey, może przynieść owoce.

Tymczasem w Niamey dwie delegacje omawiały pomoc humanitarną, stanowiącą od początku lipca przedmiot coraz większego zaferowania całego świata. Zgodzono się co do kryteriów w sprawie korytarzy transportowych, ale gdy zaczęto te kryteria przykładać do dotychczasowych propozycji, stało się jasne, że wersja białrańska dotycząca drogi rzecznej oznacza łatwiejszy dostęp, mniejsze koszty, pozwala na przewóz większych ilości w krótszym czasie, wyrządza mniejsze szkody strategiczne każdej ze stron i stwarza większą szansę zabezpieczenia przed nadużyciami niż nigeryjska wersja korytarza lądowego na północy z Enugu do Awgu. Kiedy zaczęło się to rysować, delegacja nigeryjska szybko się wycofała. Właśnie podczas wyjaśniania, dlaczego już ustalone kryteria nagle stały się nie do przyjęcia, przewodniczący grupy nigeryjskiej wygłosił sławetny pogląd na sprawę głodujących dzieci: „Zagłodzenie jest prawie dowolnym orężem wojennym i jesteśmy całkowicie gotowi użyć go wobec buntowników”.

Od tego momentu Nigeria stale uchylała się od wydania pozwolenia na dostarczanie żywności Biafrze i drobne ustępstwa musiały być na niej wymuszane nie pod naciskiem czy dzięki wstawiennictwu rządu brytyjskiego, ale z powodu wzbierającej fali nieprzychylnych opinii publicznej całego świata. Niemniej jednak ustalono porządek obrad w Addis Abebie, tym razem zmieniając kolejność spraw wedle życzeń Nigeryjczyków; najpierw polityczne ustalenia, potem zawieszenie broni.

Konferencja w Addis Abebie zebrała się w poniedziałek 29 lipca. Pułkownik Ojukwu opuścił Biafrę poprzedniej nocy i poleciał prosto do stolicy Etiopii, tym razem zabierając ze

sobą większą delegację na pokładzie odrzutowca, również dostarczonego przez prezydenta Wybrzeża Kości Słoniowej. Zgodnie z przewidywaniami generał Gowon odmówił przybycia lub też został zatrzymany przez swoich doradców, świadomych, iż trudno wyobrazić sobie mniej korzystny kontrast osobowości.

Pierwsze zebranie miało charakter otwarty i służyło wysłuchaniu wstępnych przemówień przewodniczących obu delegacji. Udział w nim wzięli przedstawiciele wszystkich państw afrykańskich lub też osobiście sami przywódcy, cały korpus dyplomatyczny Addis Abeby, wielu obserwatorów i zastęp dziennikarzy. Wódz Enahoro starał się zapobiec obecności prasy, a szczególnie telewizji. Gdy mu się to nie udało, zadowolił się dwudziestominutowym przemówieniem.

Pułkownik Ojukwu zabrał głos. Początkowo miało się wrażenie, że występuje w obronie narodu biafrańskiego, powołując się na ogólne zasady humanitarne. Ale po czterech akapitach wyjawiał, że cytuje bezpośrednio z przemówienia, które Hajle Sellasje wygłosił na forum Ligi Narodów w 1936 r., opisując gwałt, jaki Abisynii zadali faszyci. Sens narzucającego się porównania nie umknął uwagi słuchających. Pułkownik Ojukwu przemawiał przez godzinę i dziesięć minut. Opisał historię Biafrańczyków od najdawniejszych czasów, prześladowania, odrzucenie, podział i wynikłe cierpienia. Gdy skończył, wszedł do wąskiego grona ludzi, którym składająca się głównie z dyplomatów widownia zgotowała owację na stojąco. W ciągu siedemdziesięciu minut sprawa Biafry przestała należeć do Nigerii, Afryki, Wielkiej Brytanii lub Wspólnoty Narodów. Stała się problemem światowym. A 34-letni pułkownik Ojukwu stał się postacią światową, co zostało wyrażone językiem prasy po dwudziestu czterech dniach, gdy jego twarz ukazała się na okładce czasopisma „Time”.

Ale konferencja w Addis Abebie po kilku dniach zwodniczego rozgłosu przestała zwracać uwagę świata. Jak jej poprzedniczki, utknęła w bagnie opóźnień, gry na zwłokę, uporu i złej woli. W sumie ciągnęła się pięć tygodni, ale uwaga świata, jedyny czynnik, który mógł spowodować jej rozwój, przeniosła się na rosyjską inwazję w Czechosłowacji.

Nigeryjska delegacja kolejny raz miała powód grać na zwłokę. Zawieszenie broni przestało być istotnym problemem, gdy 17 sierpnia III Dywizja przeszła rzekę Imo i zagroziła Aba, największemu miastu w rękach Biafrańczyków. Równocześnie zmieniła się postawa amerykańskiego przewoźnika broni, Whartona. Na południe od Aba biafrańscy żołnierze bronili się mając po dwa naboje na głowę dziennie i atakowali - mając o trzy więcej. Samoloty z amunicją psuły się, zawracały, zrzucały ładunek do morza. Pomimo straszliwych nigeryjskich strat Aba padła 4 września 1968 r.



Niebawem oczy wszystkich skierowały się na konferencję szefów państw Organizacji Jedności Afrykańskiej, wyznaczoną na 14 września w Algierze. Z Lagos szły gorączkowe wiadomości do dowódcy III Dywizji, że Owerri albo lotnisko Uli musi upaść do tej pory. Państwa przyjazne Biafrze dały jej znać, iż brytyjscy i amerykańscy dyplomaci, przygotowując się do obrad w Algierze, zakulisowo dzień i noc przekonują Afrykę, że Biafra jest skończona. Wielokrotnie użyto znacznego nacisku, nie rezygnując również ze środków finansowych. Efekty były.

Komitety zajmujący się porządkiem obrad konferencji na szczycie zebrał się w Algierze 8 września. Nie włączył sprawy Nigeria-Biafra do kalendarium rozmów. Konferencja rozpoczęła się 14 września. Po nieudanym ataku na lotnisko Uli III Dywizja przypuściła 12 września szturm na Owerri. Biafrańcy, nadal ograniczeni brakami amunicji i broni (amerykańskiego przewoźnika wyrzucono, ale nie znaleziono jeszcze następcy), walczyli mając jak zwykle pod ręką garść kul, a przeciwko sobie czołówkę nieprzyjaciela, wyposażoną w brytyjskie pojazdy opancerzone Saladin. Owerri padło 16 września. Następnego dnia w Algierze przewagą głosów trzydzieści cztery do czterech przeszła naprędce wprowadzona rezolucja, wzywająca Biafrańczyków do współpracy z Nigeryjczykami w celu przywrócenia terytorialnej spójności Federacji; innymi słowy, chodziło o poddanie się.

Postępując tak organizacja, która szczyciła się, że jest ostoją sumienia Afryki, umyła ręce od najbardziej wstydliviego problemu kontynentu. Tego dnia linia powodzenia Biafry osiągnęła punkt najniższy - zarówno jeśli chodzi o sprawy wojskowe, jak i dyplomatyczne. W owym czasie i przez następne tygodnie mało kto przypuszczał, że Biafra nie jest jeszcze całkowicie skończona. Dopiero po stu dniach świat zdał sobie sprawę, że Biafra nadal żyje, nadal walczy.

Do tego czasu sytuacja zmieniła się niemal pod każdym względem. W Biafrze wzrosło morale, pewność siebie, zwiększyły się dostawy pomocy humanitarnej. Oddziały biafrańskie po raz pierwszy od początku wojny prowadziły energiczne przeciwnatarcia. Kilka państw ogłosiło, że zamierza aktywnie szukać sposobów zaprowadzenia pokoju. W Nigerii podpisano porozumienie z Rosją, które uchyliło szeroko drzwi infiltracji sowieckiej we wszystkich dziedzinach życia. Z Północy dochodziły coraz silniejsze pomruki niezadowolenia emirów, którzy mieli dość rządów służby cywilnej opanowanej przez plemiona mniejszościowe i nie spełniającej swoich obietnic. Na Zachodzie trwały zamieszki, strzelaniny, masowe aresztowania. W Ameryce na urząd prezydenta wybrano Nixona.

Porażka na froncie dyplomatycznym była nie tyle porażką nigeryjskich figurantów zainteresowanych własną karierą, ale tych, którzy posiadali prawdziwe wpływy. Delegacje

nigeryjskie nigdy nie utraciły wiary w to, że rozwiązanie wojenne jest możliwe i wykonalne. To podstawowe stanowisko nie uległo zmianie. Również poplecznicy Nigeryjczyków nigdy nie starali się wytrącić ich z tego przekonania. Zmarnowano autentyczną szansę.

Rok 1969 nie był bardziej pomyślny w sferze negocjacji pokojowych niż rok poprzedni. Złożyły się na to głównie już wymienione przyczyny. Poza wieloma nieoficjalnymi kontaktami dyplomatów różnych krajów z reżimami białfrańskim i nigeryjskim odbyła się tylko jedna ogólna konferencja. Miała miejsce w Monrowii, Liberia, 18 i 19 kwietnia i okazała się równie wielką farsą, jak jej trzy poprzedniczki z 1968 r.

Pierwszy krok uczynił na początku kwietnia prezydent Liberii, William Tubman. W liście skierowanym do rządu białfrańskiego prosił o przysłanie delegacji pokojowej do Monrowii w celu przedyskutowania pokoju bez warunków wstępnych. W skład delegacji weszli: sir Louis Mbanefo, Christopher Mojekwu - komisarz spraw wewnętrznych, wódz E. Bassej - komisarz do spraw bogactw naturalnych, Ignatius Kogbara - nadzwyczajny przedstawiciel Biafry w Londynie, i dwaj urzędnicy. Wyjechali z Biafry 14 kwietnia i dwa dni później pojawili się w stolicy Liberii, gdzie zostali przyjęci z całą uprzejmością.

Rozmowy prowadził Komitet Sześciu OJA. Chodziło o zawarcie pokoju między stronami. Mediatorami byli: gospodarz - prezydent Tubman, cesarz Etiopii - Hajle Sellasje, prezydent Republiki Nigru - Hamani Diori, prezydent Kamerunu - Ahmadu Ahidjo, prezydent Kongo Kinszasa - Joseph Mobutu, przedstawiciel Ghany - Charles Harley, zastępca przewodniczącego Narodowej Rady Wyzwoleńczej. Delegacji nigeryjskiej przewodził komisarz robót publicznych, Femi Okunu, i Allison Ayida.

Zagał prezydent Tubman, po nim przemawiał cesarz Etiopii. Następnie zaczęła się właściwa konferencja. Był wieczór 18 kwietnia.

Przebieg spotkania okazał się niezwykle. Najpierw „panel” poprosił delegację nigeryjską i spędził z nią czterdzieści pięć minut za zamkniętymi drzwiami. Potem posłano po delegację białfrańską. Sir Louis skierował do Szóstki przygotowane oświadczenie i dał do zrozumienia, że chciałby przedstawić propozycje dotyczące zawieszenia broni. Kiedy to uczynił, przedstawiciel Szóstki zapytał, czy Biafra gotowa jest zaakceptować oddziały obserwatorów między walczącymi stronami. Sir Louis odparł twierdząco, pod warunkiem że chodziłoby o nadzorowanie rozejmu lub zawieszenia broni.

Wieczorem został poproszony o zjawienie się na zamkniętej naradzie z udziałem dwóch członków Szóstki. Okazali się nimi prezydent Tubman i prezydent Diori. Poprosili sir Louisa o przedstawienie stanowiska Biafry, co też uczynił. Wyjaśnił, że podstawową troską Biafry jest bezpieczeństwo państwa oraz życia i mienia obywateli. Białfrańczycy są gotowi

przedyskutować sprawę „jednej Nigerii”, ale najpierw chcieliby wiedzieć, co dokładnie oznacza to sformułowanie.

Obaj prezydenci zdawali się wykazywać zrozumienie dla stanowiska Biafry. Prezydent Diori zaproponował formułę, która byłaby podstawą dla rozmów pokojowych. Obejmowała zapewnienie Biafrze wewnętrznego i zewnętrznego bezpieczeństwa, gwarantowanego obecnością sił międzynarodowych. Tę propozycję przedstawiono ustnie w języku francuskim i sir Louis poprosił o zapisanie jej po angielsku. Prezydent Diori wyraził na to zgodę i zwrócił się do sekretarza generalnego OJA, Diallo Telli, aby wyszedł i sporządził pisemną propozycję w języku angielskim.

Pan Telli wyszedł, ale wrócił po pięciu minutach i szybko zwrócił się po francusku do prezydenta Nigru. Hamani Diori powtórzył mu kilkakrotnie francuską frazę: *securité interne et externe*. Telli wyszedł powtórnie, ale chyba nie spełnił polecenia prezydenta Nigru, bo dziesięć minut później pojawił się znowu, donosząc, że dwaj prezydenci są proszeni przez kolegów. Nie było ich przez czterdzieści minut, a po powrocie prezydent Diori przedłożył dokument w języku angielskim. Była tam jedynie mowa o dyskusji na temat pokoju, który pozwoliłby ustanowić „jedną Nigerię”. Uniknięto wzmianki o wewnętrznym i zewnętrznym bezpieczeństwie Biafry.

Sir Louis odparł po raz kolejny, iż jest gotów dyskutować o „jednej Nigerii”, ale musi wprawdzie wiedzieć, czym ta „jedna Nigeria” ma być. Powiedział, że zaakceptuje dokument pod warunkiem usunięcia z niego trzech słów, z których wynika, iż Biafra zgodziła się na warunek wstępny w postaci „jednej Nigerii”. Na tym nocne pertraktacje się urwały.

Następnego przedpołudnia prezydent Tubman zapytał sir Louisa, czy czytał „New York Timesa”. Szef delegacji biafrańskiej zaprzeczył. Tubman powiedział, że w gazecie jest reportaż z Lagos. Jak wynikało z tekstu, generał Gowon oświadczył, iż w razie akceptacji przez Biafrańczyków zasady „jednej Nigerii” cała reszta jest do ustalenia. Prezydent Tubman uważał, że jest to jakaś propozycja. Sir Louis odparł, iż zna reportera, który to napisał, a oświadczenie Gowona nie jest niczym nowym i trudno mu wyobrazić sobie poważną dyplomatyczną inicjatywę, podjętą za pomocą gazetowego artykułu.

Dzień minął na dalszych bezowocnych rozmowach. Obie delegacje nadal się nie spotkały i pan Telli zaprzągnął swoich urzędników do biegania między salami konferencyjnymi. Pod koniec dnia sir Louis był całkowicie przekonany, że Telli jest zdecydowanym zwolennikiem sprawy Federacji. Wieczorem obie delegacje wezwano wreszcie na posiedzenie plenarne Szóstki. Cesarz Hajle Sellasje wręczył sir Louisowi zaakceptowany już wcześniej przez delegację nigeryjską dokument w języku angielskim. Błagał, aby

Biafrańcy także go zaakceptowali.

Ku przygnębieniu sir Louisa był on jeszcze gorszy od wersji przedstawionej przez pana Telli poprzedniego wieczoru. Z tekstu wynikało jasno, iż warunkiem jakichkolwiek przyszłych rozmów będzie przyjęcie przez Biafrańczyków sformułowania „jedna Nigeria”. Sir Louis odrzucił dokument i kolejny raz wytłumaczył dlaczego. Zaproszono go do Monrowii, aby przedyskutować zawarcie pokoju bez żadnych warunków wstępnych - powiedział. Tymczasem przekonał się, że warunki nigeryjskie w ogóle się nie zmieniły i wygląda na to, że ci, którzy stroją się w szaty rozjemców, są zwolennikami owych ustaleń.

Na późniejszej konferencji prasowej biafrański prezes Sądu Najwyższego wyraził pogląd, że OJA nie ma chęci ani możliwości przełamania obecnego impasu. Później nie podjęto żadnej poważnej próby zbliżenia stron.

31 lipca papież złożył czterodniową wizytę w Kampali, Uganda, gdzie kanonizował pośmiertnie kilku ugandyjskich męczenników. Żywiono nadzieję, iż obecność biskupa Rzymu na kontynencie afrykańskim stanie się okazją do podjęcia nowych starań o pokój. Generał Ojukwu zaproponował rozejm na czas wizyty, ale zostało to odrzucone przez Lagos. Chociaż papież odbył w Kampali osobne spotkania z przedstawicielami Biafry i Nigerii, to kontakty te nic nie dały.

Pod koniec 1969 r. wśród obserwatorów znowu ożyły słabe nadzieje, iż zmęczenie wojną, widoczne w obu armiach, i rosnące protesty ludności cywilnej w Nigerii Zachodniej spowodują, że Nowy Rok przyniesie jakieś świeże i bardziej znaczące inicjatywy pokojowe.

Jednakże do przełomu nie doszło, gdyż dwie sprawy stanęły tu na przeszkodzie. Jedną był brak mediatora, którego obie strony szanowałyby z racji jego siły i o którego bezstronności byłyby przekonane. Po drugie, chodziło o uparte przeświadczenie strony federalnej, że całkowite i decydujące rozwiązanie problemu Nigeria-Biafra można osiągnąć nie schodząc z drogi walki. Ostoją i wsparciem dla tego przekonania był rząd brytyjski. Oficjalne wypowiedzi ministrów rządu JKM pod koniec 1969 r. jasno dały do zrozumienia obserwatorom, że Londyn pomaga i wspiera Lagos aż do całkowitego zwycięstwa nad Biafrą. Jeśli wiktorii nie da się osiągnąć zbrojnie, to w razie potrzeby należy przeciwnika zagłodzić.

### **13. Problem ludobójstwa**

„Ludobójstwo” to określenie nadawane największej zbrodni, do jakiej zdolny jest człowiek. Na czym polega ludobójstwo we współczesnym świecie? Jakie nasilenie gwałtu usprawiedliwia użycie tego słowa? Co upoważnia do korzystania z tego określenia? Po kilku latach badań najwybitniejsze prawnicze głowy świata przyczyniły się do stworzenia definicji zapisanej w Konwencji Narodów Zjednoczonych o Ludobójstwie, przyjętej 9 grudnia 1948 r. Artykuł 2 stanowi:

W obecnej Konwencji „ludobójstwo” oznacza każdy z poniższych uczynków popełnionych ze świadomym zamiarem zniszczenia w całości lub części grupy narodowej, etnicznej, rasowej lub religijnej, a polegający na:

- a. zabijaniu członków tej grupy,
- b. doprowadzeniu do poważnych cielesnych lub umysłowych obrażeń członków grupy,
- c. świadomym tworzeniu takich warunków życia grupy, że doprowadzają one do wyniszczenia całości lub części grupy,
- d. narzucaniu środków zapobiegających narodzinom wewnątrz grupy,
- e. przenoszeniu dzieci jednej grupy do innej.

Artykuł 1 stanowi, że ludobójstwo - bez względu na to, czy zostało popełnione w okresie pokoju, czy też wojny - jest w świetle prawa międzynarodowego zbrodnią. Artykuł 4 jasno określa, iż wybrani konstytucyjnie przywódcy, urzędnicy państwowi i osoby prywatne mogą być obciążeni odpowiedzialnością.

Naturalnie podczas wojny giną ludzie, którzy należą do narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych grup, toteż ten paragraf jest być może tak szeroki, że aż niepraktyczny. Dopiero określenie „ze świadomym zamiarem” oddziela straty w ludziach poniesione podczas wojny od zbrodni ludobójstwa. Musi się udowodnić stronie popełniającej zabójstwa zamiar zniszczenia, a ofiarą musi być grupa narodowa, etniczna, rasowa lub religijna.

Są dwa inne elementy dotyczące ludobójstwa, ogólnie przyjęte w prawie. Po pierwsze, nie trzeba udowadniać zamiaru głowie państwa zadającego szkodę. Jeśli jakiś generał rozkaże swoim oddziałom popełnić ludobójstwo, to wódz naczelny jest obciążony odpowiedzialnością, gdyż nie potrafi zapanować nad żołnierzami. Po drugie, świadome

wyniszczenie kadry przywódczej grupy rasowej, obliczone na pozbawienie jej elity ludzi wykształconych, może być uznane za ludobójstwo, nawet jeśli większość populacji w postaci bezradnej masy półanalfabetów wieśniaków zostaje przy życiu. Należy uznać, że taką społeczność pozbawiono możliwości rozwoju.

Biafrańskie zarzuty przeciwko rządowi nigeryjskiemu i jego siłom zbrojnym obejmują pięć sytuacji: pogromy na Północy, Zachodzie i w Lagos w 1966 r.; postępowanie armii nigeryjskiej wobec ludności cywilnej podczas wojny; określony wybór celów przez nigeryjskie siły lotnicze; selektywne morderstwa na zajętych terenach, gdzie ginęli wodzowie, przywódcy, administratorzy, nauczyciele, technicy; świadome doprowadzenie do klęski głodu (przewidzianej przez zagranicznych ekspertów), która w 1968 r. zabrała około 500 tysięcy dzieci w wieku od roku do dziesięciu lat.

O masakrach 1966 r. powiedziano wystarczająco wiele. Przyznaje się powszechnie, że rozmiar i zasięg morderstw osiągnął „wymiar ludobójstwa”, a wiele przykładów dowodzi, iż rzezie były planowane, sterowane i organizowane przez ludzi, którzy wiedzieli, czemu dana akcja ma posłużyć. Rząd centralny nigdy nie przeprowadził żadnego dochodzenia, nie było żadnych kar, odszkodowań ani zwrotów zagrabionego mienia. W sensie prawnym takie postępowanie można uznać za przebaczenie.

Szeroki zasięg morderstw popełnionych na biafrańskiej ludności cywilnej i Ibo ze Stanu Środkowozachodniego również nie jest przedmiotem kontrowersji. Gdy siły biafrańskie wycofały się ze Środkowego Zachodu pod koniec września 1967 r., rozpoczęła się seria masakr Ibo. Wyjaśnienie, że trudno było odróżnić żołnierzy od cywilów, nie trzyma się kupy, bo jak zostało to już powiedziane, siły zbrojne wycofały się prawie na każdym odcinku, zanim II Dywizja armii federalnej zbliżyła się na odległość strzału. Te masakry widzieli świadkowie, pochodzący z zagranicy stali mieszkańcy różnych miast Środkowego Zachodu. Zostały szeroko opisane w międzynarodowej prasie. Wystarczy kilka przykładów:

„New York Review”, 21 grudnia 1967 r.: „Poza Wschodem na pewnych obszarach okresowo objętych kontrolą wojsk biafrańskich, w Beninie i Stanie Środkowozachodnim, Ibo byli zabijani przez tubylców. Towarzyszyła temu co najmniej bierna postawa wojsk federalnych. Około tysiąca cywilów z plemienia Ibo zginęło w ten sposób w Beninie”.

„Washington Morning Post”, 27 września 1967 r.: „Po zajęciu Beninu przez siły federalne żołnierze Północy zabili około 500 cywilów Ibo, przeprowadziwszy rewizje w domach”.

Londyński „Observer”, 21 stycznia 1968 r.: „Największa masakra nastąpiła w mieście Ibo, Asaba, gdzie 700 mężczyzn Ibo ustawiono w szeregi i zastrzelono”.

„New York Times”, 10 stycznia 1968 r.: „Kodeks (Kodeks Postępowania autorstwa Gowona) funkcjonował jedynie w federalnej propagandzie. Jak doniesiono, wojska federalne oczyszczając Środkowy Zachód z Biafrańczyków zabiły lub przyglądały się beczynnemu, gdy tłuszcza zabijała ponad 5 tysięcy Ibo w Beninie, Warri, Sapele, Agbor i Asaba”.

Wspomniana Asaba leży na zachodnim brzegu rzeki Niger i jest zamieszkała przez Ibo. Masakra nastąpiła po wycofaniu się oddziałów biafrańskich przez most na biafrańską stronę. Później monsignor Georges Rocheau, wysłany przez Ojca Świętego w celu przeprowadzenia wizji lokalnej, odwiedził zarówno Biafrę, jak i Nigerię. W Asaba, będącej już w rękach nigeryjskich, rozmawiał z obecnym tam podczas masakry księdzem. 5 kwietnia w wywiadzie dla francuskiego „Le Monde” powiedział: „Zdarzały się przypadki ludobójstwa, na przykład przy okazji masakry 1966 r. Dwa obszary ucierpiały bardzo (podczas walk). Głównie okręg między miastami Benin i Asaba. Pozostały tam tylko wdowy i sieroty. Oddziały federalne z niewiadomych przyczyn wymordowały wszystkich mężczyzn”.

Według naocznych świadków tej masakry nigeryjski dowódca rozkazał przeprowadzić egzekucję wszystkich mężczyzn Ibo powyżej dziesiątego roku życia.

Morderstwa na Środkowym Zachodzie nie mają nic wspólnego z prowadzeniem wojny przez nigeryjską armię i Biafrańczycy interpretowali je powszechnie jako zapowiedź tego, co ich czeka. Skoro po wycofaniu się na rozkaz Banjo oddziałów biafrańskich ogromna większość populacji Ibo ze Środkowego Zachodu nie uciekła, to zapewne była przekonana, iż ani ona sama, ani jej bracia Ibo po drugiej stronie Nigru nie uczynili niczego, aby ściągnąć na siebie odwet. Gdyby wykorzystując obecność uzbrojonych Biafrańczyków przyczynili się do cierpień współziomków z regionu nie należących do plemienia Ibo, uciekliby na łeb, na szyję za wycofującymi się Biafrańczykami.

Później w Calabarze, Biafra, miały miejsce kolejne masakry. Alfred Friendly opisał to w „New York Timesie” z 18 stycznia: „Ostatnio w Calabarze, porcie w secesjonistycznym regionie przejętym przez siły federalne, żołnierze - według krążących powszechnie informacji - zastrzelili tysiąc, a może 2 tysiące Ibo, głównie cywilów... Zabójstwa objęły także członków plemienia Efik, jednej z grup mniejszościowych, które według Lagos są związane z Federacją, nie z secesjonistami”.

Te doniesienia odsłaniają jedynie wierzchnią warstwę tego, co się wydarzyło. Celowo ograniczyłem się do korespondentów obcokrajowców, ale świadectwa uchodźców sięgają obecnie tysięcy stron zeznań. Od jesieni 1967 r. populacja Ibo na Środkowym Zachodzie została drastycznie zredukowana. Calabar to ostatnie z miast, w którym Ibo pozostali, wierząc, że nie spotka ich krzywda. Po tym, co się tam wydarzyło, uciekli niemal wszyscy

bez wyjątku. Część powróciła ze strachem kilka miesięcy później. Ale wszystkie białrańskie miasta, które przeszły w ręce nigeryjskie, nawet te najpierw zdobyte, stały się miastami umarłych, upiornymi odbiciami dawnych skupisk życia.

Można długo cytować relacje dziennikarzy o tym, co widzieli lub co im opowiedziano, ale nie służyłoby to niczemu. Podróżując wraz z komandosami białrańskimi po splądrowanych terenach za liniami nigeryjskimi, widziałem zaplecze kraju - opuszczone wioski, zniszczone gospodarstwa, ogołoczone budynki, spalone mieszkania, a na poboczach dróg - pozostałości po egzekucjach, trupy wieśniaków na tyle głupich czy też powolnych, że złapanych przez armię federalną. Morderstwa cywilów nie ograniczyły się do kraju Ibo; Efik, Calabar, Ibibio i Ogoni też ucierpieli, o czym ich emisariusze donosili pułkownikowi Ojukwu. Mordowanie nie było żywiołową reakcją armii, której radość zwycięstwa uderzyła do głowy; nie wyrażała się nim również ponura mściwość klęski. Zachowanie się żołnierzy było zbyt znormalizowane, zbyt metodyczne.

Było ono takie samo po tym, jak oddziały III Dywizji pułkownika „strzelać-do-wszystkiego-co-się-rusza”, Adekunle, przeszły Imo i zaczęły pokonywać dolinę rzeki. W Akwa, towarzysząc białrańskiemu zwiadowi, widziałem ciała mieszkańców obozu uchodźców, jakieś 500 wyniszczonych postaci, które uciekły z bardziej na południe położonych terenów. Tych ludzi wyłapano przez zaskoczenie i pozbawiono życia. Na południe od Aba, w wioskach Ubute i Ozata, wraz z małym doborowym oddziałem mieliśmy okazję się dowiedzieć, co przytrafiło się społecznościom, które nie zdążyły uciec. Mężczyznom związano ręce przed rozstrzelaniem; kobiety bestialsko okaleczono. W wysokiej trawie leżały jak lalki posiekane kulami ciała dzieci.

W Onitsha w marcu 1968 r. byłem z białrańskim 29 Batalionem, gdy gonił czołówkę II Dywizji główną drogą do miasta. Tam 300 członków Kościoła apostolskiego, którzy zostali, aby modlić się o oswobodzenie, gdy reszta wiernych uciekła, wywleczono ze świątyni na egzekucję. Jedna kobieta przeżyła udając zabitą; później opatrzył ją Anglik, doktor Ian Hyde.

Podczas wojny padają niewinne ofiary, zdarzają się ekscesy, to tu, to tam prymitywne żołdactwo dopuszcza się bezsensownej brutalności. Rzadko jednak bywa, aby różne oddziały wojska na tak rozległym terytorium popełniały tak podobne do siebie akty bestialstwa.

Dowody dostarczane przez Białrańczyków, którzy przeżyli, mnożą się, lecz są odrzucane za granicą jako część propagandowej maszyny Ojukwu. Pod wpływem sugestii rządu brytyjskiego zorganizowano grupę obserwatorów zagranicznych, która towarzyszyła żołnierzom oddziałów federalnych w różnych sektorach. Jej raport stwierdzał, iż nie znalazła



śladów ludobójstwa. Ta inicjatywa była udaną operacją „umycia rąk”. Raport szeroko rozpropagowano i stał się on podstawą kilku wypowiedzi zadowolonych z siebie mówców w brytyjskiej Izbie Gmin.

Ale wyniki misji są bez znaczenia. Nawet elew ze szkoły policyjnej ze sceptycyzmem potraktuje szukanie dowodów zbrodni pod okiem domniemanych sprawców. To tak, jakby obrońca oskarżonego o morderstwo wezwał na świadków osoby, które będą twierdzić, iż niczego nie widziały, szczególnie jeśli po miejscu zbrodni zostały oprowadzone przez oskarżonego. Dowody dostarczone przez tych, którzy naprawdę coś widzieli, świat nadal odrzuca, wołając niczego nie wiedzieć.

Zeznań Ibo, Efik, Calabar, którzy widzieli i przeżyli, nie da się tak łatwo odrzucić. Dowodów, które doprowadziły do powieszenia faszystowskich zbrodniarzy wojennych, nie przedstawiło kilku obserwatorów towarzyszących Wehrmachtowi, 90% pochodziło od żyjących ofiar, Żydów, Rosjan, Polaków i innych. Ich zeznań nie potraktowano w Norymberdze jako żydowskiej propagandy. Jeśli chodzi o pozostałe dowody, to 9% pochodziło z dokumentacji faszystowskiej, a zaledwie 1% stanowiły zeznania Niemców.

Środkowy Zachód i Białą zamieszkują dość gęsto Europejczycy zaangażowani w różne programy. Nieprawdopodobne, aby tak wiele wydarzeń mogło ująć ich uwagi. Dziwi więc, dlaczego oprócz kilku lekarzy i księży zaledwie paru odważyło się mówić. W wypadku wszystkich spraw, w których brakuje świadków, odpowiedź jest taka sama. Funkcjonariusze policji wszystkich krajów często mają do czynienia z takimi sytuacjami. Każdy broni się jak może, by nie zostać włączony w śledztwo, jeśli zaangażowanie się może wywołać kroki odwetowe.

Ogólnie biorąc, europejska ludność na obu obszarach mieści się w trzech kategoriach.

Biznesmeni często opowiadają przy drinku o tym, co widzieli, po czym szybko dorzucają: „Staruszkule, ale to nie do druku. Gdyby coś takiego ujrzęło światło dzienne, moja firma miałaby spore kłopoty”. Większość z nich jest zatrudniona przez przedsiębiorstwa prowadzące interesy na innych obszarach Nigerii. Firmy lękają się odwetu, w razie gdyby szkodliwe dla armii federalnej lub rządu opowieści ich pracowników pojawiły się w prasie.

Funkcjonariusze służby cywilnej są zwykle świetnie zorientowani w tym, co się dzieje na terenie, na którym sprawują obowiązki. Niewiele uchodzi ich uwagi. Oni również unikają publicznych wypowiedzi, gdyż wcale nie uśmiecha im się zwolnienie w połowie kariery zawodowej i zerwanie umowy o pracę dla kilku oskarżycielskich akapitów w gazecie.

Trzecia grupa to księża. Ci znają swoje parafie jak nikt inny i nawet uciekinierzy odszukują ich i donoszą, co się stało na świeżo zajętych terenach. W Biafrze księża chętnie

dziela się prywatnie swoją wiedzą, ale rzadko są gotowi udzielić wywiadu. Każdy z nich myśli: Co się stanie z wiernymi, kiedy zostaniemy wyrzuceni? Wobec kogo winienem poczuwać się do obowiązku - wobec parafian czy wobec zmarłych? Odważając się mówić, mogą narazić swój zakon, sprowokować jego wydalenie, więc prawdopodobnie dochodzą do wniosku, że najlepiej przysłużą się parafianom zostając na miejscu, mimo iż oznacza to konieczność trzymania języka za zębami.

Nawet ci, którzy są w Biafrze, otrzymują listy od innych księży, którzy kontynuują niepewną działalność misyjną pod kontrolą armii nigeryjskiej. W tych listach padają prośby o zachowanie milczenia. Stan duchowny, a szczególnie katolicy, tworzy obejmującą cały kraj sieć i dokładnie wie, co się dzieje. Postawa Watykanu boleśnie zaskoczyła rząd nigeryjski. Zapewne nie wziął pod uwagę, iż Stolica Piotrowa ma obecnie najlepszą dokumentację wydarzeń na okupowanych terenach Biafry.

Przy tej okazji wypadłoby się zająć kontroskarżeniami. Gdy różne obszary zamieszkane przez mniejszości wpadały w ręce armii nigeryjskiej, znaleźli się ludzie, którzy oskarżali plemię Ibo o prowadzenie okrutnych pogromów. Te relacje spowodowały poruszenie na Zachodzie i wzbudziły zachwyty najbardziej ekstremistycznie nastawionych zwolenników rządu federalnego. W tych opowieściach była mowa o tym, jak setki ludzi ustawiano szeregami i zmuszano do kopania sobie grobów przed rozstrzelaniem. Nie było to dalekie od postępowania faszystowskich *Einsatzgruppen* w Europie Wschodniej. Niektórzy katolicy (europejscy) proboszczowie parafii, w których podobno te masakry się wydarzyły, są teraz w nie okupowanej Biafrze. Jeden z nich powiedział mi: „Byłem tam wtedy. Jest absolutnie niemożliwe, żeby coś takiego się wydarzyło i nie znalazło się na ustach całej parafii. Z pewnością bym o tym usłyszał. Jestem całkowicie pewien, że nic takiego nie miało miejsca”.

Wyższy rangą duchowny tego samego zakonu dodał: „W tym kraju nic nie może się wydarzyć bez wiedzy proboszcza. Codziennie wyjeżdżamy spowiadać do najdalszych zakątków i dowiadujemy się wszystkich miejscowych plotek. Nie tylko proboszcz, ale cały zakon wkrótce znałby każdy szczegół. Gdyby się coś takiego wydarzyło, pognałbym w te pędy do pułkownika Ojukwu”.

Trudno pojąć, dlaczego dwaj Irlandczycy w średnim wieku mieliby zadawać sobie trud i zatajać takie wydarzenia, gdyby faktycznie nastąpiły. Jedynym wytłumaczeniem byłby lęk przed zemstą. Ci, którzy znają pułkownika Ojukwu i Biafrę, dobrze wiedzą, iż przywódca tego kraju nie jest tyranem gotowym do odwetu na księżach, a prześladowanie kapłanów Kościoła rzymskokatolickiego w Biafrze byłoby końcem takiego despoty.

Dowody pojedynczych zabójstw przywódców społeczności, zebrane do tej pory, płyną wyłącznie ze źródeł biafrańskich. Mowa jest o egzekucjach nauczycieli, wodzów i starszyny. Dokonywane były w różnych miejscach, ale szczególnie na terenach zamieszkałych przez mniejszości, po części dlatego, że obszary te stanowią większość zajętych ziem, po części dlatego, że Ibo nie ociągali się z ucieczką, wiedząc, że nie mają co spodziewać się litości. Raporty o tych selektywnych mordach wśród cywilów pochodzą z Ikot Ekpene, Uyo i Annang (tereny Ibibio), Dagema, Brass i Bonny (tereny nadrzeczne; królowie Bonny, Opobo i Kalabari są teraz uchodźcami przebywającymi pod dachem pułkownika Ojukwu), Calabar (tereny Efik i Calabar), Ugep, Itigide i Ndiba (tereny Ekoi, Igbo i południowych Ogoja) oraz Ogoni i Ikwerra (tereny zamieszkałe przez ludy noszące to samo miano). W wielu przypadkach egzekucje te wykonywano podobno publicznie, a więźniaków spędzano na główny plac i zmuszano do patrzenia. Co znaczące, większość uchodźców z terenów mniejszości plemiennych prześliznęła się przez linię frontu do nie okupowanej Biafry po kilku dniach lub tygodniach okupacji.

Sprawa wojny powietrznej jest z natury kontrowersyjna.

Cywile zawsze byli ofiarami bombowców i myśliwców atakujących cele naziemne. Od czasu Guerniki świat przywykł akceptować karne bombardowania celów cywilnych. Podczas II wojny światowej bombowce obu stron dniem i nocą równały z ziemią miasta przeciwnika, chociaż były one zwykle ośrodkami mieszkalnymi. Nie można bombardować z dokładnością co do ulicy, nawet gdy się korzysta z Pathfinderów. Ale zachowanie się nigeryjskich sił powietrznych, wyekwipowanych przez Rosjan i często zatrudniających Egipcjan, zburzyło resztki zasad, które przetrwały do tej pory. Bardzo rzadko wykorzystywano samoloty w połączeniu z działaniami piechoty lub przeciwko piechocie biafrańskiej. W takich wypadkach bombowce wolały latać na bardzo wysokim pułapie, poza zasięgiem broni mniejszego kalibru, i zrzucić bomby na chybił trafił, czyli w busz. Także strzeżone biafrańskie obiekty natury strategicznej - mosty, dworce kolejowe, koszary - rzadko bywały trafiane lub traktowane jako cele, gdyż zwykle w pobliżu stały Boforsy albo cekaemy.

Ataki z powietrza głównie kierowano przeciw ludności cywilnej. Zbyt często bombowce i myśliwce spadały z rykiem, zrzucając ładunek dokładnie w środek gęstych skupisk ludzi, aby można było to wyjaśnić wypadkiem lub pomyłką. Wysoko cenionymi celami były szpitale (lub wszelkie zabudowania oznaczone czerwonym krzyżem, jak lotnisko pomocy humanitarnej w Obilagu), miasteczka, kościoły w niedziele i place targowe. Jak wiadomo, te ostatnie są w Afryce przeważnie odwiedzane przez kobiety dźwigające na plecach dzieci w tobołkach. Na placu targowym w Awgu 17 lutego 1968 r. bombowiec zabił

103 ludzi w niecałą minutę, a w październiku na targu w Aguleri życie straciło 510 ludzi. Liczba nalotów jest już tak ogromna, że nie sposób jej ustalić; w ich wyniku zginęło 5 tysięcy ludzi, a następne kilka tysięcy zostało kalekami na zawsze.

Powtarzające się oświadczenia generała Gowona, że wybierane są tylko cele wojskowe, dowodzi, iż równie dobrze kontroluje on siły powietrzne, jak piechotę. Czasami naloty były rzadsze, ale kontynuowano je przez całą wojnę. Kiedy pisałem w Umuahia tę książkę, MiG-i 17 i Ily 28 złożyły tam sześć wizyt podczas Bożego Narodzenia, łamiąc zawieszenie broni zaproponowane przez generała Gowona. Zabiły ponad 100 ludzi i raniły kolejnych 300 bombami, raketami i ogniem z działek.

Ale użycie lotnictwa i środków wybuchowych przeciw bezbronnym cywilom, powodujące straty w ludziach, zapelniające szpitale i budzące czystą grozę, nadal jest tematem kłótni prawników, nie mogących się zdecydować, czy jest to ludobójstwo, czy nie.

Nigeryjski komisarz do spraw informacji, wódz Anthony Enahoro, zwykle uważany za czołowego polityka w Lagos, na konferencji prasowej w Nowym Jorku w lipcu 1968 r. stwierdził: „Można powiedzieć, że to (masowe zagłodzenie) jest dozwolonym narzędziem w wojnie”. Na konferencji pokojowej w Niamey, Republika Nigru, dwa tygodnie później szef delegacji nigeryjskiej odmówił dalszych ustaleń w sprawie korytarza do transportu żywności, używając słów: „Zagłodzenie jest prawnie dozwolonym orężem wojennym i jesteśmy całkowicie gotowi użyć go wobec buntowników”.

Te dwa stwierdzenia, które padły z ust najwyższych przedstawicieli państwa, można potraktować za reprezentatywne stanowisko rządu nigeryjskiego. Druga z tych wypowiedzi to deklaracja przekonań i zamiarów. To, co nastąpiło potem, nie może być usprawiedliwione jako godny pożałowania, ale nieunikniony skutek uboczny wojny. Mimo że w pobliżu Biafry znajdowały się wystarczające zapasy żywności i środki transportu, 500 tysięcy dzieci, ciężarnych kobiet i karmiących matek zmarło z niedożywienia, zagłodzenia i w wyniku towarzyszących im chorób. Zostało to opisane w innym rozdziale.

Nie ulega wątpliwości, że przesłanie żywności na te tereny, poza najdalej wysunięte pozycje federalne, było zadaniem śmiesznie łatwym technicznie. Międzynarodowe agencje udostępniły statki, samoloty, śmigłowce, ciężarówki, samochody dostawcze i personel techniczny. Niebawem technicy narzekali gorzko na armię nigeryjską, której postawa uniemożliwiała im wszelką pracę. Statki i samoloty były rekwirowane, transporty z żywnością spychano z dróg, aby ułatwić posuwanie się artylerii, żołnierzy i amunicji. Worki z żywnością lądowały w okopach armii federalnej albo były sprzedawane na czarnym rynku. Wkrótce część personelu dostarczającego pomoc humanitarną zrezygnowała na znak protestu.

Jak na ironię, gdy w ostatnich tygodniach października 1968 r. nadal teoretycznie nielegalny nocny most powietrzny pozwolił wreszcie rozwiązać problem niedożywienia i przynajmniej chwilowo uratował dzieci, Harold Wilson przyznał, że kłopoty z dostarczeniem transportów nawet na tereny opanowane przez Nigeryjczyków są spowodowane obstrukcjonizmem sił federalnych.

Jedno ze sformułowań Konwencji Narodów Zjednoczonych o Ludobójstwie mówi o „narodowej, etnicznej, rasowej lub religijnej grupie”. Nie ulega zbyt wątpliwości, że Biafrańczycy, traktowani czy to jako naród, czy jako osobna grupa rasowa, są nim objęci. Co do „świadomego zamiaru” wspomnianego w artykule 2, sprawa jest bardziej złożona. Zamiar niełatwo udowodnić, gdyż podejmowany jest w umyśle człowieka, chyba że opisano go na papierze.

Niemniej jednak można go wykazać za pomocą logicznego wytłumaczenia. Sędzia jest w stanie oświadczyć oskarżonemu: „Nie mogę uwierzyć, że byłeś nieświadomy... Szeroki zasób dowodów świadczy, że wiedziałeś, jakie będą konsekwencje twojego postępowania. Mimo powtarzających się ostrzeżeń nie zrobiłeś niczego, aby zapobiec lub powstrzymać... itd.” Takich określeń często używa się w sądzie, dowodząc świadomego zamiaru. Podpalacz, który celowo podłożył ogień pod budynek i spowodował śmierć obecnych w nim ludzi, nie może się tłumaczyć, że nie zamierzał wyrządzić im żadnej krzywdy. Przypomina to nieco casus generała Gowona, który twierdzi, że nie ma nic przeciwko Ibo, zarówno przywódcom, jak i zwykłym szeregowcom. Ale jak się wydaje, nie zrobił znaczących kroków mogących zapobiec działaniom swojego wojska, które wstrząsnęły dużą częścią świata.

Jednakże od czasu do czasu dowody wskazujące na świadomy zamiar wypływają na światło dzienne, i to za sprawą nie drobnych podżegaczy, ale polityków na najwyższych stanowiskach, urzędników państwowych, a także kontrolowanych przez rząd mediów.

Doktor Conor Cruise O'Brien, 21 grudnia 1967 r.: „Na nieszczęście bystrość tego rządu (Gowona) na najwyższych szczeblach nie jest zbyt wysoka; zeszłego miesiąca cytowano funkcjonariusza policji w Lagos, który mówił, że «należy znacznie zredukować ilość Ibo», („New York Review”).

George T. Orick w *The World Game of Patronization* [*Światowa gra protekcyjności*]: „Cywile w Biafrze wiedzą, że oddziały federalne na obszarach walk wymordowały ponad 10 tysięcy żołnierzy nieliniowych. Biafrańczycy nie mają więc żadnych wątpliwości, gdy porównają federalne audycje z Lagos, obiecujące bezpieczeństwo, z nieco bliższymi prawdzie programami Radia Kaduna ze stolicy Północy, które omawia ostateczne rozwiązanie problemu Ibo i ze smutkiem wylicza przywódców Ibo wyznaczonych do

rozstrzelania. Jeśli potulni Biafrańczycy nie wykazują żadnych chęci poddania się, to dlatego, że przynajmniej wiedzą, iż walczą o swoje życie”.

Sygnałem muzycznym kontrolowanego przez rząd Radia Kaduna jest śpiew w języku hausa, który w przekładzie znaczy: „Idźmy i zgniećmy ich. Zrabujemy ich domy, zgwałcimy ich kobiety, zabijemy ich mężczyzn, zostanie po nas tylko bezsilny płacz. Skończmy pogrom z 1966”.

Edmund C. Schwarzenbach, „Swiss Review of Africa”, luty 1968 r.:

Rozmowa z jednym z robiących najlepsze wrażenie ministrów daje znaczący wgląd w polityczne cele rządu federalnego... Minister omówił problem reintegracji Ibo w przyszłym państwie... Celem wojny i całkowitym rozwiązaniem problemu jest, powiedział, „przyszła dyskryminacja Ibo w ich własnym interesie”. Taka dyskryminacja będzie polegała przede wszystkim na odłączeniu bogatych w ropę naftową terytoriów Regionu Wschodniego, które nie były zamieszkałe przez Ibo na początku okresu kolonialnego (1900 r.). Zostanie to oparte na zasadach projektowanego dwunastostanowego państwa. Dodatkowo swoboda poruszania się Ibo zostanie ograniczona, aby zapobiec ich przemieszczaniu się do innych części kraju... Minister stwierdził, że jakkolwiek dostęp Ibo do morza jest poza wszelką dyskusją.

Odwołanie się do projektowanego „dwunastostanowego państwa” wskazuje, że rozmowa musiała być przeprowadzona, zanim Wschód oderwał się od Nigerii. Na początku wojny pewien wybitny kanadyjski korespondent powiedział autorowi: „W zeszłym tygodniu rozmawiałem z Enahoro i spytałem go, czy po wojnie Ibo będą mieli większą swobodę poruszania się po Nigerii. Odparł: «No cóż, chłopaki z armii mówią mi, że nie pozwolą, aby więcej niż 50 tysięcy Ibo żyło poza Stanem Środkowowschodnim»,».

Można uczynić interesujące porównanie z traktowaniem Żydów w Niemczech za czasów Hitlera. Faszystowski plan wobec Żydów nie był jedno-, lecz trzystopniowy: najpierw dyskryminacyjna legislacja, odmowa pracy i praw obywatelskich oraz towarzyszący temu ucisk na szeroką skalę, grabież i brutalne traktowanie; po drugie, likwidacja gett i wszystkich żydowskich społeczności, przemieszczenie ich na wschodnie tereny Rzeszy; po trzecie, ostateczne rozwiązanie - roboty przymusowe dla tych, którzy będą do tego zdolni, zagłada tych, którzy nie będą mogli pracować.

W przypadku Biafrańczyków pierwsze dwa stopnie tego planu zostały już zrealizowane; przesiedlenia na wschód uczyniły z tych terenów ojczyznę Ibo i związanych z nimi rodaków ze Wschodu. Różnica z ich punktu widzenia polega na tym, że sprowadzili już

broń i zaczęli stawiać opór ku wyraźnej wściekłości prześladowców. Ale nawet najbardziej chłodni i obojętni obcokrajowcy w Biafrze dawno temu przestali wierzyć w szansę przeżycia pod nigeryjską okupacją wojskową osobnej grupy etnicznej.

Byłoby zarozumiałością ze strony pisarza przywłaszczać sobie funkcje śledcze lub sądownicze. Wymienione wyżej dowody, a prawdę mówiąc, wszystkie dostępne dowody - to tylko wierzchołek góry lodowej. Zanim będzie można ujrzeć pełny obraz, potrzebny jest wysiłek zawodowego zespołu śledczego, działającego pod auspicjami niezależnego trybunału; zgromadzony materiał muszą zbadać eksperci prawni i dopiero wówczas może zapaść wyrok wart tego całego zachodu, ale nawet wtedy da się mówić jedynie o sprawie *prima facie*, opartej na domniemaniu faktycznym.

Lecz nawet na tym etapie pewne elementy można wyliczyć z absolutną pewnością. Po pierwsze, bez względu na to, co zostało uczynione, nigeryjski rząd wojskowy i jego szef, wódz naczelny, nie mogą uniknąć odpowiedzialności prawnej.

Po drugie, zarzuty oparte na domniemaniu faktycznym zostały już wysunięte wobec poszczególnych dowódców armii nigeryjskiej. Chodzi o czynny udział lub odpowiedzialność za liczne przypadki masowych zabójstw, znacznie wykraczające poza okoliczności wymuszone działaniami wojennymi.

Po trzecie, zarzut ludobójstwa jest zbyt poważny, aby sygnatariusze Konwencji Narodów Zjednoczonych, dysponujący przysługującą im władzą, byli zmuszeni czekać na rozpoczęcie śledztwa *post factum* albo zaniechali go całkowicie. Jeśli Konwencja ma być czymś więcej niż tylko świstkiem papieru, podejrzenie ludobójstwa oparte na rzeczowych przesłankach - a takowe objawiło się przed miesiącami - musi spowodować dochodzenie. Narody Zjednoczone łamią własną przysięgę wyrażoną w artykule 1, dopóki odmawiają dochodzenia.

A wreszcie bez względu na to, czego dopuścili się Nigeryjczycy, rząd brytyjski Harolda Wilsona dobrowolnie dopuścił się pełnego współuczestnictwa w zbrodni. Od grudnia 1968 r. nie może być już mowy o neutralności, aktywnej neutralności, niewiedzy czy podawaniu ręki zaprzyjaźnionemu rządowi. Zaangażowanie jest totalne.

Czasopismo „Spectator”, zwykle nieskłonne do posługiwania się hiperbolami, oświadczyło w artykule wstępnym z 31 maja 1968 r.: „Po raz pierwszy w historii Wielka Brytania stała się aktywnym współnikiem celowego mordowania setek tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, których jedynym grzechem była przynależność do proskrybowanego narodu; krótko mówiąc - współnikiem ludobójstwa. A naród brytyjski wespół z opieszalą opozycją odwrócili oczy i pozwolili rządowi kroczyć haniebną drogą bez żadnych zahamowań”.

## ***14. Rola prasy***

Prasa światowa powszechnie opisała wojnę Nigeria-Biafra. Aby użyć dziennikarskiego określenia, wypuszczenie tej bomby zabrało trochę czasu.

Na początku wojny był krótkotrwały wybuch aktywności. Dziennikarze wpadli do Biafry na tygodniowy pobyt. Ale w owym czasie nie rokowano tej historyjce więcej niż tydzień. Poza tym redaktorom działów spraw zagranicznych niełatwo jest „upchać” wojny afrykańskie, gdyż ci fachowcy wiedzą, że czytelnicy jak jeden mąż mają po dziurki w nosie przemocy w Afryce. Przeważająca większość światowych mass mediów jest zdominowana przez białą rasę; ona produkuje większość gazet, czasopism, audycji radiowych i programów telewizyjnych i robi to przeważnie na potrzeby białej rasy.

Prasa w Azji i Ameryce Południowej nadal trąci parafiańszczyzną, a jeśli chodzi o ten niewielki zasób wiadomości zagranicznych, który przekazuje, jest uzależniona od międzynarodowych agencji informacyjnych. W Afryce trudno mówić o takich gazetach, jakie funkcjonują w Europie i Ameryce Północnej, i wiadomości rozchodzą się tam głównie za pomocą radia. W eterze dominują tacy wielcy informatorzy, jak Wielka Brytania, Ameryka, Egipt, Rosja i Chiny. Każdy z nich produkuje wersję wydarzeń odpowiadającą danemu rządowi.

Wiosną 1968 r. dla większości ludzi w Europie Zachodniej i Ameryce Północnej tej wojny po prostu nie było. Pojawiło się kilka artykułów, bardzo niewiele głębszych analiz i od czasu do czasu tygodniowy cykl reportaży w jakimś dzienniku - oczywisty znak, że gazeta miała tam przez tydzień korespondenta, ale nie chciała wyrzucać więcej pieniędzy w błoto. Lecz wieści z Biafry nie poruszyły sumienia żadnego narodu ani nie wywołały powszechnej reakcji nigdzie poza Nigerią.

Wtem w połowie kwietnia zjechało z wizytą czterech reporterów czołowych brytyjskich gazet. William Norris z „The Times”, Walter Partington z „Daily Express”, Richard Hall z „Guardiana” i Norman Kirkham z „Daily Telegraph”. Byli obecni przy zbombardowaniu Aba przez Iła 28 z lotnictwa nigeryjskiego. Podczas nalotu zginęło osiemdziesięciu ludzi, a blisko stu zostało rannych. Wybuch naglej, okrutnej przemocy w gorącej, spokojnej godzinie lunchu, widok ulicy zamienionej w ciągu sekundy w kostnicę, krajobraz zasłany poszarpanymi ciałami - wszystko to głęboko poruszyło dziennikarzy. Cała czwórka opisała bardzo plastycznie wyniki nalotu, a dwaj nie kryli, co sądzą o całym wydarzeniu. W Wielkiej Brytanii te reportaże spowodowały pierwszą powszechną falę



wyrzutów sumienia.

W połowie maja w „Sunday Times” ukazał się mój artykuł, wzbudzając skromne zainteresowanie. Był wynikiem dziesięciu tygodni spędzonych z armią białafrańską, często z oddziałami komandosów robiącymi „wycieczki” poza linie nigeryjskie. Dzięki tym doświadczeniom miałem sposobność bezpośrednio się przekonać, jak armia nigeryjska traktuje cywilną ludność Ibo. Generał Gowon zaprzeczył potem w kąśliwych słowach mojemu opisowi, ale byłem już jednym z kilku zagranicznych naocznych świadków wydarzeń.

Wielki przełom nastąpił w lipcu. W tym miesiącu korespondent „Sun” do spraw Wspólnoty Narodów, Michael Leapman, odwiedził Biafrę. Pierwsze powszechne oznaki wygłodzenia i niedożywienia wśród dzieci zaczęły być widoczne. Leapman wyczuł sensacyjną sprawę i przez kilka kolejnych dni „Sun” obwieszczał ją wielkimi literami na kilku stronach. Biafra wreszcie trafiła na czołówkę. Inne gazety poszły w ślad „Sun”. Nagle zaczęto też słuchać Biafrańczyków zabiegających w Londynie o ratunek dla swojego narodu. W parlamencie zgłaszano bardziej dociekliwe interpelacje. Chodziło nie tylko o możliwość pomocy humanitarnej Biafrze, ale i o brytyjskie transporty broni do Nigerii.

Podmuch przeszedł w huragan. Dziennikarze zaczęli nawiedzać Biafrę tabunami, po części po to, aby opisać rozpaczliwe położenie dzieci, po części szukając innych „podejść”. To, co opisali, wstrząsnęło sumieniem świata. Europa Zachodnia zainteresowała się sprawą w dwa miesiące po Wielkiej Brytanii. Od żelaznej kurtyny do zatoki Galway większość organów kształtujących opinię publiczną podniosła protest.

Do jesieni tysiące Brytyjczyków i Europejczyków pracowało dla Biafry, kraju, którego nigdy nie widziało i którego obywateli najprawdopodobniej nigdy nie miało spotkać. Zbierano pieniądze, demonstrowano, organizowano marsze, strajki głodowe, opłacano całostronicowe ogłoszenia w gazetach, wygłaszano odczyty i apele, naciskano posłów, wzywano do działania.

Rząd brytyjski był zmuszony odpowiadać na coraz bardziej wrogie interpelacje. Dwa razy organizował debatę poselską, zaprzeczał, obiecywał, wyjaśniał, udzielał darowizn. Pomimo początkowych zapewnień, że w razie kolejnego generalnego ataku lub kolejnych „niepotrzebnych wypadków śmiertelnych w Biafrze” Wielkiej Brytanii nie wystarczy samo „zrewidowanie polityki”, i mimo dalszych zapewnień, że tak naprawdę to w interesie samych Biafrańczyków leży polityka „błyskawicznego załatwienia sprawy”, której ofiarami mieliby się stać, parlament nie dał się przekonać.

Czechosłowacja, Belgia i Holandia ogłosiły, że nie będą posyłać więcej broni do

Nigerii, i skreśliły bieżące zamówienia. Włochy wycofały się bez słowa. Ameryka oświadczyła, że nigdy nic nie posyłała (co było nieprawdą), a Francja i Niemcy Zachodnie powiedziały to samo o sobie (co było prawdą).

W Bazylei, Szwajcaria, protesty przeciwko polityce rządu brytyjskiego spowodowały odwołanie tygodnia brytyjskiego, na Downing Street polecały zbite w wyrazie protestu szyby. Napływających sprawozdań prasowych było coraz więcej. Kiedy się spojrzy wstecz, wydaje się dziwne, że mimo wysiłków biafrańskich publicystów i lobbystów ta transformacja zapomnianej wojny w buszu w międzynarodową aferę nastąpiła w gruncie rzeczy za sprawą maszyny do pisania i pasków celuloidowej taśmy. Gdy nastąpiło zestrojenie wielu organów prasowych, objawił się potężny wpływ prasy na opinię publiczną. Reportaże były w większości uczciwe. Niektóre grzeszyły nadmierną wylewnością, inne niedokładnością, niektóre mętnością, inne nadużywały obraźliwych sformułowań. Większość reporterów donosiła o faktach i pozwalała kolegom w redakcjach dobierać gromkie epitety.

Rozgłosnie radiowe zajmujące się Afryką przeważnie były własnością rządową i celowały w forsowaniu poglądów swoich właścicieli, zwykły więc formułować redakcyjne komentarze „pod Nigerię”. Co dziwne, okazywało się, że „eksperti” od Afryki Zachodniej przeważnie się mylili; najlepsze sprawozdania sporządzali zwyczajni dziennikarze, opisujący to, co widzieli. Większość weteranów od Afryki Zachodniej głosowała bez zastrzeżeń za szybkim zwycięstwem Lagos, myśląc się beznadziejnie. Przegląd ich archiwów może przysporzyć niezłej uciechy. W początkowych dniach niewielu, bardzo niewielu sugerowało, że wojna Nigeria-Biafra najprawdopodobniej okaże się długa, krwawa, nie rozstrzygnięta i będzie jej towarzyszyć niesłychanie niebezpieczna perspektywa międzynarodowej interwencji oraz dalszej eskalacji. Traktowano ich ze wzruszeniem ramion jako naiwnych głupców lub zaślepionych miłością do Ibo.

W następnych miesiącach wspomniani weterani do spraw Afryki Zachodniej czasem posuwali się do niezłej gimnastyki, wynajdując powody, które uniemożliwiały Nigerii szybkie zwycięstwo. W doniesieniach najbardziej trzeźwo patrzących korespondentów zaczął przebijać coraz energiczniejszy ton. Nieuchronnie bił w tych zarozumiałców, którzy w dalszym ciągu starali się uniknąć czekającego ich losu.

Powodem takiej sytuacji jest to, że główni korespondenci prasy stojącej po stronie establishmentu zwykle są zbyt blisko związani z ludźmi władzy, od których uzyskują większość informacji. Służy temu sieć nieformalnych więzi stworzona jeszcze w szkole czy na uniwersytecie. Establishment Londynu i Lagos popierał Nigerię ze wszystkich sił. Korespondenci, krążący pomiędzy Ministerstwem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i

właściwymi osobami po jednej stronie, a biurem wodza Enahoro i koktajlbarem hotelu Ikoyi bardziej na południe, zwykli raczej wierzyć w to, co im mówiono, zamiast wziąć się do pracy i samemu dojść prawdy. Ci dżentelmeni, stworzenia *status quo* z krwi i kości, nie chcąc rezygnować z ciepłego egzystencji na obrzeżach dyplomatycznej galaktyki, podpisywali się pod tak jednostronnymi reportażami, że służyły one raczej samousprawiedliwieniu niż realistycznej ocenie sytuacji. Dwa szlachetne wyjątki to Walter Schwarz, korespondent „Guardiana” z Afryki Zachodniej, i Michael Leapman, korespondent „Sun” z krajów Wspólnoty. Obaj udowodnili, że można pisać zrównoważone, obiektywne raporty; żaden nie poparł jednej ani drugiej strony. Jasno wyrażali swoje poglądy, chociaż te nie mogły się spodobać równocześnie Lagos i Biafrze. Jak na ironię, biorąc pod uwagę stronniczość innych dziennikarzy, wymienieni dwaj korespondenci są nadal *persona grata* w obu krajach.

Jeden organ mass mediów osiągnął godny uwagi rekord. To dział zagraniczny BBC, szczególnie dział afrykański. Podczas całej wojny słuchacze i niektórzy współpracownicy byli zdumieni liczbą i różnorodnością przeinaczeń pojawiających się w programie rozgłośni. Komentarze redakcyjne były swobodnie wymieszane z niby-autentycznymi wiadomościami z Lagos i niebawem zarówno biali, jak i czarni mieszkańcy Biafry słuchający nocą BBC nabrali przekonania, iż opis wydarzeń w ich regionie jest mocno naciągnięty na korzyść Nigerii.

Z detalami opisywano rzeczy, które miały się wydarzyć w sercu Biafry, ale które się nie wydarzyły, mówiono o miastach, które miały wpaść w ręce żołnierzy nigeryjskich na długo przedtem, zanim oni tam naprawdę wkroczyli. Snuto daleko sięgające spekulacje, opierające się wyłącznie na plotkach lub huraoptymistycznych nadziejach władz nigeryjskich. Na przykład po tym, jak pułkownik Ojukwu (żarliwy katolik) wycofał się z życia publicznego podczas Wielkiego Tygodnia 1968 r., spekulowano, iż uciekł z kraju lub jest ofiarą zamachu stanu. Z innej okazji opisano domniemaną demonstrację w Umuahia na cześć Zhou Enlaia. Ani jedna, ani jedna druga wiadomość nie zawierała żdźbła prawdy.

Nie poinformowanemu słuchaczowi mogło się wydawać, że Nigeryjczycy mają całkowicie słuszność, podczas gdy Biafrańcy zupełnie są jej pozbawieni. A jeszcze bardziej mylące było wrażenie, że Biafra cały czas jest na krawędzi upadku. Reportaże działu zagranicznego BBC nie spełniały podstawowych dziennikarskich norm, których należało się domagać od szanującej się rozgłośni.

W efekcie wśród Biafrańczyków szerzył się niesmak, a Brytyjczycy mieszkający w Biafrze odczuwali równej miary rozczarowanie. Ci pierwsi mogli sobie przynajmniej wytłumaczyć stanowisko BBC wobec Biafry faktem, że dział zagraniczny nie był finansowany przez agencję niezależną od rządu, ale z sum *ex gratia* przekazywanych ze

Skarbu Państwa za pośrednictwem MSZ i Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Jedynym godnym uwagi wyjątkiem były reportaże z Nigerii Johna Osmana, korespondenta BBC w krajach Wspólnoty. Sprawny i skrupulatny reporter przysyłał obiektywne i zrównoważone sprawozdania, co sprawiło, że obdarzony gwałtownym temperamentem pułkownik Adekunle usunął go z Port Harcourt.

\*

Ze wszystkich brytyjskich gazet, a prawdopodobnie ze wszystkich gazet świata, najbardziej konsekwentny, najpełniejszy, najuczciwszy i najbardziej zrównoważony opis działań obu stron konfliktu zamieszczał londyński „The Times”. To jedyna gazeta, której udało się utrzymać stały wysoki poziom przekazu wiadomości, zdobywanych w różnych miejscach i o każdej porze, a wspieranych pełnymi i kompetentnymi materiałami uzupełniającymi, przygotowywanymi na zamówienie. Jeden z reporterów „The Times”, Michael Wolfers, zademonstrował, że można wysyłać informacje z Lagos, nie będąc tubą ani Nigerii, ani rzecznika prasowego brytyjskiego wysokiego komisarza, który często wygłaszał beznadziejnie głupie komentarze. Michael Wolfers ograniczał reportaże do przekazywania informacji o tym, co sam widział, i nie próbował zgadywać, co mogło się wydarzyć 400 mil dalej. Archiwum jego przekazów z Lagos z 1969 r. to pokazowa lekcja reportażu zagranicznego.

W lutym i marcu nastąpił w Londynie kolejny wzrost zainteresowania parlamentu, opinii publicznej i prasy sprawą Biafry. Tym razem bezpośrednią przyczyną była seria reportaży i artykułów, zamówiona przez „The Times” u Winstona Churchilla.

Po otrzymaniu zamówienia pan Churchill udał się najpierw do Nigerii, potem do Biafry. Wróciwszy powiedział autorowi, że po odwiedzeniu Nigerii przyleciał do Londynu całkowicie przekonany, że biafrańskie skupiska ludności cywilnej nie były bombardowane i że dane dotyczące klęski głodu są znacznie przesadzone. Jak przyznał, to przeświadczenie było oparte przede wszystkim na zapewnieniach brytyjskiego wysokiego komisarza w Lagos, sir Davida Hunta, i attache wojskowego, pułkownika Boba Scotta. Kilka dni w Biafrze podziałało jak wstrząs elektryczny.

Pan Churchill ujrzał w pełni klęskę głodu spowodowaną blokadą i zapoznał się bezpośrednio z taktyką terroru nigeryjskiego lotnictwa. Doszedł do wniosku, że w oficjalnych kręgach brytyjskich nikt nie ma pojęcia, co się naprawdę dzieje. Był pierwszym dziennikarzem, który odważył się powiedzieć (w pierwszym raporcie), że „ze wstydem” przyznaje, iż dał się nabrać na głodne kawałki wciśnięte mu przez Lagos.

Chociaż w artykułach Churchilla zasadniczo nie było nic nowego - głód i

bombardowania trwały przez wiele miesięcy, nie dostrzegane lub traktowane z niewiarą - niemniej jednak uruchomiły w Londynie lawinę artykułów, listów, a także wzmogły zainteresowanie ogółu, przydając wiarygodności żałośnie osamotnionej grupce dziennikarzy, głoszących, że wojna nie rozwiąże problemu Nigeria-Biafra. Doprowadziły również do tego, że Fleet Street mogła wreszcie stawić czoło brytyjskiej Wysokiej Komisji w Lagos oraz ministerstwu Spraw Zagranicznych i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, rzucającym oszczerstwa na garstkę dziennikarzy, która opisała to, co widziała w Biafrze, i wyciągnęła z tego własne wnioski, podobnie jak sprawozdawcy z innych krajów.

Tę samą taktykę zastosowano wkrótce wobec Churchilla. W artykule wstępnym z 12 marca „The Times” skarży się na „małostkową kampanię” przeciwko panu Churchillowi i w konkluzji potępia „ataki personalne, mające zamaskować takie fakty, jak głód, bombardowania i śmierć”.

Następnego dnia w liście do redakcji „The Times” Michael Leapman opisał, jak urzędnik Ministerstwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów pozwolił sobie zadzwonić do zastępcy redaktora prowincjonalnej gazety, ostrzegając go, aby nie wierzył w to, co mówi Leapman po trzech wizytach w Biafrze i jednej w Nigerii. Leapman oświadczył następnie, że słyszał pogłoskę, jakoby został opłacony przez Ojukwu.

Po publikacji tego listu urzędnicy odpowiedzialni za oczernianie dziennikarzy zamilkli i brytyjska prasa mogła nie niepokoiona opisywać sprawę Nigeria-Biafra tak, jak ją widziała - co ogólnie biorąc, oznaczało pełną zgodność z faktami.

28 czerwca „The Times” opublikował artykuł wstępny zatytułowany *Polityka głodu*. Był to mocno wyrażony, dokładnie uzasadniony, bezpardonowy atak na całą politykę rządu brytyjskiego wobec konfliktu. Rzecznik prasowy rządu nie zareagował. Artykuł w istocie był miażdżący. Do końca roku każda duża brytyjska gazeta z wyjątkiem „Daily Telegraph” wypowiedziała się przeciwko wysyłaniu broni do Lagos i dalszemu wspieraniu działań wojennych. Ale wpływ prasy brytyjskiej na panów Wilsona i Stewarta był nie większy niż wpływ Kościoła na obrady Partii Pracy. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że sprzyjania godnej potępienia polityce Wielkiej Brytanii nie można zarzucić brytyjskiej prasie, która zrobiła to, co do niej należało, a nawet więcej.

## *15. Wnioski*

W końcu rozmiary i skutki wojny Nigeria-Biafra zburzyły spokój nie tylko grup udzielających pomocy humanitarnej, ale i potężnych rządów, które poniewczasie dostrzegły niebezpieczną perspektywę. Zaczęły sobie uświadamiać, że sytuacja zawiera elementy zgubne nie tylko dla Biafry, ale w równym stopniu dla Nigerii i reszty Afryki Zachodniej.

Teraz jest tylko mowa o pokojowym rozwiązaniu i ci, którzy niegdyś wyłazili ze skóry popierając ideę rozstrzygnięcia wyłącznie militarnego, nieprzekonująco protestują, że przez cały czas byli za negocjacjami.

Stanowisko Biafrańczyków jest proste. Od początku uważali, że najważniejsza jest ludzka strona problemu, i w związku z tym byli za rozwiązaniem politycznym. Nieustannie proponowali zawieszenie broni, jako że to oni byli w tej wojnie stroną cierpiącą. Ale bez względu na motywację Biafrańczycy są za końcem starć i negocjacjami.

Główną trudnością, jaka pojawia się po tej stronie, jest emocjonalne nastawienie Biafrańczyków. Opuścili Nigerię opętani poczuciem odrzucenia, nieufnością do rządu w Lagos i lękiem przed eksterminacją. Do tych trzech emocji dołączyła teraz czwarta, bardziej nieuchwytna, głębsza i w związku z tym bardziej niebezpieczna. To nienawiść. Czysta, żarliwa, pełna nienawiść.

Wydaje się, że niektórzy z mówiących teraz o pokoju, szczególnie w Whitehall, uważają, iż przez minione osiemnaście miesięcy nic się nie zmieniło. Tymczasem - wszystko się zmieniło. Nie w tym rzecz, że „armia gryziپیórków” przekształciła się w groźną machinę wojenną, a dostęp do większych ilości broni znacznie się poszerzył. Chodzi o nastrój ludzi, którzy na własne oczy widzieli, jak ich kraj legł w gruzach i został splądrowany, jak umierały ich wycieńczone dzieci, a młodzież była rozstrzeliwana tysiącami. Koncesje, których można by się spodziewać na początku wojny, gdyby zajęto zdecydowane stanowisko i zaproponowano mediację, już nie wchodzi w rachubę. Możliwe, że w połowie 1967 r. dało się uratować przynajmniej Konfederację Nigerii, oferującą takie korzyści gospodarcze, że poszczególni partnerzy chętnie nawiązaliby więzi w tej sferze. Wątpliwe, czy jest to teraz możliwe. Nic nie wynika z rozmów ludzi w ciemnych garniturach o pojedynczej, zjednoczonej, bezkonfliktowej Nigerii, ludzi pełnych zdumienia, iż Biafrańczyków ta wizja nie porywa. Rozlano zbyt wiele krwi, zbyt wiele nieszczęść wyrządzono i zbyt wielu ludzi one dotknęły, wylano zbyt wiele łez i nagromadziło się zbyt wiele goryczy.

Nikt teraz w Biafrze nie ma żadnych złudzeń co do zachowania się Biafrańczyków,

gdyby kiedykolwiek objęli władzę wojskową nad prześladowcami. Nikt też nie wierzy w to, że jakiś Nigeryjczyk mógłby w bardzo dalekiej przyszłości przejść nie uzbrojony i bez eskorty wśród Biafrańczyków. Jediną możliwą konsekwencją wymuszonej środkami militarnymi „jedności” byłaby zapewne wieczna totalna okupacja wojskowa, co w sposób nieunikniony spowodowałoby rewoltę i odwet, rozlew krwi, ucieczkę do buszu i głód. Oba narody absolutnie teraz do siebie nie przystają.

Ludność Biafry jest reprezentowana przez Zgromadzenie Doradcze i Radę Wodków i Starszyny. Oba ciała są jednogłośnie przeciwne jakiegokolwiek zbliżeniu z Nigerią. Pułkownik Ojukwu nie może postąpić wbrew ich życzeniom - lub wymagać w tej sprawie jakichkolwiek ustępstw - bez względu na to, ile inwektyw spotyka go za nieprzejednanie, zatwardziałość i upór.

Kwestia Nigerii jest bardziej złożona. Lud Nigerii nie ma prawa głosu. Jego gazety, rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne albo są pod kontrolą rządu, albo kierują nimi ludzie, którzy wiedzą, iż głośno wyrażany krytycyzm wobec rządu nie najlepiej służy zdrowiu. Intelktualiści dysydenci, jak Pete Enahoro czy Tais Solarin, są na wygnaniu, lub jak Wole Soyinka - w więzieniu. Nie zasięga się opinii wodków, zwykle najlepszych wyrazicieli opinii prostego ludu.

Ciekawe, co by było, gdyby generał Gowon musiał się stosować w sprawie polityki wojennej do sugestii Zgromadzenia Doradczego, w skład którego wchodzi silne przedstawicielstwo społeczności wiejskiej, uniwersyteckiej, związków zawodowych, kupiectwa i kobiet. Wszystkie te grupy wykazują obecnie coraz większą niechęć wobec wojny. Ale generał Gowon może się obyć bez konsultacji; ostatnio pozwolił sobie użyć broni palnej przeciw wieśniakom z Ibadanu uprawiającym kakaowce.

W rezultacie naród Nigerii jest niemy i jego prawdziwe poglądy nie są znane rozjemcom, którzy muszą się zadowolić urzędnikami reżimu, grupką bardziej zainteresowaną własnymi karierami niż dobrobytem narodu. Ostatnie kontakty z Rosjanami jasno wskazują, jakie mocarstwo może zyskać na tej sytuacji, odgrywając ważką rolę w przyszłości Nigerii.

Jak do tej pory reżim utrzymał swoje stanowisko, iż rozwiązanie wojskowe jest nie tylko dostępne, ale i bliskie, i że powrót do normalności nastąpi tuż po ostatecznym zwycięstwie. Ale przykład Enugu, zdobytego rok temu, lecz nadal zburzonego i wyludnionego, nie uwiarygodnia tej teorii. Rząd nigeryjski zastrzegł się, że jakiegokolwiek zakończenie działań wojennych jest zależne od wielu warunków, na które Biafra musi przystać przed rozpoczęciem negocjacji. Ale te warunki są tak szczegółowe, że prawdę mówiąc dotyczą wszystkich punktów ewentualnych negocjacji - tj. przyszłego kształtu

politycznego Biafry, istoty związku z Nigerią, możliwości w zakresie samoobrony itd.

Nigeryjskie warunki zawieszenia broni praktycznie mówią o całkowitej i bezwarunkowej kapitulacji Biafry, która kompletnie ubezwłasnowolniona miałaby zostać skazana na widzimisię rządu nigeryjskiego. Wynika stąd jednoznacznie, iż reżim Gowona nadal uważa, iż wyłącznie militarne rozwiązanie może ostatecznie zakończyć konflikt.

Ale takie stanowisko pociąga za sobą groźbę niebezpieczeństwa. Żadne kroki, podjęte dotychczas przez rządy zachodniego świata, nie przyniosły upragnionego pokoju. Większość rządów zdaje się akceptować brytyjskie żądanie neutralności, co wynika z faktu, że Wspólnota Narodów jest zwyczajowo brytyjską sferą interesów, a Wielka Brytania zapewnia, iż wojna Nigeria-Biafra niebawem zostanie zakończona.

Polityka rządu brytyjskiego legła w gruzach; okazało się, że wszystkie oczekiwania i tezy bazują na błędnych przesłankach. Nawet przekonanie, że ta polityka zapewni Wielkiej Brytanii wielki wpływ na rząd nigeryjski, co z kolei sprowadzi pokój, okazało się równie trwałe jak bańka mydlana. Wielka Brytania nie tylko nie zdobyła żadnego wpływu, ale będąc kiedyś potężnym doradcą Nigerii, została teraz sprowadzona do roli statysty. Jak na ironię, wojenne jastrzębie nigeryjskie, czerpiące moc z broni dostarczonej przez Wielką Brytanię, uważają się już za tak silne, że rozglądają się za nowymi przyjaciółmi, podczas gdy rząd Wilsona udaje, że tak nie jest, i nie ma ani odwagi, by samemu wszcząć jakąś akcję, ani nie chce ustąpić pola innym wielkim mocarstwom.

Tylko Rosjanie skorzystali z obecnego zamieszania i mogą wyrzucić jeszcze większy wpływ na życie Nigerii. Nie należy zakładać, że interes Nigeryjczyków leży im na sercu. Kontynuowanie wojny, coraz bardziej uzależniającej reżim nigeryjski, odpowiada interesom sowieckim.

W istocie nic nie przełamie obecnego impasu, dopóki nie zmusi się rząd nigeryjski, by przejrzał na oczy i pojął, że jego własne interesy i zawieszenie broni bez warunków wstępnych to jedno i to samo. Ta zmiana poglądów może być spowodowana wyłącznie inicjatywami dyplomatycznymi, które jedynie wielkie mocarstwa są w stanie podjąć.

Gdyby to pragnienie szybkiego zawieszenia ognia zostało odwzajemnione, zapewne stałby się konieczny nadzór międzynarodowych sił pokojowych albo - jeszcze lepiej - dostarczonych przez opiekuńcze mocarstwo, uznawane przez obie strony. Tylko pod tym warunkiem pomoc humanitarna ma szansę powodzenia i może zmniejszyć problem głodu.

Kiedy tylko zacznie się powrót do normalności, trzeba będzie podjąć długie negocjacje, mające doprowadzić do znalezienia rozwiązania, które zapewni trwałą pokój.



Obecnie wydaje się ono niemożliwe, jeśli nie będzie oparte na woli ludu. To wnioskowanie zakłada jakiś rodzaj plebiscytu, przynajmniej wśród mniejszości plemiennych, których los stał się jednym z zasadniczych czynników w obecnej wojnie.

Niewielu myśli poważnie, iż stan biafrański, ograniczony do ziem Ibo, nazywanych obecnie przez Nigerię Stanem Środkowowschodnim, odcięty od dostępu do morza i otoczony ze wszystkich stron przez Nigerię, ma wielką szansę przeżycia. A Nigeryjczycy za jeden z filarów swojego stanowiska przyjęli tezę, iż grupy nie należące do Ibo, a zamieszkujące, jak je teraz Lagos nazywa, stany Południowo-Wschodni i Nadrzeczny, zostały wbrew swojej woli zmuszone do podziału przez Ibo. To założenie nabrało takiej wagi, że należy je sprawdzić.

Jak do tej pory tylko generał Gowon opiera się przeprowadzeniu plebiscytu, chociaż należy przyznać, że obecne warunki nie są zbyt korzystne dla podobnego przedsięwzięcia. Przewaga leży po stronie Nigerii, gdyż to jej armia okupuje te tereny, a miliony ludzi z plemion mniejszościowych sprzyjające Biafrze uszły do strefy nie okupowanej. Niemniej jednak należałoby zadbać o stworzenie takich warunków, które nie wywołałyby protestów żadnej ze stron. W idealnych okolicznościach taka operacja powinna być nadzorowana przez mocarstwo opiekuńcze, a żołnierze armii federalnej musieliby pozostać w koszarach na określony czas.

Jakkolwiek by się zastanawiać, wszystko jest w tym momencie czystą spekulacją i takie pozostanie aż do zawieszenia broni. Ale nie należy do spekulacji stwierdzenie, że stan rzeczy zaistniały pod koniec 1968 r. oznacza, iż antagonizm między narodami Wschodu i Zachodu osiągnął szczyt, i przynajmniej w najbliższej przyszłości konieczny jest jakiś rodzaj podziału, aby zapobiec przelewowi krwi.

Im dłużej się zwleka, tym gorsza staje się sytuacja, tym głębsza nienawiść, tym bardziej rosną temperamenty i tym ciemniejsze chmury gromadzą się na horyzoncie.

## Posłowie

(napisane w czerwcu 1983 r. w Londynie)

Tylko poprzedni rozdział, *Wnioski*, został ukończony w styczniu 1969 r. Praca nad wszystkimi poprzednimi partiami drugiej części trwała jeszcze do grudnia.

Rozdział końcowy nie musiał być weryfikowany, bo nawet czwarty nigeryjski „ostateczny atak”, przeprowadzony w grudniu, niewiele wniósł nowego i nie zakończył wojny. Lord Carrington, rzecznik brytyjskiej Partii Konserwatywnej (opozycji) do spraw obrony, spędził wcześniej tydzień w Biafrze. Był tam pierwszym naocznym obserwatorem konserwatystów od dwóch i pół roku. Po powrocie 22 grudnia oświadczył, iż końca wojny nie widać.

Wtem w drugim tygodniu stycznia 1970 r. Biafra padła. Stało się to całkiem nagle. Oddział na froncie południowym, wyczerpany do cna i pozbawiony amunicji, nagle zrzucił mundury i znikł w buszu. Nigeryjczycy nie zareagowali, a kompetentny dowódca mógłby powstrzymać rozkład. Biafrański oficer odpowiedzialny za sektor nie był jednak kompetentny i nie zauważył luki na swoim odcinku. Oddziały po obu stronach wyrwy strach obleciał i poszły za przykładem dezertów. Niebawem nie broniona linia frontu sięgała od miasta Aba do mostu Okpuala.

Nigeryjski pojazd opancerzony, sondujący front w kierunku północnym, nie napotkał wroga i pojechał przed siebie. W ciągu jednego dnia front został przerwany. Resztki XII Dywizji uciekły do buszu. Pomiędzy mostem Okpuala i rzeką Niger na zachodzie XIV Dywizja została okrążona. Również tam wyczerpani żołnierze znikli w buszu. Nigeryjska III Dywizja pułkownika Obasanjo zajęła serce enklawy Biafra, podążając w kierunku pasa startowego Uli.

Nie było oporu; żołnierze, którzy nie jedli od tygodnia, nie mieli sił walczyć.

Podczas ostatniej narady rządu 10 stycznia generał Ojukwu (awansował w 1969 r.) po raz ostatni słuchał swoich doradców. Ich decyzja była jednogłówna. Zostać i umrzeć byłoby bezowocne; zostać i kryć się w buszu doprowadziłoby do dalszych nieszczęść całej ludności.

Tego wieczoru po zapadnięciu zmroku pojechał do Uli. Nigeryjskie działa grzmiały na froncie południowym. Z małą grupą kolegów wszedł na pokład biafrańskiej Super Constellation, Grey Ghost, i odleciał na samotne wygnanie. Dwadzieścia cztery godziny później generał brygadier Effiong, pełniąc obowiązki szefa państwa, wysłał propozycję złożenia broni. Długa walka skończyła się.

Po wojnie Nigerii dobrze się powodziło, przynajmniej na terenach nie obejmujących dawnej Biafry. Dochody z ropy naftowej rosły z roku na rok i nagle w 1973 r. jej cena podwoiła się raz, potem drugi, gdy eksporterzy dali łupnia pochłaniającemu ropę Zachodowi. Fakt, że reżim nigeryjski jest producentem ropy naftowej, przysporzył mu wiele popularności w Londynie. Prasa brytyjska, zawsze naśladowująca sposób myślenia warstw rządzących, mało nie kanonizowała Yakubu Gowona. Nie można było niczego napisać ani powiedzieć przeciwko niemu lub Nigerii.

W Nigerii sprawy nie układały się aż tak różowo. Przy słabym rządzie plaga korupcji jak rak zżerała politykę i gospodarkę na każdym szczeblu. 29 lipca 1975 r., dokładnie dziewięć lat po tym, jak doszedł do władzy po trupie Ironsiego, Gowon został obalony. Uczestniczył akurat w obradach szczytu państw OJA w Kampali Idi Amina. Zastąpił go człowiek, który od dawna poruszał sznurkami w Nigerii, Murtala Mohammed. Gowon udał się na wygnanie do Wielkiej Brytanii i został studentem Uniwersytetu Warwick. Nawet generał Mohammed nie utrzymał się długo.

Na początku lutego 1976 r. młody oficer podszedł spokojnie do samochodu Mohammeda, tkwiącego w korku ulicznym, i celując w generała opróżnił dwa magazynki karabinka maszynowego. Trzeci wojskowy przywódca Nigerii zmarł na miejscu. Człowiekiem, który przejął po nim władzę, był jego następcą, nie żaden z buntowników, którzy przeważnie poszli pod mur.

Generał Olusegun Obasanjo, ten sam, który dowodził III Dywizją w ostatnich dniach wojny, utrzymał się przy władzy aż do października 1979 r. Już wiosną tamtego roku zdecydował się oddać rządy wybranym przez naród politykom. Pospieszenie utworzyło się pięć partii narodowych i latem odbyły się wybory. 1 października 1979 r. prezydent Alhaji Shehu Shagari został wprowadzony na urząd jako pierwszy cywilny przywódca Nigerii od blisko czternastu lat. Jeden z problemów, przed którymi niebawem stanął, dotyczył wydania pozwolenia na powrót Emeki Ojukwu. Ta sprawa łączyła się z powrotem do kraju Yakubu Gowona, ale większość obserwatorów wiedziała, że ten drugi kłopot się nie liczy, jest tylko dodatkiem. W 1981 r. problem stał się jeszcze bardziej palący i pośrednicy zaczęli prowadzić tajne negocjacje między prezydentem i Ojukwu. Na wiosnę 1982 r. zakończyły się one owocnie.

W krainie Ibo, pokonanej Biafrze, życie po wojnie było ciężkie. Oportuniści od razu zgłosili się do pracy dla reżimu Gowona. Ogromna większość rolników, drobnych kupców, rzemieślników i urzędników, żyjących na terenie rozbitym na maleńkie stany pozbawione wszelkich funduszy federalnych (mimo dochodów z ropy naftowej płynącej pod stopami ludu

Ibo), harowała dzień i noc, budując takie życie, jakie mogła osiągnąć. Nie zrażała się niepowodzeniami. W milczeniu odrzucała „Ibo z Lagos” proponowanych przez rząd Gowona. Wypisywała na murach i na ciężarówkach: „*Akareja* (ten, który wyjechał) musi wrócić”. Oczekiwała dwanaście lat.

W wyborach w 1979 r., kiedy Ojukwu nadal nie było w kraju, głosowała na jedyną partię, której przewodził inny Ibo, były prezydent Nnamdi Azikiwe, bez pozwolenia Ojukwu stale powołujący się na niego podczas kampanii.

Tymczasem Emeka Ojukwu pozostał na wygnaniu w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Zjawił się tam mając dokładnie sto dolarów w kieszeni.

Był chyba jedynym człowiekiem sprawującym władzę w Afryce Zachodniej, który odszedł z urzędu nie zapewniwszy sobie fortuny zagarniętej z funduszy publicznych. Nie tylko nie sięgał do kasy państwowej, ale wydał własne pieniądze co do grosza na potrzeby narodu. I został bez grosza.

Startował od zera. Dzięki skromnej pożyczce od przyjaciela rozbudował przedsiębiorstwo transportowe. Zaczął od dwóch ciężarówek. Pod koniec 1975 r. miał łańcuch firm przewozowych, budowlanych, kopalnię odkrywkową żwiru i był przedstawicielem handlowym licznych firm...

Przez te wszystkie lata nie kończące się delegacje Ibo i innych plemion przemykały się przez granicę nigeryjską, składając mu wizyty. W Nigerii rząd Gowona rozpaczliwie usiłował znaleźć jakiegoś Ibo mogącego zrównoważyć charyzmę Ojukwu. Te próby zawiodły żałośnie. Nastąpiło coś przeciwnego. Widząc otaczającą ich zewsząd korupcję, Nigeryjczycy - i to nie tylko Ibo - zaczęli coraz bardziej doceniać prawość reżimu Ojukwu. Delegacje Joruba i Tiv zaczęły prosić o spotkanie.

Rdzennym mieszkańcom Wybrzeża Kości Słoniowej i francuskim pracownikom służby cywilnej oraz ludziom interesu, których nie brak w tym kraju, zabrało rok, nim uwierzyli, że Ojukwu nie ma tajnego zapasu białych pieniędzy publicznych, ukrytego w Szwajcarii. Kiedy wreszcie to do nich dotarło, część uznała to za godne podziwu, część za wariactwo.

Był i jest człowiekiem niezwykłym. Mógł mieć wszystko, gdyby ugiął kolana przed Gowonem. A tak stracił wiele - fortunę, ojczyznę, możliwość powrotu. Ale nigdy nie utracił lojalności swojego ludu i nigdy nie utracił ludzkiego szacunku. Nawet najwięksi wrogowie go szanują. Jak by to sam powiedział, mimo wszystko wyszedł najlepiej na tym całym interesie.

18 maja 1982 r. ogłoszenie biura prezydenta wprawiło Nigerię w osłupienie; Ojukwu objęto amnestią i jeśli tylko chce, może przyjechać. Powrócił samolotem Nigeria Airways po

dwunastu i pół roku nieobecności. W Lagos ówczesny milion ludzi tłoczyło się na lotnisku i ulicach, chcąc ujrzeć wygnańca. Czterdzieści osiem godzin później poleciał do Enugu, gdzie powitał go tłum, jaki nieczęsto oglądano w historii Afryki. Według najostrożniejszych obliczeń ponad milion Ibo zapełniło port lotniczy i każdy cal 60-milowej drogi do domu w Nnewi. Jechałem otwartą ciężarówką dwa wozy przed limuzyną. Byłem świadkiem początku całej sprawy w 1967 r. i - wydawałoby się - końca w 1969 r. Ciekawiło mnie, czy miałem rację uznając, że ten człowiek posiada niezwykłą osobistą władzę nad swoim ludem. Drogi, domy i wzgórza były czarne od wymachujących rękami i krzyczących ludzi.

Przez pół roku, gdy partia NPP Azikiwe i rządowa NPN starały się go przeciągnąć na swoją stronę, ani słowem nie ujawnił zamiarów, jedynie odwiedzał każde miasto, przedmieście, wieś, przysiółek, osadę, dziękując osobiście mieszkańcom i wodzom za dwadzieścia lat solidarności. Wtem na początku stycznia 1983 r. zgłosił akces do partii prezydenta Shagari, NPN, w nadchodzących wyborach latem 1984 r. Była to ryzykancka zagrywka; chodziło o przeniesienie całego ludu Ibo z parafialnej NPP na stronę rządzącej NPN. Rozumował następująco: NPN wygra wybory i spora falanga posłów i senatorów Ibo należących do NPN powinna zgarnąć dużą część wygranej, lądując w centrum wydarzeń, a nie na peryferiach.

Gdy te słowa są pisane, wybory jeszcze się nie odbyły. Partia NPP Nnamdi Azikiwe wylazi ze skóry, by zdyskredytować Ojukwu politycznie wśród Ibo. Naturalnie próbowano tego już wcześniej. Jeśli zagranie się powiedzie i Ojukwu, mając czterdzieści dziewięć lat, pojedzie w październiku zwycięski do Lagos na czele bloku senatorów i parlamentarzystów Ibo, których głosy będą miały kapitalne znaczenie, można z pełnym przekonaniem rzec: Nigeria, Afryka i świat usłyszą jeszcze o Emeka Ojukwu.